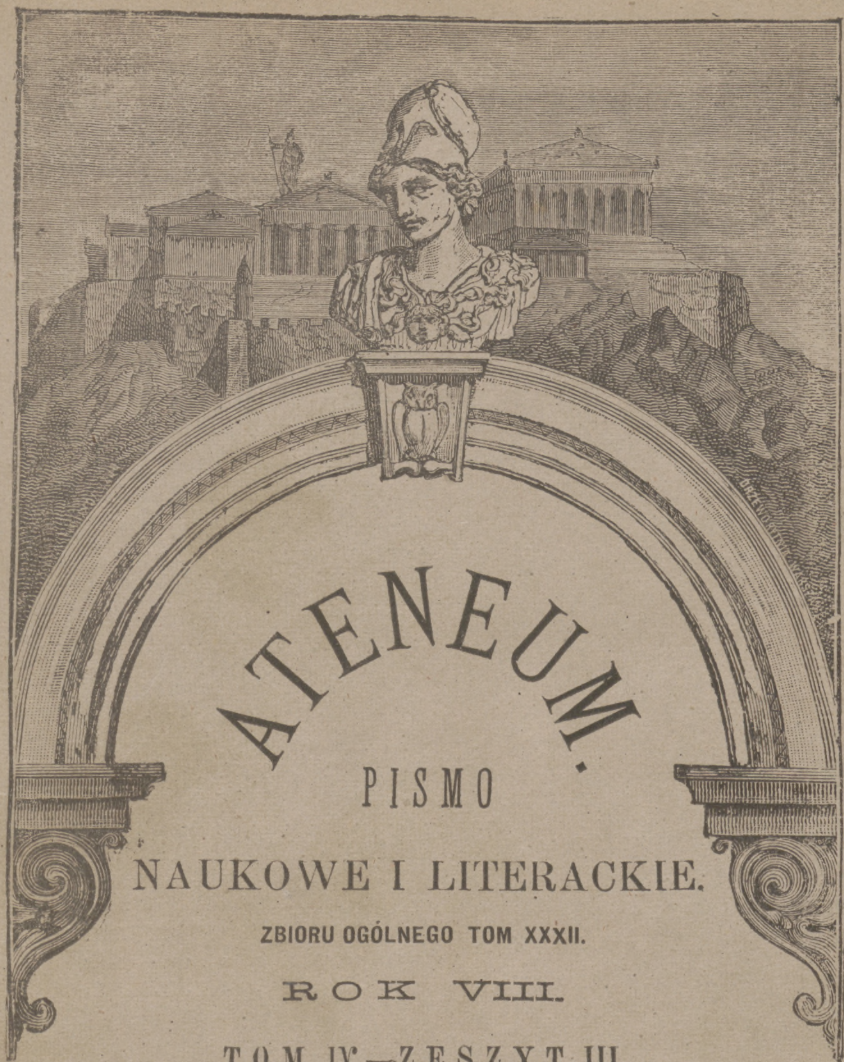


# ATENEUM.

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXII.

ROK VIII.

TOM IV.—ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1883.

# SPIS RZECZY.



---

*Druk ukończono 3 Grudnia 1883 r.*

# SPÓŁKI HANDLOWE NASZYCH ROLNIKÓW.

Od roku już zaczęły obiegać pogłoski, że tu i ówdzie ziemianie nasi radzą nad zawiązywaniem spółek handlowych, w celu wynalezienia dla siebie lepszych warunków sprzedaży zboża a zarazem ułatwienia sobie kredytu niezbędnego przy prowadzeniu gospodarstwa. Narady, które doprowadziły już do zawiązania spółek w Hrubieszowskiém i Pułtuskiem, obecnie w porze jesiennéj rozpoczynają się w innych okolicach i prawdopodobnie powstawać będą nowe spółki.

Zaraz-że z powodu pierwszych projektów odezwało się wprasie kilka głosów ostrzegających ziemian o niebezpieczeństwie operacyi handlowych przedsiębranych na większą skalę przez ludzi nie obznajomionych dostatecznie z fachem i techniką handlu, i o płonności nadziei żeby spółki handlowe mogły, przy regularném prowadzeniu interesu, dostarczyć gospodarzom kredytu na kapitał obrotowy. Niektórzy z publicystów chcieli w tych ostrzeżeniach upatrywać niechęć ku całéj robocie i domyślali się że to są głosy interesowane podjęte, a przynajmniéj natchnione, przez ludzi, którym chodzi o niewypuszczenie z rąk swoich handlu zbożowego, owego źródła wzbogacania się wielkiéj liczby faktorów i kupców. Daléj dyskusya toczyła się o kwestyach prawnych, o najlepszéj formie organizacyi spółek, przyczém wszyscy niemal zalecali spółki komandytowe, firmowe, jako mogące działać śmieléj i wyrabiać sobie kredyt z większą łatwością; przytém z powodu trudności napotykanych w urządzeniu kontroli nad działaniem spólnika firmowego, doradzono powoływanie na te stanowiska ludzi zamożnych, znanych w okolicy i cieszących się już dzisiaj zaufaniem współobywateli.

Podobno ludzie tacy nie okazywali się chętnymi do brania na siebie odpowiedzialności za prowadzenie interesów spółkowych, co

dawało powód do wyrzekań, na brak ducha obywatelskiego pomiędzy ziemianami, na ospałość i nieudolność do inicyatywy. Przypominniano sobie dawniejsze domy zleceń rolników: a w likwidacyi ich chciano widzieć dowód niezdatności ziemian do prowadzenia interesów handlowych; podczas gdy jedni nawoływali do oswobodzenia się od monopolu żydowskiego w handlu zbożowym, drudzy twierdzili że ziemianie sami sobie rady dać nie potrafią.

Niemamy powodu do podejrzewania dobréj wiary żadnego z tych głosów; ale, o ile one dochodziły do nas, dopatrzyliśmy w nich mało materyi ekonomicznéj a dużo zwykłéj w polemice przesady. Dla tego zamierzyliśmy niepuszczając się z goła w dyskusyą z kimkolwiek-bądź, rzecz całą rozpatrzyć z punktu ekonomicznego i społecznego jéj znaczenia.

A najprzód chcielibyśmy sprowadzić do właściwych rozmiarów, czyli raczéj do kolorytu realnego, dwie kursujące wśród publiczności legendy o handlu zbożowym zmonopolizowanym przez żydów, i o niezdolności ziemian.

U nas wszelki handel przeważnie prowadzą żydzi, więc w ich téż ręku głównie znajduje się handel zbożowy, leśny, mięsny, wełniany, wódczany. Żydzi, wzięci jako odrębna klasa ludzi w narodzie, górują nad chrześcianami wprawą, umiejętnością w prowadzeniu interesów handlowych, rozwijają na tém polu niepospolitą zabiegliwość i pracowitość; w skutek tego skupia się w ich ręku więcéj pieniędzy, mają więc za sobą przewagę kapitału a często i kredytu. Wiadome są wszystkim powtarzające się często i w wielu miejscach wypadki zależności ziemian gospodarzy od żydów kapitalistów; jeżeli zły stan interesów rolnika zmusza go do sprzedawania swych produktów pierwiéj nim je na sprzedaż wygotuje, do brania na nie zaliczki jak się to pospolicie nazywa, wówczas znajduje się on w zależności od kupca który mu wypłaca zaliczkę i nie zawsze może już korzystać z podnoszącéj się potém ceny zboża, kiedy przy zniżaniu się cen nieraz widzi się zmuszonym robić ustępstwo, żeby sobie napóźniéj kredyt zapewnić. Odrębne stanowisko żydów wśród narodu, które się im dostało wskutek całego toku wypadków historycznych, rozwinęło pomiędzy nimi poczucie solidarności w daleko wyższym stopniu aniżeli pomiędzy innemi warstwami społeczeństwa, nie dziwno że i z tego uczucia starają korzystać o ile mogą. Zdarza się téż nieraz że ziemianin, który nie chce żydom oddawać karczmy lub pachtu w swym folwarku, ani drobnych swych interesów za ich pośrednictwem załatwiać, musi szukać gdzieś daléj kupca na zboże, bo się do niego nikt nie zgłasza. Biegłość w prowadzeniu interesów handlowych połączona z solidarnością może téż czasami prowa-

dzić do zmowy pomiędzy żydami kupującemi zboże, w celu obniżenia ceny;—ale wszystkie takie fakta zawsze są tylko miejscowe, czasowe, cząstkowe i nie dają jeszcze prawa do twierdzenia, że żydzi mają w swym ręku monopol handlu zbożowego.

Z pojęciem monopolu łączymy zawsze wyłączność prawną lub faktyczną, służącą pewnéj osobie czy instytucyi, do prowadzenia danego interesu, wiążemy z nim nierozłącznie wyobrażenie o szkodach wynikających ztąd dla społeczeństwa i korzyściach nieprawych płynących z tego źródła dla jednego lub kilku, bo każdy monopol wyłącza spółzawodnictwo. W danym zaś wypadku spółzawodnictwo istnieje, bo nie tylko mamy pomiędzy sobą chrześcian trudniących się handlem zbożowym zarówno na mniejszą jak i na większą skalę, ale i żydzi sami spółzawodniczą pomiędzy sobą, za dowód czego może służyć sama mnogość pośredników czy faktorów uwijających się po kraju całym, i zabiegających jeden przed drugim o kupno zboża szczególnie w czasach kiedy są widoki na podnoszenie się jego ceny. Wielka ilość pośredników, którzy się wtrącają do umowy o sprzedaż nie jest zapewne dla producenta korzystną, lepiejby może sprzedał swój towar gdyby mógł czy umiał ominąć ich kilku i komunikować się bezpośrednio z kupcem hurtownym; ale narzekanie jednocześnie na zbyt wielką liczbę pośredników i na niskie ceny z powodu monopolu, będzie sprzecznością, pomięszaniem pojęć, a co najmniéj niewłaściwém używaniem wyrazów mających znaczenie ściśle określone, a przytém jątrzących, i nie przyczyniających się bynajmniéj do ustalenia harmonii w społeczeństwie.

Jeżeli jednak w umysłach ogółu ziemian tkwi, chociaż niesłusznie, pojęcie o faktycznem monopolizowaniu handlu zbożowego przez żydów, nic im nie przeszkadza do występowania z spółzawodnictwem coraz energiczniejszém. Ale wielu ludzi twierdzi, że oni nie są do tego zdolni i rokują ich przedsięwzięciom rychły upadek.

O téj nieudolności ziemian do wszelkiéj pracy zbiorowéj i do interesów handlowo-finansowych prawią ciągle zarówno radykaliści nasi jak i zachowawcy; wszakże to „Niwa“ podniosła kwestyą „upadającéj własności ziemskiéj“ i nieprzestaje dotąd nią się zajmować. A jednak nie zdaje nam się żeby własność ziemska była w upadku. Znaczna większość ziemian umie doskonale radzić sobie w trudnych warunkach eksploatacyi rolnéj, a sam przykład Towarzystwa kredytowego ziemskiego, od lat już blisko sześćdziesięciu prowadzącego swe interesa tak oględnie, a administrowanego sumiennie i umiejętnie przez samych ziemian, mógłby być dowodem, że pomiędzy nimi są ludzie zdatni do interesów innych niż gospodarstwo wiejskie. Czę-

ste przechodzenie majątków ziemskich z rąk do rąk, nie może też zdaniem naszém służyć za wskazówkę nieudolności ziemian; własność musi zmieniać właścicieli, jest to proces naturalny życia ekonomicznego, odbywający się ciągle i wszędzie, o ile go nie powstrzymują jakieś stuczne urządzenia. W kraju naszym działo się zawsze to samo, w czém powołać się możemy na uczonych jurystów, którzy pilnie studyowali dawne akta sądowe; tylko dawniéj od szlachcica majątek kupował szlachcic, pozostawały więc one wszystkie w posiadaniu stanu szlacheckiego, nikt z tego powodu nie czuł zmiany w atmosferze społecznéj, bo i wzbogacony szaraczek umiał się prędko podszyć pod karmazyna. Dzisiaj majątki przechodzą coraz częściéj w ręce ludzi nie-szlacheckiego pochodzenia ztąd obawy konserwatystów o zatracenie tradycyi, o zmiany w obyczajach ziemiańskich; obawy, u nich bardzo naturalne i łatwe do zrozumienia, ale tylko obawy—a bynajmniéj jeszcze nie fakta mogące wpływać na zubożenie kraju lub wynarodowienie. Tradycya wśród ziemian bogatszych i uboższych jest jeszcze dość silna, żeby sobie przyswoić nowo przypływające żywioły, które znowu przynosząc z sobą pierwiastek ruchliwszy, czynniejszy—mogą się tylko przyczyniać do wzrostu sił klasy właścicieli ziemskich, o ile chodzi o pielęgnowanie specyalnych jéj ekonomicznych interesow.

Niepowodzenie dawniejszych domów zleceń służy wielu ludziom za dowód niezdatności ziemian do prowadzenia interesów handlowych. Jednakże owe domy zleceń nie małe w swoim czasie wyświadczyły właścicielom ziemskim usługi. Powstały one pod wpływem silnie w owym czasie rozwiniętéj działalności towarzystwa rolniczego, wedle wskazówek p. Falkenhagen-Zaleskiego, a za inicyatywą p. Aleksandra Jackowskiego, który pierwszy dom taki w Płocku otworzył w r. 1859, za jego przykładem i radą w ciągu roku założono w królestwie siedm innych domów zleceń, kapitał zakładowy wszystkich ich razem miał wynosić 1,2 mil. r. ale nie wszystkie nawet akcye były rozkupione. Prawda, że były to czasy dla ziemian finansowo lepsze, wielu z nich nie brało zaliczek na dostawiony już produkt, a odbierali pieniądze dopiero po dokonanéj sprzedaży, ale potrzebujący kredytu dostawali zaliczki na 6% do wysokości $^3/_4$ ceny zboża—domy te miały kredyta otwarte w banku polskim i w prywatnych domach bankierskich; zasługą ich było, że zaraz-że zwróciły one uwagę ziemian na różnicę w cenach pomiędzy ziarnem czelném a poślednim, co pobudziło wszystkich w ogóle do większéj pilności i staranności w gospodarstwie; że wywołały ożywienie w interesach, ogólniejsze zainteresowanie się handlem zarówno produktów rolnych, jak i nieodbicie potrzebnych w gospodar-

stwie materyałów. Przyniosły one i korzyści uboczne, z których jedna da się łatwo na cyfrach obliczyć. Zboże kupowano w Gdańsku i Królewcu na łaszty, liczono wtedy łaszt pruski po 30 korcy warszawskich, otóż p. Jackowski pierwszy wykrył złą wiarę kupców i komisantów pruskich, obliczając dokładnie objętość łaszta, który bierze 27¼ korcy War., że zaś w r. 1868 sprzedano z królestwa zboża do Gdańska i Królewca, około 100 tysięcy łasztów, samo więc już to sprostowanie rachunku ochroniło kraj od straty przeszło miliona rubli w tym jednym roku. Dzisiaj zapomniano o tych dobrych stronach działalności domów zleceń, ale za to powtarzają się zarzuty ogólnikowe: że przyczyną upadku ich było kierownictwo nieumiejętne przez ludzi niefachowych, zbyt łatwe udzielanie kredytów, pobłażliwość dla nieakuratnych a nawet niesumiennych klientów, zajmowanie się wszelkiego rodzaju handlem i obejmowanie zbyt szerokiego zakresu interesów.

Podobne ogólniki należałoby sprawdzić i do każdego domu z osobna przystosowywać ażeby mogły służyć za wytłómaczenie konieczności likwidacyi; powtarzane zaś bez bliższego wyjaśnienia okoliczności, służą tylko do zbyt pochopnego potępienia saméj instytucyi. Chcąc mieć w tym względzie wiadomości pewniejsze zasięgaliśmy informacyi u człowieka dobrze rzeczy świadomego, który w owym czasie stał na czele domu podlaskiego, dom zaś ten prowadził interesa lat 12 i przy likwidacyi wypłacił za każdą akcyą storublową rs. 120. Otóż p. Buchowiecki ogólne niepowodzenie domów zleceń przypisuje głównie, a nawet wyłącznie, katastrofie politycznéj z przed lat dwudziestu, twierdząc, że usterki jakie się trafiały wprowadzeniu interesu, w czasach zwyczajnych, łatweby były do sprostowania i nigdyby do likwidacyi nie zmuszały. Dosyć przypomnieć sobie co się wówczas w całym kraju działo, ażeby nie dziwić się że domy handlowe, nie dawno jeszcze odkryte a prowadzące interesa wyłącznie z ziemianami, znalazły się w pozycyi najcięższéj i do wytrzymania prawie niepodobnéj. Ceny zboża w roku 1863 spadły ogromnie — w r. 1861 płacono za pszenicę czelną rs. 8 korzec za średnią rs. 5 k. 70 za żyto 3,80 lub 2,90 — w r. 1863 za pszenicę rs. 4 k. 50 za żyto rs. 1 k. 80.

W tym czasie téż ustało płacenie czynszów. Opłaty skarbowe znacznie wzrosły. W jesieni r. 1863 egzekwowano jednorazowo podatki całoroczne, niewypłacone w ratach właściwych; w lutym r. 1864 nakazano poczwórny podatek podymny pod egzekucyą wojenną, więc zboże na które pobrano zaliczki, poszło na nagłą spłatę podatków. Ludzie rzeczy świadomi obliczają, że sama akcya wojenna ówczesna kosztowała kraj w produktach i pieniądzach nie

mniéj trzydziestu milionów rubli. Dodać do tego należy, dla dokładniejszego pojęcia stanu interesów ziemian, że operacya uwłaszczenia dokonaną była przy kursie listów likwidacyjnych po 52 za sto, a cena ziemi oddanéj włościanom najwyższa oznaczona była na 450 rs. za włókę; wobec tego wszystkiego trzeba było wznosić nowe budowle dla parobków, najmować i opłacać robotnika, powiększać liczbę inwentarza żywego i martwego. Wskutek tych okoliczności nastały liczne bankructwa; w przeciągu lat siedmiu (1863—1870) w jednym powiecie bialskim zbankrutowało 14 właścicieli ziemskich, jeżeli w stosunku o połowę nawet mniejszym policzymy bankructwa w całym kraju, otrzymamy ich około 250, a każde z nich musiało się odbić najniepomyślniéj na obrotach domów zleceń. Nie można więc zwalać na nieumiejętność ziemian winy niepowodzenia owych domów, które w pierwszych latach rozwijały się bardzo pomyślnie, uledz zaś musiały pod gwałtownym działaniem burzy, któréj oprzéć się mało kto potrafił.

Jeżeli jednak, zdaniem naszym, klasa ziemiańska nie może ulegać ogólnemu zarzutowi niezdolności do prowadzenia interesów handlowych, trudniéj będzie oczyścić ją od zarzutu nieudolności do wszelkiéj pracy zbiorowéj; prawda że winę tę dzieli ona ze wszystkiemi klasami i warstwami społeczeństwa naszego, nie ciąży więc ona na niéj wyłącznie,—ale ponieważ pomiędzy ziemianami stosunkowo najwięcéj znajduje się ludzi zamożnych, że dotychczas, może i słusznie, nie chcą oni zrzec się stanowiska przodującego, więc i winę muszą przyjąć na siebie w stopniu od innych wyższym.

Od lat dwudziestu każdy z ziemian pracował nad poprawieniem własnych interesów, nie dziw więc może nawet, że każdy czując się sam słabym i podniszczonym, a widząc innych w położeniu do swego podobném, mało na pracy wspólnéj pokładał nadziei; ale też to zamykanie się w sobie, w ciasnym kółku spraw tylko własnych, doprowadziło społeczeństwo nasze, po wsiach szczególnie, jakby do rozproszkowania, do stanu, w którym organizm na składowe atomy rozpadać się już może. Wszyscy czujemy, że tak daléj żyć nie można, że kiedy już każdy na swym gruncie stanął mocniéj, czas aby jedni drugim ręce podawali i grupowali się około wspólnego interesu, który siłami zbiorowemi lepiéj prowadzić będzie można. Od lat kilkunastu wszyscy mówią o pracy organicznéj; doprowadziła już ona do tego, że wiele oddzielnych członków organizmu t. j. gospodarstw prywatnych może stać o własnych siłach, pora więc zrobić na tém polu parę kroków naprzód i o ile można rozpoznać pracę zbiorową.

Powstała myśl szczęśliwa porządkowania stosunków handlu zbożowego, który dla ziemian jest interesem najżywotniejszym, bo głównym źródłem ich dochodów; myśl ta rozwija się pomyślnie, bo zaczynają zawiązywać się spółki, które będą mogły oddziaływać skutecznie na uregulowanie cen i torowanie nowych dróg do zbytu produktów gospodarstwa. Nie podzielamy zdania tych, którzy narzekają, że dotychczas mamy tylko dwie spółki; owszem zdaje się to nam dobrym symptomatem, że się te rzeczy robią powolnie, nie jako wynik propagandy zachęcającéj do poświęceń w imię dobra ogólnego, ale jako dojrzały owoc rozwagi, że tak lepiéj i korzystniéj będzie. Nie moglibyśmy wierzyć w powodzenie interesu handlowego rozpoczętego pod hasłem ofiary dla pożytku publicznego; kiedy tymczasem interes podjęty siłami wspólnemi, w celach czysto-finansowych nawet, pomimo woli i wiedzy ludzi rozpoczynających go, może na drodze ubocznéj przynieść korzyści ogólne, choćby dla tego, że przy pracy wspólnéj ludzie nauczą się lepiéj siebie poznawać, dokładniéj oceniać nawzajem wartość swéj czynności, i wyżéj szacować ową pomoc, którą jeden drugiemu podaje przy kombinowaniu się sił kilku osób. A to są właśnie pierwsze zawiązki ściślejszych stosunków społecznych, żywioły pierwiastkowe z których się składa i wyrasta żywy organizm społeczeństwa.

Do uregulowania handlu zbożowego, więcéj może niż spółki handlowe, przyczynićby się mogło lepsze urządzenie dróg komunikacyjnych i dowozowych, pobudowanie magazynów składowych, przynajmniéj w ważniejszych punktach przy rzekach spławnych i kolejach, ale wykonanie tych rzeczy, bodaj przewyższa na dzisiaj możność ziemian naszych, bo pojedyńczo żaden z nich brać się do tego nie jest w stanie, do działania zbiorowego nie mają środków i sposobów ani możności uzyskania koncesyi. Nie mogąc więc sięgać daleko, trzeba działać bliżéj siebie, próbować swych sił w sprawach łatwiejszych. Niewątpliwie ulepszeniem i uproszczeniem handlu zbożowego byłoby zbliżenie pomiędzy rolnikami a wielkiemi domami handlowemi nabywającemi zboże dla sprzedawania go na zachodzie Europy; dzisiaj ziemianin chociażby na większym majątku gospodarujący nie może sam, a przynajmniéj bardzo by mu trudno było, zawiązywać stosunków handlowych z Gdańskiem czy lewcem; zły zaś stan dróg i owo odosobnienie w którym każdy na wsi żyje skazuje go zapewne na posługiwanie się pośrednictwem faktorów. Nie zdaje się to być rzeczą bardzo prostą i łatwą przebić się przez ich zgraję i samemu trafić do prawdziwego nabywcy; ale w każdym razie, trudności tu napotykane nie są tego rodzaju żeby ich przezwyciężyć niepotrafił człowiek wdrożony do pracy,

rachunku i porządnego myślenia. Tylko, praca i koszta podjęte w tym celu opłacać się mogą jedynie, przy sprzedawaniu partyj większych, chcąc też dokazać tego z dobrym skutkiem, trzeba robić to siłami zbiorowemi—ztąd projekta spółek handlowych pomiędzy ziemianami.

Chociaż ziemianie wogóle nie są wykształceni w fachu handlowym, jednakże chcą brać się do handlu, szukając sposobu zwiększenia swych dochodów; nauka zapewne bez strat jakichś z początku się nie obejdzie, ale ażeby straty zredukować do mniejszych rozmiarów i wiadomości potrzebnych nabyć prędzéj, należałoby rozpoczynać interesa na skalę niezbyt wielką i dopiero w miarę nabywania wprawy, doświadczenia i umiejętności rozszerzać takowe.

Handel ma swoje trudności, a nawet tajemnice, owe *arcana*, które się przechowują tradycyjnie, a które rozwikłać i zbadać daleko łatwiéj temu, kto się zrodził i wyrósł pośród ludzi zajmujących się handlem, aniżeli człowiekowi świeżo na te pole występującemu, a tém bardziéj szlachcicowi, który ze krwi i tradycyi prędzéj do szafowania pieniędzmi nabył zdolności, aniżeli do ścisłego ich obliczania i któremu trudno dotąd ciągle mieć na pamięci, że z groszy składają się złotówki, ze złotówek dukaty i że kredyt jest wielką siłą i źródłem bogactwa, nie dla tego że można pożyczonych pieniędzy użyć na życie wygodniejsze, ale że je obrócić można na wytwarzanie nowych wartości. Ciężka szkoła którą przeszli ziemianie w ciągu ostatnich lat dwudziestu, przygotowała ich zapewne do zwalczenia tych trudności, a praca przemyśliwania nad sposobami wydobycia się z biedy, oswoiła ich z temi elementarnemi pojęciami wszelkiéj ekonomii zarówno politycznéj jak i domowéj.

Kupiec z rodu i powołania w dzieciństwie już uczy się szanować pieniądze, kombinować szanse zysków i strat; ale główną sprężyną jego powodzenia, tajemnicą handlu, jest praca myśli skierowana ku temu z jakiego obrotu możnaby wyciągnąć korzyść największą, praca ta posiłkuje się znajomością mniéj więcéj dokładną kilku technicznych warunków rzemiosła. Kto więc myśléć umie i może, a pracę myślenia zechce zwrócić w tym kierunku, temu nie trudno będzie rozpoznać technikę handlu i oswoić się z nią; dlaczegóżby więc pomiędzy ziemianami nie znaleźli się ludzie do takiéj roboty zdolni i zdatni.

Spółka ziemian handlujących zbożem, przez samychże wspólników produkowanym, nie będzie szukała towaru do nabycia, a tylko miejsca korzystnego zbytu; na towarze znać się muszą spólnicy bo go sami przecież i dotąd wyrabiali, pozostaną więc na-

branie wprawy w korespondencyi handlowéj, w decydowaniu się prędkim co do nadarzających się interesów i pisaniu we właściwym czasie listów, wyrażających krótko i zwięźle ale jasno i wyraźnie czego się od kogoś żąda i co się komu ofiaruje; bliższa znajomość arytmetyki handlowéj t. j. stosunku miar, wag i monet krajowych i zagranicznych, przytém buchhalterya czyli zapisywanie każdego obrotu we właściwym czasie w odpowiedni rachunek; a po nad tém wszystkiem ścisłe spełnianie własnych zobowiązań i wytrwałe wymaganie tegoż samego od klientów.

Jeżeli sprawę spółek ziemiańskich obierzemy z otaczającego ją nimbu dobra ogółu, pożytku publicznego i tym podobnych ozdób, do strojenia się w które spółki nabiorą prawa wtedy dopiero kiedy rzeczywiste wykażą zasługi, — rzecz cała po prostu tak się nam przedstawi: kilkunastu a chociażby kilkudziesięciu gospodarzy, z których każdy dotychczas sam sprzedawał pewną ilość zboża wyprodukowanego na swéj roli, obecnie chcą sprzedaży téj próbować zbiorowo w jednéj większéj partyi; w tym celu jednemu lub kilku z pomiędzy siebie poruczają prowadzenie interesu, składają potrzebne pieniądze na urządzenie, wyznaczają wynagrodzenie dla tego kto się podjął roboty i zyskiem osiągniętym dzielą się stosunkowo do ilości dostarczonego przez każdego produktu. Łączy się z tém chęć urządzenia spółek w ten sposób, iżby one same posiadając kapitał większy, mogły liczyć na kredyt w Warszawie, i używać go na wypłacanie ziemianom zaliczek na zboże; dla tego wszyscy chcą spółek komandytowych, a trudności w wynalezieniu spólników firmowych w wielu miejscach stoją na przeszkodzie rozpoczynaniu interesu. Nam się zdaje, że oddzielenie spraw kredytu od handlu zbożem wyszłoby na lepsze ziemianom, i każdy z tych celów łatwiejby mógł być osiągniętym jeżeliby ich nie chciano łączyć w jedném zadaniu. W każdym razie jeżeli nie ma firmowego, należałoby spróbować obejść się bez niego, wyrzec się na czas jakiś spółki komandytowéj a poprzestać na udziałowéj.

Tu formy prawne mniéj skomplikowane, interes mniéj obszerny a zatém i rzecz do zrobienia łatwiejsza. Nie odpowie to może zrazu nadziejom publiki, nie zadowolni na dzisiaj ambicyi ziemiańskiéj, ale bodaj pewniéj i bezpieczniéj do celu doprowadzi. Mamy już zawiązane: spółkę udziałową w Hrubieszowie i komandytową w Pułtusku, praktyka ostatecznie wykaże, która okolica lepiéj wyjdzie na swém urządzeniu. Sądząc jednakże o rzeczy ze stanowiska naukowego, zdawałoby się że rozwój interesu musi przechodzić stadya od niższych do wyższych, przy silniejszém dopiero rozwijaniu się może on i musi przybierać formy więcéj złożone, dla sku-

tecznego funkcyonowania których niezbędne są wykształcone już organa czyli części składowe, te zaś daleko prędzéj i łatwiéj dochodzą do siły i udoskonalenia przy czynności prostszéj. Jeżeli interesa spółki udziałowéj dobrze pójdą i będą się rozszerzać, może ona w każdéj chwili z łatwością przerobić swój mechanizm wewnętrzny i przerodzić się na komandytową, a téj ostatniéj, jeżeli siły starczą nic nie przeszkodzi przejść w spółkę akcyjną. W odwrotnym zaś kierunku iść przykro i przytém trudno bez strat się obejść.

Zapewne że spółka udziałowa na mniejszą skalę prowadzić handel będzie mogła, ale za to kilkanaście osób zwiąże interesem wspólnym, do którego każdy z nich zbliska dotykać się będzie musiał, ludzie ci zmuszeni zajmować się czynnie sprawą własną, najprzód poznają się bliżéj, a w toku pracy i działania zaraz wykażą się zdolności większe tego lubowego ze stowarzyszonych, zdolności, które dotychczas dla braku odpowiedniego pola rozwinąć się nie mogły i nikomu nie były znane; po kilku więc latach znajdzie się w sposób najnaturalniejszy firmowy kierownik dla spółki komandytowéj. Nie chciejmy robić koniecznie rzeczy większych prędko, nie spieszmy się, jakby nam czasu brakło; ufajmy raczéj w trwałość naszego stanowiska i róbmy powoli rzeczy trwałe. Duch poświęcenia obywatelskiego nie koniecznie na zawołanie w ludziach się budzi, ale tam gdzie się oni wdrożą do działania wspólnego, gdzie jedni drugich poznają przy robocie, kiedy się przeświadczać zaczną o korzyści wypływającéj dla wszystkich ze wspierania się wzajemnego w interesach, tam i wtedy duch obywatelski zdrowo i silnie rozrastać się może a nawet musi.

Kupcy i przemysłowcy wyprzedzili ziemian na téj drodze; cukrownie, kopalnie, fabryki maszyn dzisiaj należą już do spółek akcyjnych, ale powstawały one wszystkie niemal za inicyatywą osób pojedyńczych, które dobierały sobie spólników najprzód udziałowych, potém komandytowych. Między ziemianami rzeczy tak samo zapewne dziać się będą musiały, bez początkowania energicznego kilku osób zainteresowanych i lepiéj rozumiejących położenie nic trwałego skleić się nie da; ale inicyatywa osobista, zrazu przynajmniéj, przy danych warunkach życia na wsi, nie może obejmować kół większych, sferą jéj działalności muszą być pewne okolice nie bardzo rozległe nawet, o ile sięgają stosunki sąsiedzkie i interesowe. Lepiéj więc w tym razie wyrzec się propagandy sztucznéj, rozdmuchiwania kwestyi w dziennikach i podnoszenia jéj do znaczenia—poświęcenia się dla dobra ogółu. Interes ziemian w każdéj okolicy jest dla nich rzeczą bardzo ważną, a więc stanowi

cząstkę interesu ogólnego; zawsze jednak będzie przesadném twierdzenie, że dobra cena wzięta za zboże w którymś powiecie jest dobrem ogółu i że dla dopięcia tego celu ktoś ma obowiązek poświęcać się; pod tym hasłem nie tak łatwo kogoś do poświęcenia się namówić. Prościéj byłoby a nadewszystko zgodniéj z prawdą mówić, że w Hrubieszowskim i Pułtuskim znaleźli się ludzie, którzy probują czy się im nieuda w kilkunastu razem zrobić interesu lepszego aniżeli każdemu pojedyńczo. Próby takie, im mniéj ryzykowne tém łatwiéj się udają i w każdym niemal powiecie mogłaby już dziś powstać spółka udziałowa do sprzedaży produktów rolnych; tylko nie powinnaby marzyć o objęciu odrazu w swe ręce handlu zbożowego całéj gubernii. Jeżeli kilkunastu ziemian w pierwszym roku dobrze wyjdzie na stowarzyszeniu, niewątpliwie na rok drugi znajdą drugie tyle wspólników; po latach zaś kilku spółki powiatowe będą już mogły zlewać się z sobą i przechodzić na komandytowe; wtedy nie będzie trudności z wyszukiwaniem firmowych, bo będą już wszystkim znani ci, którzy wykazali zdolności większe do prowadzenia interesu, oni sami usuwać się od tego stanowiska nie zechcą, bo nabędą przeświadczenia, że praca ich może być dla współobywateli użyteczną a dla nich samych korzystną. Rzeczy zaś rozpoczynane na większą skalę pod sztucznym wpływem propagandy, mogą i niemal muszą spotykać się z zawodami, które zaraz-że wszystkich odstręczą, zamiast wywołać ożywienie w interesach, zamiast nadać im kierunek korzystny, narażać mogą na straty, które poprowadzą do zniechęcenia, opuszczenia rąk i zamykania się na nowo w kółku spraw i interesów ściśle osobistych; z wiadomém przytém narzekaniem: „że się téż to u nas nic zrobić nie da.“

Oprócz handlu zbożem wysuwa się naprzód sprawa kredytu dla ziemian i bodaj czy nie pierwsze w naradach zajmuje miejsce; przynajmniéj ludzie kompetentni twierdzą, że potrzeba kredytu jest daleko naglejsza i że dostawanie zaliczek na zboże za procent umiarkowany jest głównem celem dla którego spółki mają być zawiązywane.

Cokolwiekbądź mówią i piszą ludzie narzekający na banki warszawskie, że one wyłącznie służą żydom, że dbają tylko o posiłkowanie handlu, trochę przemysłu, a ziemian krzywdzą po prostu odmawiając im kredytu, nie zdaje nam się aby te i tym podobne skargi były słusznemi. Gdyby banki miały kapitały swobodne, pewnoby same szukały dla nich lokaty, jeżeli zaś kupiec lub przemysłowiec osiadły w Warszawie, z wekslem swoim do zdyskontowania prędzéj niż oddalony ziemianin do takiego banku zgłosić się może, nie dziwna że jego weksel będzie przyjętym i rozporządzalny

kapitał banku przejdzie w ręce kupieckie, pierwiej niż wieśniak zdąży ze swoim zapotrzebowaniem. Ale też właściciel ziemski zamieszkały w Augustowskiém lub Krakowskiém nie pojedzie do Warszawy składać w banku swoich kilkuset czy tysiąca rubli, chociaż one mu w obecnéj chwili niepotrzebne, boby musiał potém po odbiór ich znowu tam jeździć; nie zrobi tego nawet żyd kupiec z miasteczka daléj od Warszawy położonego, tém bardziéj włościanin niepomyśli o lokowaniu w banku uciułanych kilkudziesięciu rubelków, kupcy zaś i przemysłowcy miejscowi codziennie niemal odnoszą do kas bankowych to co się u nich z gotówki znajduje a ten ich obyczaj jest głównym źródłem z którego zasilają się kasy bankowe.

Wiadomo to przecież powszechnie, że banki i bankierowie, jeżeliby wypożyczali swoje tylko kapitały, usługi ich bardzoby mało być mogły skuteczne, rzemiosło ich zależy na braniu od jednych a dawaniu drugim—o tyle więc tylko mogą szafować kredytem o ile do nich znoszą gotówkę;—biorąc pieniądze cudze muszą zawsze być gotowi do zwrócenia ich właścicielowi, dla tego i termina dawanych pożyczek muszą umiejętnie stosować do czasu na jaki przyjmują lokaty. Dla tych przyczyn ogólnych trudno spodziewać się, żeby spółki firmowe nawet, potrzebując kredytu na termina dłuższe, mogły znaleść go dla siebie w bankach warszawskich w ilości dostatecznéj do zaspokojenia potrzeb właścicieli ziemskich.

Pan Ludwik Górski oblicza kredyt potrzebny dla gospodarzy na kapitał obrotowy na sumę 20 mil. rs. w ciągu roku, i przypuszcza, że obecnie już instytucye bankowe udzielają takiego kredytu na 9 mil. rs.; w takim razie trzebaby jeszcze znaleść źródła na kredytowanie około 11 mil. rs. rocznie, a przyjmując na weksle dla rolników termin 6-io miesięczny trzebaby mieć do wypożyczenia około 5 m. r. Wiemy napewno że tych pieniędzy nie przywiozą nam kapitaliści zagraniczni, dla których interes taki bodaj najmniéj powabnym będzie; trudno téż spodziewać się ażeby ministeryum finansów dostarczyło taką sumę dla kraju naszego, musimy więc jéj szukać sami u siebie; jeżeli zaś banki warszawskie, ani filie prowincyonalne banku polskiego, nie wynalazły jéj dotąd, potrzeba sieci zapuścić głębiéj, szukać pilniéj, wejść w bliższe stosunki z ludźmi, którzy posiadają chociażby niewielkie sumy pieniędzy, pozyskać ich zaufanie i pieniądze ich starać się obrócić na pożytek gospodarstwa wiejskiego.

Dotykamy tutaj samego gruntu najzawilszych kwestyj ekonomicznych, nieustalonéj zgoła dotąd teoryi tworzenia się kapitału i bardzo zawiłych zadań organizacyi kredytu. Nie możemy naturalnie puszczać się na dyskusyą teoretyczną, którąby zresztą w da-

nym razie nie wielki pożytek przyniosła, musimy kwestyą brać ze strony jéj praktycznéj. Jakiekolwiek być może źródło wytwarzania wartości i gromadzenia się kapitału, wiemy niewątpliwie, że w każdym społeczeństwie i na każdym jego szczeblu są ludzie, którzy dochodami swemi szafują oględnie, wydatek wtedy tylko robią kiedy on staje się niezbędnym, i zawsze mają w swym ręku zapas pieniędzy mniejszy lub większy, stosownie do środków jakiemi rozporządzają. Ekonomicznie rzeczy biorąc, tacy ludzie spełniają w społeczeństwie funkcye organów wyrabiających soki żywotne, im więcéj w którym kraju ich się znajdzie, tém prędzéj kraj się wzbogaci. Organizacya kredytu zależy na tém, ażeby pomiędzy témi organami skupiającemi w sobie jakby krew arteryalną, życionośną, a innemi spełniającemi funkcye czynne wytwarzania wartości, przeprowadzić naczynia łączące, urządzić stosunek stały, dla obu stron korzystny, tak iżby cenna materya życia gospodarskiego mogła się gromadzić w tych naczyniach pośrednich, stamtąd zaś w postaci kapitału wypożyczonego trafiała łatwo do gospodarzy, w których ręku przekształcałaby się już w nową a zwiększoną wartość produktów rolnych. W ten sposób zapobiedz można martwemu gromadzeniu się pieniędzy w rozmaitych skrytkach niekoniecznie bezpiecznych i w pewnym stopniu przynajmniéj utrudnić dostawanie się pieniędzy do rąk ludzi, którzy dła celów egoistycznych zysku nieprawego, szafują nimi dzisiaj z krzywdą rzeczywistych wytworców wartości.

Chodziłoby o wyświetlenie kwestyi: czy w kraju naszym po wsiach, rzeczywiście znajduje się dosyć ludzi przezornych i oszczędnych, którzy dzisiaj już, oprócz sum do kas banków rozmaitych składanych, znajdą jeszcze w swych zapasach owe około 5 mil. rs.; ponieważ jednak rachunku takiego nikt bezwątpienia przeprowadzić nie potrafi, a rezonowanie w téj materyi nie ma na czém się oprzéć, więc go zaniechać musimy; twierdząc natomiast, iż nigdy się o tém nie dowiemy póki nie zaczniemy urządzać stosunków kredytowych.

Organizacya kredytu z góry, wedle ułożonego szematu, teoretycznie jest zapewne możliwa, ale wymaga ona ażeby się jéj przeprowadzeniu poświęcił człowiek, którego wpływy i stosunki na cały kraj sięgają, i któryby miał możność i władzę rozporządzania się na przestrzeni kraju całego, w takim razie nawet jeszcze natrafi on w praktyce na mnóstwo trudności i szkopułów. Inny jest sposób organizowania się kredytu z dołu, wytwarzania samodzielnego organów jego miejscowych, drobnych, ale żywotnych, któreby mogły działać w obrębie niekoniecznie powiatu nawet, a tylko parafii, lecz które zato mogłyby wejść w stosunki z każdym niemal człowiekiem

prowadzącym chociażby najmniejszy ale samoistny interes albo gospodarstwo. Tutaj potrzeba tylko człowieka prawego, biegłego w arytmetyce, rozumiejącego znaczenie terminu w każdéj umowie, a prowadzącego własne interesa o tyle oględnie i rozważnie iżby mu sąsiedzi wierzyć mogli, że zaufania ich nie nadużyje.

Znaną jest u nas instytucya kas zwanych wkładowo-zaliczkowemi, one najlepiéjby mogły odpowiedziéć powyższemu założeniu; otwieranie ich nie przedstawi żadnych szczególnych trudności, manipulacya bardzo prosta, nie trudno byłoby oswoić z niemi zarówno właścicieli większych jak i mniejszych, bo ludność cała prędko zrozumie korzyści płynące z nietrzymania pieniędzy w domu, jeżeli jéj przy przechowaniu ich bezpieczném jeszcze pewien procent będzie wypłacany. Nie wiemy dla czego dotychczas publiczność nasza traktuje te kasy z dziwną obojętnością, przypisują im znaczenie niemal filantropijne i uważają za jeden z drobnych środków ratowania ludzi niezamożnych w kłopotliwéj pozycyi, czynią one zadość dotąd tylko potrzebom kredytu na spożycie, bo tylko urzędnicy rozmaitych instytucyj zakładają takie kasy pomiędzy sobą. Jeżeliby jednak z biur zamkniętych przeniesiono je na wolne powietrze, szczególniéj wiejskie, mogłyby one rozrastać się na nim okazale, bo właśnie służyłyby do skupiania w sobie wszystkich drobnych sum, chowanych dotychczas w biurku dzierżawcy, za kominem u zagrodowego szlachcica, lub w garnku zakopanym w stodole u włościanina, mogłyby otwierać kredyt na weksle czy na rachunki bieżące wszystkim którzyby kredytu potrzebowali na cele produkcyjne, na opłatę robotnika, kupno bydła czy narzędzi rolniczych. Takiego rodzaju instytucye kredytowe mieli zapewne na myśli pp. L. Górski i J. Jeziorański zalecając urządzanie banków w rodzaju szkockich. Zrobiono im zarzut że banki szkockie mają prawo emisii biletów, my zaś takiego prawa mieć nie możemy; ale emisya biletów, chociaż niezmiernie ułatwiająca prowadzenie interesu, nie jest bynajmniéj warunkiem jego niezbędnym. Wszak u nas nikt, nawet bank państwa w Petersburgu, nie ma prawa emitowania biletów, służy ono wyłącznie rządowi; nieprzeszkadza to bynajmniéj robieniu interesów kredytowych na wielką skalę, jakżeby mogło stanąć na zawadzie prowadzeniu interesu drobnego. Większą daleko przeszkodą do należytego rozwinięcia czynności takich banków będzie to, że w Szkocyi podobno nie ma prawie pełnoletniego mężczyzny któryby nie umiał czytać i pisać, u nas zaś takich jest ogromna większość. Ale i w Szkocyi był czas kiedy nie wszyscy czytać umieli i kiedy banki wiejskie nie istniały nawet; co się powiodło w górach szkockich, może się udać i na naszych polach, byleby ludzie robić to

chcieli, kto wie—z czasem może i prawo emisyi banki takie uzyskać będą mogły, muszą jednak pierwéj wejść w życie i złożyć dowody swych sił żywotnych.

Urządzenie biur kredytowych na małą skalę tém łatwiejszém się okaże, że one już dzisiaj istnieją, tylko bez firmy, ksiąg i rachunków bieżących, operacye swoje odbywają przy drzwiach szczelnie zamkniętych i nie lubią rozgłosu. W każdym bodaj miasteczku jest taki Rotszyld parafialny, który udziela kredyta ale za zbyt wysokie procenta. Skądże on bierze pieniądze?—pewno nie od krezusów warszawskich, którzy tutaj na miejscu takiego samego rodzaju interesa prowadzą i nie mieliby pieniędzy zbywających do wysyłania na wieś; nie, on bierze drobne sumki tam gdzie je znajduje, sam płaci za nie procenta a wypożycza na znacznie wyższe i w ten sposób się wzbogaca. Kasa wkładowo-zaliczkowa musiałaby z takiemi bankierami spółzawodniczyć, co na początek szczególnie mogłoby przedstawiać trudności do zwalczenia; ale jeżeli spółzawodnictwa podejmą ludzie czynni i zabiegliwi, którzy sprawę uregulowania stosunków kredytowych w swéj okolicy wezmą gorąco do serca, a wystąpią w imieniu instytucyi, która interesa swe prowadzi publicznie i z rachunków nie robi tajemnicy, owszem ogłasza je, nie widzimy dla czego nie mieliby w wielu wypadkach zwalczyć swych przeciwników; szczególnie w tych miejscowościach, w których narzekania na zdzierstwo i oszustwo okazałyby się prawdziwemi.

Myśli nasze o handlu zbożowém i o urządzeniu kredytu różnią się znacznie od podawanych projektów, a szczególnie może od chęci i pragnień wielu ziemian, którzyby woleli, żeby im ktoś urządził biuro komisowe i sprzedawał ich zboże za dobrą cenę—wydając naprzód zaliczki o ile można największe na jaknajniższy procent. Jeżeliby w sprawach ekonomicznych i finansowych dobre chęci i szczere życzenia były siłą skuteczną, życzyłbym im najszczerzéj znalezienia takich ludzi; ale skoro ich nie ma, trzeba się bez nich obchodzić. Że zaś bieda ciśnie, trzeba radzić samym sobie jak można i robić to czego własnemi siłami dokazać nie trudno. Spółka komandytowa piękniéj i okazaléj wygląda niż spółka udziałowa, lub kantor komisowy sprzedaży zboża; towarzystwo wzajemnego kredytu lepiéj brzmi niż kasa wkładowo-zaliczkowa; ale wedle stawu budować groblę musi każdy dobry gospodarz a nawet inżenier. Drobne przedsiębiorstwa mają zawsze przed sobą przyszłość otwartą, możność a nawet szanse pomyślne rozszerzania swoich obrotów, bo mniéj kosztują nakładu, mniejszéj wymagają biegłości. Uwodzą nas często błyszczące pozory i rozgłos powodzenia przedsiębierstw olbrzymich, uważamy za pewnik ekonomiczny, że dzisiaj wszystko

się lepiéj udaje na wielką skalę i kapitał wielki zawsze odniesie zwycięstwo nad małym. Ale spółki ziemiańskie handlowe, lub kasy wkładowo-zaliczkowe nie potrzebują walczyć z kapitałem wielkim, owszem one skupią w jedno ognisko kilkanaście lub kilkadziesiąt interesów małych i przez to właśnie stanąć mogą ekonomicznie na szczeblu wyższym; chodzi jedynie o to, żeby zacząć od skupienia tego co da się zgromadzić najłatwiéj, nie sięgać zbyt daleko a tam tylko dokąd dojść siły pozwalają; nie gardzić formą prostą i dla niepewnych szans kredytu większego, nie narażać całości na ustawiczne chromanie. Póki ziemianie nasi nie przebędą szkoły obrotów handlowych na mniejszą skalę, nie powiniby puszczać się na żadne większe interesa. Grupowanie się indywiduów w kółka, łączenie się kółek w imię interesu wszystkim wspólnego, to droga naturalna kształcenia się prawidłowych stosunków społecznych; oby téż pod tym hasłem toczyły się daléj narady ziemian a prędko wykwitać z nich zaczną pierwsze uczynki i owoc zdrowy a użyteczny przyniosą.

*A. Oskierka.*

---

# GWIAZDA PRZEWODNIA

OBRAZ NA TLE ŻYCIA WSCHODNIEGO.

X.

Na Kurban-bajram jak zwyczaj nakazuje, sułtan dostał w upominku od narodu niewolnicę, a rzeczywiście ofiarowywaną przez jakiegoś potrzebującego łaski monarszéj dygnitarza prawowiernego. Opowiadano sobie na ucho cuda o darowanéj dziewicy, miała ona być taką jakiéj jeszcze nie oglądały nowe ściany Dołma-Bahcze. Abdul-Medżyd był nią wielce zajęty, kazał żeby wystąpiła przed całym haremem, poczém miała być zaciągniętą na listę małżonek rzeczywistych. Robiono w tym celu ogromne przygotowania, kosztujące grube sumy państwo; bo nawet tego rodzaju ciężary, w świątobliwych rządach kalifów-padyszachów, spadają na karki wiernopoddanych.

Występ miał się w ogrodzie haremowym odbyć, robiono w nim mnóstwo poprawek i dodatków zbytkownych. Ogrodnicy, próżnujący zwykle, mieli obecnie roboty po uszy; nie wiedzieli za co się brać. Bartosz pracował za wszystkich; starszy ogrodnik, wedle reguły powszechnéj, wkładał na niego jako na najpracowitszego, coraz nowe roboty. Poruczył mu najtrudniejsze, nie bez tego jednak by nie odrywał i do mniéj ważnych, co naturalnie sprowadziło w wyniku, że poczciwy Dziewoń upadał ze znużenia i bezsenności. W wigilią uroczystości calutką noc pracował, mało tego, ostatnie ubieranie żywemi kwiatami, przed samą zabawą, zwalono na niego. Podlewał, zawieszał, ustawiał to jedno to drugie bez wytchnienia. Pozostawało ostatnie pokropienie, które miało nastąpić przed samém wkroczeniem haremu do ogrodu. Miał kwadransik czasu do odpoczynku, usiadł na ławce w dalszéj altanie, obcierając uznojone czoło. Lecz ani się obejrzał jak sen kamienny owładnął nim, tak,

że go można było bić, kłóć, smalić jak zahypnotyzowanego lub śpiącego żołnierza na wojnie, a nie dałby najmniejszych oznak życia.

Spokój błogosławionych zapanował do koła uśpionego. Resztki rozpalonych promieni słonecznych oświecały wspaniałe cyprysy, palmy, oleandry, mirty, drzewa malwowe, hortensye, pomarańcze, cytryny. Fontanny brzęczały jednotonnie padając w marmurowe zbiorniki. Śliczna mozaika ścieżek brukowanych kamykami morskiemi spoczywała razem z nim oczekując cudownych mieszkanek zaklętego niby pałacu. Po rabatach, zamiast szlaków, łyskał wspaniale złoty i srebrny piasek mikowy, a kwiaty pachnące wydawały na dobranoc woń spotęgowaną. Kilka papug złoto-zielonych, białych i czerwonych skrzeczało od czasu do czsau leniwie, nie naruszając jednak ciszy, panującéj do koła jakby w świątyni.

Sen coraz twardszy ujmował w swe kamienne objęcia znużonego ogrodnika.

Majestatyczna powaga rezydencyi człowieka-boga, monarchy, zawisła nad osamotnionym przybytkiem rozkoszy. Naśladowanie raju, okupione ceną krwi i potu ludzkiego, dumnie i ze wzgardą odpychało pospolite życie ogółu. Zbytek podniesiony do idealnéj potęgi miał tu niby podnieść wartość jednostki ludzkiéj...

Bartek spał snem kamiennym, rozkosz niewysłowiona przykuwała go do twardéj deski — duch jego zapomniał całkiem o ziemi....

Od portyku marmurowego, kapiącego ornamentyką, złotem i bronzem przeładowaną, rozwarły się podwoje. Dwóch czarnych eunuchów przy kordach szybko obeszło patrolując ogród, przyczém znalazłszy furtkę niezamkniętą, zakląwszy, zatrzasnęli ją na klucz. Zaledwo powrócili na ganek wysypał się rój ślicznych kobiet, jedna ładniejsza od drugiéj, kapiących od złota i brylantów, świecących jaskrawemi strojami jak stado kolibrów i motyli o tęczowych barwach. Bukiet istny z żywych kwiatów, chór rusałek, grono towarzyszek zaklętéj królewny dążyło gwarliwie do wspaniałéj altany z tronem, usłanéj najdroższemi dywanami i niskiemi sofami lamą powleczonemi. Stanęły półkolem i w milczeniu witały ukłonami od kolan trzy najpiękniejsze towarzyszki, prawowite „hanymy“, i nie siadały, dopóki one nie zajęły miejsca najbliżéj tronu. Ostatnią jednak była Nedżibe z Naziką, witająca wszystkie z czułem wylaniem siostry i swobodą prawdziwéj pani téj cudownéj ustroni.

Woń perfum, szelest jedwabiów, blask klejnotów zmięszany z połyskiem wzroku; róże ust i rumieńce jagód alabastrowych, marmurowych, brązowych; faliste kędziory grające tęczami drogich kamieni i pereł — wszystko to owiane urokiem wdzięku i młodości, przedstawiało istny ogród kwiatów żyjących. Ruchami, głosem

i ułkadem przypominały stadko ptaków Wenery, obcujące i spoglądające jedne na drugie z rozkoszą. Wykrzykników jednak lub śmiechów głośnych nie słychać było — umiarkowanie etykietalne, wystawa przepychu dworskiego, zastępowały szczerość wylewów szczęścia domowego. Bystrzejsze oko wnet by odkryło pod tym uroczym błyskotliwym światem, inny, prostaczy, znudzony, poruszany chuciami sprośnemi, zabobonami, najniższém służalstwem, baraniem nawyknieniem i resztą cech samiczego raju. . .

Ukryta na galeryach muzyka przygrywała w minorowym tonie jakąś aryetkę włoską.

Harem sułtański w całym komplecie oczekiwał na przybycie swego pana-małżonka.

Drzwi od innego ganku na oścież się rozwarły, dwa rzędy eunuchów wygalonowanych stanęło po obydwóch bokach. Orkiestra zagrała hymn narodowy turecki, z rytmem magla a melodyą westchnień rzewnych zakochanego parobka... Ukazał się zresztą sam sułtan. Gdy jednak zaczął schodzić na dół z zamku, nogi mu się zachwiały, aż idący z tyłu kizlar-aga musiał go podtrzymywać pod ramię. Zagadkowo uśmiechnięty, blady, chwiejnym krokiem, z przymglonemi oczyma postępował ku tronowi. Usiadłszy, strzelał wzrokiem rezolutnie; język tylko jakoś się ciężko obracał w gębie, gdy zaczął witać kobiety.

— Jak się macie, moje synogarliczki?.. Poh! poh! widzę chcecie mię czémś nadzwyczajném uraczyć... Dobrze, dobrze..

Harem przez cały czas téj patryarchalnéj przemowy stał z rękami skrzyżowanemi na brzuchu, nie śmiejąc wzroku podnieść na słońce majestatu. Nedżibe miała zaszczyt podać kawę i cybuch władcy nad władcami; ona téż przemówiła za wszystkie, wynurzając wdzięczność bezgraniczną za szczęście oglądania dostojnego monarchy.

— Słowik naszego serca zaśpiewał wdzięcznie, ujrzawszy cię królu królów na różach szczęścia... Raduje się dusza, żeś nam, twym niegodnym niewolnicom, dozwolił oglądać twe „białe oblicze“, jaśniejsze od słońca, piękne jak księżyc w pełni. „Ałłach-el-melik“ (Bóg król) oby cię uwielbił, zdrowiem i zwycięztwy obdarzył!

— Najdroższy „kątku mego serca“ piękną masz buzię, widzę jednak że i słowa u ciebie ładne wychodzą jak sznury pereł „bahreimskich“....

Sułtan przyłożył do ust filiżankę brylantową, pociągnął parę razy z fajki, następnie zrobił jakiś ruch zagadkowy w stronę kizlar-agi. Jakby z pod ziemi ukazała się malutka tacka złota misternie cyzelowana, emaliowana i sypana drogiemi kamieniami a na

niéj kieliszeczek kryształowy pełen płynu przezroczystego. Sułtan wypił, poczerwieniał i woń „mastyki“ alkoholiczna buchnęła naokoło. Skinął ręką i rozpoczęły się tańce. Co kwadransik zjawiała się tacka z kieliszeczkiem i po wypiciu go przez monarchę niknęła za tronem... Uśmiechy dobrotliwe i pochwały wychodziły z ust kalifa za każdym podskokiem lub podrygiem, przypominającym tancerską sztukę Mabilu, bajaderek indyjskich, bachantek lub swojskich „kiöczeków.“

Nastąpiły solowe popisy. Żadna jednak z tancerek nie zrobiła tak pochlebnego wrażenia jak ta, co wystąpiła obecnie w białym złotem haftowanym „kaftanie“ (sukni) i amarantowym „jeleku“ (kamizelce), z bławatkami emaliowemi i rubinami w dyademie na złocistym warkoczu. Tańczyła kołomyjkę z teorbanem, przyśpiewując w przestankach. Zgrabność i lekkość ruchów a nadewszystko głos jak srebrny dzwonek olśnił i oczarował widzów. Byla to niewolnica darowana na „kurban-bajram.“

Sułtan klasnął w dłoni, gdy skończyła; stała się rzecz niebywała.

— Prześlicznie! — wołał machnąwszy jednocześnie, aby mu wódkę podano— a jakże się twój taniec nazywa, moja córko, z jakiego kraju? — i wypił kieliszek.

— Kołomyjką zwie się, a tańczą go w moim kraju—odpowiedziała Kasia Dziewoniówna czyli niewolnica darowana na „kurban-bajram.“

— Lubię Lechli a przez ciebie, córko, upodobanie moje dla nich powiększam. Masz głos śliczny, proszę cię „ochłodo mych oczu“ zaśpiewaj coś pięknego z waszych piosnek narodowych!

Kasia zrobiła niziutki ukłon i wziąwszy kilka akkordów na teorbanie zaśpiewała „Kalinę“ Komorowskiego. Oczy miała utkwione w niebo purpurą zachodu okryte, a głos jéj istotnie płynął po rosie osiadającéj już na kwiatach. Nuta polska drżała falą trelów skowronka, dzwoniła dzwonkiem loretańskim, płakała tęsknotą łzawą pływając po bezbrzeżnéj toni harmonii rzewnéj i czystéj. Melodia polska oczyściła studząc męty namiętności życia serajowego. Słuchaczom dech zamarł w piersiach. Sułtan zapominając o kieliszku, sparł na dłoni ociężałą głowę i okiem załzawionėm spoglądał na śpiewaczkę.

Kasia skończyła, zachwyt opanował pana nad pany i jego harem wraz ze sługami. Kobiety wykrzykiwały „aman, amanym!“ śmiały się roniąc łzy, klaskały w dłoni. Sułtan poczerwieniał mocniéj, wydobył chustkę batystową ze złotą „turą“ i cisnął nią na Kasię. . .

Zamiast podnieść z ziemi ten dowód uznania monarszego, dziewczę polskie, pełne wstydu i trwogi odskoczyło wstecz od niego...

— Co ty Refije? — krzyczały najbliższe kobiety przerażone — podejm duszko, podejm natychmiast!

Wyraz dumy, wzgardy, upokorzenia—to rumieńce, to bladość, to wykrzywienie ust wywoływał na twarzyczce Kasi, stojącéj nieruchomie, z ręką z teorbanikiem wyciągniętą jakby dla odepchnięcia wstrętnego znaku miłości zbydlęconéj. Sułtan zbladł, trząsł się namiętnie, oczami strzelał gniewnie. Kobiety otoczyły Kasię.

— Podejm chustkę, Refije! — wołały — zanieś ją panu! podaj, żeby cię do swego serca przytulił...

Wszystkie te jednak wykrzykniki najmniejszego wpływu nie wywierały,—Kasia stała z niemą wzgardą jak posąg czystości obrażonéj. Posłano po Tatarkę Rukiję, wziętą za sługę Kasi do pałacu; sądzono, że nie rozumie co jéj obowiązek nakazuje.

Wśród zamętu zgorszenia, niektóre trwożliwszéj natury piękności, rozbiegły się po ogrodzie. Kilka z nich było w pobliżu altany, gdzie Bartosz odpoczywał pogrążony ciągle jeszcze w głębokim śnie.

Śniło mu się właśnie że był w rodzinnéj wiosce, wśród pól, gajów, łąk pełnych kwiecia i śpiewu ptaków. Upajały go wonie konwalij, macierzanek, lip, siana świeżego. Słyszał organy, miły pisk skrzypiec i zgrzyt basów weselnych, przeplatanych kolendami ze śpiewkami światowemi. I niebo swojskie na dwoje się rozwarło, zaśpiewały niewidoczne skowronki i ujrzał roje skrzydlate aniołków, a wśród nich Królowę korony Polskiéj. Chóry anielskie różańce piały, a niebiosa taki blask olśniewający sypnęły, że aż upadł na ziemię przepojony szczęściem i zachwytem... Wtém głos jakiś zgrzytliwy przeszył go na wskróś, okropna czarna małpa schwyciła go za gardło...

Uśpiony krzyknął, skoczył na ławkę i usłyszał koło siebie wołanie przerażonych kobiet:

— Aman! aman! człowiek cudzy...

Bartosz wybiegł z altany, wzrokiem osłupiałym spoglądał na około. Widział rój prześlicznych kobiet, pierzchających z krzykiem wstecz ku pałacowi a jednocześnie usłyszał głos Kasi:

— Nie mogę... dajcie mi pokój!...

Rzucił się biedz, kobiety krzyknęły:

— Ależ duszko, baranku, nie bój się! gdzie ty biegniesz?

Ale daléj nie mógł się ruszyć; obskoczyli go do koła rzezańcy z obnażonymi kordami klnąc i groźnie wywijając niemi nad głową, dopiero co ze snu ockniętego. Już go mieli ściąć na miejscu, wtém krzyknął jakby nie swoim głosem:

— Kasiu! Kasiuńciu! a gdzie ty?

— Zaraz tatusiu—odezwała się Kasia i zaczęła biedz, wyrwawszy się z rąk otaczających ją kobiet.

Hurmą pędziły za nią kobiety i eunusi. Kasia jak jaskółka śmignęła w sam środek rzezańców, otaczających ojca i zawisła mu na szyi z krzykiem i łkaniami.

— Tatusiu, tatusiu... tylko mogła wymówić.

— Cicho bądź, cicho moja córuś! — odpowiadał ojciec tuląc główkę Kasi do piersi.

— Co ty Refije?— wrzeszczeli rzezańcy— puść go nieszczęsna!

Czarni zaczęli odrywać córkę od ojca, ale już sułtan został o wszystkiem zawiadomiony. Kazał oboje stawić przed sobą.

— Wielki królu! każ go puścić — zawołała Kasia padając na klęczki przed sułtanem — to mój ojciec!

Z oblicza Abdul-Medżyda zniknęły raptem ślady podochocenia i gniewu roznamiętnionego lubieżnika, wyraz piękny i wspaniałomyślny oświecił jego rysy inteligentne. Zaczął rozpytywać spokojnie: kim jest i co tu robił?

— Przebacz mi wielki cesarzu!—odpowiedział Bartosz przypadając do ziemi — jestem pałacowym ogrodnikiem, a siła niebieska dopuściła na mnie sen kamienny, chyba żebym to dziecko moje odzyskał—i wskazał ręką na Kasię, która odskoczywszy od tronu, uchwyciła ojca za połę kurty.

— Podziękuj Ałłachowi, że byłem sam obecnym i masz taką córkę! Prawo jest nieubłagane z tymi, kto mych progów monarszych nie szanuje. Przebaczam ci, idź w spokoju! Córkę odeszlę ci, nie mogę jéj dłużéj zatrzymywać u siebie jako takiéj, o któréj wiedzą rodzice, że ma zaszczyt być w moim haremie... Ałłach niech cię prowadzi! Córkę zostaw, niech mi jeszcze jaką piękną piosenkę zaśpiewa na pożegnanie...

Bartosz przypadł do ziemi dziękując serdecznie, skinął na Kasię i rzekł do niéj półgłosem:

— A śpiewajże najjaśniejszemu cesarzowi, tylkoż pięknie; my z matką będziemy czekali u bramy pałacowéj, pod kasztanami.

Kasia na pożegnanie zaśpiewała Moniuszki „Za Niemen“, którego to śpiewu jak i kołomyjki nauczyła się od nauczycielki Galicyanki, téj saméj, co to dawała lekcye Nedżibe i ztąd nabrała ogromnego rozgłosu pomiędzy handlującymi niewolnicami czyli całą prawie społecznością turecką. Po skończeniu śpiewów, sułtan wezwał Kasię do siebie; zdjął z palca ogromnéj wartości pierścień i włożył go sam na jéj rękę.

— Żałuję że nie możesz, córko, pozostać w mym haremie — rzekł—nie zapomnę wszakże o tobie. Ałłach niech cię prowadzi!

Kasia niziutki ukłon oddała i jak na nowo na świat narodzona, opuściła złoconą klatkę niewoli, nierozumiana przez harem padyszacha, nie pojmujący tego dziwnego zrzeczenia się najświetniejszego losu. Kobiety sułtańskie, zwłaszcza Nedżibe, która się nią najtroskliwiéj opiekowała jako dawną koleżanką u Kasima, nie tylko uwolnioną najczuléj żegnały, ale każda coś w upominku od siebie dawała, naśladując w tém swego pana koronowanego. Rodzice zaś przyjęli Kasię jako anioła pocieszyciela zstępującego z nieba, ani pomyśleli o karyerze...

Bartosza choć oddalono z pałacu, ale dano mu znowuż służbę sułtańską, leśnika, w lasach koło Alem-dahu. Zanim jednak wyruszył na nową posadę, pośpieszył do Żelisława, aby go zawiadomić o odnalezieniu Kasi. Major ucieszony tą radośną wiadomością, był czegoś zakłopotany i za nic nie mógł wykrztusić przyrzeczenia odwiedzenia Dziewoniów. Nie mógł nawet dłużéj zabawić z Bartoszem u siebie, śpiesząc do Kara-Fakiego, który go wzywał na naradę skorzystania z porażki Achmeta-beja, z powodu usunięcia Kasi, ofiarowanéj padyszachowi przez władcę Kierasundzkiego, w celu uzyskania nominacyi prawowitéj na kajmakama. Bartosz smutny opuścił progi Żelisława, nabrawszy stanowczego przekonania, że jego dawny panicz rzeczywiście przechodzi na mahometanizm, i dla tego unika swoich ludzi. Magda i Kasia były nadzwyczajnie rozżalone na Żelisława, ale nie dały nawet poznać, że go żałują. Uczciwe kobiety w rzeczach odstępstwa, bądź jakiego, bywają daleko surowszymi sędziami niż mężczyźni. Dziewoniowie niebawem opuścili Stambuł, udając się do Adamówki, Adamkiöj, polskiéj kolonii, tuż koło lasu Sułtańskiego na Alem-dahu czyli jak koloniści nazywają na Alemdzie.

Kara-Faki puścił tymczasem wszystkie sprężyny w ruch, by wyrwać nienawistnemu rywalowi nominacyą. Poznawszy nadmierną ambicyą Raifa-paszy, zaczął go ośmielać, by tentował o w. wezyrowstwo; zrobienie zaś go kajmakamem kierasundzkim, zamiast Achmeta-beja byłoby stanowczym ciosem zadanym przewadze Reszyda-paszy. Są ludzie, którzy przez całe życie sprytnie karyerę robią popychając innych do pracowania niby nad własną; Kara-Faki należał do rzędu takich i niebawem pozyskał szambelana kuzyna dla swych planów. Naturalnie cała sztuka przeprowadzenia intrygi tak trudnéj, tradycyjnie została obliczoną na pomoc haremu sułtańskiego, sterującego do dziś dnia nawą ottomańską, według najdawniejszych wzorów praktyk serajowych. Nikt tą razą znowuż do tego się lepiéj nie nadawał nad Nedżibe, która poduczywszy się śpiewów Kasi, podłożonych pod słowa tureckie, potężniéj niż dotąd

zapanowała nad sułtanem i nigdy nie mogła darować Reszydowi-paszy, że wprowadził był do haremu tak niebezpieczną rywalkę jak Kasię. Giömlekczego Kojuna zabiegom przypisać trzeba było, że Nedżibe wiedziała więcéj o knowaniach w. wezyra przeciwko niéj niż w rzeczywistości było... Żeby zaś trafić do ulubienicy sułtańskiéj, wiedzieli dobrze, że przez nikogo tak pewnie tego nie dokażą jak za pośrednictwem Musy-paszy i jego małżonki. Gra była jednak zbyt ryzykowną, niebezpieczną do traktowania bezpośrednio z karyerowiczem czystéj wody; postanowiono przeto w „konaku“ szambelana-müszira, zaprosić na przedwstępną naradę majora Żelibeja, słynnego ze swéj szlachetności prostodusznéj...

Sprawa ta właśnie była powodem, że Żelisław nie gościł dłużéj u siebie Bartosza. Nie domyślając się dalszéj części planu, mianowicie obalenia w. wezyra, Żelisław przez przyjaźń dla Kara-Fakiego wpłynął na Musę i Małhanym, że musieli pośredniczyć u Nedżibe. Musie, gdy przystał, dano do zrozumienia, że go wkrótce oczekuje marszałkowstwo... Mądréj głowie dość na słowie, pasza z cyrulika-miszuresa zrozumiał téż dobrze jak dalece wypadało zainteresować ulubienicę sułtańską. Delikatny rozum Mał-hanym dopomógł mu w tém, wynajdując najnieomylniejszą drogę do pozyskania bezwarunkowego spólnictwa kobiety.

Małżonka Musy-paszy obmyśliła głęboko swój plan, z wielkiém znawstwem duszy ludzkiéj. Na audiencyi, którą nazajutrz miała po naradzie, zaczęła od chwały jaką rozbrzmiewa cała Turcya, z powodu klejnotu kobiecego tak niezrównanéj wartości jak posiadany przez padyszacha w osobie Nedżibe; następnie wezwała do pomocy najwyższą troskliwość o rozszerzenie i utrwalenie zbawiennych wpływów pana nad pany, niezwyciężonego zwycięzcy wszystkich zwycięzców, nietylko na ziemi lecz i na tamtym świecie, przez opiekę nad duszami wybranych... Postępując naprzód drogą „kojarzenia wrażeń“ zaprowadziła swoję dawniejszą niewolnicę, obecnie panią, tam gdzie chciała. Utwierdziła ją w przekonaniu, że państwo ottomańskie zatryumfuje dopiero, gdy nawróci na islamizm bohatera nad bohaterami Żeli-beja, i zrobi go swym „serdar-ekremem,“ jeneralissymusem; obok niego zaś postawi ludzi téj zasługi co Kara-Faki, Musa-pasza, Raif-pasza.

Prozelityzm nawracania padłszy na przygotowany grunt, opanował całkiem myślą ulubienicy sułtańskiéj. Stanęło na tém, że to wielkie dzieło ma być niezwłocznie rozpoczęte; po tém zaś obmyślone zostaną drogi wypromowania dere-beja.

Nedżibe, gdy sama została, wynurzyła się ze swą tajemnicą przed Naziką.

— Siostro najmilsza — mówiła ulubienica kładąc na sercu powiernicy dłoń z malowanemi paznogciami—musimy zrobić największą uciechę naszemu najmilszemu panu nad pany. Tak jest, nam przypadło w udziale nawrócić znakomitego Żeli-beja, aby dodać blasku jego koronie i potęgi państwu. Jako kalifowi — oby Ałlach był nim zadowolony! — pozyskując znakomitą duszę dla islamu, oddamy największą zasługę wobec „pana światów“ (Mahometa). Tylko musiemy ścisłą zachować tajemnicę.

— O! słońce méj przyjaźni, pani mego pana — i powiernica przytuliła główkę do łona faworyty — mówisz widocznie z natchnienia niebieskiego, a jażbym nie rozumiała potrzeby w tym razie tajemnicy? Bądź przekonana, kocham cię tak mocno, że mam jedną wspólną z tobą duszę i nigdy cię nie opuszczę...

Rzuciły się do uścisków wzajemnych zalewając je obfitemi łzami rozczulenia. Potém nastąpiły tajne zwierzania się, przeplatane wybuchami niehamowanéj wesołości. Mał-hanym przybyła niebawem i została przypuszczoną do tajemnicy, która ją w stan gorączkowéj radości wprawiła. Małżonka Musy-paszy gdy po audiencyi stanęła wobec niego, była tak ponętnie zaciekawiającą, że nie mógł wytrzymać i przymrużając jedno oczko, wykrzyknął po polsku wedle zwyczaju:

— Nu, co to jest Mał-hanym? Moja lubusiu, lubusińkes, gdzie tylko stąpisz to się z ciebie sypią perły, brylanty, a takie duże, takie duże jak ten worek... wie heist?! — ja chciał powiedzieć jak ten worżech...

Nazajutrz raniusieńko Musa-pasza z Żelisławem opuścili konak udając się na miasto za interesami. Marifet i Wudżud spoglądali obojętnie zaspanemi oczami na wyjazd. Piruze który też zostawał w domu, był odmiennie nieco usposobiony i robił raz poraz po cichu zapytania swemu panu, zanim siadł na konia. Murzynek jakby korzystając z nieobecności swego chlebodawcy, cały ranek próżnował siedząc przed bramą z założonemi rękami.

Mał-hanym parę razy stawała w oknie i podnosiła „kafesy“ (kraty) wpatrując się w dal, w stronę mostu na Zlotym-Rogu. Słońce było już wysoko, gdy na moście ukazał się długi szereg karetek złoto-ponsowych, niby wąż olbrzymi strzegący skarbów świata, obok którego jak djabły postępowali po obydwóch bokach czarni eunusi. Mał-hanym jak kot przyczaiła się na ten widok za oknem opuszczając kraty. Niebawem karetki wjechały w uliczkę i zrównały się z domem Musy-paszy.

Stanęły naraz wszystkie. Zrobił się popłoch, wołano wszędzie:
— Hanym Nedżibe zasłabła! „aman“!..

Był to pociąg spacerowy z haremem sułtańskim, jadącym oglądać słynny skarbiec cesarski w Eski-Seraju, w którym prócz kosztowności znajduje się sławny płaszcz Mahometa. Nedżibe robiło się coraz gorzéj, zemdlała na ostatku. Eunusi zaczęli latać jak poparzeni, nie wiedząc czy stać czy jechać daléj. Trwałoby to do nieskończoności, gdyby nie Nazika, siedząca jak zwykle w jednym powozie ze swą przyjaciółką.

— A tożeście chyba uwzięli się naszą panią zamordować?! krzyknęła powiernica gniewnie na eunuchów.

— „Aman“! co mówisz duszko, hanym-effendim? co ty? co ty? — wykrzykiwali eunusi błagalnie — alboż my wiemy co począć? Rozkazuj! będziemy słuchali.

— Wszak tu mieszka Musa-pasza w tym domu, jeden z najwierniejszych, sługa pana naszego, padyszacha? Ha! prędko ją zanieście do Mał-hanym, do haremliku.

— Ałłach się zmiłował! — zawołali eunusi wyjmując z powozu zemdlałą.

Zaledwo postąpili ku bramie, Mał-hanym w czerwono-zielono-żółto-paskowanym kaftanie z kawałkiem woalki na twarzy, bez sakramentalnego „feradża“, wybiegła na przyjęcie dostojnéj choréj. Lamentując ogromnie klaskała w swe dłoni z pofarbowanemi na orzechowo paznogciami i wznosiła ku górze poczernione sztucznie oczy, wedle ścisłéj tualety muzułmańskiéj. Bez namysłu krzyknęła na Piruzego:

— Ha! synu, piorunem mi biegnij po doktora „à la franka“...

— Którego?

— Pierwszego, którego spotkasz. Podczas gdy murzynek popędził spełnić rozkaz paszowéj, Marifet powiadał do Wudżuda wyglądając na ulicę z męskiéj połowy.

— Dostojna hanym zapomniała widocznie, że ma we mnie lepszego lekarza od tych wszystkich frenckich szarlatanów... Moda, moda...

— Ciekawym gdzie tu znajdzie naprędce doktora „à la franka?!—zauważał Wudżud ironicznie.

Niebawem jednak się okazało, że szanowny „kalender“ był lepszym prorokiem we śnie niż na jawie. Kwadrans bowiem nie upłynął a ujrzano Piruzego w towarzystwie człowieka w ogromnym fezie greckim, w stroju europejskim, z okularami szafirowemi, ze szpakowatą czupryną i takiemiż wąsiskami oraz brodą rozkłaczoną. Człowiek szedł a raczéj biegł krokiem gimnastycznym na sztywnych nogach, niosąc przed sobą w wyciągniętém ręku flaszkę z różowym płynem a lewą opierał o złoconą gałkę trzciny.

— „Maszalla“! (chwała Bogu) otóż i lekarz — wołali eunusi wskazując na człowieka z flaszką — widać prawdziwego „hekimabaszego“, już wie naprzód co trzeba zadać... och! och! dobrze będzie...

Nedżibe wniesiono do haremliku i ułożono w najparadniejszéj komnacie. Eunuchów odesłano za próg, sama tylko Mał-hanym z Naziką chodziły koło nieprzytomnéj. Nie pomagały żadne środki domowe; potrwożone kobiety porozsyłały eunuchów po rozmaite lekarstwa. Reszta karetek, prócz należącéj do choréj, już była pojechała do seraju, gdy nadciągnął doktór. Mał-hanym z okrzykami błogosławiąc, wprowadziła go do słabéj.

Doktór zaczął od postawienia flaszki z różowym płynem na stoliczku, następnie wydobył ogromny fular i utarł nim nosa trąbiąc poważnie jak w trąbę Jerychońską. Pomacał puls choréj i natychmiast wysłał kobiety obiedwie po rozmaite środki do ratowania.

Zaledwo Mał-hanym i Nazika opuściły pokój choréj, doktór w ślad za niemi wyszedł i spojrzał uważnie za drzwi haremliku. Pusto było, eunusi jeszcze nie przyszli. Wróciwszy do choréj, zamiast wszelkich inspekcyi, nachylił się nad nią i złożył gorący pocałunek na jéj ustach. Nedżibe cudownym tym środkiem powrócona do życia, objęła piorunem za szyję cudotwórcę i odpowiedziała nieskończonemi pocałunkami.

— O! przecież mogę ustami twych ust duszko-baranku dotknąć — szeptała namiętnie — cha! cha! ależ mój ty śliczny bohaterze, cóżeś to z siebie za czupiradło urządził?! Mamyż tak żyć zawsze w oddaleniu? Mów, mów duszo duszy mojéj!

— Pragnąłbym mieć cię wiecznie przy mym boku, ale cóż kiedy już jesteś najjaśniejszą panią?!

— Słuchaj Żeli-beju, słuchaj mój miły! — i sułtanka okrywała nowemi pocałunkami przebranego za doktora Żelisława—musisz być przy mnie blizko, musisz... Klnę się na gwiazdy, na księżyc, na cztery strony świata, że zostaniesz paszą, ministrem, „serdar-ekremem“ i będziemy zawsze przy sobie; tylko ty duszko-baranku przejdź na islamizm, bo bez tego niepodobna trafić do tych twardych mózgownic!

— Gwiazdo moja śliczna, daj pokój tym zaszczytom! niech się nacałuję i napieszczę z tobą — i „doktór z musu“ okrywał nowemi pocałunkami usta i oczy sułtanki.

Podczas dalszych wynurzeń i pieszczot, Żelisław nie zapomniał jednak namówić kochankę, aby wypromowała Kara-Fakiego i dopomagała we wszystkiem Raifowi. Co zaś do przejścia na islamizm

nie chciał na to stanowczo odpowiadać. Śmiał się tylko ogromnie, gdy Nedżibe figlarnie oświeciła go, iż nawrócenie było główną pobudką do urządzenia schadzki dzisiejszéj... Pukanie w sąsiednim pokoju oznajmiło o nadejściu eunuchów. Żelisław szybko włożył perukę, okulary i fałszywą brodę z wąsami, które zdjął był na chwilę, i w postawie prawdziwego adepta Eskulapa podawał zmartwychpowstałéj sok z wodą, zawartość ową różową flaszki z sobą przyniesionéj. Kaszlnięcie przez Nedżibe było sygnałem, dla wejścia gospodyni i powiernicy, przybywających z dziwnie rozpromienionemi twarzami.

Nedżibe podziękowała doktorowi, rzucając mu pod nogi pierścień wysokiéj wartości, na znak swego monarszego zadowolenia. Eunusi stojący w drugim pokoju cmokali pochwalnie, uwielbiając hojność i takt swéj pani.

— Jak się nazywasz i czyś tutejszy?—pytała Nedżibe Żelisława wyniośle.

— Do usług twoich, „hanym-effendim“—odpowiedział domniemany doktór kłaniając się do ziemi — nazywam się Bojnos (1) Panajot, jestem greckim poddanym z Syry... Dzisiaj powracam do ojczyzny, dziękując Bogu, że mię obdarzył niezasłużoném szczęściem, dopomożenia ci, wielka sułtanko, memi lekami.

— Szkoda, że opuszczasz naszą stolicę. Tu praktykując, większą miałbyś przyjemność i sławę... Ałłach niech cię prowadzi!

Udany doktór powtórzywszy ukłon do ziemi, sztywnie cofał się do kotary, za którą czekała go Mał-hanym z datkiem kilku sztuk złota, danych mu do ręki w obecności eunuchów, którzy go nietylko niskiemi ukłonami ale i podziękowaniami głośnemi przeprowadzali na schody. Żelisław na dole wymijając Piruzego obdarzył go od siebie „medżydją“ srebrną, co téż ogromnie widzom przypadło do smaku. Gdy Nedżibe całkiem uleczona opuściła konak Musy-paszy, Wudżud z Marifetem zwyczajem swoim pobrnęli do pobliskiéj kawiarni, miejsca schadzki służby i „musafirów“ (rezydentów) tego cyrkułu. Wchodzących otoczyła cała publiczność, zaciekawiona słyszéć najdrobniejsze szczegóły wypadku wyjątkowego z sułtanką. „Kalender“ zaspokoił ciekawość łaknących nowin spółbiesiadników własnemi dodatkami cudownemi, nieodbitemi, dla nadania cech autentyczności na Wschodzie.

— Podczas gdy ten doktór robił swe próby leczenia — ciągnął derwisz Wudżud — ja sługa pokorny Pana Światów użyłem słów świątobliwych, i oglądaliśmy własnemi oczyma jak ogromny „ta-

(1) *Róg* dosłownie.

kwin“ ze skrzydłami nietoperza wyleciał oknem z komnaty dostojnéj choréj...

— To pewna, że zaklęcie musiało być skuteczniejsze—dodał Marifet, żeby zatwierdzić słowa przyjaciela i przekonanie o istnieniu upiora a nie zwykłéj choroby—zkądby tam jakiś doktór Grek mógł od razu pokonać tak uporczywą słabość?.. Dziwnie bo i wyglądał...

— Jak? jak?—dopytywali otaczający.

— Stary niby, a twarz miał młodą, podobniutką do naszego Żelibeja...

Wiadomość ostatnia zrobiła nadzwyczajne wrażenie na jednym ze słuchaczów z podwiązaną twarzą. Zwróciło to uwagę bystrego Marifeta, który po zniknięciu podwiązanego gościa, co zaraz nastąpiło, rozpytywał o niego u kawiarza. Astrologowi gospodarz nic nie umiał więcéj powiedziéć jak tylko, że to jakiś biedaczysko, chodzący za swemi interesami do W. Porty, Bogu ducha winny...

Niepoczesny nieboraczyna, z podwiązaną twarzą, popędził wprost do konaku w. wezyra. Zanim jednak przestąpił progi, podwiązka opadła i odkryła twarz Seida-agi, zwyczajem tureckim szpiegującego na każdym kroku sługi nieprzyjaciół swego pana. W mieszkaniach, gdzie drzwi są zastąpione kotarami jak się to napotyka w Turcyi, a zarazem przy usposobieniu powszechném osmanlisów do zwierzań się poufnych—służba największych dygnitarzy wie o każdém słowie swych panów i rozbiera je następnie w swych napół skrytych gawędkach po kawiarniach, tego rodzaju jak obecna. Seid zawiadomił więc już przed tém, że szambelan knuje z Kara-Fakim jakieś spiski przeciwko w. wezyrowi. Intrygi tego rodzaju są na porządku dziennym, każdy w. wezyr może im o tyle zapobiedz, na ile się zdecyduje obalić bez najmniejszego wahania nieprzyjaciół w zarodzie. Środki do tego każde tu są dobre, byle do celu doprowadziły.

W. wezyr rozumiał, bez zawiadomienia go o spisku uknutym, że mianowanie Kara-Fakiego kajmakamem, zamiast jego kandydata, trzeba było uważać za stanowczą porażkę, poprzedzającą o parę dni złożenie go z urzędu. Sułtan, walida, a co najważniejsza Nedżibé, któréj już raz winien był swe ocalenie Kara-Faki, popierali tego ostatniego, i lada dzień miała być mu wydaną nominacya, dawno gotowa do podpisu, tylko dotąd spoczywająca na dnie torb (zamiast tek lub szaf) wezyrowskich. Wiadomość podsłuchana przez Seida w kawiarni dodała nadzwyczajnéj otuchy w. wezyrowi. Jedna z jego kobiet najzaufańszych podążyła do Mał-hanym, nieposiadającéj się na razie z radości widzenia u siebie znakomitéj gości; ale nie-

zmiernie przerażonéj następnie, gdy wśród największych niby podziękowań i pochwał za jéj troskliwość koło zasłabłéj na drodze sułtanki Nedżibé, zaczęła pilnie dopytywać czy Żeli-bej był kiedykolwiek naprawdę „hekimem-baszim (doktorem)...“ Na pożegnanie prosiła małżonkę Musy-paszy, żeby niezwłocznie udała się do Nedżibé, i wyjednała przyrzeczenie nieprotegowania Kara-Fakiego. Taż sama zaufana kobieta od Mał-hanym pośpieszyła do „walidy“ sułtanki i zawiadomiła jako wie najpewniéj, że Nedżibé została oczarowaną przez Kara-Fakiego; gdyż nikt inny jak tylko jego najbliższy powiernik, mógł ten urok zdjąć, o czem się przekonano widząc „takwina“ okropnego ulatującego z pokoju zemdlałéj faworyty. Dostało się przy tém i szambelanowi, który mógł swoję protekcyą okrywać podobne potwory. „Walida“ ani myślała zastanawiać się nad tém, co za powody miał Kara-Faki rzucać uroki na Nedżibé?—potępiła go od razu, nie przebaczając naturalnie i szambelanowi, tak niebacznie narażającemu „kief“ padyszacha. Czarodziejska historya była najstraszniejszym ciosem dla przeciwników w. wezyra. Jednocześnie ukazał się w stolicy i Achmet-bej z Kasimem oraz kilku innymi Czerkiesami, którzy ongi wysłali byli niewolnice, zatrzymane następnie przez Kara Fakiego.

Reszyd-pasza w dniu, w którym odnosił do zatwierdzenia nominacyą, mówił głośno jako jest wielce przychylny temu zarządzeniu. Posły natychmiast polecieli zawiadomić o tém fortunnego derebeja. Wielki ztąd powstał tryumf w konaku szambelana Raifa-paszy, który o niczém się nie dowiedział od Mał-hanym i Nedżibé, milczących jak zaklęte o przymusowéj zmianie frontu względem w. wezyra. Musa-pasza drżał jak mysz pojmana w pułapkę, ani myślał oświecać sojusznika o groźnéj przewadze przeciwnika. Przybywszy do pałacu, w. wezyr, musiał czekać na sułtana, radzącego wspólnie z „walidą-sułtanką.“

Abdul-Medżyd jak każdy oddający się nadmiernym rozkoszom, wstawał zwykle zdenerwowany, tego dnia jednak znać to było na nim więcéj niż zwykle. Po cichu szeptano, że to Raif-pasza umyślnie podobierał tak mocne trunki, żeby dogodzić sułtanowi w wigilią swego tryumfu... Walida-sułtanka dawała rady synowi i przestrogi, które on przyjmował z niezwykłą uległością, pod wpływem osłabionych nerwów. Nie wyjawiając prawdziwych pobudek, matka-sułtanka, znając niedowiarstwo syna, milcząc o urokach, dawała do zrozumienia, że Raif-pasza nadużywa zaufania monarszego i nie wywdzięcza się należycie za wyświadczone dobrodziejstwa.

— Ochłodo mych oczu—mówiła—zamknij szeroką dłoń, dla tych co noszą w sercach niewdzięczność i chciwość...

Sułtan zachwiany w postanowieniu słowami matki, szanując własne zdanie, nie mógł jednak odstąpić od razu od swego postanowienia. Na uwagi robione przez Reszyda-paszę przy przedstawieniu nominacyi Kara Fakiego, nic nie odpowiadał.

— Pozwól, najjaśniejszy padyszachu—rzekł na ostatku—zezwól „zapytującemu zapytać“ czy więźniów kryminalnych pod procesem godzi się uznawać za twych urzędników czynnych?

— Co ty, synu? alboż to ja ci więźnia z więzienia zatwierdzam?!—i sułtan jakoś się dwuznacznie uśmiechnął.

W. wezyr przypadłszy do ziemi, opuścił progi pałacowe, a nazajutrz wezwał, do siebie szczęśliwca po „emirnamé“, nominacyą. Kara-Faki z niezwykłą wspaniałością stanął o naznaczonéj godzinie, mając przy sobie Wudżuda i Marifeta, wstępujących na powrót w szeregi butnego dere-beja, o całe niebo w pojęciu wschodniém wyższego od paszy z miszuresa. Uderzyło nieco przyszłego kajmakama, że w. wezyr był tak zaczytany w jakimś dokumencie, iż nie zwrócił wcale na niego uwagi, gdy wszedł, i nawet nie zrobił zwykłego znaku do siadania, zanim pokończy z pilną robotą. Zamiast tego wszystkiego, w. wezyr skinął nieznacznie na służbowego adjutanta, który pośpieszył za kotarę, aby wypełnić jakieś polecenie. Niebawem zasłona się podniosła, a Kara-Faki aż podskoczył jak gdyby ujrzał strasznego anioła, zapisującego wyroki w księdze „Siddżyn“ (piekieł)... Stali przed nim: Achmet-bej, kapitan Iblis, Kasim, Mehmet, Kizir jesyrdży i kilku Czerkiesów.

W. wezyr przywitawszy przybyłych, wezwał, aby posiadali, wyłączając jednak Kara-Fakiego i jego orszak. Po niedługim przestanku, pierwszy zaczął Achmet-bej skarżąc Kara-Fakiego imieniem poszkodowanych Czerkiesów i stawiąc na poparcie ich pretensyi świadków odwodowych. Oskarżenie było oparte na tak niezbitych dowodach, że dere-bejowi nic nie pozostawało jak wyjąć pieniądze z kieszeni i zaspokoić swoich dłużników, co jednak nie mogło nastąpić, gdyż był golym jak święty turecki, a o kredycie w Stambule marzyć nie mógł.

Reszyd-pasza po przesłuchaniu całego oskarżenia, zwrócił się do Kara-Fakiego.

— Padyszach, aby zwyciężał!—przebaczył ci wszystko dawniejsze—rzekł surowo—kazał cię nawet mianować kajmakamem kierasundzkim—oto twoja „emir-namé, niedozwolił jednak, abym ją oddał człowiekowi zasądzonemu do więzienia. Jesteś dłużnikiem niewypłacalnym i krzywdzicielem tych naszych najukochańszych spółwyznawców; prawu musi się stać zadość i skazuję cię na więzienie! Żeby ci zaś nie było smutno, pójdą z tobą i twoi spólnicy:

Marifet-effendi i Wudżud. Gdy z innéj strony tak znakomite miejsce jak Kierasunda nie może pozostawać dłużéj bez legalnego reprezentanta W. Porty: Achmet-beju! za twą wierną i znakomitą służbę dotychczasową jesteś mianowany wolą padyszacha kajmakamem tego miasta.

Gdy Achmet-bej oddawał ukłony i wyrażał swe podziękowanie, Kara-Faki zmierzał ku drzwiom. Reszyd-pasza skinął na ostatniego, żeby się zatrzymał.

— Kajmakamie kierasundzki!—zawołał na Achmeta-beja—zabierz z sobą tych oto psów i postąp wedle prawa, dopóki nie zapłacą winnych pieniędzy!..

— Proch stóp padyszacha obliczem ścieram—odpowiedział Achmet-bej—rozkaz twój jako wyraz woli jego świętéj wykonam wiernie. Straże weźcie ich.

— Wola twéj wysokości jest dla mnie prawem—rzekł Kara-Faki pokornie do w. wezyra—Ałłach wiedział, co ze mną uczynić a ty rządź nami wiecznie!..

— „Dere-bej“ w tym razie postąpił jak prawdziwy Turek, wedle przysłowia: „rękę, któréj uciąć nie możesz, pocałuj raczéj“...

Jednocześnie z upadkiem Kara-Fakiego posypały się niełaski i na wszystkich jego protektorów. Pierwszym padł Raif-pasza, wysłany na gubernatora do Basory, miejsca najniezdrowszego w państwie ottomańskiem. Nie zapomniano i o Musie-paszy, pomimo lamentów i zabiegów obojga paszowstwa, wysłano go do Arabii, przeciwko zbuntowanym plemionom, słynnym ze swéj waleczności i przewagi nad siłami zbrojnemi padyszacha. Dodano do boku berdyczowskiego bohatera Żelisława, który ze ściśniętém podwójnie sercem musiał iść na wygnanie to urzędowe. Nedżibé i Kojun ocaleli a to dzięki temu, że sułtan był do nich dziwnie przywiązany i że przeszli na stronę w. wezyra.

Wbrew wszelkim rachubom, nadeszły wkrótce po wyjeździe Musy-paszy do komendy wieści o nadzwyczajnych sukcesach oręża tureckiego nad Arabami. Nie było jednak tą razą nikogo, ktoby popierał zasługi paszy, raporta dokładne Turków oświadczały, że był on tchórzem skończonym i niedołęgą; co zaś do zwycięztw, to je zawdzięczać należy niezrównanéj waleczności i talentom wojskowym młodego majora Żeli-beja, szefa sztabu arabskiego korpusu. Niebawem rozniesła się i druga, wielce pocieszająca wieść dla prawowiernych; głosiła ona, że bohaterski Żeli-bej przejrzał i przechodzi na „zbawczą—wiarę,“ w jakim to celu przybywa do Stambułu.

— Ałłach-el-basyr (Bóg przewidujący)!—wołali zelanci—przygotował nowy tryumf dla islamu...

## XI.

Szczyt garbaty Alem-dahu oświecały pierwsze promienie wschodzącego słońca, uwidoczniając na nim szczątki ruin starożytnych. Ciszę poranną przerywał niezwykły w Turcyi głos dzwonka kościelnego; pochodził on z kaplicy świeżo założonéj u stóp góry kolonii polskiéj, Adampolska, pospolicie Adamówki czyli Adamkiöj. Równie malowniczéj jak zdrowéj okolicy tak blizko Stambuł nie posiada. Na tych świeżych korczowiskach z dymiącemi pniakami, wałami łomu oplecionego już „dżigrą“ kolącą, wśród fig, słodkich kasztanów, orzechów włoskich, moreli—dziwnie wyglądały chałupy ze strzechami z nad Wisły, Niemna, Dniepru.

Na wschód od „czyflika,“ kolonii w potocznéj mowie, jak dekoracya teatralna stoi las Sułtański, porosły na płaskowzgórzu, oddzieleném ruczajem od wsi. Wspaniałe te ostępy ożywiał obecnie dźwięk trąbki myśliwskiéj, lecący pomiędzy dęby kilkowiekowe słodkie kasztany, orzechy włoskie, buki, podszyte dołem laurami tarniną, olbrzymią paprocią, wrzosem sążniowym, poplątanych nieprzebytą siecią „dżigry“ i bluszczów. Na czystych miejscach z pod trawy wyglądały niezliczone główki grzybów—prawdziwych, koźlaków, gąsek, czerwonogłowych, kozichbród, syrojadek a wśród nich pomarańczowych jak muchomor, tylko nienakrapianych i z szafranowym spodem, grzybów sułtańskich, najpiękniejszych i najsmaczniejszych ze smacznych. Wietrzyk przeciągnął po wierzchołkach oświetlonych słońcem. Stuknęły o ziemię gęsto kasztany i żołędzie a padały coraz częściéj, w miarę działania promieni słonecznych.

Z pod gęstych jak kłębowiska wężów splotów „dżigry,“ w środku lasu, wysunął się ostrożnie ryj ogromny z parą kłów potwornych, za nim łeb szczeciniasty z oczkami zakrwawionemi i uszami nasrożonemi i następnie, chuchnąwszy parę razy, wyskoczył odyniec olbrzymi i zaczął łapczywie chwytać to kasztany to żołędzie. Na ten głos jedno za drugiem wyłaziło stado dzików, z parę set sztuk. Nie na żerówkę, ale na jakieś świńskie sejmikowanie zebrały się dziki. Mało żarły, więcéj brodziły, do kupy się zbiegały, i podniósłszy ryje unisono zawodziły rechtanie i chrząkanie.

O kroków kilkadziesiąt z gąszczu wychylił się ostrożnie myśliwy i wziął na cel najbliższego dzika. Zanim jednak wystrzelić zdołał, rozległo się jak grzmot puhanie z rechtaniem i stado runęło na śmiałka, który cisnąwszy strzelbę o ziemię, zaledwo miał czas wyskoczyć na drzewo. Siedział wybladły wpatrując się zaiskrzoném okiem

w rozhukane potwory, skaczące na około drzewa z przeraźliwém rechtaniem i probujące ciąć kłami pień zbawczy. Odzyskawszy przytomność, jął hukać, ale dziki nie tylko, że się tego wcale nie ulękły, owszem leciały oślep na drzewo głusząc głos ludzki przeraźliwém rechtaniem i chrząkaniem. Wyłażąc na drzewo myśliwy zaczepił był trąbkę, oberwał sznurek i ta padła na ziemię, odejmując możność zwołania kogoś na ratunek. Dziki sejmikowały, ale natychmiast piorunem stawały przy drzewie, skoro ujrzały najmniejszy ruch myśliwego.

Pół godziny blizko trwało dzicze oblężenie, gdy wśród wrzawy bestyi myśliwy usłyszał nucenie. Śpiew ludzki coraz się zbliżał, można było rozeznać nareszcie nutę kantyczki polskiéj. Myśliwy zwinął rękę w trąbkę i huknął z całych płuc po polsku:

— Bywaj! Bartek tu sam! hop! hop!..

Dziki czy skończyły sejmikowanie czy się ulękły nowego głosu, zaraz pierzchnęły na wszystkie strony. Myśliwy skoczył na ziemię, splunął, głośno zaklął, podjął strzelbę i pogiętą trąbkę nie ustając przy tém w nawoływaniu. Niebawem rozległ się trzask suchych gałęzi i do nawołującego wyszedł Bartosz Dziewoń, przeznaczony przez zarząd pałacowy do tutejszego lasu. Aż klasnął w dłoni na widok myśliwego.

— Niech będzie pochwalony!—wołał—a dyć to pan major? Dzień dobry paniczu!

— Jak się macie Bartoszu?—witał Żelisław nawzajem.

Zaczęło się opowiadanie o dopiero co zaszłéj przygodzie z dzikami. Bartosz nie tyle dziwił się zbiegowisku, bo to bywa tutaj zawsze, gdy dziki przechodzą na tamtą stronę rzeki Rimy, ile raczéj nad tém, że się rzuciły na myśliwego, co w tych stronach jest niepraktykowaném. W dalszym toku rozmowy Żelisław się dowiedział, że Bartosz mieszka na kolonii i śpieszy obecnie po skończonym obchodzie nocnym do domu. Dzwonek kościelny coraz głośniéj nawoływał nabożnych. Bartosz nalegał na Żelisława, żeby w tym dniu niedzielnym zechciał odwiedzić osadę rodaków, a prócz tegoby był łaskaw do niego w gościnę. Żelisław jakoś się wymawiał, z widoczném zawstydzeniem w postawie i ruchach.

— Abo to naprawdę panicz się poturczył?—zapytał Bartosz niespokojnie.

— Któż to wam o tém mówił?

— Onegdaj był nasz młynarz w klasztorze ś. Benedykta i słyszał od téj anielskiéj siostry Izabeli (Dąbrowskiéj), że panicza to złe opętało...

— Każdy niech nosa swego pilnuje... Albo to mnie katolicka wiara w czemkolwiek dopomogła?... Więcéj ze mnie sławy i pożytku dla narodu, siebie i ludzi w służbie tureckiéj niż rzymskiéj...

— Ono takci jest, tylo że ludzie uciekają od takiego, co zmienił wiarę swoję na cudzą...

— Bo są głupi!..

— Hajno, niech będzie po waszemu... Tak czy owak panicz niech nie pogardza naszym domem, Magda i Kasia ciągle wspominają. Abo to proszę mojéj Kasiuńci dzisiaj weselisko. Proszę bardzo...

— Wesele? Za kogoż ją wydajecie?

— Ta za kolonistę, poczciw człowiek, z Litwinów, ale zna nasz obyczaj i jest uczony...

Żelisława ta wiadomość widocznie obeszła, nie upierał się dłużéj, przyjął zaprosiny wypróbowanego przyjaciela.

Gawędząc o kolonii spuścili się do niéj po stoku góry, gęsto porosłym laurami i chróściakiem dębowym. Żelisław po raz pierwszy będąc na „czyfliku,“ rozpytywał o nazwiska gospodarzy.

— Tu proszę pana majora siedzi Franciszek młynarz—mówił Bartosz wskazując po kolei chałupy—tam Krzemiński, tu Kosiłowski, a tam Pągowski najlepszy gospodarz, koło niego doktór Drozdowski; za nimi ten duży dom, to administracya a za nią kaplica bośniacka... Hen, przed doktorem, wójt Wilkoszewski...

Wyliczanie kilkadziesiąt gospodarzy trwało dosyć długo i skończyło się gdy przeszli ruczaj graniczny, za którym nieopodal było obejście Dziewonia, własnoręcznie zabudowane. Stado wróbli powitało wrzaskliwém świrgotaniem wchodzących a parę prosiaków, podniosłszy ryjaki, chrząkały w przestankach, przypatrując się gościowi nieznanemu. Trzy piękne krowy i koń spasły świadczyły o dostatku gospodarza, ale czysto chłopskim; bo ani dom, ani ogrodzenie, ani reszta zabudowania niczém się od naszego wiejskiego nie wyróżniało, chyba czystością i wielkością.

Pies podwórzowy zaszczekał, wyszła Magda a za nią Kasia strojna jak do ślubu w sukni ludowéj. Witały ze łzami w oczach swego panicza, wzruszonego na wzajem tym dowodem przywiązania. Łzawo mu jakoś się zrobiło, gdy przestąpiwszy próg chałupy, ujrzał ławy do koła, stół na krzyżach na środku zasłany samodziałowym obrusem, zastawiony: bochnami razowego chleba, stosami gomółek, masłem w osełkach, śmietaną w misach polewanych, kiełbasami, wędzonką, jajami na twardo i kilku gąsiorkami z wódką lub winem, słowem chłopskim poczęstunkiem weselnym. Był i starosta ze świadkami, ręcznikami podpasani. Pan młody wcale nie młody,

bo liczący przeszło czterdziestkę, choć należał do inteligencyi t. j. umiał czytać i pisać, wyglądał jak najzwyklejszy chłop, ba, może nawet gorzéj, bo miał jedno oko wystrzelone a twarz okropnie porąbaną. Ubrany w granatowy mundur z białemi guzikami i amarantowemi wypustkami dywizii Zamojskiego, pan młody i reszta kompanii weselnéj, jednako odziana, zupełnie byli jak żołnierze na służbie, zwłaszcza, gdy się wśród nich major znalazł. Kasia w swym wianuszku, choć opalona, z rękami zgrubiałemi, wyglądała obok narzeczonego jak motylek niebieski siedzący na korze potrzaskanéj wiekowego dębu. Prócz stateczności, pan młody, miał być niesłychanie walecznym, co skłoniło ostatecznie Kasię do przyjęcia jego oświadczyn.

Państwo młodzi przyklękali po kolei przed przytomnymi prosząc o błogosławieństwo. Podeszli nareszcie i do Żelisława, teraz dopiero uczuł w sercu jakiś żal niewymowny, słowa mu zaledwo się mogły przeciskać przez gardło. Rościł jakieś prawo do téj anielskiéj dzieweczki, czuł jednak, że utraciło ono moc swoją.

Nowożeńcom pobłogosławił ksiądz Kaczanowski, ex-kapitan, i powiedział naukę, stosowną dla ludzi obarczonych ciężką pracą i oddalonych od swéj ojczyzny. Nie jedno westchnienie i nie jedna łza spłynęła na rabaty mundurów wiarusów. Było to niby między naszymi chłopami, tylko uszlachetnionymi rycerstwem i poczuciem własnéj godności.

Lekceważącego swoiszczyzną Żelisława, światek ten ludowy ujmował w coraz ciaśniejsze, zaklęte niby koło. Wzruszony był, gdy powróciwszy z kościoła, patrzał na dalsze obrzędy weselne, na to jak ci prostaczkowie jedli, pili, bawili się śpiewem i tańcem. Rozmowa i obyczaj, różniły się tu chyba od krajowego, że były poważniejsze i przystojniejsze. Ktoś z inteligencyi wniósł projekt składki na weteranów; zamiast jak chłopi nasi, być obojętnymi lub dawać miedziaki, posypało się samo srebro na talerzyk kwestarski.

Zagrały zresztą skrzypki, a przy nich, co to: „w lesie było liście miało, przyszło do wsi Żabuczało...“ Rozpoczęły się tańce. Zagrano oberka. Żelisław wziął pannę młodą i okręcił ją parę razy.

— Po co żeś tak starego męża wybrała?—pytał półżartem, półserjo.

— Bo tu nie ma innych, a rodzice powiedzieli, że trzeba iść za mąż—odpowiedziała Kasia spuszczając oczy.

— Dla czego nie czekałaś na mnie?!.

— Kiedyż bo u nas wszyscy mówili, że się panicz poturczył?. Płakałam dużo nad tém, ale nie mogło być inaczéj... Mąż mój, to

prawda, nie młody, ale jest nasz, rzetelny człowiek; kocham więc go uczciwie, i on mię na wzajem...

Powiedziawszy to z życiem, Kasia, spoglądała litościwie na Żelisława muskającego pokrętny wąsik białą dłonią panicza. Goście jakby słyszeli ich rozmowę, z razu nadzwyczaj uprzejmi, powoli zaczęli stygnąć, dowiedziawszy się, że mają wśród siebie Polaka, gotowego przejść na islanizm. Swojski ten świat z razu uśmiechnięty, macierzyński, stawał się coraz surowszym i nieubłagańszym dla domniemanego renegata. Nie mógł dłużéj wytrzymać winowajca; choć jeszcze nie przeszedł na islamizm, ale sama myśl o tém, zdawała mu się być zbrodniczą;—co rychléj postanowił opuścić kolonją, pomimo że gospodarze i państwo młodzi zatrzymywali go z nieudaném naleganiem.

W drodze, z powrotem do Stambułu, za Tureckim czyflikiem, stanąwszy na chwilę pod platanami przy studni marmurowéj, wobec ciszy nocnéj i gwiazdzistego nieba—doznał nadzwyczajnego wzruszenia. Siedząc samotnie, nie chciał przemówić słowa do towarzyszy łowów, którzy též byli z nim razem na polskiem weselu. Rozmaite widziadła snuły się przed wyobraźnią rozmarzonego młodziana na obcéj ziemi.

Dopiero co widziany świat swojski, olśniewający cnotą, rozgrzewał skrzepłe sobkowstwem politycznémi uczucie. Topniały jak śnieg na wiosnę ambitne postanowienia. Nić sympatyi tajnéj, co go wiązała ze swojszczyzną, była przędzą Aryadny, nie dającą zabłąkać się w labiryncie obconarodowym ze śmiercią moralną na końcu. Dusza obmywała się we łzach rozrzewnienia czując nieskończoną wdzięczność dla tych prostaczków, tak wysoko dźwigających ideały wiary i miłości swojszczyzny, koniecznych warunków do ustalenia harmonii we wszechludzkości. Tym łącznikiem niewidzialnym były tu prostota zwyczaju, ubogie otoczenie, dziecinny nastrój ducha, wyglądające z chłopskiego świata jak fijołek ukryty w trawie. Widzenia szopkowe z kantyczkową pieśnią jak matczyne pieszczoty ku sobie wabiły. A taż dzieweczka chłopska, Kasia, co nie chciała zostać żoną obcego cesarza, bo nie jéj wiary i zwyczaju, ten kwiatek przypięty obecnie do ubożuchnego prostaka — nie byłaż wzorem stałości i poświęcenia? Wszelkie rozumowanie tu ustawało.

Świat kosmopolityczny, atłasowy, koronkowy, złota, brylantów, pachnideł, marmurów, wygód, rozkoszy lubieżnych, i umysłowych—malał, niknął wobec piękności, potęgi i dobroci ducha okrzepłego w twardéj walce z życiem, gasnął jak tłusty płomień łojówki

wobec światła słonecznego. Pług z naturą pokonywał warsztat z zaduchem miejskim... Rodzinne wspomnienia jak gwiazda betleemska prowadziły go na drogę prawdy i dobra, wywodząc go z manowców karyery kosmopolitycznéj.

Po za sobą ujrzał mroźne obszary, olbrzymie, nieskończone próżnie wszechświatowe, wśród których ginie jednostka, pochłonięta przez bezmiar sobkowstwa lub obłęd szaleńca. Bujały po nad niemi chmury miazmatów kosmopolitycznych spadających co chwila na cudze niwy. Grób to pod pozorném bielidłem życia kryjący zgniliznę i robactwo — przytułek śmierci. Pandemonium zbrodni, szaleństwa, rozpusty, zakryte szatą dobrobytu i oświaty, prowadzące na faustowskie lub werterowskie rozdroża. Z niego to odstępcza hydra, pełna jadu wszeteczeństwa, zbrodni, nadęta pychą wyrodną, wyszczerzała swe kły i parą smrodliwą pożądliwości buchała...

W postaci gwiazdy promiennéj błysnęła przed nim znowuż postać Kasi.

Wzdrygnął się, skoczył na nogi.

— Héj! w drogę, daléj — zawołał głosem donośnym.

Pękły lody, wezbrane uczucie odepchnęło go od zdradzieckiego brzegu z syrenim uściskiem. Myśl robienia dalszéj karyery w służbie obcéj opuściła go nagle. Upłynęło zaledwo kilka dni, porzucił Stambuł nazawsze i udał się na Zachód. Przed wyjazdem pożegnał swoich na kolonii, niezmiernie ucieszonych z nawrócenia zbłąkanego na manowcach renegacyi.

— Mój Bartoszu— mówił Żelisław na pożegnanie — prawdęście powiedzieli „szlachetczyzna nie ojczyzna.“ Dzięki wam i Kasi zostałem uratowany... Do widzenia na własnéj ziemi!

Nie mogli zrozumiéć słów ostatnich rozrzewnieni Bartoszowstwo, po kilku leciech dopiero odkryli ich znaczenie. Żelisław przez ten czas skończył nauki w Paryżu, następnie bił się pod Garybaldim poczém odziedziczywszy po rodzicach skromny mająteczek, osiadł w Galicyi nad Wisłą. Pierwszą jego rzeczą było sprowadzenie Dziewoniów i Kasi z mężem, przy których się do ludu zbliżył, pracując nad wygładzeniem z pamięci mas nienawiści swojszczyzny, szatańskiém piętném roku 1846 dotąd świecącéj dla braku apostołów miłości. Został na zawsze starym kawalerem.

Przed wyjazdem Dziewoniów przybył do nich na pożegnanie Piruze, zostający wprawdzie w bardzo dobréj służbie, ale zawsze tęskniący za Żelisławem. Były „czibukczi“ Grądzkiego zaklinał Bartosza, by go zabrał z sobą do Polski.

— Prawda! pięknie w naszym kraju jak w raju — odpowiedział Dziewoń—ale ty nieboraku pamiętaj: że lepiéj ze swoimi płakać, niż z obcymi skakać!

Dwór Grądzkiego dotąd świeci nad Wisłą i jest przykładem dla Galicyan okolicznych. Dostatek i zgoda ciągle w nim panują, a największą pociechą na przyszłość są dzieci Kasi, światłe, pracowite, ludzkie. Miłość i postęp, okraszone barwą swojską, rozpływają się ztąd po obu brzegach Wisły, nawołując do jedności i cnoty.

*Sahi-bej.*

---

# Rodzina Łaskich w XVI wieku.

III.

## OLBRACHT ŁASKI

wojewoda sieradzki.

(*Dokończenie*).

Ucieczka Henryka tak wielkie i powszechne w całym kraju wywołała oburzenie, że ogólnie oczekiwano nowéj elekcyi w najbliższym czasie. Spodziewał jéj się Łaski; dla tego natychmiast zgłosił się i do cesarskiego posła w Krakowie Dudycza i przez inne osoby cesarzowi swoje usługi znów ofiarował. Bo chociaż niechęć szlachty do króla z rodu Habsburgów nie zmniejszyła się w niczem, ale teraz nie miano kogo mu przeciwstawić, prócz zawsze nieujętego Piasta. Piast słaby, zawsze dla Łaskiego był wstrętnym; wśród Piastowców zresztą przewodzili jego nieprzyjaciele. Teraz więc jedynie i wyłącznie syn cesarski przedstawiał dla niego istotną siłę, byle jéj nie brakło znowu energii i stanowczości. Do niéj téż, do szybkiego działania, znów jak dawniéj zagrzewał nasz Olbracht i Dudycza zrazu zupełnie dla swoich planów pozyskał. Radził Dudycz cesarzowi go użyć, radził nawet przyjąć jego warunki, chociaż nieco ich wysokością przestraszony. Bo naturalnie i teraz Łaski warunki swoje stawiał; znów żądał hojnéj nagrody, takiéj saméj jak dawniéj: złotego runa, starostwa spiskiego, wykupu dóbr z zastawu, przedewszystkiém gotówki na zbrojenia. Że potrzeba będzie nacisku użyć, żeby zapewnić powodzenie, o tém i teraz był przekonany, a przekonanie to podzielał Dudycz najzupełniéj i pragnął Łaskiego na czele zbrojeń postawić.

Zresztą niezasypiał Łaski sam sprawy, żeby swoje znaczenie wielkie jeszcze bardziéj pomnożyć i podnieść. Obojętném mu było

co tam radzą sejmiki, co uchwali konwokacya powszechna o porządku i bezpieczeństwie kraju. On korzystał z ogólnego roztargnienia, żeby dostać w moc swoją osobistych nieprzyjaciół najeżdżając ich w domu, żeby nic z tego nie uronić, co mu już nadał król zbiegły, który lada chwila mógł przestać być królem. Zwłaszcza że Henryk rozszafowawszy wszystkiém, czém mógł dowolnie szafować, rozdawał i takie królewszczyzny, których nie miał w swéj mocy. Tak jeszcze wśród sejmu koronacyjnego mianował Łaskiego starostą lanckorońskim (1), zostawiając własnéj jego przemyślności, jak się z obecnym starostą potrafi o to ułożyć. Teraz, gdy ten starosta, Zygmunt Wolski, umarł, nasz Olbracht niezwłocznie zajął włości starostwa i samą Lanckoronę zdobył przemocą, 11 sierpnia 1574 r., nie pytając o prawa wdowy po Wolskim. Zamek ten warowny, na drodze z krajów cesarskich do Krakowa, mógł doskonale posłużyć, gdyby przyszło tamtędy prowadzić arcyksięcia do stolicy. Było jednak rzeczą wątpliwą, czy Łaski użyje go w tym celu.

Cesarz bowiem Maksymilian przyjął obecne ofiary Łaskiego dość chłodno, o użyciu przemocy lub nacisku ani chciał słuchać. Zwlekał znów z odpowiedzią stanowczą; tymczasem konwokacya (Łaski się tam nie pokazał) postanowiła, żeby czekać na Henryka przez kilka dalszych miesięcy. Ochłódł więc i Łaski znacznie i znów się na Henryka począł oglądać, zwłaszcza że nuncyusz papieski— z tym Łaski jak dawniéj z Commendonem ciągle był najściślejszych stosunkach—pragnął dalszego królowania Henryka. Łaski wracał do dawniejszego systemu; na obie strony utrzymywał stosunki; od cesarza brał jakąś sumę pieniężną, którą wypłacić cesarz się w końcu zdecydował; do Henryka posyłał równocześnie i brał od niego nowe nadanie starostwa warszawskiego i kasztelanii krakowskiéj, która świeżo zawakowała.

Chociaż mu jednak Hozyusz z Rzymu winszował téj najwyższéj świeckiéj godności, nie popisywał się z nią Łaski ani nie używał tytułu. Nie chciał drażnić bardziéj szlachty krakowskiéj, przeważnie protestanckiéj, która wdowę po Wolskim brała w obronę, którą zburzenie zboru kalwińskiego w Krakowie—ludzie Łaskiego wzięli w tém udział—jeszcze bardziéj na wojewodę sieradzkiego rozjątrzyło. Wojewoda i starosta krakowski, Piotr Zborowski; zdawna Łaskiemu niechętny, gotów był egzekwować postanowienie war-

---

(1) Że Henryk istotnie nadał Łaskiemu Lanckoronę przed ucieczką, o tém wątpić nie można, odkąd p. Kraushar znalazł w Metryce kor. sam akt nadania, II, 21; w tym punkcie należy więc sprostować to, co o tém dawniéj powiedziałem, „Po ucieczce Henryka“ 183.

szawskie na gwałcicieli pokoju. Z Warszawy wezwano już Łaskiego, aby Lanckoronę wdowie po Wolskim wydał.

Ta sprawa o Lanckoronę na kilka miesięcy zaprzątnęła całą uwagę i działalność Łaskiego. Ustąpić—znaczyło to dla niego przyznać się do słabości, podać się w pośmiewisko, cały wpływ stracić. Wszystkie więc siły wytężył, żeby usiłowania protestantów małopolskich nie osięgnęły skutku. Gotów choćby przemocą utrzymać, co raz przemocą opanował, umocnił się i uzbroił na zamku; dobry pan dla swych poddanych, wszędzie u podwładnych niezmiernie popularny i kochany, lud wiejski sobie pozyskał, że się wojny chłopskiéj poczynano już lękać, gdyby do wyprawy przyjść miało. Wszędzie sprzyjali mu katolicy, własne województwo sieradzkie oświadczyło się za nim wyraźnie i urzędowo. Poprobowano jeszcze układów, ale kiedy się nie powiodły, to choć Zborowski powołał szlachtę pod broń uniwersałami, wyprawy się szlachta ulękła. Po dwakroć ją odkładano; przez to znaczenie Łaskiego urosło niepospolicie.

Tylko cesarz, którego Łaski w chwili niebezpieczeństwa błagał o pomoc, o pozwolenie na zbrojne w Węgrzech zaciągi, odmówił wszelkiéj interwencyi. Za to Łaski téż przez czas jakiś trzymał się gniewny zdala: znów go niemal za straconego uważano. Ale nie trwało to długo, gdy się zaczęto o odzyskanie jego starać. Bo i gdzież się miał naprawdę obrócić? Z każdym dniem zbliżał się termin nowéj elekcyi, malała nadzieja powrotu Henryka, a innego poważnego kandydata do korony nie było. Więc Łaski jeszcze raz wiązał się z cesarzem, gdy Maksymilian przyjął jego warunki i dawniejsze i nowe, tj. przyrzekł mu jeszcze i kasztelanią krakowską i hetmaństwo właśnie wakujące i pensyą dożywotnią; gdy mu nareszcie wypłacił nowy zasiłek pieniężny. Za te pieniądze zgromadził Łaski orszak zbrojny, z którym ruszył na stężycki sejm elekcyjny.

Jak wiadomo, do Stężycy przybyli zbrojno inni również stronnicy kandydatury austryackiéj. Nigdy nie stała ona tak mocno, nigdy nie była tak blizką powodzenia. Że i teraz, po secesyi rycerstwa, nie ośmielono się na krok stanowczy, to musiało Łaskiego bardzo zniechęcić. Ale niesłusznie posądzano go znowu o zmienność. Może się i wdawał z posłami ks. Ferrary lub Batorego, jak go o to Dudycz podejrzywał: ale chyba tylko po to jedynie, żeby od nich coś pieniędzy wyłudzić. Bo w tém, jakby przyjść do pieniędzy, nigdy sobie nie robił żadnego skrupułu. Naprawdę jednak ani o dalekim i słabym choć bogatym książęciu włoskim nie mógł myśleć, ani tém mniéj o wojewodzie Siedmiogrodzkim, podległym zwierzchności Turków, z którymi walczyć kiedyś uważał Łaski za

swego życia cel i zadanie. Teraz zniknęła nadzieja wszelka Mołdawii; tylko zdobyć ją mógłby w wojnie, którą elekcya habsburska musiałaby sprowadzić. Za tą więc stał wytrwale tém bardziéj, że skoro Henryk stał się już zgoła niemożebnym, to i papież i nuncyusz i biskupi i całe duchowieństwo elekcyi takiéj pragnęli.

Zgodnie z życzeniem cesarskiem Łaski przemawiał na sejmie elekcyjnym w Warszawie za arcyks. Ernestem, lecz i za jego małżeństwem z infantką Anną, bo wiedział on doskonale, jaką infantka przedstawia siłę. Zgodził się zresztą na wybór samego cesarza, kiedy się okazało, że do tego łatwiéj się wielu senatorów nakłania. Chciał Łaski elekcyi jednomyślnéj; kilkakrotnie przemawiał wysyłany przez senat do szlachty, która znów secesyi dokonała, wiodąc ją do powrotu i zgody. Ale przewidując, że jednomyślności nie będzie, przygotowany był do zwalczenia opornych. Jego więc nie ustraszyło, że szlachta mimo dokonanéj już przez prymasa i senat z garstką szlachty elekcyi cesarza, Annę z Stefanem obrała. Zgniecenia przeciwników owszem pragnął, byleby cesarz potrzebnych sił w pieniądzach i ludziach dostarczył. Żeby go do tego nakłonić, znów pędził Łaski przodem do cesarza, znów stanął w Wiedniu pierwszy z całego poselstwa, na którego czele postawiono go i teraz, jak po elekcyi Henryka.

Pośpiech ten miał obecnie inne niż wtedy znaczenie. Wówczas chodziło mu tylko o śpieszne upewnienie się co do przyrzeczonéj nagrody; teraz od pośpiechu zawisł cały skutek elekcyi cesarza.

Na sejmie elekcyjnym w Warszawie zgromadziła się szlachta niechętna królowi habsburskiemu o wiele liczniéj niż w Stężycy, ale było tu jéj nierównie mniéj niż przy elekcyi Henryka. Wielu trzymało się jeszcze zdala, do żadnéj nie liczyło się partyi; tych neutralnych na pewno zyskiwał ten z obu wybranych królów, któryby wprzód się ukazał i wprzód został koronowany. Pod tym względem cesarz miał z góry przewagę, bo Wiedeń nierównie bliższym był Krakowa niż rezydencya Stefana. Za cesarzem stała cała Litwa i całe Prusy; w Krakowie, dokąd Dudycz prosto z elekcyi podążył, oddane mu było mieszczaństwo, kapituła i całe duchowieństwo, uniwersytet z rzeszą studentów. A choć na zamku władał wojewoda starosta Piotr Zborowski, naczelnik Batoryanów, za to na Gródku siedział kasztelan czechowski Stanisław Tarnowski, wierny stronnik cesarski, zbroił się tam i ztamtąd mógł zamek opanować. Cesarz mógł go łatwo poprzeć ze swoich krajów; przez Lanckoronę w mocy Łaskiego dostęp ztamtąd był otwarty. Trzeba było tylko, żeby cesarz śpiesznie oświadczył, że koronę przyjmuje i potrzebne ku objęciu rządów poczynił kroki.

To ułożono w Warszawie z posłami cesarskimi. Stanęło, że należy stronnikom cesarskim jak najwięcéj szlachty trzymać na żołdzie, wyznaczono przewodników, którzyby się tém zajęli; Łaski miał naczelną nad wszystkimi objąć komendę. Stanęło, że spółcześnie powinien cesarz i za granicą zbroić i czynić wojskowe demonstracye, że do tegoż samego trzeba mu nakłonić przyjaznych książąt, elektorów saskiego i brandeburskiego.

Ułożono wszystko doskonale, ale bez wiadomości cesarza, poniekąd przekraczając jego instrukcye. Chciano niejako faktem dokonanym wprowadzić go w położenie przymusowe, bo wiedziano, jak mu zawsze brakuje energii i stanowczości. Do zatwierdzenia tego co ułożono cesarza przynaglić, do wykonania pobudzić—to było zadanie poselstwa, które jechało z ofiarą korony. Na to potrzeba było całéj wymowy Łaskiego—dla tego tak śpieszył szybko do Wiednia.

Cesarz się wiadomością o swéj elekcyi uradował niezmiernie, odżył i aż odmłodniał. Ale zmniejszyła się bardzo ta uciecha na wiadomość, że przeciwnicy także wybrali innego króla a więcéj jeszcze, gdy nadszedł list od nich z ostrzeżeniem, że na wszystko się wprzód narażą, nim uznają elekcyą cesarza za prawną. A kiedy nadjechał Łaski i poselstwo polskie, to je przyjął cesarz zaszczytnie, z podzięką, ale wejrzawszy w przywiezione warunki, nie śpieszył wcale z oświadczeniem, że koronę przyjmuje. Zawsze sumienny, niezmierne uczuł skrupuły, czy może takie warunki zaprzysiądz.

Warunek, że cesarz jako król polski ma w Polsce przez dłuższy czas przebywać, a potém tylko na krótko za zezwoleniem stanów z kraju się wydalać, wydawał się Maksymilianowi zgoła niemożebnym do wykonania. Warunek, że za życia króla nie wolno wybierać jego następcy, odbierał całą prawie wartość korony polskiéj dla cesarza. Bo dla siebie jéj nie pragnął wcale i dla tego tylko na własny wybór przystał, żeby samemu dopilnować elekcyi syna w najbliższym czasie. Nie mógł pojąć, po co Ernest, skoro go nie wybrano, ma zaślubić starą infantkę. Nie ufał zapewnieniom niektórych posłów, że tamto da się odmienić, gdy cesarz sam się w Polsce ustali, że to małżeństwo Ernestowi najlepiéj drogę do korony uściele. Było to wszystko co najmniéj wątpliwe; pewniejszą daleko zdawała się wojna z Turkami, którą przyjęcie korony polskiéj sprowadzić mogło. Wojna ta mogła łatwo wielkie przynieść straty na Węgrzech; czy w Polsce przy rozdwojonéj elekcyi, przy zawziętości przeciwników, da się co zyskać, to było wielkie pytanie. Cesarz się lękał, że wielkie poniosłszy ofiary i znaczny koszt podjąwszy w końcu Polski nie otrzyma a Węgry straci.

Zgodnie więc z swoją naturą zaczął się Maksymilian radzić na wszystkie strony, informować, nakłaniać do zgody: własną decyzyę odwlekał.

Słał cesarz listy i do swych wyborców i do swych przeciwników w Polsce, odwodząc ich od oporu, przekonywając o prawności swojéj elekcyi. Słał nawet posłów i do Polski na zjazd przez Batorowców zwołany, i do Batorego, żeby go od przyjęcia korony odwieść. Odpowiedzi, które zewsząd odbierał, sprowadzały nowe wahania i nowe namysły. Niecierpliwili się posłowie polscy w Wiedniu; niecierpliwił się najbardziéj ich naczelnik, nasz Łaski, że jego przedstawienia i cała jego wymowa żadnego nie odnosi skutku. Niecierpliwili się i stronnicy cesarscy w Polsce, zagrożeni przez przeciwników, a niepewni ciągle, co cesarz pocznie. Szły z Polski wciąż do Wiednia prośby, skargi i żale na to ociąganie; niektórzy zaklinali, żeby cesarz już raz lepiéj wyraźnie odrzucił ofiarowaną mu koronę zamiast ich dłużéj trzymać w zawieszeniu i niebezpieczeństwie, nie dając żadnéj mi pomocy. Ale i na to trzeba było pewnéj energii żeby się zrzec celu tylu i tak dawnych zabiegów. Chociaż więc cesarz przez chwilę istotnie się ku temu nakłaniał w obec rosnących trudności, zdobyć się jednak nie mógł na taką rezygnacyą. Przemogły w końcu błagania posłów polskich, przemógł wzgląd na hańbę domu habsburskiego, gdyby się przed lennikiem tureckim cofnął. Zapewniano cesarza, że wojny w żadnym razie nieuniknie; że jeśli on jéj teraz o Polskę ze Stefanem nie podejmie, Stefan, gdy się ustali, sam ją z pomocą Turków o Węgry z nim rozpocznie.

W końcu więc, 23 marca 1576 r., przyjął cesarz uroczyście koronę polską i pakta mu podane zaprzysiągł; do Polski się jednak jeszcze i teraz nie wybierał. Na sejm zwołany przez prymasa do Warszawy (na 9 kwietnia) mieli tylko jechać posłowie od cesarza, z pieniędzmi na potrzebne zbrojenia, lecz i z nowemi propozycyami zgody. Cesarz się chciał zrzec korony na rzecz syna, któryby zaślubiwszy infantkę wybraną przez przeciwników razem z nią w Polsce panował.

Przed dwoma miesiącami decyzya cesarza mogła mieć jakieś znaczenie. Teraz przychodziła zapóźno. Bo kiedy on się namyślał i naradzał, przeciwnicy działali. Zjazd jędrzejowski potwierdził wybór Stefana, ztamtąd zbrojno ruszono do Krakowa, kapitułę, mieszczan i uniwersytet zmuszono do uległości. Dudycz i Tarnowski, niepoparci przez cesarza, nie śmieli stawić oporu; znaglono ich do opuszczenia stolicy. Przybyła do Krakowa infantka, przybył poseł Stefana z wiadomością, że już wyrusza w drogę. Zbrojno tu czekać

na niego postanowiono. Widząc tę energię, neutralni garnęli się do Batorowców, cezaryanie nie śmieli w niczém przeszkadzać, niepewni, co cesarz postanowi. Na sejm łowicki, który prymas w marcu zgromadził, nikt prawie się nie stawił; musiano nowy sejm do Warszawy powołać. Ale gdy się ten sejm teraz poczynał, już Stefan był w granicach Polski.

W takich warunkach nie łatwo mogli coś sprawić na ten sejm warszawski wysłani posłowie od cesarza. Z nimi wracali, oprócz trzech, i posłowie polscy do Wiednia, wracał i Łaski ich naczelnik, wziąwszy od cesarza pieniędzy na zbrojenia. Łaski z Wiednia z niepokojem wciąż się na Polskę oglądał; przez swoich szpiegów z pobliskiéj Lanckorony wiedział o wszystkiem, co się działo w Krakowie, sam nawet podobno na chwilę wybiegł z Wiednia do Łaska, czyniąc tam przygotowania i utrzymując Sieradzan w wierności dla cesarza. Teraz zjechał do Warszawy po swój udział z tych 100,000 zł., które cesarz na podtrzymywanie swojéj sprawy przeznaczył. Posłowie nie mieli jednak gotówki; ułożywszy ze stanami w Warszawie, kto i wiele ma z téj sumy otrzymać, po wypłatę odsyłali do kamery śląskiéj. Ale tutaj nie było dosyć zapasów; asygnaty posłów z Warszawy tracily więc na walorze, trzeba było do samego cesarza znowu oddzielnie się uciekać. Do cesarza słano i z sejmu: wszyscy się tam zgodzili, że niezwłoczny przyjazd cesarza do Polski jest koniecznym, jeśli nie chce utracić reszty stronników. Jechał jeden z posłów cesarskich do niego, żeby mu tę konieczność wytłómaczyć. Prymas zaś nowy sejm (na czerwiec) złożył znów do Warszawy.

Teraz jednak, gdy Stefan już był w Krakowie, gdy go tam koronowano królem, gdy infantkę zaślubił, wojna z nim była nieuniknioną. Wdać się w nią, ściągnąć tém na siebie Turków, nieśmiał cesarz bez pomocy rzeszy niemieckiéj. Na sejm rzeszy jechał więc do Ratyzbony i od Polski się jeszcze bardziéj oddalał. Naturalnie, odbierało to resztę otuchy tym, którzy w Polsce za jego sprawę się zbroili, jak Tarnowski, Secygniowski, nasz Łaski. Wojewoda sieradzki wystawiony był na pierwszy ogień. Król Stefan nie mógł zostawić w jego ręku Lanckorony tuż pod bokiem Krakowa, groźnéj tembardziéj, że Stefan miał stolicę opuścić, bo się sam zbrojno na sejm przeciwników do Warszawy wybierał, aby ich zmusić do uległości.

Zaraz po koronacyi wzywał król (4 maja) listem swoim Łaskiego, aby wciągu czterech tygodni stawił się przed nim i poddał; zarazem groził całym rygorem uchwał jędrzejowskich, które opornych za buntowników i zdrajców uznawały, a których wykonania

domagali się po koronacyi posłowie. A gdy Łaski zbrojeń nie przestał, choć z trwogą słał do cesarza i do jego posłów w Warszawie o pomoc dla zagrożonéj Lanckorony, Stefan nie czekał aż upłyną 4 tygodnie. Zamek zaś lanckoroński, dość silny, aby zastraszyć pospolite ruszenie szlachty krakowskiéj, nie mógł się obronić węgierskiéj piechocie Stefana, która go zewsząd obległa. Przez parę dni z dział go ostrzeliwano; komendant nie chciał doczekać szturmu i poddał się oblegającym (22 maja). Stefan mógł bez obawy pociągnąć ku Warszawie, nikt mu się już nie śmiał dłużéj opierać; i prymas przybył do króla oświadczyć swe uznanie. Garstka tych, którzy nie chcieli mu się poddać, ustępować musiała za granicę, w ślad za posłami cesarskiemi, którzy dotąd jeszcze na ów sejm warszawski u prymasa w Łowiczu czekali, a których teraz wraz z nuncyuszem papieskim Stefan do granicy odprowadzić rozkazał.

Wśród tych chroniących się za granicą (w końcu czerwca czy początku lipca) znajdował się i nasz Łaski. Poddawszy się mógłby zyskać Stefana przebaczenie, ale nie mógł żadnéj od niego oczekiwać nagrody. U Stefana znaczyli jeszcze wszystko Zborowscy, autorowie jego elekcyi. Upokorzyć się przed swymi rywalami, przed tym „sługą tureckim,“ jak Stefana nazywali cezaryanie, nie chciał na żaden sposób; jeszcze nie wszystko zdawało się stracone. Cesarz z Ratyzbony wzbronił kamerze szląskiéj dalszych wypłat polskim stronnikom swoim, skoro z nich już wielu uznało królem Stefana; ratując pozory pozwolił im, aby się akomodowali okolicznościom (t. j. poddawali królowi faktycznemu); ale zarazem donosił, że niczego w najbliższym czasie nie zaniedba, aby swéj sprawiedliwéj sprawy dochodzić, aby na to znaleźć potrzebne środki. I rzeczywiście, choć poniewczasie, czynił zbrojenia w Niemczech; księcia Adolfa Holsztyńskiego brał na swój żołd i kilka tysięcy zbrojnych trzymać w pogotowiu mu nakazywał; u papieża się o pomoc pieniężną starał, od sejmu Rzeszy poparcia oczekiwał. Stały jeszcze przy cesarzu Prusy i Litwa; cesarz przyrzekał posłać tam z wojskiem syna swego Ernesta, gdy te kraje formalnie tego zażądają. Z Polski zaś donoszono, że Stefan słaby, że wielu już z niego niezadowolonych; zapewniano, że nietrudnoby było go zwalczyć. Położenie przypominało łudząco stan rzeczy w Węgrzech przed pół wiekiem. Mniemano, że jak wtedy Zapolya łatwo zyskawszy tron jeszcze prędzéj go potém na rzecz Ferdynanda utracił, tak teraz Batory bez trudności przez Maksymiliana będzie wyparty, skoro się raz wreszcie cesarz z wojskiem w Polsce ukaże. W siłę Stefana opartego na szlachcie, lecz któremu niechętni są panowie i biskupi, Łaski nie mógł uwierzyć; siłę zawsze jeszcze widział w cesarzu.

Ustępując do Pragi, do króla Rudolfa, skąd się miał do cesarza do Ratyzbony udać, Łaski do bezwzględnego naglił działania. Bawili już w Ratyzbonie posłowie polscy z sejmu koronacyjnego na sejm Rzeszy wysłani. Z nimi był blizki Olbrachta krewniak, Samuel Łaski, syn reformatora Jana. Słali go posłowie gdzieś z listami; Olbracht radził Rudolfowi, aby go kazał pochwycić i listy przejrzał, zkąd się o zamysłach posłów dowie niewątpliwie. Poprzednio już radził przez swego sekretarza, aby nawet jednego z posłów samych, Solikowskiego, uwięzić. Cesarz Maksymilian, któremu syn donosił o téj radzie, zabronił takiego pogwałcenia prawa narodów (1), ale gorliwość Łaskiego uznawał i chętnie go w Ratyzbonie powitał. A gdy cesarz przyjmował owych posłów, Łaski stał przy boku cesarza, jako żywy dowód, że nie wszyscy Polacy jednomyślnie trzymają ze Stefanem, jak to posłowie zapewniali, tém Maksymiliana od wszelkiéj interwencyi chcąc odwieść.

Wogóle w Ratyzbonie wszędzie znaczną odgrywał rolę Łaski, najdostojniejszy między tą garstką Polaków, która w cesarzu swe nadzieje złożyła. W odpowiedzi na poselstwo, które Maksymilian jesienią 1575 r. wysyłał był do Moskwy, zjechali na sejm Rzeszy wielcy posłowie od Iwana Groźnego. W związki te cesarz wdał się z powodu sprawy polskiéj, przy podejmowaniu więc posłów Iwanowych wszędzie Łaski miał pierwsze miejsce i robił im honory w imieniu cesarza. W zgodzie i przymierzu z Iwanem wojna z Turcyą o Polskę nie zdawała się straszną; żeby tę wojnę cesarz podjął, do tego wiedli go najusilniéj polscy emigranci i przedstawiali jéj korzyści, niemal konieczność. Słał Łaski listy do Gdańszczan, obiecując im rychłą pomoc, nawet swoje przybycie. Kto wie, czy istotnie nie posłanoby pomocy od cesarza temu jedynemu już miastu, które się jeszcze opierało Stefanowi; kto wie, czyby do krwawéj wojny jeszcze między Stefanem a cesarzem nie przyszło. Cesarz do tego stany Rzeszy nakłaniał, a chociaż się jeszcze wahały, uchwalono przynajmniéj wielkie poselstwo do Iwana, które tam od Rzeszy miało się udać.

Ale śmierć cesarza Maksymiliana (12-go października 1576 r.) położyła kres wszystkim nadziejom czy obawom. Syn i następca Maksymiliana Rudolf nie miał żadnéj podstawy prawnéj do interwencyi w Polsce, bo wszelkie prawne skutki elekcyi Maksymiliana zgasły z jego śmiercią. Rudolf pełen trwogi o Węgry, pragnął zgody ze Stefanem jak najprędzéj. Powstrzymywać go musieli przy-

---

(1) Następne uwięzienie posłów, gdy powracali już ze swéj misyi, było pomstą za to, że stronnicy Stefana ujęli wysłańca cesarskiego do Gdańszczan Kurzbacha.

jaźni książęta niemieccy, żeby zbyt nagłem staraniem o przyjaźń z rywalem ojca nie skompromitował swojéj godności (1).

Dla Olbrachta Łaskiego śmierć cesarza Maksymiliana była formalną katastrofą, upadkiem okropnym i zupełnym. Skończyła się dotychczasowa świetność, przepadła wybitna rola, zginął niepowrotnie ten wpływ ogromny, który każdemu się z nim liczyć, każdemu pragnąć nakazywał, żeby go mieć po sobie. Wpływ ten swój i swoje całe stanowisko oddawna już rozrzutny wojewoda sam podkopał; oddawna zadłużył się, zrujnował, jedném słowem stał się, jak go Dudycz nazywał, desperatem. Tylko hojna nagroda, tylko opieka króla, któryby przez niego tron posiadł, mogły go nadal na stanowisku dotychczasowém utrzymać; teraz więc, gdy zniknęła wszelka takiego króla możliwość, dla Łaskiego wszystko przepadło. Nie było już nikogo, coby go przed ruiną materyalną zasłonił. Naczelnikiem stronnictwa, osobistością znaczącą i wpływową jak dawniéj, przestał być odtąd nazawsze, chociaż żył jeszcze długie lata i późnéj starości się doczekał.

Trzeba sobie dokładnie zdawać sprawę z téj wielkiéj zmiany, jaka zaszła w stanowisku Łaskiego, z całéj doniosłości téj katastrofy, jaką dla niego była śmierć obranego królem polskim cesarza, żeby zrozumieć dalsze Łaskiego życie i sprawy. Ta zmiana tłómaczy nam zarazem, dla czego odtąd o nim o wiele mniéj mamy wiadomości, dla czego tylko niekiedy, po przerwach nieraz kilkoletnich, można coś o nim posłyszeć.

Naturalnie, sam przed sobą nie chciał się odrazu do zupełnego upadku przyznać, nie chciał mu się bezbronnie poddać. Ufał jeszcze w swoje zdolności i talenta, szukał sposobów, jakby się mógł podźwignąć. Przez lat kilka robi w tym celu coraz to nowe, rozpaczliwe prawie wysiłki, wpada na pomysły niekiedy fantastyczne. Ale dość długo nic mu się nie udaje, usiłowania wszystkie zawodzą, jeszcze go niżéj nawet sprowadzają. Dopiero w końcu, kiedy się z losem swoim pogodził, kiedy się wszelkiéj roli samoistnéj wyrzekł zupełnie—dopiero wtedy, przy boku innych przywódców, pod ich kierunkiem i opieką, w ich usługach, zdobywa sobie wreszcie jakieś cokolwiek znośniejsze stanowisko, odzyskuje cząstkę daw-

(1) Nie przytaczam po szczególe źródeł, na których się opiera tu podane streszczenie dziejów Polski wogóle a Ol. Łaskiego w szczególności od wyjazdu Henryka do śmierci Maksymiliana; aż do czasu niezgodnéj elekcyi, w grudniu 1575 r., znajdzie dokładne cytaty ciekawy ich czytelnik w mojéj książce: „Po ucieczce Henryka"; historyą zaś początków Stefana w podobny sposób opracuję szczegółowo w książce obszerniejszych rozmiarów.

nego znaczenia, lecz tylko cząstkę drobną, słaby odblask minionéj dawno świetności.

Najprzód nastąpiło czteroletnie z okładem dobrowolne Łaskiego z Polski wygnanie. Nie uznano go tam wprawdzie zdrajcą, jak groził Stefan, nie pozbawiono nawet wojewodzińskiéj godności; ale upokorzyć się przed zwycięzkim nienawistnym mu królem, wrócić jako pokonany i bankrut do kraju, gdzie dotąd błyszczał i przewodził — na to się jeszcze nasz Olbracht zdobyć nie mógł. Nie chciał się zresztą jeszcze zrzec swéj wieczystéj chęci do wojny z Turkami, do czego w Polsce teraz żadnéj nie było możności, skoro Stefan był Turków sprzymierzeńcem. Sądził Łaski, że do tego może jeszcze znaleść gdzieindziéj sposobność.

Po wielkiém owém poselstwie od Iwana Groźnego do cesarza i Rzeszy, nadbiegł niebawem znowu do Ratysbony goniec carski z listami, z wezwaniem, aby się do wojny ze Stefanem sposobić. Maksymiliana już nie zastał przy życiu, cesarz Rudolf dał wymijającą odpowiedź; za to do gońca zgłosił się Olbracht Łaski i dał mu list do cara. Jakie tam czynił propozycye—nie wiadomo: tyle tylko widoczna, że chciał od cara paszportu i listów bezpieczeństwa, że się więc jechać do Moskwy wybierał. Trudno przypuścić, żeby się chciał po to udać do Iwana, aby mu służyć w wojnie przeciwko Stefanowi i Polsce. Prawdopodobniéj wciąż jeszcze majaczył Łaskiemu w myśli tron na Mołdawii, a więc wojna z Turkami, do któréj cesarz Rudolf żadnéj teraz nieokazywał skłonności. Prawdopodobnie widział Łaski w Iwanie Groźnym najmożniejszego Turków wroga; sami Turcy takim go uznawali. Rachował pewno, iż kto wie, czy się z Iwana pomocą nie uda jeszcze, czego ani przez wpływy Francyi, ani przez Austryą osięgnąć nie był w stanie. Mógłby tém wszystkie straty powetować i w nowym się ukazać blasku. Toć dawny Łaskiego sprzymierzeniec, kniaź Dymitr Wiśniowiecki, także już w służbie carskiéj ubijał się z Turkami, kiedy Polska była z nimi w pokoju; bodaj czy Łaski nie zamierzał pójść teraz za tym przykładem.

Iwan Groźny inaczéj ofiarę jego zrozumiał. Nowy w następnym roku (jesienią 1577) goniec do cesarza Rudolfa powiózł nowe do wojny ze Stefanem wezwanie, a do Łaskiego powiózł list z obietnicą hojnéj nagrody, jeśli cesarza do takiéj walki nakłoni, jeśli sam w niéj carowi będzie służył. Zaprosin do przyjazdu, żądanego paszportu goniec ze sobą nie przywiózł.

List Iwana nie zastał Łaskiego przy cesarzu. Zrazu, zdaje się, zamierzał wojewoda sieradzki doczekiwać na dworze cesarskim lub w pobliżu, jaka z Moskwy przyjdzie odpowiedź. Wkrótce obmierzł

mu dalszy pobyt w krajach cesarskich. Rudolf choć pilnie śledził wszystkie Stefana sprawy w Polsce, czynił to tylko dla tego, że go się lękał w Węgrzech. Wyzywać jego nieprzyjaźni ani myślał. Łaski więc był mu niepotrzebny i stał mu się ciężarem. Nie dbał cesarz o niego, ani myślał wywiązać się z obietnic Maksymiliana, o których wypełnienie Łaski daremnie kołatał. Przyszło naszemu Olbrachtowi doznawać niedostatku. W wielkiéj potrzebie, już w czerwcu 1577 r. z Pragi błagał usilnie Rudolfa, aby z przyrzeczonych 30,000 złp. przynajmniéj 6,000 wypłacić mu rozkazał, aby chociażby drobnym datkiem 300 talarów niezwłocznie go w biedzie poratował. Takim drobiazgiem gotów był na razie zadowolnić się potężny niedawno magnat, który nieomal szafował tronem! Kto wie, czy nawet to otrzymał.

Dłużéj znosić tak bolesnego poniżenia nie mógł więc Łaski. Czyżby istotnie żadnego już nie było dla niego ratunku? Nie miałże jeszcze uroczystych oświadczeń o przyjaźni weneckiéj, które mu Lipomano w Krakowie składał imieniem rzeczypospolitéj? Nie mógłże liczyć na przychylność papieża, o któréj mu niedawno Hozyusz ponownie zaręczał? Bo jak do Henryka po jego elekcyi królem polskim, tak i do cesarza Maksymiliana słał był z Rzymu kardynał, aby przeszkodzić przysiędze na konfederacyą o religii, którą i Maksymilianowi w paktach konwentach przedstawiono. Do pomocy się Łaskiego odwoływał, z nim ciągle korespondował, gdy Łaski na czele poselstwa w Wiedniu przy Maksymilianie przebywał nagląc o przyjęcie korony. I nie zawiódł Hozyusza nasz wojewoda: złożył wprawdzie cesarz jak dawniéj Henryk przysięgę na konfederacyą, ale jak w Paryżu, tak i w Wiedniu Łaski i któryś drugi z posłów protestowali uroczyście przeciwko téj przysiędze. Naturalnie o téj nowéj zasłudze swojéj wobec kościoła doniósł niezwłocznie Łaski we własnych listach do Rzymu, do papieża i do Hozyusza. Nowe mu tam zjednała uznanie, nowe dzięki od kardynała w imieniu własném i papieża (1).

Te to stosunki wyzyskać jechał Łaski (jesienią 1577 r.) do Włoch, zkąd nawet daléj się wybierał. Z Florencyi prosił cesarza, żeby mu listy polecające do króla hiszpańskiego, Filipa II, na ręce Hozyusza do Rzymu nadesłano. Przypuszczać trzeba, że cesarz tak tanim kosztem wiernemu ojca stronnikowi odwdzięczyć się nie zaniedbał. Ani wątpić, że Łaski znowu marzył o wojnie z Turkami, o wznowieniu ligi, o jakiémś dla siebie stanowisku znaczném

(1) Listy Hozyusza do Łaskiego z 8 lutego, 10 marca i 29 kwietnia 1576 roku znajdują się w MS. 61 Bibl. Jagiel.

w służbie któregobądź z jéj uczestników, papieża, Hiszpanii, czy Wenecyi, o wielkich czynach wojennych i głośnéj sławie. I w tém jednak doznał wkrótce zawodu i rozczarowania.

Czy dotarł do Hiszpanii istotnie? czy był przynajmniéj w Rzymie? — zgoła nic dotąd niewiadomo. Podróży do Hiszpanii pewno zaniechał, kiedy się wkrótce przekonał, że rachuby jego na złudnéj spoczywały podstawie. W téj chwili nikt nie myślał o wielkiéj wojnie tureckiéj, nikt do bohaterskich wysiłków za sprawę całego chrześciaństwa nie miał najmniejszéj ochoty, każdy o swoje najbliższe dbał tylko interesa. „Przypatrzyłem się światu, którym znał dawno, sprawom i obyczajom postronnym; ale, bracie, wszystko są ludzie!“ — pisał Łaski zniechęcony do przyjaciela w kraju, już jesienią 1578 r. z Wenecyi (1) — i dodawał: „a to się już do Polski wracam.“

Stefan bowiem, tak przez niego lekceważony, w odmienném mu się teraz ukazywał już świetle. Ustalił się w Polsce, wszędzie był i przez wszystkich uznany; pokonał Gdańszczan, do wojny z Iwanem Groźnym się sposobił; przedstawiał więc obecnie siłę. Siła, jak zawsze, wywierała magiczny urok na naszego Olbrachta. Ale chociaż się z myślą powrotu już oswajał, przychodziło mu jednak niezmiernie ciężko z twardą się koniecznością pogodzić. W niedostatku, brnąc daléj w długi, — bo kredytem trzeba było żyć na Włoszech, skoro nie znalazł tam zatrudnienia, — ociągał się jeszcze z podróżą do ojczystego kraju.

Jechał więc najprzód z Włoch do Wiednia i tu nowe na hipotekę Kiezmarku robił pożyczki. Ztąd udał się jeszcze do cesarza do Pragi, rozglądając się ciągle, jakby powrotu do Polski może jeszcze uniknąć. Tu, w Pradze (w październiku 1580 r.) znowu zastał gońca z Moskwy. Znów Iwan Groźny, nie mogąc się doczekać poselstwa cesarskiego, słał listy do Rudolfa i natarczywie go wzywał do wojny przeciwko Stefanowi. Ale teraz jeszcze obojętniéj wezwań słuchano. Przeszłoroczny zwycięzki pochód Stefana i zdobycie Połocka, rozwiały Iwana urok niezwyciężonéj, groźnéj potęgi. Z ciekawością zbiegali się urzędnicy i dworzanie cesarscy do gospody Iwanowego gońca, wypytując go nieustannie, jakże się to stać mogło, że jego pan, tak możny, doznaje klęsk tak dotkliwych.

I Łaski zgłosił się do gońca, był nawet u niego czas dłuższy, na obiedzie. Czy tylko z prostéj ciekawości? Zdawałoby się pra-

---

(1) List oryginalny do Jak. Marchkowskiego z 4 paźdz. z cytowanych już zbiorów w Dzikowie.

wie, że jeszcze teraz chciał się dowiedzieć, jak też przyjął Iwan jego ofiary, czego się po nim mógłby spodziewać. Zdawałoby się, że jeszcze może byłby się do Moskwy udał, gdyby mu ukazano jaką nadzieję wojny z Turkami, pozyskania Mołdawii. Oczywiście, taki list, jaki do niego Iwan pisał, jaki mu teraz dopiero, w trzy lata po napisaniu, doręczono, nie mógł go pociągnąć. Kto nie był zgoła pozbawiony (jak Krzysztof Zborowski) rozumu, zmysłu politycznego, ten musiał takie propozycye teraz odrzucić. Czy uczynił to nasz Olbracht tak szorstko i bezwzględnie, jak to w parę lat później sam opowiadał publicznie? Możnaby powątpiewać, skoro przecież nie Iwan mu się ze swemi ofiarami narzucał, lecz on sam, Łaski, pierwszy się zgłosił do cara; skoro nawet i teraz nie goniec go z listem szukał, lecz on sam do gońca się udawał.

Być może zresztą, że nie znalazłszy w liście, czego w nim pragnął, istotnie szorstko gońca odprawił. Być może, iż w ten sposób chciał sobie zjednać u Stefana zasługę, bo mógł się poszczycić, że mu czyniono korzystne ofiary, które ze wzgardą odtrącił. Teraz bowiem nakoniec zdecydował się ostatecznie: co tu o Stefanie usłyszał, tylko go zachęcić musiało do powrotu. Wnet nadeszła wiadomość o Wielkich Łuk zdobyciu i położyła koniec ostatnim Łaskiego wahaniom. Przed taką siłą, jaką był teraz Stefan, warto się było upokorzyć. Poddać mu się, uznać go śpieszył więc teraz do kraju, powracającemu z wyprawy na sejm królowi zabiegł drogę i razem z nim zjechał do Warszawy, rozmyślając już nad tém, jakby go sobie zjednać potrafił (1).

Teraz nie było to dla Łaskiego rzeczą łatwą. Wrócił zupełnym bankrutem, politycznie i materyalnie. Stefan przyjął go dosyć łaskawie, ale chłodno, z niedowierzaniem. Toć z listu Iwanowego,

(1) Do Iwana Groźnego pisał był Łaski w końcu października 1576 z Ratyzbony przez gońca Kacpra Iwanowa, który wrócił do cara 20 stycznia 1577, carską zaś odpowiedź z sierpnia t. r. przywiózł do Wiednia goniec Żdan Kwasznin w styczniu 1578, kiedy Łaski przebywał we Włoszech; bo udawszy się tam jesienią 1577, jeszcze w październiku 1578 był w Wenecyi. Doręczyć mu więc list cesarski mógł dopiero nowy goniec Afanasij Rjezanow, który był w Pradze u cesarza w październiku 1580. Prosta wzmianka w sprawozdaniu tego gońca (Pamiatniki dipłomaticzeskich snoszenij drewniej Rossii. I, 826), że Łaski jak inni „prijezżali k Ofanasiju za stoł“, czyni niezmiernie podejrzaném późniejsze opowiadanie Ł., jakoby gońcowi pogroził kijem i zjedzeniem listu. Wzmianka ta potwierdza zarazem (przeciwko Solikowskiemu i Bielskiemu) świadectwo L. Müllera, Septentrion. Histor. 13, że Łaski dopiero po zdobyciu W. Łuk wrócił na sejm do Polski; a że naprzeciw króla podążył (zapewne do Liwa) i razem z nim wjechał do Warszawy 18 stycznia 1581, to okazuje Dyaryusz sejmu z t. r. MS. 3705 Bibliot. Jagiellońskiéj.

który nasz Olbracht złożył królowi na dowód przyszłéj wierności, było aż nazbyt jasném, że on sam pierwszy ku carowi się dawniéj garnął. Trzeba było nieufność króla dopiero zwalczyć, trzeba go było ująć za serce. Król wciąż tylko o dalszéj walce marzył i myślał, jeszcze raz się w kraj nieprzyjacielski wybierał, a sejm po to tylko zgromadził, żeby tu nowe uchwalono pobory. Łaski trafiając w myśl królewską, zalecał téż usilnie, aby wojnę daléj prowadzić; przemawiał w radzie za tém, że koniecznie trzeba przyznać znaczne podatki, nakłaniał posłów, aby się wszyscy zgodzili na te, jakich król od nich żądał, radził podwyższyć kwartę, którą z dóbr koronnych starostowie płacili. To jednak nie wystarczało do zupełnego pozyskania króla, bo to czynili i inni senatorowie, choć nie wszyscy. Trzeba było jeszcze czegoś więcéj. Dawniéj byłby Łaski huf żołnierzy wystawił, boć zawsze stał na czele licznego orszaku zbrojnych. Teraz nie miał na to dość środków, ale miał dawną bujną fantazyą i obfitą w pomysły głowę. Stefan spodziewał się pod Pskowem zdobyć Inflanty, a Inflanty po to głównie chciał Iwanowi odebrać, żeby go zupełnie odciąć od morza. Tymczasem Iwan miał jeszcze inny do morza dostęp. Na dalekiéj północy, nad morzem Białem, powstał i rozwijał się już od jakiegoś czasu Archangielsk, przybywały tam angielskie statki kupieckie. I tę więc bramę do Europy carowi zawrzeć, ten rodzący się handel północny zniszczyć nasz Olbracht sobie umyślił; przez ocean Lodowaty zamierzał zrobić dywersyą, kiedy Stefan od zachodu kraje Iwana najedzie.

Plan był istotnie zuchwały i niezwykły, godny Łaskiego. Gdyby się powiódł, mógł mu dać nowy rozgłos i sławę, zjednałby mu z pewnością zupełną przychylność króla. Tylko na to potrzeba było floty, a floty Polska nie miała; Łaski ją stworzyć na ten cel postanowił z pomocą Danii i Szwecyi. Tu i tam słał z propozycyami, prosił o użyczenie potrzebnych na wyprawę okrętów. Król szwedzki Jan III, sam w wojnie z carem, okazywał istotnie skłonność, żeby dostarczyć statków, byle się znalazły fundusze na to przedsięwzięcie. Łaski zapewne spodziewał się pieniędzy dostać od Stefana: jak jednak król przyjął taki pomysł — znowu nic wiemy wcale. Rzecz bądź-co-bądź wymagała dłuższych przygotowań— tymczasem się wojna skończyła.

Nowy więc zawód spotkał wojewodę sieradzkiego. Roił o nadzwyczajnych przedsięwzięciach, lecz nie wziął w walce czynnego udziału, do nagrody zatém nie mógł sobie prawa rościć żadnego, pozostawał i nadal zrujnowanym bankrutem. Po wojnie przez rok cały (1582) głucho o nim zupełnie. Aż naraz, w roku następnym

(1583), ukazuje się na drugim końcu Europy, zjawia się w Anglii w takim blasku, z takim rozgłosem, że napozór zdawałoby się, to chwila najwyższéj jego świetności i chwały.

Co naszego Olbrachta mogło powieść do Anglii—zupełną jest dotąd zagadką. To pewna, że nie pojechał tam jako poseł, że nie miał żadnéj misyi urzędowéj; a ztąd trudno zrozumieć, po co on, tak gorliwy katolik, udał się do kraju nienawistnych mu heretyków, na dwór królowéj, która katolików angielskich srogo prześladowała teraz właśnie, a katolicką swą rywalkę więziła już oddawna. Pobudek téj podróży Łaskiego dociec nie sposób, można tylko robić domysły. Najprawdopodobniejszém się wydaje, że go tam poprowadziła niechęć do dłuższego w Polsce pobytu, to, że ze swojém nowém w kraju położeniem nie mógł się jeszcze oswoić, do podrzędnéj tu roli przyzwyczaić. Nie miał obecnie dość majątku, żeby w Polsce trzymać jak dawniéj liczny dwór, prowadzić życie wystawne; żyć w zapomnieniu, po cichu, jeszcze się nie nauczył. Dla oszczędności poniekąd wybrał się za granicę, do kraju, którego dotąd nieznał, gdzie nawzajem i jego jeszcze nie znano, choć pewno już posłyszano o nim. Niewielkim kosztem, kredytem, którego tu jeszcze nie nadwątlił, mógł tam czas jakiś żyć hucznie i głośno, jak do tego przywykł, jak zawsze pragnął.

Jeśli istotnie taki tylko był zamiar Łaskiego, to go tą razą nie spotkał zawód. Ów dziwny dar ujmowania sobie ludzi wszelkiego stanu, z jakiego słynął, posłużył mu w Anglii doskonale. Gość z odległego, mało znanego Anglikom kraju, który świeże zwycięztwa Stefana okryły głośną sławą, był już z góry przedmiotem uprzejméj ciekawości wszystkich. Zresztą imię Łaskiego nie obce było w Anglii. Był tam niegdy ojciec Olbrachta posłem od Jana Zapolyi, byli obaj jego stryjowie. Szczególniéj reformatora Jana musiało znać w Anglii wielu; z głównym ministrem Elżbiety, lordem Burleigh, łączyły go wcale bliskie stosunki jeszcze wtedy, gdy Burleigh dopiero jako Wiliam Cecil rozpoczynał swoją karyerę. Saméj królowéj Elżbiecie, zawsze próżnéj, zawsze jak wiadomo, żądnéj nadskakiwania i grzecznostek do najpóźniejszego wieku, nasz Olbracht, tak zręczny i układny dworak, umiał się przypodobać. Pochlebiało jéj to niezmiernie, że Łaski, jak ją zapewniał, przybywał z tak daleka jedynie po to, żeby ją ujrzeć, jéj wdzięki i jéj mądrość podziwiać. Od początku niezmierną mu okazywała uprzejmość, nawet, zawsze tak skąpa, hojną się dla niego chciała okazać. Ale Łaski odmówił darów królowéj; a odtąd już nikt nie wątpił, że to najszczersza prawda, co on o swych olbrzymich dostatkach rozpowiadał, o swym starożytnym i możnym rodzie, z którego już niejeden zasiadł na

tronie polskim, o tym niezmiernym majątku z mnóstwem miast i rozległych włości, który wziął z żoną w posagu. Więc każdy kupiec za zaszczyt sobie uważał, jeśli „książę polski Alasco“ raczył brać na kredyt jego towary; a panowie i korporacye za przykładem królowéj sadzili się jedni nad drugich, kto wspanialéj potrafi uczcić tak znakomitego cudzoziemca.

Z wyprawianych na cześć Łaskiego uroczystości najbardziéj zasłynęło przyjęcie go w Oksfordzie przez uniwersytet, nader zaszczytne, uświetnione dysputą filozoficzną Giordana Bruno. Łaski się wszystkiem interesował, każdemu potrafił szepnąć miłe słówko i każdemu dogodził; ale najciekawiéj dopytywał się o znakomitego dr. Dee, sławnego alchemika i astrologa, o którym rozpowiadano, że potrafi wyrabiać złoto (1). Złota istotnie potrzeba było wojewodzie sieradzkiemu bardzo; kto wie, czy kamień filozoficzny dr. Dee nie był istotnym powodem, że ku Anglii skierował swoje kroki, gdy dłużéj w kraju nie chciał żyć w poniżeniu.

Z wiadomości o tym dr. Dee widoczna, że nie był to bynajmniéj szalbierz ani szarlatan, ale istotnie uczony przyrodnik i astronom, a zarazem, jak inni ówcześni uczeni, alchemik i astrolog. Wierzył on szczerze w kamień filozoficzny i we wpływ gwiazd na losy ludzi; toć jak wiadomo i Kepler i Tyho de Brahe układali horoskopy w najlepszéj wierze, gdy inni znów szukali sposobu robienia złota. Że mu go wskażą jego duchy, tego był dr. Dee pewnym zupełnie; bo był on zarazem rodzajem spirytysty w dobréj wierze, choć jego medyum, Kelly, podobno téj dobréj wiary nadużywał. Łaski tę pożądaną znajomość zrobił wkrótce; obustronném było zadowolenie. On się spodziewał znaleść nareszcie złoto, Dee przekonany o niezmiernych bogactwach gościa ze wschodu, radował się z tak możnego protektora kosztownych eksperymentów. Duchy już przepowiadały Łaskiemu i koronę polską w przyszłości i ogromne zwycięztwa nad Turkami i nieśmiertelną sławę; przepowiadały także, iż on to kamień filozoficzny posiędzie. Ale tymczasem rosły długi nieustannie, wierzyciele się zaczynali niecierpliwić, lada dzień mogła nastąpić katastrofa. Po czterech miesiącach dowiedziano się naraz ze zdumieniem, że ów bogacz ze wschodu zniknął nagle cichaczem, zabrawszy z sobą alchemika i jego medyum, zostawiając natomiast wielką moc długów; że aż niektórzy z wierzycieli, wytrwalsi, do Polski gonili za swym zbiegiem.

---

(1) Sporo wiadomości o nim—według książki Anglika Mackay—podał w dodatku miesięcznym do „Czasu“ z r. 1859 (tom XVI, 133) Lach Szyrma: „Urywek z dziejów alchimii w 16 wieku.

Mimo smutnego zakończenia jego w Anglii pobytu, żywa pamięć świetnego gościa i uroczystych jego przyjmowań pozostała na długo w Anglii. W rocznikach panowania Elżbiety uwiecznił wspomnienie Łaskiego słynny jéj dziejopis Camden; zapisał je urzędowy historyograf uniwersytetu Oksfordzkiego. Ale co najważniejsza, w dziełach największego poety angielskiego bodaj czy nie rozbrzmiewa po dziś dzień odgłos tego zajęcia, jakie we wszystkich w Anglii nasz Olbracht wzbudzał podówczas. Jest rzeczą niemal pewną, że dla tego Szekspir tak często Polskę wspomina, ponieważ ciągle się z pamięcią o świetnym gościu z Polski spotykał; prawdopodobnie dla tego nazwą Polonius ochrzcił jedną z postaci wybitnych w Hamlecie, a nawet kto wie, czy to nie Łaski, wymowny samochwał, układny dworak i zadłużony po uszy golec, dostarczył wielkiemu dramaturgowi pojedyńczych rysów do postaci Don Armanda w „Straconych zachodach miłości“ (1).

Wojewoda sieradzki z pewnością nie wiele sobie robił z bolesnego zawodu swoich angielskich wierzycieli; oddawna już przywykł do tego, że gdziekolwiek czas jakiś pobył, ślad po sobie w ogromnych długach zostawił. Wiózł przynajmniéj do kraju nadzieję złota w osobie alchemika. Ale nim kamień filozoficzny zdążył odkryć, przepadły niepowrotnie te majętności, na których wykup z zastawu owo złoto miało posłużyć. Największe ze wszystkich dóbr Łaskiego, ojcowski Kiezmark na Spiżu węgierskim, oddawna już był w posiadaniu wierzycieli; jeden z zastawników drugiemu je oddawał, a Łaski od obu brał pieniądze. Dla tego to tak się upominał u cesarza, aby nadał mu jako król polski polską część Spiżu, starostwo 13 miast; sądził, że wtedy z zastawnikami, używszy z sąsiedztwa nacisku, potrafi się korzystnie ułożyć. Dla tego i Stefanowi, gdy go uznał, prośbę o starostwo spiskie powtórzył. A Stefan mu nie odmówił; nadanie tego starostwa może było zadatkiem nagrody, gdyby się wyprawa na morze Białe powiodła. Na razie dał król tylko goły na nie przywiléj. Praktycznego znaczenia to nie miało, skoro trzeba je było z rąk dotychczasowego posiadacza Maciejowskiego wydobyć. Probował nasz Łaski układów z Ma-

---

(1) Przypuszczenie to uczynił mimochodem Bartholmess, Jordano Bruno I, 117, nie wiedzieć na jakiéj podstawie, bo żaden z komentatorów Szekspira nic o tém nie wspomina. Do Londynu udał się wprawdzie Szekspir ze swego rodzinnego miasta Sratford dopiero w 2 lata później, ale może się przypatrzył O. Łaskiemu w czasie tegoż wędrówek po Anglii, zarzut zaś, który p. A. Sokołowski czyni przeciw identyfikowaniu Ł. z Armadem upada, bo słowa „o przypruszonych pyłem zapomnienia“ czynach są licencyą tłómacza; w oryginale ich niema. Zresztą o Sz. i Polsce zobacz artykuł hr. K. Stadnickiego w Przeglądzie Lwowskim (1873, IV, str. 77): „Czy Szekspir znał Polskę.“

ciejowskim, ofiarował mu w zamian za Spiż jakąś resztkę swoich dóbr na Wołyniu: układ, jak się zdaje, nie dał się wykonać, może dla tego, że do owych dóbr także inni wierzyciele mieli wcześniejsze prawo. Dosyć, że Łaski w posiadanie starostwa spiskiego nigdy nie wszedł (1). A tymczasem nadszedł już ostatni termin do wykupu Kiezmarku. Licząc na przywiązanie mieszczan, stanął Łaski sam (w końcu kwietnia 1584 r.) wśród nich niespodzianie; i byłby może zajazdem wyparł z zamku niedogodnego zastawnika, gdyby nie śpieszna interwencya władz cesarskich na Węgrzech, popartych siłą zbrojną. Przed przemocą musiał Łaski ustąpić; dla niego Kiezmark był już stracony ostatecznie, choć się jeszcze spierali zastawnicy pomiędzy sobą, zanim się w końcu utrzymał przy tych dobrach Tökely. Naszemu Olbrachtowi pozostał już tylko jeden Łaski mnóstwo długów, bez nadziei ich spłaty. Nawet z alchemikami bowiem trzeba się było rozstać, skoro zabrakło środków na dalsze poszukiwania.

Była to dla Łaskiego najcięższa chwila. Tak nisko jeszcze nigdy dotąd nie upadł. Teraz był zupełnym chudopachołkiem. Ale też teraz nastąpiło nareszcie przesilenie; odtąd to zaczyna się powoli dźwigać do góry, aż dożył téj większéj choć miernéj pomyślności, któréj miał jeszcze raz doświadczyć.

Za powrotem z dobrowolnego wygnania uznał był Łaski królem Stefana i poddał mu się, wychwalał na sejmie jego zasługi, dziękował Zamojskiemu za podjęte na wojnie trudy. Ale niedoznawszy takiego jak pragnął przyjęcia, trzymał się od obu dosyć zdaleka i oddać się im zupełnie nie chciał. Nie mógł jeszcze zapomnieć, że on trząsł prawie całą Polską już wtedy, kiedy Zamojskiego nikt nie znał, nie chciał się przed nim ugiąć i upokorzyć, wolał raz jeszcze kraj opuścić i do Anglii pojechał. Dopiero teraz, po ostatnich niepowodzeniach, zwalczył w sobie resztę dawnéj ambicyi. Żeby z takiego poniżenia się podnieść, w jakiem się teraz znalazł, gotów był do wszystkiego. Upokorzył się głęboko przed królem i przed wszechwładnym łask królewskich szafarzem, kanclerzem i hetmanem Zamojskim. Chwytał się środków najwstrętniejszych dla polskiego szlachcica i magnata. Wystąpił z denuncyacyą na Zborowskich,

---

(1) Maciejowski bowiem i potem posiadał to starostwo, które następnie jeszcze za życia O. Ł, przeszło do Lubomirskich. Zajścia zaś w Kiezmarku opisuje obszernie (szczególniej to, co się działo od 20—27 kwiet. 1584 r.) spółczesna Anonymi relatio historica, quo modo dominium civitatis Kesmark a Laszkio in Ruberum, ab hoc in Thökölium derivatum sit, w Wagnera Analecta Scepusii II, 296—307 (Viennae 1774).

ofiarował się świadczyć w ich procesie, skoro po ścięciu Samuela wszczęła się zawzięta między kanclerzem a całą ich rodziną walka.

Zeznania, które Łaski wśród sądu sejmowego złożył o zmowach Krzysztofa Zborowskiego z Iwanem, o spiskach Samuela na życie króla, może najbardziéj ze wszystkiego sprowadziły potępiający wyrok. Łaski stał się przez to formalnym klientem kanclerza, z którym nierozerwalnie połączył odtąd swe losy. To też po takich dowodach uległości i oddania, niewątpliwie byłby się doczekał w końcu jakiejś nagrody; wojna z Turkami, do któréj, jak wiadomo, Stefan w końcu zaczynał się gotować, byłaby do tego pewno dała sposobność, bo w niéj Łaski, od tak dawna jéj wyczekując, mógł dobre oddać usługi.

Tymczasem śmierć Stefana przyniosła bezkrólewie. Teraz dla naszego Olbrachta nie było to powodem do rozwinięcia na wszystkie strony zabiegów; nie ubiegano się teraz, jak dawniéj po dwakroć, żeby kupić sobie jego poparcie. Teraz nie był on naczelnikiem stronnictwa, działał tylko pod kierunkiem Zamojskiego, wedle jego wskazówek, w najzupełniejszéj z nim zgodzie i łączności. Razem z kanclerzem wybierał więc Zygmunta; w stronnictwie austryackiem przewodzili przecież Zborowscy, którzy nie zapomnieli Łaskiemu roli, jaką w ich procesie odegrał. A zresztą do kandydata austryackiego miał nasz Olbracht i osobistą niechęć. Niemógł darować tego lekceważenia, jakiego doznał od cesarza Rudolfa po śmierci Maksymiliana; pamiętał i wyrzucał to wyraźnie, że arcyks. Ernest w sprawie o Kiezmark przeciwko niemu za Tökelym się oświadczył. To też on, Łaski, który przed 12 laty tak usilnie chciał wprowadzić do Polski zbrojne zastępy austryackie, teraz przeciwko nim wystąpił do walki, gdy arcyks. Maksymilian śpieszył poprzéć swój wybór orężem. I teraz chodziło o to, który z obu elektów wprzód stanie w stolicy, który wprzód będzie koronowany. Maksymilian oblegał już Kraków broniony przez Zamojskiego, Zygmunt nadciągał dopiero od Gdańska, w nielicznem otoczeniu, bez możności, żeby się przedrzeć do Krakowa. Nikt nie śmiał podjąć się rozpaczliwego niemal zadania. Dopiero Olbracht Łaski objął dowództwo nad tą garstką i kołując daleko, żeby przeciwników ominąć, z Piotrkowa po za Pilicę i Wisłę, od południa szczęśliwie do Krakowa doprowadził Zygmunta na koronacyą.

Teraz więc nagroda go ominąć nie mogła. Otrzymał od nowego króla pensyą z dochodów celnych i 3 zamki inflanckie ze starostwem marienburskiem. Ale właśnie ta tak szczupła nagroda za tak niezmiernie ważną usługę, najlepiéj pokazuje, jak mało znaczył obecnie wojewoda sieradzki. Dawniéj mu każdy elekt ogromne

przyrzekał korzyści; teraz musiał poprzestać na tém jednėm starostwie, odległém od jego dóbr własnych, daleko na kresach północnowschodnich.

Chciał przynajmniéj z niewielkiego nabytku wyciągnąć jak największe korzyści materyalne; rozrzutny dotąd utracyusz, teraz chciał zbierać pieniądze udawszy się do swojego starostwa. Z Inflant szedł żywy handel morski w dalekie strony. Kupcy zagraniczni corocznie wywozili na własnych statkach surowe produkta Litwy i Moskwy na zachód i południe Europy, do Francyi, Włoch lub Hiszpanii. Miasta hanzeatyckie niemieckie i Holendrzy ogromne tam osięgali zyski. Nasz Łaski, zawsze skory do niezwykłych przedsięwzięć, sam w tych zyskach wziąść udział postanowił, obyć się bez pośrednictwa kupców obcych, na własną rękę handel zamorski prowadzić. Król szwedzki Jan III obiecał zasłużonemu stronnikowi swojego syna, że mu na to udzieli dwóch okrętów; po wykonanie obietnicy słał Łaski do Szwecyi jakiegoś Włocha, który zapewne jako jego ajent handlowy miał oba statki wyładowane dobrze do Hiszpanii i do Włoch poprowadzić, a syna wojewody przewieść zarazem do ziemi św.

Czy zamiar ten wykonano?—nie wiemy nic zupełnie, ale wiemy, że nieprzestawały ciężyć na starzejącym się Olbrachcie i dawne i nowe długi. Niebawem ową pensyą na cle nadaną przyaresztowano mu na rzecz owdowiałéj księżnéj meklemburskiéj, któréj mąż przed kilku laty pożyczył mu parę tysięcy.

Coraz to rzadsze odtąd wzmianki o Łaskim. Ostatni to raz podobno wystąpił publicznie po za krajem, w r. 1594, kiedy Zygmunt III po śmierci ojca zjechał do Szwecyi na koronacyą, kiedy własna jego gorliwość katolicka i ambicya stryja Karola wtrąciła króla w największe niebezpieczeństwo. Nasz Olbracht znalazł się z Inflant przy boku króla i jakieś ważne oddał mu wtedy usługi. Nie słychać, żeby za to nowéj jakiéj udzielił mu Zygmunt nagrody; przeciwnie już w lat parę inflanckie swe starostwo utracił.

Czy to, że dla wieku nie mógł sam około swoich spraw chodzić, czy też, że dla swych wierzycieli chciał znaczniejszą zaraz wydobyć ze starostwa sumę, dosyć że je wypuścił Łaski w dzierżawę bogatemu Inflantczykowi Tyzenhausowi, a na zamkach osadził jakichś włodarzy o nieczystéj przeszłości. Zamki te padły za to ofiarą pierwszych zamachów Karola na Inflanty: bez obrony poddano mu je od razu (1600 r.). A chociaż udało się siłom polskim odzyskać je, gdy Zamojski i sam król wybrali się do Inflant na wojnę (1601), nasz Olbracht nie był pewnym, czy wróci do ich posiadania. Król bowiem na hetmanowego klienta nie był łaskaw, przeciwnikom

jego dawał rad posłuch. Tylko Zamojski, którego się Łaski wytrwale trzymał, nawzajem otaczał go swoją opieką. Na dworze hetmana i jego pewno kosztem chował się jeden z synów Łaskiego; pod rozkazami hetmana obadwaj młodzi Łascy w zastępstwie starego ojca walczyli teraz w Inflantach, jeden jako rotmistrz, drugi zaś jako ochotnik. Za to też młody Hieronim Łaski, który się w wojnie męstwem i dzielnością odznaczył, otrzymał z rąk hetmana napowrót odzyskane zamki ojcowskie (1602 r.).

Sam stary wojewoda Sieradzki już teraz ciągle przebywał w Łasku, rzadko ruszając się ztamtąd daléj jak na sejmiki swojego województwa. Tu niewątpliwie w myśl Zamojskiego zawsze przemawiał, protekcya kanclerska była mu teraz najdroższym skarbem. Do Zamościa, choć to była droga daleka, zwykł od czasu do czasu jeździć; gdy tego nie mógł uczynić, słał przynajmniéj w zastępstwie żonę, aby złożyła pani kanclerzynie należne attencye. Opiekunem, dobrodziejem, panem swym miłościwym, nazywa stary Łaski kanclerza i hetmana; w jego ustach nie był to wcale czczy frazes. Był nasz Olbracht od lat blizko 40 wojewodą sieradzkim, był teraz pewno najdawniejszym wśród senatorów, zasiadał w senacie na wyższém od kanclerza miejscu; ale to dawało mu tylko możność do zachowywania pozorów równości w stosunkach z Zamojskim. W rzeczywistości był zagasłą oddawna gwiazdą, ruiną bez żadnego teraz znaczenia, gdy tymczasem hetman i kanclerz, nawet w niezgodzie z królem, był pierwszą w kraju potęgą, zawsze żywotną.

Na ustroniu, osamotniony, zapomniany prawie zupełnie przez spółczesnych, dobiegał Łaski kresu długiego życia, przeszło 70 letniego. Jedno w nim tylko do końca pozostało: dawny umysł wyniosły, dawna duma i skłonność do samowoli. Niewiernego sługę, który go zdradził, pochwycić synowi kazał przemocą i odesłać z Krakowa do Łaska. Tu sam sobie nad występnym wymierzył sprawiedliwość, i kazał go ściąć bez żadnego względu na króla. Zygmunta III dotknęło bardzo to nadużycie. Z wyrzutami ostremi pisał do obu Łaskich; nasz Olbracht tłómacząc się wypominał szeroko swoje zasługi, swój ród i swoje pochodzenie wywodził, nie bez przymówki się przechwalał, ilu to i jak wielkich monarchów potrafiło go cenić.

Ten list Olbrachta Łaskiego (z 31 maja 1603 r.) (1), to ostatnia o nim wiadomość, to koniec jego karyery publicznéj, charakterystyczny bardzo i dla niego całkiem stosowny. Na początku samo-

---

(1) MS. 333 w Bibl. X. Czartarysk. zawiera parę listów O. Ł. do króla z 1602 i 1603 r. w odpisach.

wolna wyprawa dla zdobycia Mołdawii, a ztąd oburzenie króla Zygmunta Augusta; na końcu samowolne pochwycenie winnego sługi, a ztąd wyrzuty króla Zygmunta III:—to zarazem miara tego upadku, jakiemu podległ nasz bohater w drugiéj połowie życia.

W dwa lata póżniéj już Olbracht Łaski nie żył. Umarł spółcześnie z ostatnim swym opiekunem Zamojskim, w nikim chyba nie zostawiając żalu po sobie, bo całe jego życie i wszystkie sprawy więcéj podobno przyniosły szkody niż pożytku. A jednak w innych warunkach mógł on być pożytecznym prawdziwie. Miał Olbracht Łaski zdolności i talenta, które go mogły do wielkich poprowadzić czynów, dać mu tak upragnioną sławę, zjednać mu prawdziwą zasługę. Miał obfitą zawsze w pomysły głowę, umysł rozległy i elastyczny, niezwykły dar jednania sobie ludzi, miał nakoniec ambicyą wielką. Ale mu brakło wewnętrznéj podstawy, brakło mu jakiegobądź poczucia moralnego. Żelaznéj potrzeba było dłoni, któraby nim pokierowała, dla jego burzliwej żądzy czynów i rozgłosu wskazała wielkie i pożyteczne cele. Potrzeba było siły, coby mu hojną zasług ukazała nagrodę, ale i kary postrachem od nadużyć powściągnąć go umiała. Wielbiciel siły, Olbracht Łaski ochotnie byłby się jéj poddał; klęską było dla niego, że jéj nie znalazł, że nazbyt póżno, po niewczasie, zetknął się z potężną osobistością Stefana. W kraju o silnym rządzie mógł Olbracht Łaski zostać człowiekiem prawdziwie zasłużonym; w anarchicznéj Polsce wszystkie jego zdolności poszły na marne; bez kierunku z zewnątrz ani z wewnątrz, własnym tylko hołdował namiętnościom i fantazyi.

---

Z Olbrachtem Łaskim skończyła się na zawsze cała świetność rodziny Łaskich, skończyła się—widzieliśmy—na długo przedtem, nim on sam spoczął w grobie. Olbracht (prócz paru córek) pozostawił dwóch synów: Olbrachta i Hieronima. „A na nich dom ten ustał“ — powiada krótko Niesiecki. Lecz można powątpiewać, czy nasz heraldyk miał zupełnie dokładne informacye, czy istotnie obadwaj bezpotomnie pomarli. Żaden z nich nie posiadł wyższych godności i zaszczytów, żaden nie miał większych dostatków. Nie do panów, więc, jak niegdyś ich ojciec i dziad, lecz do zwykłéj się zaliczali szlachty; a ztąd bardzo możebne, iż po nich pozostało potomstwo, o którém nie wiedzą heraldycy, jak niewiedzą o całém mnóstwie szlachty pospolitéj, jeśli się nie dobiła znacznego stanowiska.

A zresztą Olbracht Łaski, chociaż był najznaczniejszym, nie był przecież jedynym reprezentantem trzeciego pokolenia téj rodziny. Obadwaj jego stryjowie mieli także potomstwo płci obojga.

Zmarły w 1549 r. Stanisław Łaski (1) wojewoda sieradzki pozostawił dwóch synów: jeden, imiennik ojca, umarł młodo; drugi za to, Mikołaj, wychowany na dworze króla rzymskiego Ferdynanda, jak ojciec był żołnierzem i jak ojciec w wojskowości się za granicą ćwiczył. W r. 1561 był starostą krasnystawskim oraz krajczym koronnym; od tego to urzędu dworskiego niegdyś jego stryj Jarosław, ojciec Olbrachta, karyerę swoją rozpoczął. W dwa lata potem otrzymał na Prusach to starostwo malborskie, o którego odmowę tak bardzo przed laty stryj Jarosław na Tomickiego się urazil. Ale nim wyższych doszedł dostojeństw, umarł przedwcześnie 30 marca 1572 roku bezpotomnie. I on pozostawił niezmiernie wiele długów a żonę odumarł w niedostatku; zaopiekowała się nią infantka Anna i przybrała ją sobie za towarzyszkę (2).

Najliczniejsze potomstwo męzkie zostawił średni z synowców prymasa, reformator Jan Łaski. Trzech albo czterech synów stało przy jego łożu śmiertelném; były to wszystko jeszcze dzieci. Co się stało z starszymi, nie wiadomo nic zgoła, czy że pomarli młodo, czy téż się zatracili nieznani pośród bezimiennéj rzeszy szlacheckiéj. Lecz o najmłodszym, o Samuelu Łaskim, dość liczne, choć urywane, napotykamy wzmianki. Pierwszy raz zjawia się w bezkrólewiu po ucieczce Henryka. Jak większość ogromna szlachty, jak prote-

---

(1) Już po ogłoszeniu tego com o St. Ł. napisał (Ateneum z listop. 1882 str. 250) przypadkiem dowiedziałem się, że M. Malinowski pomylił się sądząc, że on po raz pierwszy dopiero 1864 r. wydaje pisma wojskowe St. Ł. Nader rzadka bowiem broszura bezimienna (któréj dziś tylko 2 egzemplarze są znane), wydana przez „medyka i alchimistę“ Stan. Karlińskiego we Lwowie już w r. 1599 p. t. „Spraw i postępków rycerskich i przewagi opisanie krótkie“ (zob. Estrejchera Bibliogr. XVI wieku, 158 i 198), zawiera właśnie te pisma, których jednak autora nie znał wydawca. Skonstatował to na egzempl. Bibl. X. Czartorys. już Karol Sienkiewicz, porównanie zaś okazuje, że co Malin. jako 2-ą księgę wydał, to stoi w broszurze na początku, 1-a zaś księga u Malinow. tam zakończenie stanowi.

(2) List Anny Jagiell. do siostry Zofii z 1 czerwca 1572 r. w Przezdzieckim, Jagiell. III 226; tamże w III i IV tomie wydano kilka listów téj Anny ze Szmigla Łaskiéj (nie wiedzieć, czy była z domu Szmigielską, czy téż może Cikowską, bo od Cik. kupił, według Balińskiego, Dudycz w tym czasie Smigiel. Wiadomości o Mik. Ł. zestawił Bartoszewicz w spisie krajczych koronnych w Bibl. Warszaw. 1861 tom II. 120 (tylko że krajczym został nie 1563, lecz już 1561 r. według Metryki kor. 95, 533); por. także Royzyusza Chiliasticon z r. 1556. Niesiecki kładzie Mik. Ł. w spisie wojewodów kaliskich, widocznie obałamucony słowami Hozyusza: palatinus Siradiensis cum fratre palatino Calissiensi, Hosii Opp. II, 314; jest to bowiem błąd, żaden z Ł. nie był wojew. Kaliskim, wtedy zaś, gdy Hoz. ów list pisał 2 lutego 1572, był tym wojewodą Kacper Zebrzydowski, mianowany już w listopadzie 1570, zob. Bibl. Ordyn. Krasiń. z 1870 p. 249; Zebrzyd. był więc widać jakimś bratém ciotecznym naszego Olbrachta.

stanci zwłaszcza, i on stoi wtedy po stronie Stefana; młody bardzo, towarzyszy posłom do Rzeszy i cesarza z sejmu elekcyjnego; ci go posyłają kilkakrotnie z listami. Wtedy to, widzieliśmy, chciał go Olbracht Łaski uwięzić. W r. 1577 już sam jeździ po krajach cesarskich, czyniąc praktyki w interesie Stefana, niepogodzonego jeszcze z Rudolfem. W parę lat późniéj, 1584, używa go Zamojski, żeby wybadać uwięzionego Samuela Zborowskiego; 1585 składa Samuel Łaski świadectwo w sprawie Zborowskich podczas procesu sejmowego. 1598 r. śle go dwukrotnie Zygmunt III do stryja Karola i do Stanów szwedzkich; gdy wnet sam jedzie do Szwecyi, wyprawia go z oddziałem zbrojnym dla zajęcia Sztokholmu. 1601 r. znów jest Samuel Łaski posłem królewskim do elektora Brandeburskiego, do książąt meklemburskich i do Lubeki; chodziło tu o stworzenie floty na wojnę szwedzką z pomocą miast hanzeatyckich i książąt niemieckich, a Łaski prowadził całą negocyacyą, która się jednak niepowiodła. Nareszcie 1609 r. był komisarzem królewskim do Królewca, gdy rządy księstwa pruskiego i opiekę nad księciem, chorym na umyśle, oddawał Zygmunt III elektorowi Brandeburskiemu.

Oto sucha kronika różnorodnych zajęć publicznych Samuela Łaskiego. Żołnierz i dyplomata (podobno był i sekretarzem królewskim), widocznie był i ruchliwy i zdolny, może nie mniéj od świetniejszych swojéj rodziny reprezentantów. Do wyższych nie doszedł godności; tylko włość szynwaldzka w ekonomii malborskiéj była usług jego nagrodą. Ale bo téż miał do zwalczenia niezmiernie wiele trudności czysto zewnętrznych. Ojciec odumarł go dzieckiem, w niedostatku, niemal w nędzy; matka, obca w Polsce i mieszczańskiego pochodzenia, nie dała mu tyle ważnych podówczas stosunków i koligacyi; samo nareszcie jego pochodzenie coraz bardziéj się wydawało dwuznaczném w miarę wzrostu reakcyi katolickiéj. Nawet gorliwy protestant Jan Zborowski zarzuca „nietrafne“ urodzenie Samuelowi Łaskiemu; prawda że czynił to broniąc braci, żeby osłabić moc świadectwa Łaskiego, ale nie wahał się publicznie powiadać, że „urodzenie jego podobno jest każdemu wiadome,“ że nie chciałby „być z nim w urodzeniu jego in societate“ (1). Nie jednego z gorliwych katolików urodzenie to pewno gorszyło; dla króla Zygmunta III, syn księdza Jana Łaskiego był niewątpli-

---

(1) Broel.—Plater, Zbiór Pamiętn. II 171. Ź. Pauli, Pamięt. do życia i sprawy Zborowskich 164, 169; inne wiadomości o Sam. Ł. u Mosbacha, Wiadomości 151, w Piaseckiego kronice pod r. 1598, u Heidensteina, Rerum Polon. 374, a zwłaszcza w liście S. Ł. do króla z Szynwaldu 20 kwietn. 1601 w Ms. Bibl. X. Czartorysk. Nr. 333. W archiwum bisk. warmiń. ma się znajdować jego korespondencya z biskupem Rudnickim.

wie osobą podejrzaną, któréj nie można było wynosić. Mimo więc zasług i zdolności nie mógł się Samuel Łaski wybić wyżéj.

Odtąd rodzina Łaskich znika z historyi bez śladu. Czy wygasła istotnie? kiedy wygasła? nie wiadomo zupełnie. Dr. Dalton zapewnia, że niedawno dopiero umarł ostatni z protestanckich Łaskich; a chociaż nic bliżéj nie powiada, niewątpliwie musiał mieć o tém dobrą wiadomość. Dziś zresztą można jeszcze napotkać ludzi, którzy noszą to niegdyś głośne nazwisko; kto wie, czy to nie potomkowie ostatni możnych przodków. Roli dziejowéj nieodegrali Łascy potem nigdy; szybko wyrósłszy, równie szybko przeżyła się w trzech pokoleniach ta rodzina. Strawiła ją gorączkowa niemal żądza czynów, miotanie się na wszystkie strony. Żadnemu z jéj członków nie brakło wyższych zdolności, nie jednemu nie brakło wyższych celów; ale wszystkim brakło spokoju, miary, konsekwencyi w działaniu, wielu brakło kierunku. To było całéj rodziny klątwą, to ją przyprawiło o zgubę.

*W. Zakrzewski.*

---

(1) Ciekawa rozprawa dra Antoniego J. p. t. „Sprawa tarnowska," która się obecnie drukuje w Tygodniku Illustrowanym, podaje (w N. 42 i nast.) z rękopisów dotąd nieznanych nowe szczegóły o Olbrachcie Łaskim, jego zatargach i walkach z X. Ostrogskim i jego udziele w najeździe na Tarnów, rzeczy nieznane mi, gdym pisał powyższą rozprawę, ukończoną w maju b. r.

# KONGRES WIEDEŃSKI

## I USTALENIE KRÓLESTWA KONGRESOWEGO.

(z Pamiętników Leona Dembowskiego).

(*Dokończenie*).

Król pruski 15 maja wydał proklamacyą następującą do mieszkańców W. Księstwa Poznańskiego:

„W skutku konwencyi, zawartéj między mocarstwami, biorącemi udział w naradach kongresu wiedeńskiego, kilka z dawnych naszych posiadłości wróciło do nas nazad. Te posiadłości składają się z części dawnych nabytków Pruskich z 1773 roku, dołączonych późniéj do W. Księstwa Warszawskiego wraz z miastem Toruniem i należącém do niego terytoryum, z tak nazywającego się departamentu Poznańskiego, za wyjątkiem części powiatów Powidzkiego i Pyzdrskiego, z części departamentu Kaliskiego, za wyjątkiem miasta Kalisza i jego okręgu.

Z tych posiadłości ziemie: Chełmińska i Michałowska, oraz części położone lewym brzegu Wisły z miastem Toruniem, które w rozgraniczeniu z roku 1772 były dołączone do prowincyi Prusy zachodnie do tejże teraz zwracają się. Przeciwnie, odcinamy z Prus zachodnich cyrkuły: Koronowo i Kamień i te dołączamy do prowincyi oddzielnéj, którą pod nazwą Wielkiego Księstwa Poznańskiego posiadać będziemy.

Do tytułów więc naszych dołączamy tytuł Wielkiego Księcia Poznańskiego, a do herbów naszych herb téj prowincyi.

Wydawszy rozkazy naszemu jenerałowi-porucznikowi Thumen, aby naszém wojskiem część tych dawnych prowincyi polskich zajął, poleciliśmy zarazem naszemu tajnemu radcy Zerboni di Spo-

zetti, którego zamianowaliśmy prezydentem Wielkiego Księstwa, objąć w posiadanie tę prowincyą.

Nie mogąc osobiście odbierać sami przysięgi homagialnéj od mieszkańców powierzyliśmy tę czynność ks. Antoniemu Radziwiłłowi, którego mianowaliśmy namiestnikiem W. Księstwa Poznańskiego i upoważniliśmy do wydawania odpowiednich władzy jego rozporządzeń.

Mieszkańcy W. Księstwa Poznańskiego! Przywracając niniejszym patentem dawne stosunki téj części księstwa Warszawskiego, jaka obecnie wraca do państw naszych, mamy wam przyjemność oświadczyć, że zajęliśmy się ustaleniem waszego losu. Otrzymaliście ojczyznę, a z nią zarazem i dowód ile wasze znane przywiązanie do ojczyzny szanować umiemy. Będziecie wcieleni do naszéj monarchii, ale nie zatracicie przez to waszego istnienia narodowego, owszem przyjmiecie udział w konstytucyi, jaką mamy zamiar nadać wiernym naszym poddanym i narówni z innemi częściami naszéj monarchii otrzymacie ustawy prowincyonalne. Wasza religia będzie poszanowaną i przedsięwzięte zostaną środki, aby duchowieństwo wasze otrzymało odpowiednie zaopatrzenie. Wasze osoby i własność wracają pod opiekę prawa, do obrad nad uchwaleniem którego będziecie przypuszczeni. Wasz język, wspólnie z językiem niemieckim będzie używany we wszystkich aktach publicznych, a każdy z was, w miarę zdolności, będzie przypuszczany do wszystkich urzędów, honorów i zaszczytów naszego królestwa. Wasz współrodak a mój namiestnik zamieszkiwać ma pośród was, za jego więc pośrednictwem poznam wasze życzenia i potrzeby, a wy poznacie zamiary mojego rządu. Pierwszy mój prezydent zorganizuje Wielkie Księstwo Poznańskie, stosownie do udzielanych mu instrukcyj i zarządzać będzie wszystkiemi gałęziami władzy, aż do ukończenia organizacyi. Użyje on do pomocy swéj tych z pomiędzy was, którzy poświęcali się części administracyjnéj, w miarę zaufania, na jakie zasłużycie i w miarę zdolności, jakie okażecie.

Po ukończeniu organizacyi, rozmaite administracyjne gałęzie w ruch wprowadzone zostaną.

Zapominamy zupełnie o przeszłości i troskliwość nasza zwraca się wyłącznie na przyszłość. Co do téj mamy nadzieję, że znajdziemy odpowiednie środki do podniesienia dobrobytu kraju, który przez niezwykłe wysilenia jest tak zniszczony, a ponieważ doświadczenie dało wam wielką lekcyą, mamy więc niepłonną nadzieję, że możemy liczyć całkowicie na waszą wdzięczność.“

(*podpisano*) Fryderyk Wilhelm.

W dalszym ciągu układów zawarto pod dniem 18 maja traktat z królem saskim, gdzie on w artykule 22 zrzekł się posiadania Wielkiego Księstwa Warszawskiego na rzecz cesarza Rosyi i króla Pruskiego, równie jak i miasta Krakowa. Wskutek umowy téj wydał on d. 22 maja w Laksemburgu następującą odezwę do Polaków:

„Traktatem 18 maja zawartym na kongresie wiedeńskim zrzekliśmy się posiadania W. Księstwa Warszawskiego i skutkiem tego zrzeczenia się uwalniamy poddanych naszych od zaprzysiężonéj nam wierności. Musieliśmy uledz okolicznościom i uczynić poświęcenie to dla dobra ogólnego. Uwalniając niniejszém naszych urzędników i naszych poddanych od złożonéj nam przysięgi, żałujemy, że sie rozłączamy z narodem, który nam dał tyle dowodów wierności i poświęcenia. Pamięć jego będzie wiecznie wyryta w naszém sercu, a o jego dobrobyt, będący ustawicznym przedmiotem naszych usiłowań i ojcowskiéj pieczy, zanosić będziemy najgorętsze modły, aby Opatrzność Boska z opieki swéj go nie wypuszczała. Prosimy was nadto, abyście dla rządów, które was uszczęśliwić się podjęły, okazywali tę wierność i posłuszeństwo, jakieście zawsze dla nas posiadali.“

Cesarz Aleksander także w Wiedniu d. 25 maja wydał następującą do Polaków proklamacyą:

„Wojna wniesiona do naszéj ojczyzny, a podjęta w zamiarze ujarzmienia świata, połączyła Rosyą z Europą i odparła najezdców aż do murów Paryża. Od téj chwili powzięliśmy nadzieję odzyskać niepodległość narodom i dać im byt, oparty na zasadach sprawiedliwości i umiarkowania, przywracając myśli liberalne, wykreślane zanadto długo przez despotyzm wojskowy z ksiąg praw cywilnych i politycznych. Kongres wiedeński zebrany został w tym celu, aby zapewnić Europie dobrodziejstwa stałego pokoju i podnieść ją z upadku, do jakiego ją doprowadziły klęski wojny.

Lecz aby osięgnąć ten cel, trzeba było aby każdy, odkładając na bok swoje osobiste widoki, poczynił dla dobra ogólnego, stosownie do wymagania okoliczności pewne ustępstwa i ofiary. Według tego téż prawidła urządzono także los Polski.

Było rzeczą wielce ważną, aby Polska weszła w szereg narodów, które przez wspólne przykładanie się do dobrobytu i cywilizacyi, nawzajem sobie pomagają. Ale z drugiéj strony biorąc pod uwagę wszystkie ogniwa łańcucha interesów europejskich, nie można było jedynie uwzględnić potrzeb saméj Polski. Szczęście każdego państwa w szczególności postawione wobec potrzeby bezpieczeństwa całego ogółu, nie pozwoliło przeprowadzić kombinacyi,

któreby były stosowne do miejscowych wymagań Polski, gdyż one nie zgadzały się z interesami ogólnemi, zapewniającemi równowagę Europy.

Zdrowa polityka, doświadczenie wyciągnięte z przeszłości i religia, która nam nakazuje mieć wzgląd na cierpienia narodu, ze wszech miar godnego szacunku, wkładały na nas obowiązek, aby nie szczędzić poświęceń w celu zachowania Europy od nowych nieszczęść i zapewnienia spokojności światu.

Polacy! Umiem cenić waszą wielkomyślność, czułość i stałość—uczucia, które świetnieją w waszym charakterze narodowym i które okazały się w waszych usiłowaniach, podjętych w celu odzyskania istnienia politycznego waszéj ojczyzny, którą miłujecie nadewszystko. Gorącość waszych życzeń czasem was od celu odsuwała, błądziliście nieraz, puszczając się drogą wręcz przeciwną waszym kierunkom; lecz te błędy już minęły, równie jak i nieszczęścia, które się z nimi łączyły.

Co do nas, zawsześmy się rządzili miłosierdziem dla winnych, miłością i dobroczynnością dla narodów, zapomnieniem przeszłości i usiłowaniem, aby zaradzić doznanym klęskom, nadając waszemu krajowi to, co go może w istocie uszczęśliwić. Traktaty, któreśmy zawarli w Wiedniu, objaśnią was jakie granice polityczne naznaczono Polsce i jakie korzyści uzyskają kraje przechodzące pod naszą władzę.

Polacy! Nowe związki łączyć was będą z narodem wspaniałomyślnym, który przez dawne swe z wami stosunki, przez swą waleczność godną waszéj, przez swą nazwę nawet, wspólną narodom słowiańskim jest przygotowany na przyjęcie was do swego braterstwa, tyle drogiego i pożytecznego dla obu narodów. Konstytucya rozsądna i połączenie niezmienne przywiążą was do losu wielkiéj monarchii, która jest za zbyt rozległa, aby się potrzebowała jeszcze powiększać, a któréj rząd nie będzie miał innych zasad w polityce, jak tylko bezstronną sprawiedliwość i pomysły wzniosłe.

Odtąd patryotyzm wasz, oświecony doświadczeniem i kierowany wdzięcznością znajdzie w instytucyach narodowych cel, któremu oddać się może.

Konstytucya przeznaczona dla was jest zastosowana do miejscowych potrzeb, do waszego charakteru, język pozostawiony do czynności publicznych, urzędy mogą być sprawowane jedynie przez Polaków, wolność słowa i handlu ułatwiona, znoszenie się z dawnemi częściami Polski, które zostają pod obcemi rządami uprzystępnione. Macie daléj wojsko narodowe, zapewnienie środków udoskonalenia praw i swobodne szerzenie się wiedzy i umiejętności

w waszym kraju. Te są korzyści, których używać będziecie pod naszém władztwem i panowaniem równie nas jak i naszych następców i te zostawicie jako spadek patryotyczny waszym potomkom.

Nowe to państwo staje się właśnie Królestwem Polskiém, nabytem rozlewem tyla krwi i poniesieniem tylu ofiar. Królestwem tak żywo przez was pożądanem, o które się od tak dawna upominacie.

Ażeby usunąć trudności, jakie stawały odnośnie do Krakowa, przyczyniliśmy się do postanowienia, aby to miasto zostało wolném i neutralném. Ten kraj, pod protekcyą trzech dworów przyjaznych, będzie miał w udziale szczęście i spokojność, poświęcając się jedynie naukom, sztukom pięknym, handlowi i przemysłowi. Będzie to pomnik wspaniałomyślnéj polityki, która usadowiła tę wolność w miejscu, gdzie spoczywają popioły najlepszych waszych monarchów i, do którego przywiązane są szlachetne wspomnienia ojczyzny polskiéj.

Nakoniec dla uwieńczenia dzieła, które nieszczęścia czasów obecnych opóźniły, przyzwolono wspólnie, ażeby w częściach Polski, pozostających w poddaństwie Prus i Austryi, mieszkańcy odtąd rządzeni byli przez własnych urzędników z pośród kraju wybranych.

Polacy! Niepodobną było rzeczą urządzić inaczéj wasze losy i to, co waszego szczęścia narodowego dotycze. Niezbędną stało się potrzebą zachować wam ojczyznę, któraby nie była powodem zazdrości lub niepokoju dla waszych sąsiadów, ani téż przyczyną wojny dla Europy. Takiemi były życzenia przyjaciół ludzkości i takim téż musiał być cel światłéj ich polityki.

Za wspólną zgodą kongresu europejskiego, zebranego w Wiedniu i wskutek cesyi króla Saskiego, bierzemy w posiadanie na zawsze Księstwo Warszawskie, które dostało nam się z mocy traktatu. Mianujemy w niém rząd tymczasowy, złożony z osób zaopatrzonych naszém pełnomocnictwem, a to wszystko dla tego, aby natychmiast bez zwłoki naród zaczął korzystać z rządu konstytucyjnego, którego zasady przygotowane zostały za waszém własném współpracownictwem.

Nasi namiestnicy podadzą do wiadomości waszéj gwarancye, jakie wam zapewniły narady wiedeńskie i poznacie zarazem te, jakie wypływają z połączenia konstytucyjnego waszéj ojczyzny z cesarstwem—połączenia, które powinno kierować waszemi prawawi, waszemi obowiązkami i waszemi losami.

W tym celu powołujemy obywateli wszystkich klas, wojsko i urzędników do wykonania przysięgi wierności. Będzie ona zakładem waszych obowiązków względem nas, waszego posłuszeństwa

synowskiego, naszéj ojcowskiéj protekcyi i usiłowań zapewnienia waszego szczęścia.

Pierwszy obowiązek, jaki pragniemy spełnić polega na uwolnieniu was od ciężarów, ponoszonych z powodu wojny. Znamy ich ogrom i martwiło nas, że dotąd ulżyć ich nie mogliśmy.

Polacy! Oby pamiętna ta epoka, która los wasz zmienia i ustala, mogła zaspokoić żądania waszych serc i urzeczywistnić wasze nadzieje, od tak dawna zawodzone. Obyście połączyli wszystkie wasze życzenia w miłości dla ojczyzny i w miłości dla monarchy. Obyście, przykładając się do wielkości i pomyślności naszego cesarstwa, pokładając ufność zupełną w naszę sprawiedliwość i zamiary do waszego szczęścia dążące, stali się godnymi dobrodziejstwa odzyskanéj egzystencyi politycznéj i ulepszeń, jakich wasze położenie wymagać będzie.“ (*podpisano*) ALEKSANDER.

Pod tąż samą datą (13 (25) maja 1815 r.) podpisał cesarz Aleksander zasady konstytucyi królestwa polskiego. Te, acz drukiem były ogłaszane, nie waham się ich tutaj przytoczyć, gdyż stały się one dziś niemożliwą prawie do znalezienia rzadkością. Kiedy późniéj powzięto myśl rozwinięcia ich, a poniekąd przeistoczenia przez wypracowanie obszerniejszéj ustawy konstytucyjnéj, jaka jest umieszczona w tomie I Dziennika Praw, rząd z niewiadoméj mi przyczyny starał się wycofać wszędzie, puszczone w kurs zasady pierwotne, twierdząc, że po ogłoszeniu konstytucyi wszelką już moc obowiązującą one straciły. Brzmienie ich takie:

Artykuł 1.

Prowincye polskie, które z mocy umów na kongresie wiedeńskim zawartych, przyłączone zostały do Rosyi pod oddzielnym tytułem Królestwa Polskiego, zostaną nazawsze przywiązane do berła tego mocarstwa i posiadać będą konstytucyą narodową ugruntowaną na zasadach porządku sprawiedliwości i wolności.

Statut konstytucyjny Wielkiego Księstwa Warszawskiego, dotąd w niém trwający, oraz urządzenia, które z niego wypływają, zachowują się w tych wszystkich instytucyach, które nie są zmienione lub umiarkowane aktem niniejszym; wyjąwszy nadto te ulepszenia i poprawki, które będą uznane za potrzebne aby nowa konstytucya Królestwu Polskiemu nadać się mająca, stać się mogła zupełnie narodową i zbliżyć się do ustawy 3 maja 1791 r. w miarę ile różnice okoliczności i czasu pozwolą.

Artykuł 2.

Religia rzymsko-katolicka, wyznawana przez znaczną większość mieszkańców, będąc od najdawniejszych czasów religią narodową,

używać będzie z tego powodu, jak przedtem wyraźnéj opieki rządu, nie mogąc jednak przez to uwłaczać w niczém wolności innych wyznań, które wszystkie bez wyjątku będą używać zupełnie i publicznie tejże wolności pod dozorem prawa. Różnica wyznań chrześcijańskich nie pociąga żadnéj różnicy w używaniu praw społecznych.

Artykuł 3.

Moc wykonawcza i rząd złożone są zupełnie w osobie panującego i wszelka władza, tak wykonawcza, jak i administracyjna, nie może pochodzić jak tylko od niego.

Artykuł 4.

Starodawne prawo kardynalne *neminem captivabimus nisi jure victum*, zasłaniać będzie równo wszystkich klas mieszkańców, podług osnowy następującéj: Nikt nie będzie mógł być zatrzymanym, tylko w formie legalnéj w przypadkach prawem przewidzianych. Osobie zatrzymanéj przedstawione będą natychmiast i na piśmie przyczyny, które zatrzymania onéj stały się powodem. Każda osoba zatrzymana stawianą będzie przed sąd właściwy, w przeciągu dni trzech najdaléj i powinna być sądzoną w jak najkrótszym czasie, jeżeli pierwsze śledztwa nie usprawiedliwiły jéj z posądzenia. Ten, kto przedstawi dostateczne zaręczenie, będzie natychmiast uwolnionym, jeżeli się nie znajduje w przypadku, w którym prawo wypuścić go na wolność nie pozwala. Żaden występek nie może być karanym, jak tylko za wyrokiem właściwego sędziego. Nikt nie może być za granice królestwa wywiezionym i każdy, wyrokiem skazany, w kraju karany będzie.

Artykuł 5.

Każdy cudzoziemiec, jakiegokolwiekbądź stanu i kraju, jak tylko stanie nogą na ziemi Królestwa Polskiego, używać będzie na równi z innymi mieszkańcami opieki praw i korzyści przez téż prawa zapewnianych. Będzie mógł pozostać w kraju, wyjść z niego lub do niego powrócić. Będzie mógł nabyć własność gruntową i wtedy ubiegać się może o uzyskanie indygienatu.

Artykuł 6.

Wszelka własność jakiegokolwiek nazwania, rodzaju i natury, czy się znajduje na powierzchni, czy we wnętrznościach ziemi jest świętą i nietykalną. Nie masz władzy, któraby mogła wydrzeć ją gwałtem lub w najmniejszy sposób ją naruszyć. Prawo oznaczy formy, podług których można być zmuszonym do ustąpienia, za poprzedniem wynagrodzeniem własności z powodu dobra publicznego.

Artykuł 7.

Nakłady, podatki, taksy i ciężary publiczne takie, jakie będą naznaczane przez budżet jeneralny skarbu, mający się potwierdzić w epoce wprowadzenia rządu konstytucyjnego stałego, będą trwałem prawem skarbowém dla kraju. Na przyszłość w materyi nakładania podatków, taks, lub ciężarów publicznych, jakiejkolwiekbądź natury, nic nie mogło będzie być stanowioném, ani odmienioném, jak tylko za zezwoleniem sejmu jeneralnego, zwołanego i zgromadzonego w formie konstytucyjnéj.

Artykuł 8.

Prawa cywilne i kryminalne, teraz istniejące (o tyle, o ile nie są zmienione rozporządzeniami niniejszego aktu, lub o ile nie będą zmieniane przez osobne wyroki od najwyższéj władzy pochodzące) nie przestaną obowiązywać dopóty, dopóki nowe praw księgi, których ułożenie nakazaliśmy, nie uzyskają sankcyi i ogłoszenia, co do nadania im mocy obowiązującéj jest bezwarunkowo potrzebne.

Na przyszłość wszakże prawa cywilne i kryminalne, równie jak i prawa, tyczące się materyj skarbowych, oraz te, które będą miały na celu oznaczenie lub odmienienie atrybucyi urzędowo konstytucyjnych kraju, będą podane do roztrząśnienia sejmowi jeneralnemu, konstytucyjnie zebranemu, i nie wprzód obowiązującemi się staną, aż otrzymają zatwierdzenie tegoż sejmu i sankcyą panującego.

Urządzenie systematu menniczego, jako téż przepisy, stanowiące tytuł, wagę i wartość monet, powinny również być poddane roztrząśnieniu i decyzyi sejmu.

Artykuł 9.

Urzędy publiczne nie będą mogły być sprawowane, tylko przez obywateli rodaków i przez tych, którzy osiadłszy w kraju i nabywszy w nim własność nieruchomą, uzyskają prawo indygienatu.

Niektóre urzędy nie będą mogły być sprawowane jak tylko przez właścicieli ziemskich, a urządzenie względem nich oznaczą razem miarę i własność potrzebną do posiadania z nich każdego.

Artykuł 10.

Zapewnia się zupełna wolność druku. Ograniczenie jéj i odpowiedzialności do niéj przywiązane, urządzane będą prawami organicznemi. Wydział senatu łącznie z komisyą oświecenia publicznego czuwać mają nad ich wykonaniem.

Artykuł 11.

Wszystkie czynności publiczne, administracyjne i sądowe, bez żadnego wyjątku, odbywać się będą w języku polskim.

Artykuł 12.

Wykonywanie praw i administracya kraju powierzone będzie Radzie stanu, zasiadającéj w Warszawie pod prezydencyą naszego namiestnika i komisyom oddzielnym, dla każdéj głównéj części administracyj, pod kierunkiem właściwych ministrów, a to: komisyi do spraw wewnętrznych i policyi, komisyi wojskowéj, komisyi rządowéj przychodów i skarbu. Będzie oprócz tego komisya oświecenia publicznego, która ma się zarazem trudnić sprawami wyznań religijnych i będzie w związku z Radą stanu pod względem swych działań administracyjnych.

Ta część atrybucyi ministra sprawiedliwości, która jest zachowaną, przeniesiona będzie do trybunału Najwyższego. Ministerstwo sekretaryatu stanu jest zachowane i będzie sprawowane ciągle przy naszéj osobie.

Rada stanu zdaje co rok sprawę ogólną o położeniu kraju, złożoną z przedstawionych rachunków i raportów każdéj szczególnéj części administracyi. Takowe rachunki, złożone w senacie i roztrząśnione przez niego, równie jak przez sejm, kiedy ten zgromadzony będzie, podane zostaną drukiem do wiadomości publicznéj.

Prawa oznaczą, w jakich przypadkach i podług jakich form odpowiedzialni są ministrowie i członkowie Rady stanu, którzy pod ich kierunkiem zawiadują pracami różnych wydziałów. Senat jest najwyższym trybunałem narodowym do spraw tego rodzaju.

Artykuł 13.

Królestwo Polskie podzielone będzie na województwa, których rozciągłość oznaczy się podług miejscowych dogodności. Teraźniejszy podział kraju na powiaty zachowuje się tylko pod względem reprezentacyi narodowéj i wyborów.

Artykuł 14.

W każdém województwie będzie komisya do czuwania nad wykonywaniem praw i urządzeń oraz nad porządkiem i nad czynnością w służbie publicznéj, we wszystkich częściach administracyi. Prezydować ma na niéj urzędnik szczególniéj upoważniony pewnym udziałem atrybucyi i władzy wykonawczéj.

Artykuł 15.

Będą w każdém województwie komisarze obwodowi, których liczba ma się stosować do rozciągłości województwa i których obowiązkiem będzie jedynie uskuteczniać rozkazy przesyłane im od komisyj wojewódzkich.

Artykuł 16.

Właściciele lub ich zastępcy po wsiach i gminach wiejskich, a municypalności po miastach tworzyć będą ostatnie ogniwo służby administracyjnéj i wykonywać rozkazy komisyj wojewódzkich, przesłane im przez komisarzów obwodowych.

Artykuł 17.

Będzie w każdém województwie Rada obywatelska, złożona z członków wybranych większością głosów na sejmikach powiatowych i na zgromadzeniach gminnych. Oprócz atrybucyi przywiązanych do rad dzisiejszych departamentalnych, rada ta upoważnianą będzie do formowania listy kandydatów na urzędy administracyjne, sposobem w oddzielném urzędzeniu oznaczyć się mającym.

Artykuł 18.

Wszyscy urzędnicy publiczni w linii administracyjnéj, mogą być odwołani wolą téj władzy, która ich mianowała. Wszyscy, bez żadnego wyłączenia, są odpowiedzialni za swoje urzędowanie.

Artykuł 19.

Władza rozstrzygania spraw spornych administracyjnych, która dotąd była przywiązana przez statut konstytucyjny do Rad prefekturalnych i do Rady stanu, należeć będzie do trybunałów i magistratur sądowniczych zwyczajnych.

Artykuł 20.

Będzie w każdém województwie, w miarę jego rozległości, pewna liczba sądów pierwszéj instancyi ziemskich do spraw cywilnych, a grodzkich do spraw kryminalnych.

Będą dwa trybunały apelacyjne na całe Królestwo.

Będzie trybunał Najwyższy w Warszawie, ostatecznie sądzący, jeden na całe Królestwo, przyłączony do senatu w sposobie, który w organizacyi sądownictwa będzie oznaczony.

Artykuł 21.

Sędziowie, mianowani przez panującego, będą dożywotni i nie podpadający usunięciu ze swych urzędów i godności. Dwie trzecie sędziów w sądach dwóch pierwszych instancyj będą obieralni i również nie będą podlegać usunięciu przez czas oznaczony na ich urzędowanie. Żaden sędzia zrzuconym być nie może, jak tylko w przypadku dowiedzionego mu przestępstwa.

Artykuł 22.

Sądownictwo policyi prostéj i policyi poprawczéj powierzane będzie władzom miejscowym administracyjnym.

Artykuł 23.

Będą sędziowie pokoju dla wszystkich klas mieszkańców, a obowiązki ich będą wyłącznie pojednawcze.

Artykuł 24.

Sądownictwo zostaje konstytucyjnie niepodległém. Karność urzędników sprawiedliwości i poskramianie zboczeń od dokładności służby publicznéj należeć będzie do trybunału Najwyższego. Prawo ułaskawiania (*jus agratiandi*), należy do panującego. On sam jedynie może darować lub odmienić karę.

Artykuł 25.

Żadna sprawa nie może być za granicą kraju wyprowadzona.

Artykuł 26.

Nowa księga postępowania i organizacyi sądowéj, zbliżona do dawnych praw cywilnych polskich, ułożona przez komitet do tego szczególnie przez nas mianowany, zastąpi tymczasową procedurę istniejącą. Sądy niższe, podsędkowie, notaryusze publiczni zostaną tak jak teraz są zorganizowani, a urzędnicy stanu cywilnego się znoszą.

Artykuł 27.

Księgi publiczne, znane pod imieniem Akt Ziemskich, zostaną przywrócone. Pisarze ziemiańscy, którzy razem będą konserwatorami hipotek i stróżami składów sądowych, obierani będą na sejmikach i mieć powinni kaucyą.

Artykuł 28.

Wojsko narodowe polskie zachowa kolory właściwego sobie munduru, swój właściwy ubiór i wszystko to, co się tycze jego narodowości. Uważane będzie jako zbiór obywateli zbrojnych i uporządkowanych dla obrony monarchy i ojczyzny. Naród dostarcza potrzeb na jego utrzymanie. W czasie pokoju, wojsko czynne, na stopie zupełnego żołdu, będzie tylko częścią siły zbrojnéj, zawsze do użycia gotowéj. Systema milicyi do ogólnéj organizacyi wojska należéć będzie.

Artykuł 29.

Wojsko będzie przeznaczone do bronienia granic polskich, mieć będzie w kraju stanowiska stałe i tylko w Europie używaném będzie.

Artykuł 30.

Jeżeli (po zakończonéj teraz toczącéj się wojnie) wojska rosyjskie z powodu polityki zewnętrznéj przechodzić będą przez Królestwo Polskie, lub w niém pozostawać przez czas niejaki, utrzymywane będą kosztem naszego cesarskiego skarbu.

Artykuł 31.

Duchowieństwo rzymsko katolickie i duchowieństwo obrządku greko-unickiego otrzyma zamiast sum, które im rząd tytułem kompetencyi wypłacał, rocznego dochodu dwa miliony złotych polskich z ziemi dóbr narodowych wydzielanych. Używać ich będzie jako zupełnéj i utracić się niemogącéj własności. Te nowo nadane fundusze złączone z innemi, które duchowieństwo już posiadało, bedą rozłożone i podzielone na całą hierarchią kościelną tak, aby los ubogich plebanów był polepszony, aby przyzwoite utrzymanie sług kościoła, seminaryów i domów poprawczych było zapewnione.

Dobra duchowne podlegać będą urządzeniom, jakie do dóbr koronnych zaprowadzić każemy w celu stopniowego polepszenia w nich stanu rolnika. Grunta i łąki, które od plebanów w dobrach narodowych odebrano i do tychże dóbr wcielono, zwrócone będą kościołowi. Uchyloném będzie z praw i urządzeń egzystujących to wszystko, co przeszkadzać mogło karności duchownéj lub ubliżało godności i uznanym prawom kościoła.

Artykuł 32.

Suma, którą rząd wypłacał jako wsparcie duchowieństwu wyznania reformowanego i augsburskiego, będzie podniesiona do stu tysięcy złotych polskich rocznie.

Artykuł 33.

Wychowanie publiczne będzie narodowém i bezpłatném. Komisya tym znakomitym przedmiotém, jako i sprawami wyznań się zajmująca, trudnić się będzie przyzwoitem rozszerzeniem we wszystkich klasach mieszkańców, oświecenia i nauki, powiększaniem wiadomości użytecznych i wzrostem nauk, umiejętności i kunsztów. Pierwsze ona zajmuje miejsce w rzędzie ogólnych komisyj administracyjnych i mieć będzie za prezesa swojego senatora. Aby ułatwić jéj środki przyzwoitego spełniania obowiązków, fundusze przywiązane do edukacyi podniesione będą do sumy corocznéj dwóch milionów złotych polskich.

Artykuł 44.

Ilekolwiek dotychczasowe ustawy nadają miastom praw, wolności i przywilejów, wszystko to im w zupełności zachowaném będzie. Własnościami i dochodami gminnemi miast zawiadywać będą one przez swych własnych urzędników. Podnieść miasta i ustalić ich pomyślność jest naszą wyraźną chęcią i zamiar ten będzie ciągłym przedmiotem zajęcia rządu naszego.

Artykuł 35.

Liczna i użyteczna klasa włościan zachowa w zupełności prawo wolności osobistéj i prawo nabywania własności gruntowéj. Zapewniona im zostanie opieka skuteczna i sprawiedliwość niekosztowna.

Duch ustaw im służących tchnąć będzie szczególniéj ojcowską troskliwością, a celem naszego rządu nie przestanie być doprowadzenie téj klasy stopniami do rzeczywistego i gruntownego dobrobytu.

Artykuł 36.

Ludowi izraelskiemu zachowane będą prawa cywilne, jakie ma już sobie zapewnione dotąd przez ustawy i urządzenia teraźniejsze. Szczególne przepisy oznaczą warunki, wśród których łatwo będzie starozakonnym uzyskać obszerniejsze uczestnictwo w dobrodziejstwach społecznych.

Artykuł 37.

Wielka księga konstytucyjna, którą nadajemy mieszkańcom naszego Królestwa Polskiego, ma być uważana nazawsze jako główny i najświętszy węzeł, którym to królestwo nieodzownie i na wieczność złączone zostaje z państwem Wszech Rosyi, tak w osobie naszéj, jako i wszystkich dziedziców naszych i następców.

Rozrządzenia, wyrażone w niniejszym naszym akcie, objawiają dostatecznie dobroczynne nasze zamiary względem mieszkańców Królestwa Polskiego. Położone tu zasady będą następnie rozwijane przez urządzenia szczegółowe. Pokładamy ufność w przywiązaniu i gorliwości nowych poddanych, że pobudzeni naszym przykładem, poświęcając się dla ojczyzny swojéj, ułatwią nam sposoby powiększenia i ugruntowania jéj szczęścia.

Po zakończeniu takiém dodane własną ręką Najjaśniejszego cesarza i króla następujące słowa:

„Zasady powyższe konstytucyi Królestwa Polskiego służyć będą za niezmienne prawidło i za instrukcyą nowemu tymczasowemu rządowi kraju.

Dan, dnia 25 (13) maja 1815 roku.

(*podpisano*) ALEKSANDER.

---

W Warszawie wszystkie te układy nie zostały ogłoszone jak dopiero w miesiącu czerwcu, o czem wspomnę niżéj. Trzymano je w tajemnicy dopóty, dopóki mocarstwa, na kongresie zgromadzone, nie podpisały aktu ostatecznego, co miało miejsce d. 9 czerwca. W akcie tym czternaście artykułów poświęcono Polsce, a są one takie:

Art. 1. w treści swojéj jest zupełnie jednobrzmiący z artykułem 5 umowy, zawartéj z Austryą i 3 z Prusami, wstęp jego tylko brzmi inaczéj i powiada w ogólności, że Wielkie księstwo warszawskie, za wyjątkiem prowincyj i powiatów, które inaczéj urządzono, przechodzi pod władzę Cesarstwa rosyjskiego.

Art. 2. jest jednobrzmiący z artykułem 1 umowy zawartéj z Prusami.

Art. 3 i 4 są zgodne w wysłowieniu z artykułami 2 i 3 umowy z Austryą.

Art. 5 zawiera te same wyrazy, jakie się mieszczą w artykule 1, powyższéj umowy.

Art. 6, brzmi tak jak artykuł jéj 4.

Art. 7 jest jednobrzmiący z artykułem 2, traktatu zawartego między Prusami, Austryą i Rosyą, a mającego za przedmiot wolne miasto Kraków.

Art. 8 i 9 są wypisane z artykułów 3 i 6 powyższych umów, a artykuł 10 streszcza artykuły 7, 15, 16 i 17 tegoż traktatu.

Artykuły 11, 12 i 13 odpowiadają artykułom 7, 8 i 9 traktatu z Austryą.

Artykuł 14 obejmując warunki handlu, żeglugi i spławów streszcza artykuły 24, 25, 26, 28 i 29 umowy z Austryą.

Tak więc zakończono ostatecznie te obrady na kilka dni przed bitwą pod Waterloo. Zmiany, jakie w decyzyach kongresu nastąpiły wskutek przywrócenia Burbonów na tron francuzki i wskutek zakończenia wojny powtórnym traktatem paryskim, dotyczyły jedynie granic Francyi, którą uszczuplono, ciężarów kontrybucyi na nią nałożonych, tudzież kilkoletniego obsadzenia północnych jéj departamentów przez wojska sprzymierzone. W ogóle postanowienia kongresu wiedeńskiego przez długi szereg lat stały się politycznem prawem międzynarodowém.

Pisząc te słowa w roku 1863, a więc w 48 lat od tych wypadków, po upływie prawie połowy wieku, w czasie, kiedy już mało kto pozostał przy życiu z tych, którzy podówczas działali, kiedy wrażenia przez sam czas z obojętnionemi już zostały, sądzę, że mam pewne prawo z zimniejszą krwią i rozwagą zastanowić się nad rezultatami pracy, dokonanéj przez całą Europę, przez jéj delegowanych.

Podług mojego przekonania prace kongresowe na dwie różne połowy podzielić się dadzą. Jednéj z nich téj, w któréj postanawiano prawa o handlu murzynami, o spławach, o żegludze, o dogodnościach kupieckich i stosunkach międzynarodowych, bezwzględną należy oddać pochwałę, gdyż ona dogodziła opinii publicznéj, sil-

niejszymi węzły połączyła między sobą narody i wspólny interes wszystkich wynaleźć umiała. Inaczéj jednak stało się z częścią polityczną, gdyż tu, bez żadnych zasadniczych powodów pogwałcono obietnice, czynione panującym i narodowościom, a idea położenia tamy podbojom Francyi, którą to myśl głównie patronowała Anglia, dogadzała chciwości Austryi, Prus i Holandyi i zepchnęła obroty kongresu z drogi wskazanéj przez sprawiedliwość, a nawet przez prosty rozsądek.

Aby położyć silną tamę możliwości przyszłych podbojów Francyi, nie tyle należało wytwarzać silne państwa, z krajem tym graniczące, ile raczéj ludy, które się obok niego znajdowały usamowolnić. Jakoż doświadczenie okazało wkrótce kruchość podobnych kombinacyj. Belgia różniącą się od Holandyi wyznaniem, językiem i obyczajem, w lat kilkanaście od niéj się odszczepiła—jedna więc tym sposobem z tych wzniesionych zapor upadła. Z innéj strony Włochy, które miały służyć Austryi, na wynagrodzenie utraconéj Belgii, obecnie utworzyły państwo dla tejże Austryi groźne. Pomijam inne przykłady i w ogólności tylko nadmieniam, że kiedy hasło, co pod chorągwie sprzymierzonych ściągnęło siły do zwalczenia despotyzmu Napoleona, polegało na przywróceniu nar o dowościom bytu i kiedy hasło to na niedotrzymanie skazano, musiały powstać niezadowolenia, które dzieło kongresu osłabiły. Równie niezadowolonymi jak Belgia byli wszyscy, tak zwani, książęta medyatyzowani w Niemczech, były ludy niemieckie i były nakoniec miasta wolne. Książęta—bo im ich posiadłości zabrano, ludy—bo mało któremu z nich swobody reprezentacyjne nadano, miasta—bo im odjęto ich niepodległość. We Włoszech, Wenecya i Genua jawnie objawiły swe niezadowolenie, kiedy je poćwiartowano i posiadłości ich do Państwa Papieskiego, Austryi i Piemontu włączono; Hiszpanii za jéj waleczność i męztwo przywrócono absolutne rządy Ferdynanda VII, a kiedy tyle nasion nieporozumień rzucono na zachodzie; na wschodzie także ułożono w ten sposób stosunki, że one długo jeszcze pokój powszechny zakłócać będą.

To też nieskuteczność kongresowego dzieła dostrzeżono już, zanim się jeszcze z Wiednia rozjechano i musiano przystąpić do nowych układów, które już wprost do przytłumienia rozmaitych dających się słyszeć niezadowoleń zmierzały. Pierwszą w téj mierze umową była zawarta pierwotnie w Paryżu, a późniéj rozszerzona w Akwizgranie, znana pod nazwą świętego Przymierza. Następne kongresy w Opawie, Laibach i Weronie, otwarcie już działały w celu zniszczenia liberalnych ustanowień.

* * *

W czerwcu d. 13 przybył do Warszawy książę Adam Czartoryski wioząc z sobą z Wiednia akta, proklamacye i odezwy, o których opowiadałem wyżéj. Wielki książę Konstanty w rozkazie swym dziennym do wojska z dnia 18 czerwca, a Rada najwyższa w odezwie do ludu z téj że daty, oznajmili o losie księstwa Warszawskiego.

Dnia 20 czerwca urzędownie obchodzono ogłoszenie królestwa Polskiego i dzień ten aż do roku 1831 zaliczany był zawsze do rzędu świąt uroczystych galowych.

W dniu tym o piątéj zrana pięćdziesiąt jeden wystrzałów armatnich oznajmiło rozpoczęcie uroczystości. O godzinie dziewiątéj urzędnicy zebrani w kościele archikatedralnym ś-go Jana, przy ogromnym natłoku publiczności, wysłuchali mszy św. pontyfikalnie przez księdza Gołaszewskiego, biskupa Wigierskiego odprawionéj, ksiądz Waronicz, proboszcz Powsiński, miał stosowne do okoliczności kazanie, a po nim p. Konstanty Szaniawski, który towarzyszył ks. Czartoryskiemu do Wiednia odczytał wyżéj wymienioną proklamacyą Cesarza Aleksandra, zrzeczenie się króla Saskiego i zasady konstytucyi. Po nim zabrał głos. Wawrzecki i dobroć cesarza Rosyi ludowi wykazywał.

Członkowie rządu stanęli następnie na stopniach tronu, na którym umieszczono portret cesarza Aleksandra i powtarzali za p. Szaniawskim rotę czytanéj przez niego przysięgi. Przysięgę tę wykonały wszystkie władze, tudzież publiczność przytomna w kościele i rownocześnie na gmachach publicznych poprzybijano nowe herby królestwa.

Po skończeniu ceremonij kościelnych, udały się władze na Wolę, gdzie były zebrane wojska polskie i rosyjskie. Nabożeństwo tu odprawił ksiądz biskup Zambrzuski, odczytano znowu manifesty i w. książę Konstanty oświadczył, że Najjaśniejszy Pan zamienia na gwardyą wzorowe bataliony 1 i 5-go pułku linjowéj piechoty. Odtąd stanowić one miały oddzielny pułk pieszych grenadyerów gwardyi. Tym samym sposobem z wzorowych szwadronów jazdy uformowano pułk strzelców konnych gwardyi, a jednę bateryą artyleryi podniesiono także do godności bateryi, artyleryi gwardyi.

O godzinie piątéj po południu w zamku dano obiad na dwieście osób i na nim wnoszono stosowe toasty, a współcześnie na placach publicznych urządzono zabawy dla ludu i trunki rozdawano bezpłatnie. Teatr wieczorem, na którym wystawiano Krakowiaków i Górali był także bezpłatny, a dzień zakończył się iluminacyą całego miasta. Na drugi dzień ponownie iluminowano miasto i dawano bal w zamku.

Ogłoszenie królestwa zmieniło cokolwiek skład dotychczasowego rządu. Władza najwyższa z rąk jeneralnego gubernatora JW. Łanskoja przeszła na rząd tymczasowy i Rada najwyższa istnieć przestała. Ostatnią czynnością dotychczasowéj władzy było ogłoszenie amnestyi dla dezerterów i niektórych winowajców.

Pierwsza sesya Rządu tymczasowego odbyła się d. 22 czerwca i na niéj postanowiono, że dopóki ustawa konstytucyjna i będące z nią w związku dekrety organiczne opracowane nie będą, dawne prawa zachowują się w swojéj mocy, urzędnicy na swych posadach zatrzymani będą, jak również, o losie ich na przyszłość ma się pamiętać, Rząd tymczasowy odtąd rozporządzenia swe w imieniu Najjaśniejszego Pana ma ogłaszać.

Pod koniec dnia tegoż gwardye rosyjskie w Warszawie przy w. księciu Konstantym konsystujące, dawały ucztę dla nowo utworzonych gwardyj polskich.

Dopiero dnia 30 czerwca rząd tymczasowy przepisał sobie organizacyą swojego postępowania w następującéj treści:

Z mocy władzy udzielonéj przez dekret wydany w Wiedniu pod dniem 8/20 maja 1815 roku Rząd tymczasowy stanowi następującą organizacyą:

*Tytuł I. O namiestnikach i ich władzy.*

Artykuł 1. Do rządu tymczasowego należy:

*a*) Ogólne kierowanie administracyą.

*b*) Nominacya na rozmaite urzędy.

*c*) Wypełnienie traktatu i konwencyi Wiedeńskiéj.

*d*) Stanowienie urządzeń.

*e*) Zarząd skarbu.

*f*) Roztrząsanie projektów komitetu cywilnego.

*g*) Układanie praw organicznych stosownie do zasad konstytucyi.

*h*) Wydawanie stanowczych uchwał, tudzież ich wykonywanie.

Art. 2. W obowiązkach wymienionych pod lit. *e* i *f* Rząd tymczasowy wysłuchiwać będzie Rady stanu.

Art. 3. Posiedzenia Rządu tymczasowego odbywać się mają w poniedziałki, środy i piątki, od godziny dwunastéj do czwartéj, w pałacu Krasińskich.

Art. 4. Komplet składa się z trzech Namiestników.

Art. 5. Postanowienia zapadają większością głosów. Obowiązki sekretarza pełnić będzie Referendarz Kalasanty Szaniawski.

Art. 6. W razie jeśli na sesyą wezwani zostaną ministrowie, lub radcy stanu, to posiadać oni mają głos doradczy.

Art. 7. Z czynności swych Rząd tymczasowy składać będzie raporta Najjaśniejszemu Panu, w rzeczach, dotyczących potrzeb wojska polskiego znosić się z w. księciem Konstantym, naczelnym jego wodzem, a co do potrzeb wojska rosyjskiego z władzami nad témiż wojskami przełożonemi. Co się tycze zaś wykonania traktatów wiedeńskich, lub stosunków z rządami zagranicznemi, ma się znosić z tymiż rządami.

*Tytuł II. O Radzie stanu.*

Art. 11. Rada stanu składa się z pięciu Namiestników, z prezydujących w ministeryach, z Radców stanu, z referendarzów i sekretarza Szaniawskiego.

Art. 12. Sesye jéj odbywać się będą we wtorki, czwartki i soboty od godziny jedenastéj do drugiéj.

Art. 14. Rada stanu rozważa projekta do praw lub czynności tylko te, które jéj do deliberacyi Rząd tymczasowy przeszle.

Art. 15. Komplet Rady składa się z siedmiu osób, głos stanowczy mających.

Art. 16. Namiestnicy nie mają, ani głosu stanowczego w Radzie stanu, ani téż do kompletu uprzednim artykułem naznaczonego zaliczani być nie mogą. Wszystkie decyzye Rady stanu zapadają większością głosów.

*Tytuł III. O ministeryach.*

Art. 18. Mianowani są Radcami stanu w ministeryach: Linowski, Gliszczyński, ks. Staszic— w ministeryum spraw wewnętrznych; Kochanowski, Plater i Aleksander Potocki w ministeryum skarbu.

Art. 19. Mianowany zostaje prezydującym w wydziale oświecenia publicznego—Stanisław Potocki, członkami zaś tegoż wydziału Stanisław Zamojski, Julian Niemcewicz, Ludwik Plater i ksiądz Prażmowski. Referendarzami: Koźmian i Horodyski.

Art. 20. Ministerya mają obowiązek ułożyć projekty swoich organizacyj, podać je do rozważenia Radzie stanu i przedstawić pod zatwierdzenie rządu tymczasowego.

Art. 21. Wydział oświecenia poda również projekt wewnętrzny swojéj organizacyi.

Art. 22. Sprawy dotyczące wyznań powierzane zostają do załatwienia wydziałowi oświecenia.

Art. 23. Dotychczasowa komisya żywności wojska i zaopatrywania jego potrzeb utrzymuje się w swym składzie pod zwierzchnictwem referendarza Wojdy.

*Tytuł IV. Sądownictwo.*

Art. 24. Zachowują się w dotychczasowym składzie wszystkie sądowe magistratury i postępowanie ich dalsze nowemi prawami przepisane zostanie.

Art. 25. Dotychczasowe ministeryum Sprawiedliwości zarządzane będzie przez członka rządu tymczasowego—Wawrzeckiego.

Art. 26. Sąd najwyższéj instancyi składać się ma z członka rządu tymczasowego, Wawrzeckiego, jako prezydującego, z wojewodów: Wybickiego, Sobolewskiegó, Zamojskiego i Małachowskiego, z kasztelanów: Zboińskiego, Badeniego, Franciszka Grabowskiego, Dominika Kuczyńskiego, Puhały i Tymowskiego.

Art. 27. Sąd najwyższéj instancyi w powyżéj wymienionym składzie, ma ułożyć projekt organizacyi sądu najwyższego i projekt ten przedstawi właściwym władzom do zatwierdzenia.

*Tytuł V. Urządzenia ogólne.*

Art. 28. Skargi podawane będą podług stopni urzędów i tylko rekursa od decyzyi ministeryalnych do rządu tymczasowego podane przyjęte być mogą. (podpisano) Łanskoj—Czartoryski—Nowosilcow—Wawrzecki—Lubecki sekretarz—Szaniawski.

Zaprowadzenie rządu tymczasowego, jak widzimy, wielkich zmian co do osób nie zrobiło, wszedł tylko nowy czynnik ks. Adam Czartoryski, a ubył Colomb, oraz sekretarstwo objął Szaniawski. Porządek między namiestnikami urządzono podług starszeństwa. Prezydującym był Łanskoj, po nim szedł ks. Czartoryski, daléj Nowosilcow, Wawrzecki i ks. Lubecki.

Ministerya zachowano dwa: spraw wewnętrznych, którego kierunek powierzono Ignacemu Sobolewskiemu i ministeryum skarbu, które w d. 4 lipca objął Matuszewicz. Wydział Oświecenia i wyznań powierzono Stanisławowi Potockiemu, a Wawrzecki zarządzał tymczasowo w dawnych ministeryach sprawiedliwości i wojny. W tém ostatniém wszystko zwolna przechodziło pod władzę naczelnego wodza, który drugą część tego ministerstwa jenerałowi Wielhorskiemu powierzył, tak że przy Wawrzeckim pozostała jedynie korespondencya tycząca się potrzeb wojska rosyjskiego, bo do tego w. książę Konstanty mięszać się nie chciał.

Na prowincyi pierwsza urzędowa wzmianka o przywróceniu Królestwa Polskiego ukazała się w liście pasterskim księdza Ostaszewskiego, biskupa nominata Płockiego, który wydany był pod datą 25 czerwca.

Zajęcie w. księstwa Poznańskiego przez Prusaków rozpoczęło się 24 maja przez wkroczenie jednoczesne dwóch kolumn wojska do

departamentów Poznańskiego i Bydgoskiego, 28 maja zajęli Prusacy Poznań, a zjechawszy tu z początkiem czerwca Zerboni di Spozetti, 8 czerwca objął władzę urzędowo, wydał proklamacyą do miast Gdańska i Torunia, tudzież do powiatów Chełmińskiego i Michałowskiego. Proklamacya ta, pozbawiona wszelkich retorycznych ozdób, nakazywała tylko zawieszenie na gmachach publicznych herbów pruskich i nakazywała wszystkie akta wydawać w imieniu króla Pruskiego. Polecono jednocześnie wysłać deputacyą do króla i wyznaczono do niéj. Brezę, Potworowskiego, Sokolnickiego, księdza Miaskowskiego, Queiserta i Stefańskiego. Ci d. 17 czerwca mieli posłuchanie u króla w Charlotenburgu.

Najpierwéj p. Zerboni zajął się wycofaniem monety księstwa Warszawskiego. Wywołano zupełnie z kursu dziesięciogroszówki, piątki zredukowano na wartość czterech groszy, a grosze na półgroszki. W całym Poznaniu poprzybijano herby Pruskie i jednocześnie kazano nosić pruskie kokardy, w miejsce białych dotąd używanych. Następnie, z końcem czerwca, skasowano prefektury i podprefektury, a na miejsce ustanowiono ich dwie regencye: jednę w Poznaniu drugą w Bydgoszczy, Toruń i powiaty Chełmiński i Michałowski do zachodnich Prus wcielono.

Wspominaliśmy, że jeszcze 15 maja król pruski namiestnikiem w. księstwa Poznańskiego mianował ks. Antoniego Radziwiłła. Był on synem ks. Michała wojewody Wileńskiego, a ożeniony z księżną Ludwiką pruską, głównie téj koligacyi z domem panującym to wyniesienie swoje zawdzięczał. W każdym razie pochlebiało to Polakom tém więcéj, że ks. Antoni Radziwiłł za współziemianina mieszkańców księstwa się uważał, gdyż w poznańskiem klucz Przygodziec posiadał. Okazało się jednak niebawem, że cała nadzieja w nim pokładana, była płonną, gdyż namiestnikowstwo było tylko czczym tytułem, a rzeczywistą władzę dzierżył Zerboni, który się nawet z tém nie taił, że te tylko rozkazy wypełniać będzie, które od ministrów pruskich z Berlina odbierze. Na ks. Radziwiłła spadł jedynie cały ciężar reprezentacyi i formalność odebrania przysięgi homagialnéj. Przybywszy w tym celu do Poznania, zajął on na mieszkanie gmach pojezuicki i termin przyjęcia przysięgi na dzień 3 sierpnia naznaczywszy, wykonał wszystko z ogromną pompą i wystawą.

Rozczarowanie nie tylko w całém księstwie Poznańskiem, ale i w królestwie było ogromne. Trudno jest nawet opisać dokładnie ówczesny stan umysłów. O układach prowadzonych w Wiedniu nie wiele wiedziano i obyczajem naszym przewidywano z nich większe rezultaty, aniżeli było można oczekiwać, a wieść o wylądowaniu Na-

poleona i jego tryumfach nowy żywioł do kombinacyi podała. W ogóle w trwałość układów nie wierzono, podawano je w wątpliwość i w wyczekiwaniu umysły popadły w jakąś otrętwiałość, kiedy w Lipcu pewna wiadomość o klęsce pod Waterloo doszła, kiedy stało się pewnością, że Prusacy już na dobre w księstwie Poznańskiem się osiedlili i kiedy stało się faktem że układy Wiedeńskiego kongresu zostaną podstawą przyszłości, każdy smutnym spoglądał okiem na iluminacye, festyny i bale, wyprawiane bądź w Poznaniu, bądź w Warszawie i powtarzał słowa w *Momusie* Aloizego Żółkowskiego zamieszczano: „głupia Polska bez Poznania.“

W Warszawie 22 lipca na wezwanie Ostrowskiego prezesa senatu, stawili się senatorowie, duchowieństwo i znakomitsi obywatele, których uwiadomiono, że należy wysłać deputacyą do Paryża, do Cesarza Aleksandra z uwiadomieniem o wykonanéj przysiędze i z wynurzeniem wdzięczności narodu. Do deputacyi téj wybrano z senatu: Zamojskiego, z duchowieństwa, księdza kanonika Wołłowicza, ze stanu szlacheckiego: Antoniego Ostrowskiego i Jana Tarnowskiego, z mieszczan pp. Zawadzkiego i Sztekierta, od wojska ks. Antoniego Sułkowskiego, a od starozakonnych Rawskiego, Kohna, Neudinga i Spirę. Późniéj trochę skład jéj zmieniono i przybrawszy do deputacyi Ks. Walentego Radziwiłła, żydów od podróży zwolniono.

Deputacyą tę przyjmował cesarz dnia 30 sierpnia w Paryżu, a dziwnie wtedy, podług opowiadania delegatów miasto to wyglądało: zalewały je wojska sprzymierzone, artylerya pruska, z zapalonymi lontami stała na lewym brzegu Sekwany, naprzeciw Luwru, Kozacy, Kałmucy i Baszkiry, nazywani przez Francuzów *amorkami północy*, kręcili się po ulicach, a obóz ich zajmował pola Elizejskie. Anglicy rozłożyli się w lasku Bulońskim a na opał i do gotowania strawy ścinali najpiękniejsze drzewa, komisarze znowu austryaccy i państw innych ogałacali z przepysznych dzieł sztuki muzea, napoleońskie. Jeden tylko cesarz Aleksander z Paryża nic nie wywiózł, oprócz sztandarów rosyjskich, które w kościele Inwalidów były złożone. Mieszkał on w pałacu *Elysée* i tu przyjął deputacyą, ubrany w mundur jenerała polskiego, z tą uprzejmością, jaka mu była wrodzona. Prezes deputacyi, Zamojski, miał doń przemowę, a ks. Sułkowski złożył mu insignia orderu *virtuti militari*. Coby ofiarowanie to miało znaczyć, rzeczywiście pojąć trudno, boć cesarz Aleksander, jako król Polski sam tylko ordery mógł rozdzielać, a jeżeliby przypuszczać nawet, że order czysto wojskowy, może być także przez wodza dany, to i w takim razie do w. księcia Konstantego to należało. Mimo to cesarz uprzejmie insygnia te przyjął i rzekł do depu-

tacyi: „Żywo przejęty jestem uczuciami, które mi naród polski przez usta wasze wyraża i zapewnijcie go z méj strony, że jedno tylko względem was powodowało mną prawidło, a tém była: narodowość wasza. Łącząc naród wasz z drugim narodem wspólnego słowiańskiego szczepu, zatwierdzam przez to pomyślność i spokojność waszę. Widzieć zaś was szczęśliwymi, będzie to dla mnie najpiękniejszą nagrodą.

Księciu Sułkowskiemu w zamian za przynoszony dar, takie słowa powiedział: „Nadto wielką cenę przywiązuję do zaszczytu noszenia wojennych ozdób polskich, abym, nie zasłużywszy, miał sobie pozwolić na ich przyjęcie, lecz mam nadzieję, że mi kiedyś przyjdzie pora stanąć na czele walecznych wojowników waszych, a wtedy z chlubą przywdzieję ofiarowane mi dzisiaj znaki."

Po urzędowém przyjęciu rozpoczęła się potoczna rozmowa, naprzód o Paryżu, o jego pięknościach i szpetnościach i cesarz twierdził, że Petersburg świetnością i pięknością gmachów o wiele Paryż przewyższa. Następnie zapytywał cesarz Aleksander o Warszawę i dowodził, że należy Wisłę ująć w stałe łożysko i zaopatrzyć kamiennemi bulwarami, zwracał nadto uwagę, że deputacyą Polską przyjmuje w tym samym pokoju w którym przed kilku tygodniami abdykował Napoleon.

Niebawem przybył do Paryża w. książę Konstanty, który d. 8 września, wraz z Konstantym Czartoryskim mianowanym jenerał-adjutantem cesarskim i pułkownikiem Ludwikiem Kickim wyjechał z Warszawy, deputacya złożyła mu swoje uszanowanie ale przyjął ją bardzo obojętnie, równie jak wielcy książęta Mikołaj i Michał, którzy wtenczas także w Paryżu bawili,—cesarz zaprosił deputacyą na obiad, a dnia 10 września na przegląd wojsk rosyjskich, mający się odbywać w Szampanii, pod miasteczkiem Vertus. Zgromadzono tam 120,000 ludzi i rewiją poprzedziło nabożeństwo, odprawiane przy pięciu polowych ołtarzach. Antoni Ostrowski, który w żywocie ojca swego Tomasza, wszystkie szczegóły pobytu deputacyi polskiéj w Paryżu opisuje drobiazgowo, powiada że w czasie nabożeństwa król pruski bił pokłony, jakby rzeczywiście prawosławną wyznawał religią, a Welington, ani razu nawet głowy nie schylił. Deputacyi dodano jenerała adjutanta Ożarowskiego, aby jéj czynił honory i aby przed paradą wręczył przyznane im ordery. Zamojski dostał Orła białego, Ostrowski, Tarnowski, ks. Radziwiłł ordery św. Anny 1-éj klasy, co do innych zaś, ani ksiądz Wołłowicz, ani mieszczanie nie otrzymali zaproszenia na rewią.

Po nabożeństwie nastąpiła defilada wojska, kilka godzin trwająca, a następnie dano obiad, na którym cesarz Aleksander prezentował członków deputacyi wszystkim panującym.

Pobyt cesarza Aleksandra w Paryżu ma tę ważność pod względem dziejowym, że zawarto tu pierwiastkowy układ z cesarzem austryackim i królem pruskim znany późniéj pod nazwą św. Przymierza. Zasadnicza treść jego była taka: Ponieważ w wypadkach, jakie zaszły, widomie okazało się dobrodziéjstwo Opatrzności Boskiéj dla krajów i rządów, które w niéj ufność położyli, przeto monarchowie tych krajów nabyli głębokiego przekonania, że stosunki swe powinni oprzéć na prawdach objawionych przez naukę Boga Zbawiciela. Dla tego oświadczają uroczyście, że zawierają akt, który nie będzie miał innego celu, jak tylko okazać światu, że niezmiennie postanowiono, tak w administracyi kraju, jak w stosunkach z rządami, trzymać się przepisów religii, przedwiecznéj sprawiedliwości, miłosierdzia i pokoju, jako jedynych środków, mogących dać trwałość instytucyom ludzkim. Stanowią więc:

Art. 1. Stosownie do słów Pisma św., które nakazuje ludziom uważać się za braci, trzéj monarchowie łączą się węzłem nierozerwalnego braterstwa, uważać się mają za współrodaków i w każdém zdarzeniu przyrzekają sobie dawać pomoc i ratunek. Przyjmują na siebie obowiązek, względem poddanych swoich i swego wojska nie być czém inném, jak ojcami rodziny, rządzić nimi w duchu braterstwa i dawać opiekę religii, spokojowi i sprawiedliwości.

Art. 2. Za jedyną podstawę tak w stosunku do rządów, jak i w stosunku do poddanych biorą gotowość do oddawania sobie usług wzajemnéj miłości i uważać się będą za członków jednéj rodziny chrześcijańskiéj, bo nie uważają się sami, jak tylko za wybranych przez Opatrzność do rządzenia pojedyńczemi szczepami jednéj i téj samej rodziny. Przyznają jawnie, że naród chrześcijański, do którego tak monarchowie, jak i ludy należą, nie ma innego panującego, jak tego, do którego należą jedynie władza i potęga nad światem. W nim spoczywają niewyczerpane skarby miłości i mądrości, i On, Zbawiciel świata jest Panem Wszechwładnym.

Art. 3. Sprzymierzający się wzywają i inne mocarstwa, aby przystąpiły do tego przymiera.

Ta myśl traktatu była owocem dwuletniéj pracy pani de Krüdener nad cesarzem Aleksandrem. Kobieta ta, fanatyczka w swojéj idei, zdołała wywrzéć silny wpływ na cesarza, jeszcze za jego pierwszego pobytu w Paryżu. Późniéj, w czasie kongresu wiedeńskiego, napoiła go skłonnością do mistycyzmu, przekonała, że upadek Napoleona nie wyniknął z rozwinięcia sił materyalnych ale z woli Opatrzności, która dumnego zwycięzcę srogością zimy złamała. Odtąd cesarz Aleksander zasady liberalne, które i z charakteru i z wychowania otrzymał, przyniósł na ofiarę mistycyzmowi i religii.

Do św. Przymierza w kolei czasu przystąpiły: Francya, Sardynia, Dania, Szwecya, Niderlandy, Wirtemberg, Saksonia i Związek Szwajcarski. Jeden tylko lord Castlereagh, kiedy mu cesarz Aleksander warunki traktatu do przyjęcia przedstawiał, odpowiedział, że bez zezwolenia parlamentu przystąpić doń nie może i rzeczywiście Anglia nigdy do niego nie należała.

W Warszawie tymczasem nie zaszły żadne ważniejsze wypadki, zanotować chyba tylko należy, że 11 lipca poraz pierwszy w tragedyi „Otello“ wystąpił Werowski, którego znakomite zdolności sympatyą publiczności całkowicie mu pozyskały. W postawie, w akcyi wyrównywał on zupełnie Szymanowskiemu, jednak nie posiadał równie wdzięcznego głosu jak ten ostatni.

Gwardye polskie fetowały rosyjskie, a te ostatnie znowu bankietami się wywdzięczały. 11 września obchodzono poraz pierwszy uroczyście imieniny cesarskie iluminacyą, balem u Łanskoja i bezpłatnym teatrem. Powinszowania przyjmował nie Rząd tymczasowy, ale jenerał Meller-Zakamelski, który w nieobecności w. księcia Konstantego zastępował naczelnego wodza.

21 września Rząd tymczasowy ogłosił organizacyą sądu Najwyższéj instancyi, która, śmiało rzec można, najnieszczęśliwiéj została ułożoną. Książę Czartoryski zwykle za główną zasadę zapatrywania się na rzeczy brał idee liberalne, któremi w młodości swéj przesiąknął w Anglii; Nowosilcow również zapalonym był anglomanem i niezawodnie ich wpływowi zawdzięczać należy, że w organizacyi sądu Najwyższéj instancyi zmięszano najniewłaściwéj podstawę prawną z poczuciem sumienia, a członkowie sądu nie mając jasno wytkniętéj drogi, nieraz w trudném znaleźć się musieli położeniu.

W tym także miesiącu rozpoczęto kursa prawne w szkole warszawskiéj. Wykładali prawo profesorowie: ksiądz Szaniawski, Bandtkie i Engelke, inne zaś nauki, z prawem związek mające, Krysiński, Hoffman i Stefazius.

W ciągu całego 1815 r. oprócz krótkich do Warszawy wycieczek, cały czas przepędziłem wśród rodziny w Bronicach, gdzie towarzystwo mniéj więcéj było takież same, jak i w latach poprzednich. Wacław Rzewuski prawie ciągle z nami przebywał, bo przylgnął wielce do Stanisława Grabowskiego. Niepospolity zapas wiadomości, jaki posiadali obadwa i wzajemna żywość ich umysłów wyrobiły w nich potrzebę nieustannego przestawania z sobą. Grabowski wówczas był zapalonym Napoleonistą, a Rzewuski, choć służył w wojsku austryackiém i kampanią r. 1809 odbywał, nie mógł

także w Napoleonie nie uznawać gieniusza, dla tego wylądowanie jego obudwóch mocno obchodziło.

We wrześniu matka moja odebrała list od ks. Czartoryskiego, w którym mnie wzywał, abym co prędzéj do Warszawy przybywał, gdyż zajęcie tam mnie czeka i zlekka natrącał, że obecnie powody, które mnie dawniéj przed wstąpieniem do służby publicznéj wstrzymywały — już nie istnieją. Stosownie do tego żądania przybyłem do Warszawy i ulokowałem się na ulicy Długiéj, naprzeciw Arsenału, u przyjaciela mego doktora Hefele, który mi jeden pokój z mieszkania swojego ustąpił. Po przybyciu udałem się do ks. Czartoryskiego, który mnie zawiadomił, że życzeniem jego jest abym objął kierunek sekcyi spraw wewnętrznych w biurze Rządu tymczasowego. Rozkazał mi udać się do p. Kalasantego Szaniawskiego, sekretarza rządu, który mnie z czynnością moją zapozna i instalacyi mojéj dopełni. Rzeczywiście niedługo w pałacu Krasińskich, gdzie się biora rządu znajdowały, formalność ta się odbyła.

Organizacya biór Rządu tymczasowego była nietylko niedostateczną, ale rzec można w swoim rodzaju osobliwą. Był to bowiem chaos, o którym trudno dać wyobrażenie. Pan Szaniawski, do którego jako do sekretarza należało kierować pracami, przez całe trzy miesiące jak go tu widziałem, nie wywierał żadnego wpływu i nic nie robił, oprócz kontrasygnowania postanowień rządowych. Biora dzieliły się na następujące oddziały: spraw zagranicznych, na czele którego stał hr. Leon Potocki, syn senatora rosyjskiego Seweryna Potockiego, doskonale mi znajomy, bo jednolatek i od dzieciństwa towarzysz moich nauk i zabaw. Odnowiliśmy dawną przyjaźń i codziennie u jednego stolika jadaliśmy razem obiady u francuskiego restauratora Chovot. Ten wydział nic prawie nie miał do roboty i jedyném jego zajęciem była korespondencya z ks. Richelieu, ministrem spraw zagranicznych we Francyi. Rząd tymczasowy upominał się od Francyi zwrotu należnych Księstwu Warszawskiemu kwot, przypadających bądź jako żołd wojska, bądź należności za żywność dostarczaną dla wielkiéj armii. Część téj należytości była już zlikwidowaną i przez księcia Eckmül przyjętą; druga ulegała jeszcze obrachunkom, a obie razem wynosiły siedmnaście milionów franków. Książę Richelieu na wszystkie odezwy Rządu tymczasowego odpowiadał jednakowo, twierdząc, że ponieważ przez traktat paryski nałożono na Francyą ogromną kontrybucyą, tą więc sumą ryczałtowo zaspokojono wszystkie należności, jakie od niéj kiedykolwiek i komukolwiek mogły przypadać. Rząd tymczasowy powinien więc o swe należności upominać się u cesarza Aleksandra, gdyż on, jako panujący w księstwie a zarazem

w Rosyi znaczną część téj kontrybucyi otrzymał. W czasie trzymiesięcznego mojego tutaj pobytu, oddział ten załatwił wszystkiego dwie takie korespondencye.

Oddział oświecenia i spraw duchownych miał za naczelnika pana Marcina Zaleskiego, który późniéj został referendarzem przy Komisyi rządowéj oświecenia. Ten także nie był przeciążony pracą, gdyż jeszcze z dawnéj organizacyi nic nie zmieniono a bieżących interesów było nader mało. Najważniejszą między nimi była sprawa Sióstr miłosierdzia w Sandomierzu, które domagały się zwrotu zabranych im funduszów.

Oddział skarbowy zostawał pod zwierzchnictwem p. Tomasza Grabowskiego, syna Franciszka, który późniéj był sekretarzem stanu, radcą stanu i senatorem-kasztelanem. Wydział ten miał najwięcéj do roboty i stosunkowo interesów najważniejszych.

Kierunek wydziału sprawiedliwości, jako nie mający zwierzchnika, mnie powierzono.

Piąty wydział wojny i żywności wojskowéj także był bez naczelnika — i ten więc tymczasowo mnie oddano do przybycia pana Plichty, który miał go objąć. Plichta wszakże wcale nie przybywał i z tego powodu wydział ten ciągle przy mnie zostawał, a jeśli bióro sprawiedliwości nie dawało zbyt wielkiego zatrudnienia, to natomiast bióro wojenne zapakowane było rozmaitemi interesami, a to głównie żywności i potrzeb wojsk rosyjskich, powracających z Francyi.

Nakoniec szósty wydział spraw wewnętrznych, do którego właściwie zostałem wezwany, nie mało także przedstawiał zatrudnień i kiedy inni koledzy moi nic nie robili, ja z p. Tomaszem Grabowskim musieliśmy ślęczyć nad papierami przez dni całe.

Lecz jeżeli podział pracy był nierówny, to sposób jéj załatwiania był jeszcze dziwniejszy. Wydziały wszystkie miały obowiązek przejrzéć i odczytać wszystkie wchodzące papiery i bez robienia szczegółowego referatu, w kilku słowach ułożyć treść dekretacyi. O godzinie jedenastéj co dnia na sesye przeznaczone przybywał ks. Lubecki, jemu naczelnicy wydziałów po kolei ustnie opowiadali o stanie interesów i przedstawiali dekretacye, które on zatwierdzał lub odmieniał. Następnie o godzinie drugiéj zbierała się sesya. Naczelnik każdy powtórnie przedstawiał ustnie interesa, okazywał, że dekratacya jest przez ks. Lubeckiego podcyfrowaną i potém podpisywali ją namiestnicy. Wszystkie te dekretacye oddawały się do ekstensyi czyli redakcyi jednéj tylko osobie, to jest p. Pękalskiemu, który w parę lat późniéj przez samobójstwo życie zakończył. Ten więc także niesłychanie przeciążony był pracą i dzień mu nie wystarczał do wydołania wszystkiemu.

Z tego sposobu odbywania czynności każdy dostrzeże, iż organizacyjne, administracyjne i skarbowe interesa nie ulegały wcale rozważaniu kolegialnemu, ale zależały od zdania naczelnika wydziału, który ustnie rzecz przedstawiając, sam jeden przepisów świadomy, dekretował wedle upodobania, a rzadko się zdarzało, żeby zdanie jego uległo jakiéj zmianie, bo ks. Lubecki załatwiając w dwóch godzinach sprawy wszystkich wydziałów, nie miał czasu zgłębienia wszystkiego dokładnie.

Sesye Rządu tymczasowego odbywały się na pierwszym piętrze pałacu Krasińskich, w sali po lewéj ręce. Przy długim zielonym stole ustawiono pięć poręczowych foteli; pan Łanskoj, jako prezydujący, siedział przy wąskim boku stołu, książę Czartoryski i Nowosilcow po lewéj, Wawrzecki i Lubecki po prawéj. Przy oddzielnym stoliku siadywał sekretarz Szaniawski i niby to prowadził protokół sesyi, ale go nigdy w czasie jéj trwania nie pisał, tylko po ukończeniu robił coś w guście kopii dziennika podawczego, w rubrykach drukowanych na welinowym papierze zamieszczając numer bieżący, treść podania i dekretacyą. Protokółów nigdy nie czytano. Sesya miała się zbierać właściwie o godzinie pierwszéj, lecz zaledwie na drugą wszyscy się dopiero zbierali i to zwykle w takiéj kolei: książę Lubecki zawsze był najpierwszy, późniéj ks. Czartoryski i Nowosilcow. Ci dwaj, wziąwszy się pod ręce, przechadzali się po salonach, czekając przybycia Łanskoja, który równie jak i Wawrzecki najpóźniéj się zjawiał. Rozpoczynano sesyą od podpisania protokółu z poprzedniéj, który im p. Szaniawski ceremonialnie podawał i po kolei starszeństwa każdemu do podpisu podsuwał. Po odbytéj téj pierwszéj czynności, naczelnicy stawali kolejno między Łanskojem i ks. Czartoryskim, składali na stole papiery bez akt i ustnie wnosili interesa, zawiadamiając o ich treści i o decyzyi przez ks. Lubeckiego akceptowanéj. Bardzo rzadko miała miejsce dyskusya, ale kiedy się czasem rozpoczęła, to była zwykle bardzo uporczywa, ks. Lubecki bowiem z natury bardzo uparty, niechciał nigdy odstąpić od decyzyi, którą już zacyfrował, a że lubił sofizmata i sprzeczanie się, więc każdy z członków zwykle mu ustępował.

Ponieważ, jak mówiłem, niektóre wydziały nie miały wcale zatrudnienia, naczelnicy więc tychże poprzestawali na meldowaniu, że w ich wydziałach nie ma nic do przedstawienia. Zwykle więc rozpoczynał p. Tomasz Grabowski a kiedy przedstawił trzy lub cztery interesa, p. Łanskoj odzywał się, że czas jest bardzo spóźniony i że należy przystąpić do ważniejszych spraw wojskowych lub z wydziału spraw wewnętrznych. Przychodziła więc i koléj na

mnie i zawsze z góry mi zapowiadano, żeby odłożywszy interesa mniéj pilne, najpilniejsze tylko i niecierpiące zwłoki przedstawiać.

Chociaż naczelnicy wydziałów z natury rzeczy byli tylko urzędnikami i nawet głosu doradczego nie mieli, przecież dla usprawiedliwienia dekretacyi często musieli się odzywać, zwłaszcza, że Łanskoj i Nowosilcow po polsku bardzo mało umieli. Z tego powodu téż sprawy musieli przedstawiać po francusku, choć protokóły i decyzye były pisane po polsku. Koło pół do czwartéj, nie zważając już czy jest co do decyzyi i czy interesa są bardzo pilne, Łanskoj oświadczał, że dla spóźnionéj pory sesya się zamyka. Skutkiem podobnego postępowania stało się, że w trzech wydziałach, które mi powierzono, nagromadziły się ogromne zaległości, a podczas trzymiesięcznego mojego urzędowania stały się rzeczywiście straszne. Były one dwojakiego rodzaju: jedne—już przez ks. Lubeckiego podcyfrowane, a na sesyą niewniesione; drugie—których dekretacye nie były jeszcze przez ks. Lubeckiego zatwierdzone. Przy rozwiązaniu rządu tymczasowego było ich blisko 1200 numerów.

Po zniesieniu się zemną ks. Lubecki te, które już były zadekretowane kazał wpisać wszystkie do protokółu, co zresztą było naturalne, gdyż nigdy prawie namiestnicy decyzyi jego nie zmieniali, co zaś do tych, które były niedotknięte polecił mi razem z nim obrobić. Przeniosłem się więc z niemi do mieszkania ks. Lubeckiego i przez dwa tygodnie, pracując codziennie od dziewiątéj rano do dziewiątéj wieczorem, wreszcie je pod osobistym księcia nadzorem wykończyłem. Następnie, po zniesieniu się z ks. Zajączkiem i kolegami byłego Rządu tymczasowego, objęto je w jeden protokół, pod datą ostatniego dnia urzędowania i podpisami p. Łanskoja i innych członków stwierdzono.

Z tego nawału spraw wspomnę tu tylko o dwóch ciekawszych. Pierwszą było żądanie ordynata Zamojskiego wynagrodzenia zajętéj fortecy i budowli w Zamościu. Ponieważ interes ten nabawił mnie już niemało kłopotu, kiedy pełniłem obowiązki sekretarza jeneralnego w prefekturze lubelskiéj, udałem się do ks. Czartoryskiego i oświadczyłem mu, że sprawy téj referować nie mogę, ponieważ familia jego oskarża mnie, że za moim wpływem rada prefekturalna lubelska niekorzystny wyrok w tym sporze wydała. Książę Czartoryski zdecydował wtedy, żeby sprawę odstąpić do decyzyi przyszłemu namiestnikowi w Królestwie Polskiém. Nie śmiem twierdzić, że wynikło to ztąd, że tak ks. Czartoryski jak i cały świat był pewny, iż nie kto inny tylko on namiestnikiem tym będzie.

W miesiącu listopadzie nowa na mnie spadła praca. Rząd tymczasowy, tudzież ministerya przygotowały sprawozdania ze swych

czynności dla cesarza i mnie rozkazano, abym obok moich zatrudnień, sprawozdania te na język francuski przełożył. Ponieważ w tym czasie szwagier mój Stanisław Grabowski przybył do majątku swego Krupek, o trzy mile od Warszawy odległego, widząc przeto niemożność, abym sam podobnéj robocie dał radę, wyjednałem upoważnienie, aby jego także do téj roboty użyto. Tym sposobem wspólnemi siłami zdążyliśmy na czas i przed przybyciem cesarskiém raporta były gotowe. Zaledwo jednak spadła mi z karku ta praca, narzucono mi inną, a to było tłómaczenie na język francuski kilku statutów i motywów do nich.

W tym roku w jesieni ukazała się w pismach publicznych odpowiedź p. Morskiego na dzieło ks. arcybiskupa Pradta *Histoire de l'ambassade française daus le Grand Duché de Varsovie.* W dziele owém wystawił ksiądz de Pradt p. Morskiego jako człowieka bez zdolności i nikczemnego intryganta, a powodem do tego była czynność tego ostatniego, jako organizatora Wołynia. Morski ożeniony z Francuską, łatwo z tego powodu uzyskał wstęp na salony Bignona i Mareta i protegowany przez nich, otrzymał to stanowisko a ksiądz Pradt miał do niego pretensyą o to, że nie przez niego o objęcie tego zadania się starał i nie z innego jak z tego źródła owe szkalowania wynikły. Wyznać zaś trzeba, że Morski w odpowiedzi swéj nie pominął niczego, wylał wiele żółci i sowicie dopiekł ks. arcybiskupowi.

Oprócz deputacyi, wspominanéj wyżéj, wysyłano jeszcze do cesarza, do Paryża drugą, która mu wręczała medal wybity, na pamiątkę ustanowienia Królestwa, a skoro deputacya ta wróciła dnia 17 października, tegoż samego dnia wyjechał naprzeciw monarchy do Berlina Nowosilcow.

W Krakowie 18 października ogłoszono utworzenie Rzeczypospolitéj, a komisarzami do zaprowadzenia tam konstytucyi i organizacyi mianowani: ze strony Rosyi — p. Miączyński, poprzednio prezes rady departamentowéj kaliskiéj, od Austryi—p. Szperle, od Prus p. Reibnitz.

W końcu sierpnia jeszcze nasz Rząd tymczasowy skasował intendenturę policyi, a 9 i 10 października mianowano sędziami najwyższych instancyj: Woźnickiego, Wyczechowskiego, Skarzyńskiego, Ilnickiego, Wolickiego i Bieńkowskiego. Pisarzami naznaczeni zostali Osiński i Rzempołoski. Niedługo potém, bo 3 listopada ks. Czartoryski i Wawrzecki dopełnili instalacyi sądu najwyższego, który zaraz od dnia tego rozpoczął swoje czynności.

Jedną niezawodnie z piękniejszych uroczystości było rozdanie sztandarów wojsku polskiemu, a odbyło się ono 5-go października.

W wilią dnia tego, namiestnicy, senatorowie i wszystkie władze najwyższe zaproszeni zostali do ceremonii wbijania gwoździ do drzewców, podtrzymujących chorągwie. Poświęcenia sztandarów dopełnił biskup kielecki ks. Górski, a po odbytem nabożeństwie w. ks. Konstanty komenderował paradą wojskową, złożoną z pułku grenadyerów gwardyi, pod jenerałem Żymirskim, — z pułku drugiego piechoty pułkownika Kozerskiego i z pułku czwartego pułkownika Mycielskiego. Uroczystość ta tém więcéj nabrała blasku, że złączono z nią ceremonią kościelną wyświęcania na biskupów: księdza Malczewskiego dla dyecezyi kujawskiéj i ks. Ostaszewskiego dla płockiéj.

7 listopada przybył z Paryża p. Mostowski, przyszły minister spraw wewnętrznych, który ministeryum to sprawował aż do 1830 r. Urzędowanie jego przyniosło wiele pożytku krajowi, gdyż przez zaprowadzenie fabryk, a osobliwie wełnianych, podniósł dobrobyt nietylko miast już kwitnących, ale niektóre można rzec sam stworzył, jak Tomaszów mazowiecki, Ozorków, Konstantynów, Zgierz i Łódź, które pierwotnie przemysłowe jedynie osady zamieniły się następnie na wielkie i fabryczne miasta. Mostowski ministeryum swe objął dopiero za bytności cesarza Aleksandra w Warszawie, kiedy Sobolewski mianowany został ministrem sekretarzem stanu.

9 listopada wrócił Nowosilcow z Berlina, zawiadamiając, że cesarz już się do Polski zbliża. Wtedy wydano program jego wjazdu, a książę Czartoryski udał się na spotkanie do Kalisza.

Program był taki: Na granicy powiatu warszawskiego miał być przyjmowany monarcha przez podprefekta i Radę powiatową i tamże przyłączyć się miała do jego orszaku straż honorowa, obywatelska. Za rogatką Mokotowską wystawiono bramę tryumfalną, przy któréj oczekiwali przybycia panującego, prefekt z władzami departamentowemi, tudzież władze municypalne. Prezydent miasta miał podać klucze, a w téj chwili dzwony wszystkich kościołów miały wjazd oznajmić. Wojsko miało być ustawione w szpalerze od rogatki do placu Saskiego, a na placu miała nastąpić defilada. Dla mieszkańców przeznaczono część miasta od placu do Zamku, a w téj przestrzeni mieli się także znajdować uczniowie szkół rozmaitych. Przed Karmelitami licea, przed zamkiem szkoła inżynierów, przed Bernardynami duchowieństwo świeckie i zakonne, z dwoma biskupami na czele. Weterani na Krakowskiém Przedmieściu, konsystorz przed Wizytkami, a Rząd tymczasowy, Rada stanu, senat i władze naczelne na schodach zamkowych.

Wjazd nastąpił 12 listopada i odbył się ściśle podług programu. Cesarz ubrany w mundur jenerała polskiego, z orderem Orła Bia-

łego na piersiach, jechał konno, mając obok siebie w. księcia Konstantego. Koło godziny dwunastéj przybył do zamku i tu natychmiast rozpoczął przyjęcia. Naprzód przyjmował wojskowych, a późniéj senat, z jego prezesem Ostrowskim. Przez trzy dni, od czasu przybycia trwała w całém mieście iluminacya wszystkich mieszkań, odbywana z niesłychanym przepychem. Szczególniéj zwracała uwagę wystawiona na Krakowskiém Przedmieściu świątynia wdzięczności narodu, a obok niéj rzęsisto oświetlona cała facyata kościoła Bernardynów i statua Zygmunta.

Przed przybyciem cesarza cała Warszawa zaludniła się, jak to mówią po brzegi, a nawet i przez brzegi się przelewało, bo mnóstwo gości na przedmieściach szukać mieszkania musiało. Oprócz wszystkich znakomitszych mieszkańców Królestwa, ściągnęło się tu mnóstwo Litwinów, Wołynian i Podolan, a gdy jednych z nich pchała tu prosta ciekawość, inni także polityczne widoki swojego kraju na uwadze mieli, Rozpoczęły się festyny, bale wojskowe, parady i obiady, których naturalnie wszystkich tu wyliczyć niepodobna. Wspomnijmy ważniejsze.

13 listopada p. Łanskoj, który mieszkał pod Blachą, dał tu bal dla cesarza, zapraszając wszystkie znakomitsze osoby, a ponieważ salony w pałacu tym niewielkie, ścisk przeto był ogromny.

15-go cesarz dawał wielki obiad w zamku, a tegoż wieczora księżna Izabela Czartoryska dała dla niego bal wielki w pałacu Tarnowskich. Na fetę tę wszystkie salony nowemi obiciami przyozdobiono, a przy kolacyi na stole ukazał się olbrzymi malachitowy serwis, cudownéj roboty. Na obydwóch tych balach cesarz oprócz polonezów nic więcéj nie tańczył, ale natomiast obyczajem swoim wiele i uprzejmie rozmawiał. Korzystało z tego wiele osób i życzenia swoje i interesa monarsze przedstawiały.

17-go miał miejsce bal u księżnéj Wirtemberskiéj w jéj pałacyku, dzisiaj należącym do hr. Przeździeckiego. Z balem połączona była iluminacya ogrodu, ale zaproszeń nie wysłano zbyt wiele, gdyż szczupłość pomieszczenia na to nie pozwalała.

16 i 17-go pod Wolą i Powązkami odbywano wielkie rewie wojskowe, w otoczeniu całego prawie eleganckiego towarzystwa Warszawy. Tu dopiero dowiedzieliśmy się, że na granicy Królestwa przyjmowali cesarza: ks. Adam Czartoryski, kasztelan Zboiński, radca stanu Linowski i prefekt kaliski Szmidecki.

19-go zrana była parada wojskowa, późniéj obiad dla N. Pana u księżnéj Izabeli Czartoryskiéj, wieczorem bal dawany przez Nowosilcowa w pałacu Branickich, gdzie mieszkał. Apartamenta tu były bardzo obszerne, ale prawie całkiem nieumeblowane, z wy-

jątkiem jednéj biblioteki, która umieszczona w pięknych szafach, przyozdabiała przeznaczoną na nią salę. Tłok tu był ogromny, a cesarz rozpoczął bal z p. Stanisławową Potocką.

20-go prezydent Wągrzecki przedstawiał cesarzowi gwardyą Narodową, która miała być rozwiązana, a Naj. Pan dawał w zamku obiad dla władz zwierzchnich. Tegoż dnia w ogrodzie Saskim fetowano wojsko rosyjskie. Stoły dla żołnierzy zastawione były pod gołém niebem dla 8.000 osób, a współcześnie oficerowie ugaszczani byli w pałacu. Pod koniec uczty przybył do nich cesarz z w. ks. Konstantym i z niesłychanym zapałem ich przyjęto.

21-go miała miejsce prezentacya duchowieństwa, tudzież Towarzystwa rolniczego, przedstawionego przez ordynata Zamojskiego. Wieczorem dawał bal jenerał Krasiński, mając sale bardzo gustownie przystrojone w trofea z broni i tarcz ułożone.

Tego dnia przybyli do Warszawy: ks. Antoni Radziwiłł; namiestnik poznański,—arcybiskup Raczyński i jenerał Morand. Ten ostatni ożeniony z Polką, panną Parysówną, miał zamiar osiąść w Polsce. Był on jednym z dzielnych wodzów armii francuskiéj i zdaje się, że prześladowania jakich od Burbonów doświadczał, kazały mu do naszego kraju się przesiedlić. Nie otrzymał jednak pozwolenia na kupno dóbr i zamiar jego musiał spełznąć na niczém. W orszaku tych przybyłych gości znajdowało się także dwóch dyplomatów: hr. Nesselrode i szwedzki poseł Löwenhielm.

23 go był obiad dla cesarza u księżnéj Wirtemberskiéj, a wieczorem bal w salach redutowych i w teatrze, dawany przez miasto. Gospodarzami byli: Zamojski, Krasiński, Chłopicki, Nakwaski, Załuski, Antoni Ostrowski, Aleksandrowicz, Wągrzecki i Minasowicz. Gospodyniami: ks. Izabela Czartoryska, pp. Ostrowska, Mokronowska, Nakwaska, Tomaszowa Łubieńska, Wągrzecka i Braunig. W teatrze zrównano scenę z parterem, a loże były przeznaczone dla dam nie tańcujących. Efekt ogólny z powodu bogatych strojów był wspaniały, lecz tłok nie do opisania. Mimo że wjazd był przedzielony, trudno było dostać się do miejsca. Mężczyźni byli w mundurach lub sukniach dworskich, ze szpadami i stosowanemi kapeluszami, a jak wówczas zwykle na balach, w trzewikach i pończochach; damy w kostyumach lub balowych strojach. Bal miał się rozpocząć o godzinie ósméj. Ja wyjechałem z domu o godzinie piątéj, a choć z ulicy Długiéj do teatru bardzo blizko, dostać się tu mogłem zaledwie na godzinę siódmą i to aż po roztrąceniu dwóch powozów. Ci co się cokolwiek spóźnili, nie dostali się aż o godzinie dziesiątéj. Pani Rozalia Rzewuska przebrana była za szwajcarską pasterkę, Szczęsnowa Potocka w jakimś oryentalnym stroju,

a ks. Czartoryska w kostiumie damy polskiéj z 15 wieku. Na tym balu równie jak na innych pięknością celowała ks. Dominikowa Radziwiłłowa i ks. Teresa Jabłonowska. Z pierwszą cesarz zawsze tańcował. Teraz bal rozpoczął z ks. Czartoryską.

Na balu już zaczęły się rozchodzić pogłoski, że w. ks. Konstanty ma być wice-królem w Warszawie, ale szczególniéj familia Czartoryskich przyjmowała je z niedowierzaniem i ogóle było mniemanie, że nie kto inny tylko książę Adam Czartoryski będzie namiestnikiem.

24-go cesarz przyjmował Towarzystwo Przyjaciół Nauk i konsystorz reformowany.

25-go suty bal dawał Stanisław Potocki.

27-go Łanskoj prezentował cesarzowi kahał warszawski, a obiad dla cesarza dawała pani Aleksandrowa Potocka.

28-go prezentowano Towarzystwo Dobroczynności, ks. Sułkowski dawał obiad, a ks. Czartoryska bal, przerywany obrazami z żywych osób.

Na tém zakończyły się festyny i czas pozostały cesarz poświęcił wojskowym paradom, przeglądom wojska wracającego z Francyi i podpisywaniom rozmaitych statutów i nominacyj.

Mieszkańcy ziem zabranych przybyli do Warszawy w celach politycznych, polegając na słowach cesarza Aleksandra, który Ogińskiemu polecił widzieć się z nim po otrzymanym zwycięztwie. Ogiński, zawiadomiony przez ks. Czartoryskiego o terminie przyjazdu cesarskiego, wybrał się w drogę na czele deputacyi wybranéj z gubernii Wileńskiéj, Grodzieńskiéj i Mińskiéj. Podole i Wołyń wybrały także swoich deputatów, ale tym gubernatorzy wyjechać z domu nie pozwolili. Ogiński z towarzyszami przybył do Warszawy d. 8 listopada, ale o audyencyą długo się dopraszał. W końcu zawiadomił go d. 22 listopada ks. Wołkoński, że cesarz gotów jest przyjąć deputacyą. Jakie było posłuchanie, co cesarz przemawiał, jak się względem deputacyi zachował i jak jeszcze cierpliwość zalecał, nie powtarzam tego, bo to szczegółowo ks. Ogiński w Pamiętnikach swoich opowiedział; dodam tylko, że deputacyą składali ks. Ogiński, Wawrzecki, Pociej, Plater Ludwik, książęta Ksawery i Karol Lubeccy, Stanisław Niemcewicz, jenerał Pac, Wojciech Pusłowski, ks. Ludwik Radziwiłł i pan Szczyt. Kiedy Łanskoj deputacyą wyprowadził i po jéj wyjściu pozostał, cesarz rzekł jakby do siebie: „Dobrze czynią, że się na mnie spuszczają, więcéj dla nich zrobię, aniżeli spodziewają się sami.“

Opowiadając o wypadkach, muszę także wspomnieć słów kilka o moich interesach. Położenie moje było rzeczywiście szczególne.

Powołany do Warszawy przez ks. Czartoryskiego i od chwili przybycia obarczony pracą prawie nad siły, miałem wprawdzie tę korzyść, że zostawałem w stosunkach z osobami u steru rządu stojącemi i mogłem im być na coś przydatny. Lecz z drugiéj strony, porzuciwszy gospodarstwo, którego zarząd rodzice mi powierzyli, przybyłem z bardzo skromnemi funduszami. Kiedy zaś przyszedł koniec października, zdziwiło mnie to mocno, że kiedy innym kolegom moim wypłacono pensyą, mnie nic nie dano. Pytałem p. Szaniawskiego o powód tego, a ten mi odpowiedział, że nie jestem pomieszczony na liście płacy, bo nie mam nominacyi. Kiedym pracował razem z ks. Lubeckim, zapytywałem jego, jakiby był najkrótszy sposób pozyskania téj nominacyi, a zarazem przywiązanéj do niéj płacy. Odesłał mnie do księcia Czartoryskiego i ze swéj strony zapewnił, że w przywiedzeniu do skutku tego ze wszech miar słusznego żądania, żadnéj nie spotkam trudności. W kilka dni potém mówiłem o téj sprawie z ks. Czartoryskim. Ten zachęcił mnie do cierpliwości, mówiąc, że zaraz po powrocie z Kalisza i po przybyciu cesarza załatwi się ta okoliczność w sposób, który mi najlepiéj do gustu przypadnie. Nie szczędził mi pochlebnych wyrazów i odwoływał się na listy, które do mojéj matki pisywał, a w których wyrażał, że pragnie mieć przy sobie osobę, do któréj by zupełne czuł zaufanie; dodał, że przy rozwiązaniu Rządu tymczasowego i wprowadzeniu konstytucyjnéj formy rządu, spodziewa się, iż będzie mógł, nie oddalając mnie od swojéj osoby, powołać do ważniejszéj niż dotąd pracy. To mnie wprowadziło w błąd, który zresztą i cały kraj podzielał. Myślałem, że książę Adam ma pewność zostania namiestnikiem i że mnie w takim razie użyje na naczelnika przybocznego bióra. To mi nawet poniekąd tłómaczyło, dla czego obecnie aż trzy wydziały wojenne mojemu zwierzchnictwu powierzył. Uzbroiłem się więc w cierpliwość i z podwójną gorliwością zająłem się pracą, nie odmawiając nawet takich czynności, które do mnie zupełnie nie należały.

Wspominałem także, że do pomocy w powierzonych mi przekładach francuskich użyłem szwagra mego Stanisława Grabowskiego. Tém chętniéj on do Warszawy pośpieszył, że miał tu do popierania swój własny interes. Król Stanisław August matce jego dał dobra Krzywowierzba. Majątek ten trzymał Stanisław Grabowski dzierżawą i potrącono z niego kompetencye, przez króla Saskiego przyznane, w ilości 12,000 złp. rocznie. Myśl, że z końcem życia mojego szwagra ustanie kompetencya, która podług pierwotnego nadania trwać powinna lat pięćdziesiąt, skłoniła moję siostrę i szwagra do podania prośby do tronu, o rozpatrzenie powtórne tego ca-

łego interesu. Z natury rzeczy należał on do wydziału skarbowego lecz książę Adam postanowił prośbę przedstawić Najjaśniejszemu Panu bezpośrednio i bez wpływu Rządu tymczasowego, mimo iż mogło się zdarzyć, że cesarz zapyta się o to bądź Łanskoja, bądź, Nowosilcowa, bądź ks. Lubeckiego, na każdy więc przypadek moja siostra wraz z matką przybyły do Warszawy dla starania się o protekcyą tych panów, do czego miały wstęp ułatwiony za moim pośrednictwem. Przybyła też księżna Izabela Czartoryska, stanęła na ulicy Długiéj, naprzeciw pałacu Raczyńskich i natychmiast otworzyła swoje salony, przyjmując codziennie wieczorem całą prawie warszawską arystokracyą i elegancyą. Tu miałem sposobność poznać wiele osób, a pomiędzy innemi Potocką, żonę Szczęsnego, słynną kiedyś piękność, Greczynkę, którą p. Boskamp z Konstantynopola przywiózł. Rozwiódłszy się z jenerałem Wittem, którego po przybyciu do Polski została żoną i zaślubiwszy Szczęsnego Potockiego, stała się najbogatszą panią w Polsce. Wówczas jedyny ślad jaki z jéj słynnéj piękności pozostał, był to wzrok i kształt oczu, który w istocie był jeszcze czarujący.

Co do interesu Krzywowierzby, ks. Czartoryski przedstawił go Najjaśniejszemu Panu, a ten go odesłał do Rządu tymczasowego. Tu ks. Adam, Lubecki i Leon Potocki okazali się arcy czynnymi w pozyskaniu pomyślnego skutku. Rząd tymczasowy w opinii swéj przedstawił trzy wyjścia: albo oddać Krzywowierzbę bez żadnéj dopłaty na lat dwadzieścia ośm, albo płacić przez lat czterdzieści dwa kompetencyą w ilości 12,000 złp. rocznie, albo też podwyższyć dożywotnią pensyą, w stosunku do dochodów. W skutku takiego przedstawienia, cesarz wybrał podwyższenie pensyi do 18,000 złp. na lata brakujące do przywileju i takim sposobem interes ten stanowczo się zakończył.

27 listopada Najjaśniejszy Pan podpisał konstytucyą, a przesyłając ją Rządowi tymczasowemu, dołączył przypisek objaśniający jak ma być ogłoszoną, tudzież jakim sposobem Rząd tymczasowy ma zakończyć swe urzędowanie i instalować władze konstytucyjne.

Jednocześnie mianowano ministrów, jak to już wspomniałem i rozdano ordery: Orła białego jenerałom—Zajączkowi, Dąbrowskiemu, Sierakowskiemu i Wielhorskiemu, św. Anny—Wincentemu Krasińskiemu, św. Stanisława—Rożnieckiemu, Izydorowi Krasińskiemu, Haukemu i Chłopickiemu.

Ks. Ksawery Lubecki mianowany został gubernatorem wileńskim, lecz godności téj nie objął wcale. Zabawny także zdarzył się z nim wypadek. Przedstawiony był do jednego z wyższych orderów przez Łanskoja, a cesarz znowu ze swojéj strony wyznaczył

mu inny order i tym sposobem jednego dnia miał ich dwa dostać. Kiedy spostrzegł to Nowosilcow, oświadczył *qu'on a surpris la religion de Sa Majesté*, gdyż nigdy nie było praktykowaném, aby kto w jednym dniu mógł dwa ordery otrzymać. Jeden więc z dyplomów musiał ks. Lubecki zwrócić z wielkiém swojém nieukontentowaniem. Mówiąc mi o tém, dodał, iż ma przekonanie, że lepiéj na tém wyjdzie, gdyż już raz w życiu czegoś podobnego doświadczył i że właśnie doznana jak ta krzywda dopomogła mu wynieść się na zajmowany obecnie stopień. Gubernatorstwa zaś wileńskiego dla tego ks. Lubecki nie objął, że namiestnik skoro naznaczony został, przeznaczył go do obrachunków z p. Hedouville o pretensye pieniężne do Francyi. Raz wszedłszy w tę pracę likwidacyjną, prowadził ją następnie z dworami Berlińskim i Wiedeńskim.

Po odjeździe cesarskim z wielkiém zdumieniem dowiedziała się Warszawa, że namiestnikiem został mianowany jenerał Zajączek. Omylona nie tylko nadzieja, ale prawie pewność rodziny Czartoryskich niekorzystnie na nią podziałać musiała, ale mimo to ks. Izabela jeszcze przez parę tygodni w Warszawie została i codzień dawała wieczory, na które jak dawniéj wszyscy się cisnęli. Byłem świadkiem jak na jedno z tych przyjęć przyjechała namiestnikowa, pani Zajączek. Dama ta, z domu Pernet, córka marszałka dworu hetmanowéj Ogińskiéj, nigdy nie była piękną, lecz zgrabną i w młodości ze szczególną gracyą tańczyła kozaka. Było ich dwie siostry i początkowo obie niezbyt świetne zrobiły partye małżeńskie. Starsza wyszła za p. Wasilewskiego, utrzymującego aptekę w Warszawie i w Puławach młodsza zaś za niejakiego p. Porin, który sprawował funkcyą chirurga, czy cyrulika przy Hetmanie Branickim. Z tego małżeństwa miała syna, który w rewolucyi francuskiéj dosłużył się rangi pułkownika i zginął w wojnach Napoleońskich. Gdy owdowiała, jenerał Zajączek, podówczas adiutant Branickiego, z nią się ożenił. Po rewolucyi Kościuszkowskiej wraz z mężem udała się do Francyi, a kiedy mąż towarzyszył Napoleonowi do Egiptu i następnie w rozmaitych kampaniach był używany, ciągle przemieszkiwała w Paryżu, gdzie nabrała gustu, elegancyi i dobrego tonu, którym się na stanowisku żony namiestnika odznaczała. Ks. Czartoryska nie wiem dla jakich powodów niecierpiała jenerała Zajączka, a nie więcéj także była przychylną dla dawnéj panny Pernet i zwykle zgóry ją traktowała, chociaż sposobność spotykania się ich bardzo rzadko się wydarzała. Kiedy namiestnikowa w wieczór, o którym wspomniałem, została zaanonsowaną, księżna Czartoryska wybiegła naprzeciw niéj i uściskały się z taką serdecznością jak dwie przyjaciółki, które po bardzo długiém niewidzeniu wreszcie zejść się z sobą zdołały.

Generał Zajączek nie posiadał także miłości kraju, a jako wódz nie był nigdy szczęśliwym. Pod Chełmem zwyciężony, bronił Pragi przeciw Suwarowowi i oskarżono go, że kazał spalić most, sam się dostawszy do Warszawy, przez co jeżeli przeciął sposobność zajęcia miasta, to natomiast wystawił na zgubę cały oddział, którym dowodził. Późniéj nie wstąpił do legionów, ale wszedł do służby francuskiéj i aczkolwiek dowodził drugą legią Księstwa Warszawskiego i płatny był ze skarbu tegoż, nie tylko nie zrzucił kokardy francuskiéj i nie zmienił francuskiego munduru, lecz nawet zawsze uważał się za jenerała francuskiego i domagał się wszystkich korzyści, jakie tym ostatnim przysługiwały. Na kwaterach mianowicie musiano ponosić koszta jego żywienia, o co miasto Kalisz zanosiło nań skargę do ówczesnego rządu. Utracił nogę w bitwie pod Berezyną i wzięty do niewoli zostawał w niéj aż do zakończenia wojny, czyli do r. 1814.

Jeżeli zamiar mianowania go namiestnikiem trzymano w tajemnicy przed ks. Czartoryskim, to również nic o tém nie wiedział i jenerał Zajączek. Mieszkał on w Warszawie w domu teścia mojego, Michała Kochanowskiego i w takim był zaniedbaniu, że kiedy podczas pobytu cesarskiego p. Kochanowski dawał obiad i Zajączka także zaprosił,—nikt z gości ani słowa do jenerała nie przemówił. Późniéj chodziły pogłoski, że cesarz Aleksander chciał powierzyć namiestnikowstwo ks. Czartoryskiemu, ale się temu w. ks. Konstanty miał oprzéć, dając za powód, że nie potrafi zgodzić się z człowiekiem, który nigdy wojskowo nie służył i że jeżeli cesarz jego chce na stanowisku naczelnego wodza utrzymać, musi mu żołnierza dać za namiestnika. Z wojskowych najstarszemi w randze byli jenerał Sierakowski lub Wawrzecki — dla czego więc na nich wybór nie wypadł, osobliwie na pierwszego trudno istotnie wiedziéć. To pewna, że zarówno Sierakowski, jak i Wawrzecki odznaczali się taką przychylnością dla Rosyi, że na ich posłuszeństwo zupełne można było bezwarunkowo liczyć.

Generał Łanskoj miał wracać do Petersburga, Wawrzecki został ministrem sprawiedliwości, ks. Czartoryski wojewodą i członkiem Rady administracyjnéj, Nowosilcow komisarzem cesarskim przy Radzie stanu Królestwa Polskiego, a miał także redagować ustawę konstytucyjną. W pracy téj odstąpił nieco od zasad w Wiedniu ułożonych, a zdaje się, że w tym względzie zgóry miał upoważnienie.

Po wyjeździe cesarskim nastała cisza. Rząd tymczasowy zabrał się do załatwiania zaległości. Ja w połowie grudnia udałem się do ks. Czartoryskiego z zapytaniem, co mam dalej czynić, nie

pobierając bowiem pensyi nie widziałem racyi dłużéj w Warszawie zostawać. Lecz wtenczas ks. Adam ze swojéj strony, a Lubecki od siebie jednozgodnie mi oświadczyli, że niepodobieństwem jest, abym przy schyłku Rządu tymczasowego i przy tak mnogich zaległościach opuszczał biuro. Karmili mnie obaj nadziejami, a że ks. Czartoryski otrzymał polecenie redagowania statutów organicznych, zaprzągł mnie więc do roboty w komitecie, któremu prezydował i polecił wedle wskazanych zasad, redagowanie szczegółów. Zajęcie to zatrzymało mnie znowu na kilka miesięcy w Warszawie. Aby dać wyobrażenie jak zwierzchnicy nasi byli wymagający, przytaczam, że kiedy ks. Adam wyjeżdżał do Kalisza naprzeciwko cesarza, polecił mi przełożyć na język francuski raport, składający się z dwudziestu sześciu arkuszy i zapowiedział mi, że robota ta stanowczo w dwóch dniach musi być skończona.

Nastąpiła nakoniec chwila rozwiązania Rządu tymczasowego i instalacyi namiestnika, a wybrano na tę uroczystość dzień 24 grudnia. Ceremonia zaczęła się od złożenia powinszowań w. księciu Konstantemu i nabożeństwa w kaplicy greckiéj. Miejsce dla zebrania się władz przeznaczono w sali senatu. Prezes Ostrowski do powitania Rządu tymczasowego delegował wojewodę Bielińskiego i kasztelana Czarneckiego. Członkowie Rządu zajęli miejsca u stóp tronu i Szaniawski odczytał rozkaz cesarski, dotyczący ogłoszenia karty konstytucyjnéj i złożenia jéj w senacie. Ks. Czartoryski zabrał głos następnie i w długiéj mowie wystawił dobrodziejstwa, jakiemi cesarz kraj obdarzył, wskazał na ważność konstytucyi i przywrócenie przez nią bytu ojczyzny. Następnie Ignacy Sobolewski, sekretarz stanu, odczytał samę ustawę, a kiedy doszedł w niéj do art. 109, przestał i w. książę Konstanty, przez ustawę członkiem senatu mianowany, wstał z zajmowanego dotąd przez siebie krzesła, a zajął miejsce senatora, przed biskupami. Po ukończonym czytaniu ustawy prezes senatu zbliżył się do tronu, wziął kartę z rąk Sobolewskiego i przemówiwszy słów parę, przygotowaną mowę swą dla głosu, jakiego starcowi już nie dostawało polecił odczytać Julianowi Niemcewiczowi sekretarzowi senatu. Następnie Szaniawski odczytał nominacyą namiestnika — ten wykonał przysięgę i krótko przemówił. Na tém się ceremonia ukończyła i wszystkie władze udały się do kościoła św. Jana, zkąd po solennéem nabożeństwie i odśpiewanéem *Te Deum* przeszli wszyscy do Nowosilcowa, który obiad dla władz dawał.

Następnego dnia namiestnik Zajączek objął władzę i doręczono nominacye na wojewodów dla ks. Czartoryskiego, Wawrzeckiego, Zajączka, Dąbrowskiego i Wielhorskiego, na ministra oświecenia

dla wojewody Stanisława Potockiego, na ministra sprawiedliwości dla Wawrzeckiego, spraw wewnętrznych dla Mostowskiego, skarbu dla Matuszewicza, wojny dla Wielhorskiego i na ministra sekretarza stanu dla Sobolewskiego. Aleksander Potocki został w. koniuszym, Batowski w. łowczym, Broniec marszałkiem dworu, szambelanami: Stadnicki, Żaboklicki, Józef Krasiński, Sebastyan Badeni i Henryk Zabiełło; kamerjunkrami: Ignacy Leduchowski, Adam Matuszewicz, Tymowski, Darowski i Antoni ks. Jabłonowski. Orderem ś. Stanisława zaszczyceni zostali: Franciszek Grabowski i biskupi Gołaszewski i Woronicz. Radcami stanu mianowani: ks. Staszic, Wojda, kasztelan Strasz i Dembczyński, b. sekretarz rady najwyższéj. Następnego dnia ciężar przyjęcia i balu leżał na namiestniku, a że nie miał jeszcze urządzonego swego mieszkania, przeto przyjmował w Zamku. Dnia 29-go Nakwaski, prefekt warszawski dał bal, na którym się znajdowało zgórą dwieście osób.

Tym sposobem z końcem 1815 r. kończył się także byt Księstwa Warszawskiego, a następowała nowa era Królestwa Polskiego. W. Księstwo Warszawskie trwało więc lat ośm, a samoistności używało lat pięć, jeśli rzeczywiście samoistnością nazwać można niewolnicze regulowanie się do potrzeb i interesów Francyi. Obdarzone konstytucyą, o któréj trudno coś na pewnego wyrzec, bo wśród ciągłych wojen nie miała ona czasu być zastosowaną w praktyce, właściwie wegetowało ono a nie żyło. Zdaje mi się jednak, że konstytucya Księstwa Warszawskiego za wiele dawała władzy Izbie poselskiéj, a odbierając królowi prawo kładzenia swego *veto* i senat ograniczając do prostego stróżowania, nie posiadała warunków trwałości. Sejm 1811 r. wadliwe jéj strony dosyć dokładnie wykazał.

Co do Królestwa Polskiego, to w rozległości swéj znacznie od Księstwa Warszawskiego mniejsze, pod względem politycznym przedstawiało daleko więcéj gwarancyi, bo opierało się na potędze cesarstwa Rosyjskiego. Położenie księstwa w tym względzie było mniéj korzystne. Otoczone nieprzyjaciołmi nie mogło ono opierać się na kim innym, jak na Francyi, a ta zbyt oddalona, w potrzebie nagłéj nie mogła dać skutecznéj pomocy. Pod względem materyalnym królestwo traciło na tém, że nie posiadało Gdańska, ale była to strata więcéj pozorna, gdyż mając dla siebie otwarte granice Rosyi, z korzyścią tu mogło szukać kompensat handlowych.

Upadek Napoleona w roku 1815 stanowczo zdecydowany, wytępił w Polsce stopniowo Napoleonizm, czyli ślepe przywiązanie i entuzyazm do jego osoby i czynów, lecz nie wytępił zarodów niejasnych żądań, że jeśli nie Napoleon, to Francya wskrzeszą Polskę

w dawnéj potędze. W wojskach, które wróciły z Francyi, nie jasne te rojenia nie tylko że przejmowały wszystkich, ale w pojedyńczych osobach na zewnątrz transpirując rodziły niezadowolenie i w tajnych spiskach i związkach zastosowywanie znajdowały. Na czele malkontentów zamieścić należy jenerała Dąbrowskiego ze wszystkimi jego adherentami, jakimi byli jenerałowie Sokolnicki i Umiński i mnóstwo niższego stopnia oficerów. Nadto do tych wewnętrznych powodów niekorzystnie jeszcze na oficerów działały przesadna karność i dyscyplina wojskowa, jakim żołnierza polskiego poddał wódz naczelny. Kiedy za czasów francuskich i dowództwa księcia Józefa nie przywiązywano żadnéj wagi do mundurów i sposobu ich noszenia, kiedy na parady wolno było okazywać się w mundurach rozpiętych lub zapiętych, z kolorowemi chustkami na szyjach i pantalonami, wybranemi stosownie do gustu; raptowne przejście do największéj ścisłości w odzieży, w ilości guzików, w zapinaniu strojów, musiało się wydać nieznośném. Nadto kiedy za czasów francuskich wymagano jak największéj ścisłości w ewolucyach wojskowych, a nie przywiązywano wcale do tego wagi czy kroki są równe, czy nogi pod jedną linią się podnoszą i nawet czy cały szereg w jednéj sekundzie broń prezentuje, kiedy w. ks. Konstanty właśnie za te uchybienia najsrożéj się gniewał, kiedy nietylko żołnierz ale i oficer odpowiadali za ubranie oddziału i za jego ruchy, kiedy wszyscy przełożeni, a nawet generałowie za uchybienia takie dostawali się do kozy, niezadowolenie okazało się wielkie. Niezwykła w tym względzie surowość miała ten skutek, że wprawdzie wojsko polskie tak doskonale robiło bronią, że mogło służyć za wzór dla każdéj armii, ale ci z oficerów, którzy nie mieli dosyć cierpliwości do odbycia téj trudnéj nauki, albo służbę rzucali, albo trzymając się w niéj, przechodzili w szeregi malkontentów.

Zajączek, kiedy go powołano na namiestnictwo, był już kalectwem i wiekiem przygnębiony i nie można powiedziéć, żeby wtenczas odznaczał się potęgą umysłu, owszem zdawał się zawsze śpiący, a często bardzo ciężkich bólów w obciętéj swéj nodze doznawał. Jednak czy to z jego wyboru, czy z rozkazu w. księcia lub natchnienia Nowosilcowa, powołano do służby rządowéj ludzi światłych, prawych i dobrych administratorów, a pod ich kierunkiem maszyna rządowa musiała funkcyonować dobrze i rzeczywiście w kilku latach kraj przyszedł do pomyślności; rany zadane długiemi wojnami zabliźniły się, zaczęły zaludniać się miasta i powstawać fabryki. Stojący na czele ministeryum skarbu Matuszewicz, człowiek rządny, nieskazitelny i pełen zdolności, minister spraw wewnętrznych Mostowski, który acz sam nie lubił pracy, ale umiał

zebrane po za granicą wiadomości na pożytek kraju stosować i Stanisław Potocki, mąż w literaturze zasłużony jako minister oświecenia—wszyscy trzéj położyli oni wielkie zasługi. Za wzmagającym się dobrobytem idzie zwykle rozwój literatury, zwłaszcza jeżeli człowiek wychowaniem młodzieży kierujący, dzielny w tym kierunku daje przykład. W Warszawie zaszło także to samo i pojedyńcze objawy, coraz więcéj obiecującemi na przyszłość się stawały. Ludwik Osiński, profesor literatury w wyższych zakładach, ożeniwszy się z córką Bogusławskiego, antreprenera teatru narodowego, wiele się przyczynił do rozwoju polskiéj sceny. Wprawdzie w r. 1815, poróżniwszy się z teściem, zerwał układ, na mocy którego teatrem kierował, ale zawsze za jego dyrekcyi wystawiono wiele sztuk nowych. Najważniejsze z nich: „Saper w Pireneach“, „Familia Szwajcarska“ (opera), „Biały Pielgrzym“ (dramat), „Hilary“ (opera), „Nowy Dziedzic“ (dramat).

Towarzystwo Przyjaciół Nauk odbyło w tym roku dwa posiedzenia: jedno dnia 11 stycznia, drugie 2-go maja. W obydwóch przewodniczył ksiądz Staszic.

W tym roku także Rozalia Rzewuska postanowiła pozbyć się wszystkich zbiorów, jakie jéj po ojcu i przodkach w Opolu zostały. Rozdawnictwo rozpoczęła, darowawszy Pijarom w Opolu gabinet historyi naturalnéj, który był nie małéj wartości. Pijarzy początkowo dla użytku uczącéj się młodzieży gabinet ten w swych gmachach umieścili, lecz kiedy późniéj szkoły opolskie zostały skasowane, oddano go do Lublina, a tam wszystkie okazy wypchane lub w spirytusie marynowane, pozostając w pakach, zupełnemu prawie zniszczeniu uległy. Pozostały tylko narzędzia fizyczne i zbiory muszel, które na użytek szkół lubelskich zatrzymano. W kilka lat późniéj gorszy jeszcze los spotkał księgozbiór Opolski, Rzewuska bowiem kazała spalić wszystkie dzieła trącące liberalizmem lub antyreligijne. Wybrawszy dla siebie tylko kilka tysięcy tomów, resztę pozwalała brać komu się podobało, jak to niegdyś w Atenach czynił Cymon z owocami swojego ogrodu. Z takich zaborów sformowała się w znacznéj części bogata biblioteka Piotrowicka Koźmianów, a znajdujące się w niéj dzieła rzadkie, korespondencye Lubomirskich i jeden tom dyplomatycznych listów Kromera, ztąd pochodziły. Był w Opolu także gabinet instrumentów muzycznych, dawnych zbroi i starożytnych powozów. To również rozmaitym amatorom rozdawano.

*Aër.*

# NOWE WYDANIE DZIEŁ
## JÓZEFA SUPIŃSKIEGO.

(*Dokończenie*).

*Dochód.* Autor przedewszystkiem rozróżnia pojęcia „przychodu i dochodu,“ nazywając przychodem to wszystko, co przynosi dane przedsiębierstwo (przychód surowy, brutto); dochodem zaś tylko to, co pozostaje właścicielowi po potrąceniu wydatków na prowadzenie tego przedsiębierstwa (dochód czysty, netto). Dochód stanowi „nagrodę“ przedsięwzięć ludzkich ale nie jedyną; celem naszych usiłowań może być również jakaś „korzyść“ np. usiłowania dążące do uprzyjemnienia życia nie przynoszą nam żadnego dochodu, tylko korzyść idealną. Źródłem przyrodzoném wszelkich nagród i wszelkiego dochodu człowieka może być tylko jego „wiedza i praca—żyjąca w nim samym, lub już przelana w materyą;—powstała jego własnym trudem, lub oddziedziczona po przodkach;“ wszystkie inne źródła nagród powinny być stanowczo usunięte. Z tego punktu wychodząc autor rozróżnia trzy rodzaje nagród i dochodów: 1) pochodzące z saméj pracy, 2) pochodzące z samego zasobu; 3) pochodzące łącznie i z pracy i z zasobu. W podziale tym uderza nas brak dochodu z ziemi czyli t. z. renty, przyczyna takiego pominięcia leży w tém, że w Szkole polskiéj renta uważaną jest wyłącznie jako dochód z włożonego w ziemię zasobu.

Dochody i korzyści opierają się na dwu głównych zasadach: 1) „w świecie ludzkim im co jest więcéj ludzkiém, tém jest ważniejszém w jego organicznym składzie i tém wyżéj cenioném być musi,“ 2) „jak każdy skutek jest następstwem odpowiadającéj mu przyczyny, tak natura nagród i korzyści odpowiadać musi naturze czynu.“ Z dwu zasadniczych czynników: wiedza, jako początkujący czynnik potęgi ludzkiéj, ważniejszą jest od pracy, dla tego téż i przy

rozdziale nagród w społeczeństwie ludzkiém przypada jéj znaczniejszy udział; nagrody te jednak są więcéj duchowéj natury np. sława, uznanie potomności itp. odpowiednio do charakteru saméj wiedzy. Przeciwnie na rzecz pracy (i zasobu) przypadają mniéj ważne nagrody ale za to mające bardziéj realny charakter.

Ze względu na ich ważność autor dzieli zajęcia ludzkie na trzy główne kategorye (przytém ważności zajęcia odpowiada zupełnie ważność przypadającéj im w udziale nagrody). Na pierwszém miejscu postawić należy uczonych wykrywających nowe prawdy naukowe, mające rozległe ogólne znaczenie, oraz wielkich praktycznych działaczy kierujących ważnemi przeobrażeniami społecznemi;—nagroda ich nosi czysto duchowy charakter, jest nią ogólne uznanie potomności. Na drugiem miejscu stoją ludzie pracujący w zawodach naukowych, ale na drodze już utartéj przez mistrzów, oraz kierownicy znaczniejszych narodowych przedsięwzięć; nagroda ich nosi już charakter mięszany, rozgłos imienia łączy się z pewnym określonym dochodem; dwa te jednak składowe czynniki znajdują się w odwrotnym stosunku; im większą jest sława, tém mniejszy dochód i naodwrót.

Nie rozumiemy dla czego autor do téj saméj kategoryi zalicza wszystkie „zatrudnienia“ zatém fabrykantów, nauczycieli, lekarzy itp. Zwłaszcza co się tyczy fabrykantów, to sądzimy że ich nagroda ulega zupełnie innym prawom, niż nagrody uczonych; rozgłos imienia w wyjątkowych tylko wypadkach staje się ich udziałem, jeżeli zaś jaki fabrykant stanie się sławnym, ciągnie daleko większe zyski (dochody) ze swego przedsiębierstwa, niż jego nieznany współzawodnik.

Nakoniec do trzeciéj kategoryi należą ludzie zajęci ręczném wykonywaniem robót szczegółowych (robotnicy); za swoję pracę otrzymują oni tylko dochód i przytém jeszcze tak szczupły, że zaledwie wystarcza im na zaspokojenie najgłówniejszych potrzeb; dochód ten jest tak niskim dla tego, że zależy od stosunku podaży do poszukiwania (popytu). Kiedy podaż sił roboczych stanie się większą, niż ich zapotrzebowanie; wówczas wskutek konkurencyi zarobki spadają poniżéj niezbędnego minimum, pociągając za sobą głód i choroby; większa śmiertelność zaczyna przerzedzać szeregi robotnicze, aż dopóki zarobki nie powrócą do poprzedniéj normy. Autor słusznie potępia warunki, które nie zapobiegają takiemu stanowi rzeczy; głód wywołuje społeczne wstrząśnienia, które „nie samemu prostactwu i niewykształceniu klas roboczych przypisywać należy;“ one wzbudzają w nas „pogardę dla ustaw, które klęskom tym zapobiedz nie chcą lub nieumieją; które, urządzając świat ludz-

ki, dozwalają gnieździć się w jego łonie przemocy i niewoli, tym najdrapieżniejszym resztom dzikości świata powszechnego;"—niesłusznie jednak w warunkach tych widzi reszty boleśnych następstw. wywołanych przez ustawy krępujące wolność pracy, przemysłu, ruchu i dowozu." Kiedy wprowadzenie nowych maszyn lub przesilenie przemysłowe pozbawia roboty pewną część robotników a innym zniża zarobki—żadna ustawa nie jest temu winną; przeciwnie ustawy racyonalne może i mogłyby osłabić złe skutki tych faktów, zabezpieczając jakkolwiek robotników od spadającéj na nich nędzy. Również nie zgadzamy się z twierdzeniem autora, że prawo zarobków nie znajduje zastosowania w kraju naszym; przytoczony na uzasadnienie tego twierdzenia argument, że rolnicy są przeważnie właścicielami ziemskimi, a przemysł fabryczny bardzo poślednie zajmuje miejsce, nie da się już w obecnych warunkach zastosować przynajmniéj do Królestwa Polskiego: przemysł fabryczny jakkolwiek nie dosiągł jeszcze takiego stopnia rozwoju, jak w Zachodniéj Europie, zajmuje jednak wydatne stanowisko w gospodarstwie społecznem; ilość zaś bezrolnych włościan czy to wskutek skupienia ucząstków drobnych w jednym ręku, czy więcéj może wskutek mnożenia się ludności coraz bardziéj wzrasta. Nie posiadamy dostatecznych statystycznych danych żeby udowodnić pozytywnie, że prawo zarobkowe znajduje zastosowanie w kraju naszym, zwrócić jednak musimy uwagę choćby np. na to, że według danych przedstawianych przez fabrykantów warszawskich do sekcyi statystycznéj magistratu miasta Warszawy, przeciętny zarobek robotnika w latach od 1877 r. do 1882 r. wahał się między 230—300 rs.; liczby te są bardzo nizkie zwłaszcza jeżeli weźmiemy na uwagę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa są one wyższe od rzeczywistych. Przed kilku laty mieliśmy tyfus głodowy między robotnikami w Łodzi, słyszymy też częste skargi na brak roboty—wszystko to razem wzięte daje nam zupełne prawo zaprzeczyć twierdzeniu autora.

Dochody osób należących do drugiéj kategoryi są daleko wyższe; przyczynę lepszego materyalnego położenia autor widzi w tém, że przygotowanie tych osób do ich zawodów wymagało znacznych nakładów, które powinny się opłacić i przynieść należne korzyści; prócz tego w wielu zawodach nie wszyscy konkurenci dochodzą do tego stanowiska, które było przedmiotem ich usiłowań: znaczna część nie może zwalczyć wszystkich trudności spotykanych na drodze i ginie pozostawiając szczęśliwszym wolniejsze szranki, ci ostatni zagarniają nie tylko przypadające im dochody, ale także i dochody tych wszystkich, którzy przedwcześnie zginęli; to nam obja-

śnia, dla czego sławni śpiewacy, muzycy itp. otrzymują tak wysokie wynagrodzenia.

Przytoczone objaśnienie należy jednak uzupełnić zwracając uwagę na dwa ważne punkty: 1) na odpowiednie wykształcenie nauczycieli, lekarzy itp. społeczeństwo ponosiło znaczniejsze koszta niż na wychowanie prostych robotników zajętych pracą fizyczną, jeżeli zatem ich praca przynosi społeczeństwu większą korzyść, jest to w części zwrotem zaciągniętego długu (autor zwraca na to uwagę ale tylko ubocznie gdy mówi o uposażeniu księży rusińskich we Wschodniéj Galicyi) 2) wysoki dochód w tego rodzaju zajęciach zależy w znacznym stopniu od stosunku podaży do popytu: gdy liczba wykwalifikowanych pracowników wzrasta, wynagrodzenie ich zniża się, chociaż koszta ich wykształcenia nie ulegają znacznéj zmianie.

Dochody z pracy zbaczają niekiedy z właściwéj drogi i przyjmują odmienny kierunek skutkiem wpływów przyrodzonych lub sztucznych. Sztuczne wpływy wynikają ze złych ustaw, z pomiędzy zaś przyrodzonych autor wskazuje na następujące: 1) pogardę opinii publicznéj (np. zajęcie kata), 2) przykrość i uciążliwość zajęcia; 3) trudność i wątpliwość powodzenia; 4) niestałość zajęcia, zależna np. od pór roku; 5) szkodliwość dla zdrowia;—wszystkie te czynniki wpływać mają na zwiększenie dochodu. Według naszego zdania prawo to mogłoby działać skutecznie jeżeliby poszukujący robotników znajdowali zawsze tylko niedostateczną ich liczbę; przy obecnych jednak stosunkach zajęcia te przypadają zwykle takim ludziom, którzy stoją na najniższych szczeblach drabiny społecznéj i którzy, nie mając innego wyboru, przyjąć je muszą choćby za najlichsze wynagrodzenie. Możemy zatém bez wielkiéj omyłki przyjąć, że najuciążliwsze i najprzykrzejsze zajęcia są zwykle najgorzéj płatne,—bo podejmują się ich ludzie nie mogący znaleść innego zarobku.

Dochód z zasobu autor tak tłómaczy to: co człowiek swoją pracą i wiedzą utworzył „jest jego świętą własnością, bo jest jeszcze *nim samym*“ ponieważ zaś człowiek ciągnie dochód z siebie samego tj. ze swojéj pracy i wiedzy, zatém ma najzupełniejsze prawo ciągnąć dochód i z tego, co jest jego własnością. Dla czego jednak to, w co człowiek przelał swoję wiedzę i pracę, ma być uważane jako część jego samego? przecież człowiek może odstąpić sprzedać, pożyczyć, zniszczyć wytwór swojéj pracy (i wiedzy) a wedle zdania Supińskiego nie może tego zrobić z sobą samym? Przytém na téj zasadzie można by objaśnić co najwyżéj dochód z zasobu wytworzonego własną pracą (i wiedzą); wiadomą zaś jest rzeczą że takie zasoby

stanowią tak drobną cząstkę ogółu zasobów, że można je zupełnie pominąć przy obliczeniach. Ani rolnik, uprawiający swój kawałek gruntu własnemi rękami, ani drobny rzemieślnik, ani nawet lekarze, nauczyciele, adwokaci itp. nie są wstanie nagromadzić jakiegoś znaczniejszego zasobu; nagromadzają go zwykle kapitaliści przez zastosowanie pracy najemnéj.

Opierając się na tém pierwotném źródle dochodu z zasobów, autor przeprowadza daléj podział tych dochodów na téj saméj zasadzie, co i podział dochodów z pracy. Zatém zasoby mające na celu dobro ogólne (np. zbiory pamiątek) lub zapewnienie przyjemności ich posiadaczom (np. pałace, wille) przynoszą właścicielom korzyści czysto niemateryalne; właściwe zaś zasoby przynoszą dochody realne. Wiedza o ile jest własnością ogólną tj. przez człowieka sobie nie przyswojoną, istnieje darmo i nikomu nie przynosi żadnego dochodu; w tém jednak co człowiek sam odkrył tkwi „własność jego wiedzy“ i daje mu dochód, dopóki ten pomysł nie stanie się własnością ogółu (również i to, czém człowiek zbogacił swój umysł, stanowi „własność jego pracy,“ zatém także przynosi dochód).

Rozmaite rodzaje zasobów przynoszą rozmaite dochody, wszystkie one jednak krążą około pewnéj wspólnéj miary, pewnego średniego dochodu; takim średnim dochodem jest według zdania autora „stopa średnia odsetek od kapitałów“ (wyraz kapitał użyty tu jest w tém znaczeniu, jakie mu zostało nadane w szkole polskiéj). Ale w inném miejscu mówi autor że każde przedsiębiorstwo powinno przynosić przedsiębiorcy: 1) wpływ umarzający jego nakłady; 2) odsetki średnie od zasobu; 3) częściowe pokrycie strat możliwych, 4) płacę za zatrudnienie; 5) zysk właściwy ulegający ciągłym zmianom co do wielkości. Jeżeli z tego szeregu wyłączymy wpływ umarzający nakłady, na téj zasadzie że jest on tylko zwrotem wyłożonych wartości, i płacę za zatrudnienie jako dochód z pracy, jeżeli nawet przypuścimy, że częściowe pokrycie strat możliwych czyli premja asekuracyjna może być zrównana we wszelkich gałęziach produkcyi przez odpowiedni rozwój towarzystw asekuracyjnych, to zawsze jeszcze przyznać musimy, że średnim dochodem z zasobu użytego w przedsiębiorstwie (a taki tylko zasób przynosi dochód) będzie średni procent plus średni zysk. Pogląd taki przyjęty jest w ogóle w literaturze ekonomicznéj zachodniéj Europy; według twierdzenia ekonomistów dochód z kapitału użytego w przedsiębiorstwie stanowi zysk, który obejmuje w sobie już i procent od kapitału.

Dochody z zasobów ulegają ogólnemu prawu stosunku podaży do popytu; im większą jest ilość zasobów społecznych, tém mniejsze

przynoszą one dochody, a to dla tego, że „obfitość styka się z darmością;“ pomimo to jednak pojedynczy właściciele zasobów nic nie tracą na tém zmniejszeniu się normy dochodów, bo proporcyonalnie rosną posiadane przez nich zasoby; tj. chociaż ich względny dochód się zmniejsza, ale „bezwzględny“ rzeczywisty pozostaje bez zmiany. Twierdzenie takie byłoby słusznóm tylko w takim razie, jeżelibyśmy przypuścili że narastanie zasobu nie zmienia faktycznych stosunków posiadania; przypuszczenie jednak takie sprzecznóm jest nietylko z tém, co widzimy niemal na każdym kroku, ale także i z tą tendencyą którą przejawia nagromadzający się zasób: wskutek konkurencyi i przewagi wielkiego przemysłu, drobne kapitały nikną z widowni pochłonięte przez większe.

Rzadko bardzo, a nawet prawie nigdy nie spotykamy takiego dochodu, który byłby rezultatem saméj tylko pracy lub samego zasobu; jako ogólne prawidło przyjąć możemy, że dochód jest rezultatem spółudziału obu tych czynników; a zatem powinien być między nie rozdzielony. Podział ten podług autora następuje „naprzód w stosunku wartości pracy dawnéj do obecnej; powtóre w stosunku ich obfitości do potrzeby.“ Pierwszy stosunek jest normalnym, ulega on zmianom tylko wtedy, gdy przyłącza się drugi stosunek „stosunek ofitości do potrzeby.“ Przyjrzyjmy się zatem najprzód normalnemu stosunkowi.

Wartość pracy dawnéj w szkole polskiéj oblicza się w następujący sposób: jeżeli wartość pracy i wiedzy wyłożonéj na zbudowanie danéj maszyny wynosi 2,000 złr. tj. jeżeli maszyna ta kosztuje 2,000 złr. i jeżeli może służyć w ciągu lat 20, w takim razie powinna przynosić: 5% na amortyzacyą wyłożonego na nią kapitału (właściwie procent ten wypadnie trochę mniejszy, bo procent amortyzacyjny należy obliczać podług procentów składanych) oraz procent średni od wydanych pieniędzy np. 5% czyli razem 10% tj. 200 złr. Jeżeli daléj przy maszynie téj pracuje 4 ludzi w ciągu 150 dni rocznie z płacą dzienną 4 złr. to ogólny zarobek tych robotników wyniesie rocznie 2,400 złr. Maszyna zatém „powinna czynić rocznie 2,600 złr. które dzielą się pomiędzy zasób i robotę w stosunku jak 1 : 13“ (właściwie jak 1 : 12). Stosunek ten jakkolwiek przypuszczalny „przedstawia dość blizko rzeczywisty rozdział przychodu między zasób i robotę przy wszystkich wogóle przedsiębiorstwach“ w normalnych warunkach tj. wtedy kiedy odbywa się on w stosunku wartości pracy dawnéj do obecnéj. „Robota bierze wszędzie część bardzo przemagającą przychodu.“

Nie wiemy na jakiéj zasadzie autor wybrał taki a nie inny stosunek podziału dochodu pomiędzy pracę i zasób; nam jednak wy-

daje się on zupełnie niemożliwym. Przedewszystkiém niewłaściwie zupełnie część stanowiąca amortyzacyą kapitału zakładowego połączona jest z właściwym dochodem z zasobu; nie ma ona wogóle nic wspólnego ani z zarobkami, ani z zyskiem (i procentem); należy ją zatem wyłączyć z tego stosunku. W obliczeniach autora właściwy dochód z zasobu i procent amortyzacyjny były sobie równe; jeżeli oprzemy się na tych obliczeniach w takim razie przyznać musimy, że dochód z zasobu i dochód z pracy znajdują się w stosuuku mniéj więcéj jak 1 : 26, dla pewności jednak weźmy tylko 1 : 20, zatém zysk w przedsiębierstwie wynosił by nie całe 5% wypłaconych zarobków. Gdybyśmy przypuścili możliwość takiego stosunku, musielibyśmy przyznać, że położenie robotników nie może uledz żadnéj zmianie ku lepszemu, bo choćby nawet na ich korzyść przeszedł cały dochód przedsiębiorców, zarobki ich podniosłyby się tylko o niecałe 5%. Sam autor w innéin miejscu swego dzieła wygłasza zdanie: „jeden jest tylko środek zadowolenia przedsiębiorców i robotników, usunięcia nieustannych zwaśnień, obudzenia pracowitości, podniesienia dobrego bytu i korzyści obustronnych; tym jedynym środkiem jest przypuszczenie robotników do zysku ogólnego.“ Czyż jednak robotnik stanie się pracowitszym i czy byt jego poprawi się przez to, że zarobek jego podniesie się o jaki 1%, 2% lub nawet 3%; jeżeli zamiast 300 rs. otrzyma 309 rs. rocznie? Kolej Warszawsko-Wiedeńska dopłaca robotnikom, pracującym w warsztatach mechanicznych na utrzymanie kasy wsparć po 6% rocznie do ogólnéj sumy otrzymanych przez nich zarobków, tj. przeszło o 1% więcéj, niżby wynosił cały dochód z warsztatów, obliczony według podanego stosunku.

Wszystko to zdaje się dostatecznie dowodzi, że podział dochodów następuje w zupełnie odmiennym stosunku; ażeby obliczyć jakim jest rzeczywiście ten stosunek, nie mamy na to danych; przytoczymy tylko kilka cyfr, które mogą rzucić trochę światła na tę kwestyą. Według danych zebranych przez Dudley'a Baxtera ogólny dochód Anglii wynosi około 800 milionów f. st. z tego 300 miljonów przypada na zarobki robotników, a 500 milionów na dochody z kapitałów i ziemi; w tym zatém wypadku podział nastąpił w stosunku *5 : 3 tj. 1 : 0,6.*

Na kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj dochód czysty z eksploatacyi w r. 1882 wynosił 3,715,000 rs.; suma zaś wynagrodzeń wypłaconych etatowym i nieetatowym urzędnikom i robotnikom łącznie z dodatkami wynosiła 1,763,000 rs.; stosunek zatém czystego dochodu do płac roboczych przedstawia się jak *1 : 0,47*; w poprzed-

nich latach stosunek ten wynosił: w 1881 r. *1 : 0,70*, w 1880 r. *1 : 0,62*; 1879 r. *1 : 0,47*, 1878 r. *1 : 0,33*; w ciągu zaś lat 1867—1873 r. włącznie wahał się między *1 : 0,27* i *1 : 0,34*.

Na kolei Warszawsko-Bydgowskiéj w latach 1865, 66 i 67 dochód czysty był prawie dwa razy większy niż suma wynagrodzeń przeznaczonych na opłatę pracy, w pozostałych zaś latach daleko mniejszy; nie możemy jednak z tego wyciągać żadnego wniosku, gdyż koléj Bydgoska należy do przedsięwzięć nieopłacających się i trzyma się tylko dzięki gwarancyi rządowéj; np. w 1882 r. wydatki przewyższyły ogólny przychód z eksploatacyi o 58,000 rs.

Koléj Terespolska także nie przynosi dochodu odpowiedniego i prawie corocznie rząd musi do niéj dopłacać; pomimo to jednak stosunek nasz przedstawia się w następujący sposób: w 1882 r. *1 : 1,24*, w 1881 r. *1 : 1,5*, w 1880 r. *1 : 0,98*, 1879 r. *1 : 0,86*, w 1878 r. *1 : 1,45*, w 1877 r. *1 : 0,58*, w 1876 r. *1 : 0,98*, w 1875 r. *1 : 0,92*, w 1874 r. *1 : 0,89*, w 1873 r. *1 : 0,66*.

Koléj Nadwiślańska początkowo nie dawała niemal żadnego dochodu dopiero od 1881 r. dochód zaczął się podnosić: w r. 1882 wynosił już 823,000 rs. ponieważ zaś suma płac roboczych wynosiła 1,493,000 rs. — stosunek zatém przedstawia się *1 : 1,81*.

Wogóle zatém widzimy, że na kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj czysty dochód z eksploatacyi przewyższa znacznie sumę wypłaconych zarobków, na kolei Terespolskiéj na 10 lat tylko trzy razy był mniejszym, w ciągu zaś pozostałych lat siedmiu stale ją przewyższał. Żadnego jednak ogólnego wniosku wyciągnąć nie możemy z powodu małéj liczby i rozmaitości danych.

Daléj autor mówi, że „robota bierze wszędzie część bardzo przemagającą przychodu.“ O ile możemy sądzić z tych danych, które mieliśmy pod ręką, wynosi ona daleko mniejszą część. W sprawozdaniach dawniejszych kolei Warsz.-Wiedeńskiéj (za lata 1867—1873) i Warsz.-Bydgowskiéj (za lata 1866—1873) obliczono, jaki procent ogółu wydatków stanowią płace robocze i przekonano się że wahają się one między 18,5% z jednéj strony a 33,0% z drugiéj strony; nadmienić przytém musimy, że za wszystkie te lata suma wydatków była daleko mniejszą od ogólnego przychodu.

„Stosunek obfitości do potrzeby“ wpływa na zmianę normalnego stosunku na korzyść tego czynnika, który jest zbyt słabo reprezentowany, a na niekorzyść tego, który jest zbyt obfity; skutkiem tego obfitość zasobu czyni go powszednim i tanim, i naodwrót obfite zaofiarowanie pracy zmniejsza jéj cenę. „Wpływ tego drugiego stosunku, krzyżujący pojęcie słuszności jest także następstwem praw przyrodzonych i żadna siła zmienić go nie zdoła.“

Autor jest zdania, że ścisły rozdział przeprowadzony między dochodem z zasobu i dochodem z pracy ma głównie teoretyczne znaczenie, gdyż „niemal każdy posiadający ma zajęcie, a wiele pośród robotników z powołania są jeszcze właścicielami pewnego mienia.“ My przeciwnie sądzimy, że wiele osób żyje wyłącznie z zasobu i że żaden niemal robotnik z powołania nie posiada takiego zasobu, któryby mu przynosił dochód, dla nas zatém ów rodział ma bardzo ważne praktyczne znaczenie.

Co się tyczy nieporozumień między robotnikami i kapitalistami, czyli t. zw. walki pracy z kapitałem, autor przyczynę jéj słusznie widzi w tém, że zysk z przedsiębiorstwa idzie całkowicie i wyłącznie na korzyść przedsiębiorcy; usunąć tę walkę może tylko „jeden jedyny środek — przypuszczenie robotników do zysku ogólnego,“ skojarzenie zasobu z pracą żyjącą. Trudno jednak przypuścić, żeby środek ten znalazł obszerne zastosowanie, ponieważ dla bardzo zrozumiałych przyczyn kapitaliści wolą zabierać cały zysk, niż jakąś choćby nawet znaczną część jego.

Rozróżniać należy dochód osoby pojedyńczéj i dochód danego narodu; pierwszy stanowi to wszystko, co pozostaje danéj osobie po strąceniu nakładów, dochodem narodu jest suma przychodów surowych w danéj chwili (przytém przedmiot przechodzący kilkakrotnie z rąk do rąk, liczy się tylko pojedynczo); ztąd wynika, że nie dochody czyste, ale przychody surowe są miarą pomyślności powszechnéj: dochody czyste mogą być wielkie obok powszechnéj niedoli i naodwrót mogą być bardzo nieznaczne wtedy, gdy naród cieszy się dobrobytem. Czystym dochodem narodu jest narastanie zasobu społecznego.

Przechodząc na pole praktyczne autor wskazuje, jakie zajęcia u nas dają najpewniejszy dochód i zachęca do produkcyi przedmiotów pierwszéj potrzeby, gdyż te zawsze mogą liczyć na pewny i stały odbyt. Również jest wielkim zwolennikiem robót domowych na téj zasadzie, że dają one pewien dodatkowy dochód i chronią od próżniactwa. Nie możemy się na to godzić bezwzględnie; roboty domowe korzystne niewątpliwie w życiu włościańskim, gdzie zima daje dużo wolnego czasu, w przemyśle fabrycznym mogą istnieść tylko wyjątkowo; jeżeliby zaś gdzie dały się zaprowadzić stale, mogłyby wpływać na obniżenie zarobków w robocie głównéj i na zbytnie zniżenie ceny przedmiotów wyrabianych w domu. To samo powiedzieć można o pracy więźniów: jest ona dla nich bezwarunkowo korzystną, ale za to bardzo szkodliwie oddziaływa na położenie drobnych rzemieślników, którzy zmuszeni przez współzawodnictwo sprzedawać taniéj swoje wyroby, nie mogą wyjść na swoje

Na zakończenie zwrócić jeszcze musimy uwagę czytelników na jeden ustęp, który być może miał zupełną racyą bytu w pierwszém wydaniu, ale dziwnie wydaje się obecnie, mianowicie autor dowodzi, że zysk materyalny nie jest niczém złem, przeciwnie, nawet czémś bardzo korzystném i że nie należy go lekceważyć. Sądzimy, że w dzisiejszych czasach zysk cieszy się tak ogólném uznaniem, że właściwiéj daléko byłoby dowodzić, że nietylko on jest rzeczą dobrą i że nie należy lekceważyć tego wszystkiego, co nam nie przynosi bezpośredniego zysku.

*Zamiana i kredyt.* Dwie są tylko drogi prowadzące do posiadania: zabór i wymiana. Pierwszy stanowi właściwość świata przyrodzonego, druga—właściwość świata ludzkiego. Przedmiotem zamiany — według autora — może być tylko to, co ma wartość społeczną t. j. użyteczność wypracowana wiedzą i pracą; w praktyce jednak spotykamy wyjątki od tego prawidła np. ulegają zamianie nieuprawne ziemie i dziewicze lasy, ryby w jeziorach i stawach, zwierzyna w lasach i inne podobne przedmioty, których w żadnym razie nie możemy uważać za rezultat wiedzy i pracy ludzkiéj. Do wymiany w obecnych warunkach służą pieniądze, należy je uważać jako narzędzie wymiany a nie jako jéj cel; sprzedaż i kupno to tylko dwie części téj saméj całości. Dopóki nie istniały pieniądze, wymiana odbywała się w naturze. Ilość pieniędzy w gospodarstwie społecznem według zdania autora gra podrzędną rolę: jeżeli ich ilość się powiększa, zmniejsza się ich znaczenie i naodwrót; zbyteczna zaś część pieniędzy uchodzi za granicę i przywraca potrzebną równowagę. W teoryi rzeczy te objaśniają się prędko i gładko, w praktyce jednak nadmiar a zwłaszcza brak gotówki może być źródłem wielu smutnych następstw, a nawet wywołać przesilenie handlowe. Pieniądz srebrny i złoty jako kruszec ma swoję właściwą wartość, która nie może zależeć wyłącznie tylko od stosunku podaży do popytu. W każdym razie wszelkie fluktuacye w ilości pieniędzy mniéj są niebezpieczne w tych krajach, w których kredyt doszedł do wysokiego stopnia rozwoju.

Najważniejszém następstwem wymiany jest spółubieganie się— odbicie w świecie ludzkim wyścigów przyrodzonych. Bezpośrednio z praw przyrodzonych wynika „prąd jednostronny“ wszystkich członków społeczeństwa, dążący do zużytecznienia sił własnych w możliwie najwyższym stopniu; dążenie to jest zgodne i spokojne i poprzedza właściwe spółubieganie się — konkurencyą, która jest „już tylko następstwem ułomności dzieł ludzkich i ustaw ludzkich.“ Prąd przyrodzony to wyścigi rzędów, konkurencya to wyścigi osobników należących do tego samego rzędu.

Źródło konkurencyi autor widzi w tém, że „suma wartości po. danych do zbycia nigdy nie jest i być nie może równą sumie wartości poszukiwanych;“ nierówność ta pochodzi ztąd, że 1) ludzie nie znają dokładnie ani potrzeb i chęci tych dla których produkują, ani przygotowanéj przez innych ilości wyrobów tego samego rodzaju; 2) wynalazki i odkrycia w rozmaitych gałęziach przemysłu nie postępują równocześnie i równolegle; 3) materya i siły świata przyrodzonego nie znajdują się w nieograniczonéj ilości. Pierwsza przyczyna wywołuje współubieganie się i ze strony podaży i ze strony poszukiwania, druga tylko ze strony podaży, trzecia tylko ze strony poszukiwania, dwie ostatnie wzajem sobie przeciwdziałają: jedna z nich przynosi korzyść ogółowi, druga stratę. Sądzimy, że autor przecenia wpływ trzeciéj przyczyny; ograniczoność materyi i sił przyrodzonych jakkolwiek jest faktem niezaprzeczonym, nigdzie jeszcze nie daje się uczuwać w ten sposób, żeby ziemia nie mogła wyżywić zamieszkujących ją ludzi, a w takim tylko razie mogłaby ona być przyczyną współubiegania się. Co prawda często się zdarza, że braknie chleba dla biednych, nie jest to jednak wynikiem ograniczoności przyrodzonéj, ale tych społecznych warunków, które rządzą produkcyą i podziałem bogactw. Gdyby produkcya miała na celu przedewszystkiem zaspokojenie niezbędnych potrzeb wszystkich ludzi, a następnie dopiero potrzeb zbytkowych, przyrodzona ograniczoność nie dałaby się odczuwać; obecnie jednak dzieje się wręcz przeciwnie: ci tylko mogą zaspakajać swe potrzeby, którzy mają czém płacić; niemający pieniędzy i niemogący sprzedać swéj siły roboczéj są wykluczeni ze sfery cyrkulacyi wartości ekonomicznych. Bezwzględnego braku środków żywności nie spotykamy nigdzie, względny brak daje się odczuwać zbyt często.

Walka o zysk pomiędzy zasobem i pracą pociąga za sobą często bardzo następstwa smutne dla robotników, jako ekonomicznie słabsi ulegają oni w walce czynnikowi potężniejszemu t. j. zasobowi. Konkurencya między robotnikami utrzymuje ich zarobki na punkcie niezbędnego minimum, a niekiedy nawet sprowadza je poniżéj téj normy, odrywa kobiety od domowego ogniska, zapędzając je wraz z małoletniemi dziećmi do fabryk, przedłuża dzień roboczy nawet poza naturalne jego granice i t. p.

Współubieganie między zasobami rozmaitéj wielkości również przedstawia pewne ujemne strony. Większe zasoby mogą produkować daleko taniéj i z większą łatwością znosić chwilowe niepowodzenia, wskutek tego wygrywają one zawsze i powiększają się kosztem drobniejszych współzawodników; kapitały koncentrują się w rękach niewielkiéj ilości osób, gdy tymczasem dawniejsi ich posiadacze przechodzą do klasy najemnych robotników.

Autor obszernie wykłada dodatnie strony konkurencyi za mało jednak bodaj zwraca uwagi na nieodłączne ujemny strony. Niepewny i niejasny stosunek między poszukiwaniem i podażą, zależność wszystkich cen od tego stosunku niestałego, pociąga za sobą niepewność wszystkich warunków życia ekonomicznego, a produkcyą opierając na kalkulacyach hazardownych, daje spekulacyi podnietę najsilniejszą. Małe niepowodzenie, częstokroć niedające się przewidzieć i zupełnie niezależne od producenta, grozi mu utratą majątku i niechybném bankructwem. Człowiek odpowiadać musi nieraz swym mieniem nietylko za to co sam zrobił, ale także i za to co zrobili inni bez jego wiedzy i woli; upadek jednego pociąga za sobą upadek wielu innych. Ta odpowiedzialność za winy niepopełnione najjaskrawiéj przejawia się podczas przesileń przemysłowych; robotnicy, którzy najmniejszego nie przyjmowali udziału w spekulacyach, tracą robotę i popadają w stan ostatecznéj nędzy. Jakkolwiek zatém autor słusznie twierdzi, że „znieść współubieganie byłoby to... przytłumić w ludziach myśl, ducha, samoistność, wolność,“ powinien był jednak zwrócić uwagę czytelnika na niebezpieczeństwa towarzyszące używaniu téj broni obosiecznéj. Prawa fabryczne, angielskie trades-unions w znacznym stopniu ograniczyły konkurencyą pomiędzy robotnikami, a jednak skutki ich są pod każdym względem bardzo dodatnie; nie tylko nie przytłumiły one w nikim samoistności i wolności, ale przeciwnie umożliwiły ich istnienie w klasie roboczéj.

Wymiana międzynarodowa (handel zagraniczny) przyczynia się znacznie do podniesienia dobrobytu danego narodu; nie powinien on—według autora—ulegać żadnym ograniczeniom w takim tylko razie, gdy dany kraj stoi do pewnego stopnia na równi z innemi, gdy posiada rozwinięty przemysł; wtedy bowiem każdy kraj produkuje co mu wypada najdogodniéj i wszystkie na tém zyskują. Jeżeli jednak kraj jaki znajduje się jeszcze na niskim stopniu ekonomicznego rozwoju, jeżeli nie posiada własnego przemysłu i wywozi za granicę tylko płody surowe, wycieńczając coraz bardziéj ziemię, wtedy pewne ograniczenia handlu zagranicznego, pewna opieka nad rozwijającym się przemysłem stają się koniecznemi. Gdyby wymiana międzynarodowa była bezpośrednią, ilość wywiezionych produktów musiałaby być równą co do *ceny* ilości przywiezionych towarów; ponieważ jednak wymiana odbywa się za pośrednictwem pieniędzy, przeto przewyżka produktów z jednéj strony pokrywa się pieniędzmi. Wskutek tego może nastąpić chwilowy napływ lub odpływ pieniędzy z danego kraju; wogóle jednak przywóz i wywóz danego kraju dąży do równowagi.

Z zamianą spokrewniony jest kredyt; główném znamieniem zachodzącéj między niemi różnicy jest „czas, który przegradza wzięcie od dania;“ przy wymianie obie te czynności odbywają się współcześnie. „Kredyt jest jeszcze wymianą, lecz wymianą nieukończoną,“ któréj pierwsza połowa opiera się na czynie już dokonanym, druga na „zaufaniu“ lub „zabezpieczeniu.“ Kredyt jest najwyższém wydoskonaleniem wymiany, usuwa do pewnego stopnia potrzebę pieniędzy, nowych jednak zasobów nie wytwarza, tylko je przenosi z rąk do rąk i robi użytecznemi. Społeczeństwo odnosi z kredytu potrójną korzyść: 1) kasy oszczędności skupiają rozdrobnione kwoty i nadają im odpowiedni ruch; 2) zasoby skupiają się w tych miejscach, gdzie mogą być najprodukcyjniéj zużyte; 3) handlowe stosunki znajdują znakomite ułatwienie. Jeżeli jednak kredyt jest sztucznie rozwinięty, wtedy zachęca do niebezpiecznych przedsięwzięć i sprowadza zawody i upadłości; główne przyczyny tych upadłości autor sprowadza do dwu: zbyt jednostronny kierunek przemysłu i olbrzymie przedsiębiorstwa, w których zamierzony skutek nie został osiągnięty. Od nadużycia kredytu należy odróżniać szalbierstwa ukryte pod przykrywką kredytu, np. krach wiedeński 1873 r. Kredyt używany dla produkcyi przynosi korzyść ogólną; udzielony na spożycie jest szkodliwy i w skutkach swoich przynosi ubóstwo i wywłaszczenie. Powinien on stosować się głównie do tych przedmiotów, które przeznaczone są do wymiany, „kredyt umniejsza mienie i dochód przy zasobach uwięzionych, powiększa je przy wymiennych.“

*Ziemia i ludność.* Ludność liczna i gęsta jest głównym warunkiem potęgi świata ludzkiego; od bardzo dawna ludzie przekonani byli o prawdziwości tego zdania i dlatego starano się powszechnie o ułatwienie rozmnażania rozmaitemi sposobami (np. przyznając nagrody ojcom wielu dzieci); dopóki jednak rozwój ludności ulegał całemu szeregowi sztucznych ograniczeń, wszelkie przepisy prawodawcze nie sprowadzały pożądanego rezultatu. Dopiero z końcem przeszłego wieku, wraz z rozpoczęciem się ery naturalnego ustroju, ludność zaczyna narastać przyrodzonym popędem z szybkością większą niż kiedykolwiek; gęstnienie jednak ludności ma pewne granice, których przekroczenie pociąga za sobą smutne następstwa. „Ludność narasta wszędzie w stosunku do środków utrzymania, które wyczerpuje zawsze i wszędzie,“ rozmnażanie odbywa się tak szybko, że środki pożywienia nastarczyć mu nie mogą. Stosunek taki wynika z praw przyrodzonych i jako taki zmienionym być nie może, co prawda „ważne a stanowcze ulepszenia w mechanizmie społecznym“ mogą wywołać tak obfite ulepszenia w rolnictwie, że

narastająca ludność nie poczuje braku środków żywności, wypadki takie jednak należy zaliczyć do wyjątkowych krótkotrwałych.

Streściliśmy tu w krótkości pogląd autora na rozmnażanie się ludności i widzimy, że jest on stronnikiem teoryi Maltusa, jakkolwiek w trochę zmienionéj formie; pomijając dodatki poboczne, przyznaje on jako fakt nieulegający zaprzeczeniu, że w normalnych warunkach ludność rozmnaża się szybciéj niż środki żywności. Nie należałoby jednak dążności do rozmnażania się u ludzi utożsamiać z takąż dążnością u zwierząt; zwierzę w tym względzie kieruje się wyłącznie popędem płciowym, człowiek, zwłaszcza jeżeli jest cokolwiek wykształcony i znajduje się w umiarkowanym dobrobycie, ogranicza swą zdolność rozmnażania się, fakt ten zauważano głównie u drobnych właścicieli ziemskich we Francyi, u których ilość dzieci nie przekracza zwykle pewnéj dość szczupłéj normy. Nie posiadamy téż żadnéj naukowéj podstawy do przypuszczenia, że ludność, pozostawiona w normalnych warunkach ekonomicznego i umysłowego rozwoju, rozmnażać się będzie w takim a nie innym stosunku i że na jéj podwojenie potrzeba będzie takiego a nie innégo peryodu; przytaczane przez niektórych autorów 15, 20 i 25-letnie okresy czasu są zupełnie nieprawdopodobne, oparte zwykle na obliczeniach fikcyjnych, niezgodnych ani z naturą ludzką, ani z faktycznym stanem rzeczy. Również i przytoczony przez naszego autora przykład o przypuszczalném rozmnażaniu się potomków Piasta, uważać możemy tylko jako dowód tego znanego już zresztą faktu, że w postępie ilorazowym następujące po sobie wyrazy rosną z niepomierną szybkością; w żadnym jednak razie nie może on przedstawiać naturalnéj dążności rodu ludzkiego do rozmnażania się. Sam autor przyznaje, że ludność Europy w rzeczywistości podwaja się co 170 lat, według obliczeń Wappäus'a ludność większych państw europejskich podwaja się w ciągu daleko jeszcze dłuższych peryodów, a mianowicie Prus co 131 lat, Wielkiéj Brytanii co 302, Austryi co 385 i Francyi co 405 lat. Jeżelibyśmy nawet przypuścili, że tu faktyczne stosunki nie są zupełnie normalne, w każdym razie nie mamy żadnego prawa przypuszczać, żeby się one tak dalece od normalnych różniły jakby tego wymagała teorya Maltusa.

Jeżeli już uważamy za niedowiedzione przypuszczenie o dążności rodu ludzkiego do zbyt szybkiego rozmnażania się, to témbardziéj uznać musimy za gołosłowne wszelkie twierdzenia o powolniejszym wzroście produkcyi środków żywności, jako niezgodne z obserwowanemi faktami. Według obliczeń Neumana-Spallarta ogólna produkcya dziewięciu pierwszorzędnych krajów (Anglii, Ameryki północnéj, Niemiec, Belgii, Rosyi, Austryi, Holandyi, Włoch,

Indyj Wschodnich) w ciągu trzech tylko lat (1870—1873) prawie podwoiła się, a ogólny obrót ich międzynarodowego handlu podniósł się z 23 na 45 miliardów marek. Od r. 1860 do 1865 wzrost produkcyi wynosił przeciętnie 941 milionów marek rocznie, od 1865—1870 r. po 959 mil. mr., a od 1870—1873 r. ogromną liczbę 2772 mil. marek rocznie. Same Niemcy powiększyły produkcyą swą w ciągu lat 1863—1873 z 2212 na 6058 mil. marek. Co prawda dane te obejmują całą produkcyą wogóle, trudno jednak przypuścić żeby przy takim jéj rozwoju środki służące do zaspokojenia niezbędnych potrzeb nie wzrastały w odpowiednim stosunku. Dalej według obliczeń Gasparin'a przy obecnym rozwoju techniki rolniczéj 100 hektarów ziemi urodzajnéj racyonalnie uprawianych mogłoby wyżywić 931 ludzi; przypuszczając że we Francyi tylko 28 milionów hektarów t. j. połowa wszystkiéj ziemi zdatną jest do płodozmianu, wypadnie, że Francya mogłaby wykarmić 260,000,000 ludzi; podług takiegoż obliczenia w Anglii i Irlandyi 25 mil. hektarów urodzajnéj ziemi dostarczy żywności dla 230 mil. mieszkańców. W Królestwie Polskiém ziemi uprawnéj (t. j. pól, łąk i ogrodów) znajdowało się w 1870 r. około 14,000,000 morgów czyli przeszło $7\frac{1}{2}$ miliona hektarów; w Galicyi w r. 1868 liczono gruntów uprawnych 8,100,000 morgów nowoaustryackich czyli około 4,700,000 hektarów; gdyby ziemie te były uprawiane według najnowszych danych nauki, dostarczałyby pożywienia dla 70 milionów ludzi w Królewstwie i 44 milionów w Galicyi. Z tego widzimy że nawet przy obecnych warunkach ilość uprawianéj ziemi mogłaby wyżywić tak liczną ludność, że nie możemy jéj się spodziewać chyba w bardzo odległéj przyszłości. Jeżeli następnie zwrócimy uwagę na to, że bardzo wiele ziemi zdatnéj do uprawy leży odłogiem lub przeznaczona jest na inne cele, w najbardziéj nawet zaludnionych krajach, że w miarę stosowania postępujących ciągle naukowych badań agronomicznych wydajność ziemi się powiększa, że nie mamy najmniejszego prawa przypuszczać iżby rozwój techniki rolniczéj (którą właściwie zajęto się dopiero w ostatnich czasach) nie posunął się daléj niż obecnie że nakoniec w Afryce, Ameryce i Australii znajduje się bardzo wiele ziem zupełnie dziewiczych, a które według wszelkiego prawdopodobieństwa przy odpowiedniéj uprawie dawać będą obfite plony: jeżeli o tém wszystkiem pamiętać zechcemy przyjdziemy do wniosku, że natura zabezpieczyła środki żywności dla rodu ludzkiego na bardzo jeszcze długi przeciąg czasu, pod tym jednak rozumie się warunkiem, że nie będzie on wycieńczał ziemi ale przy starannéj uprawie zwracał jéj to, co z niéj zabiera. Bardzo zatém słusznie autor przypomina często o konieczności racyonalnéj uprawy ziemi i używania odpowiednich nawozów.

Z tego wszystkiego cośmy powyżej powiedzieli, widocznem jest, że przeludnienia bezwzględnego nie potrzebuje się obawiać nietylko kraj nasz, ale także i inne europejskie społeczeństwa; jeżeli zaś przy obecnych warunkach produkcyi i podziału bogactw, spotykamy w rozmaitych krajach względną przewyżkę biednej ludności po nad normalną ilość robotnika niezbędnego do produkcyi, przypisać to należy właśnie działaniu tych warunków, a nie żadnym „prawom przyrodzonym." Podczas rozkwitu przemysłu poszukiwanie siły roboczej wzmaga się i wtedy nadmiar ludności nie daje się odczuwać; przeciwny objaw widzimy podczas przesileń: wielu ludzi pozostaje bez zajęcia i zewsząd dają się słyszeć skargi na przeludnienie, trwa to jednak tylko dopóty, dopóki stan rynku znowu się nie poprawi.

Autor przyznaje, że „niebezpieczeństwo przeludnienia nie grozi jeszcze krainom naszym" i że należy się starać „nie o utrudnianie wzrostu ludności wogóle, lecz o utrudnianie szerzenia się nędzy, której następstwem jest ciemnota i występek"; jako środek wiodący ku temu celowi proponuje pewne utrudnienie przy zawieraniu małżeństw przez ludzi biednych, gdyż „większą jest nieludzkością dopuszczać istnienie nędzy, niżeli nie dopuścić istnienia, którego przeznaczeniem jest nędza... Nie dopuścić przyjścia na świat, to nie jest odbierać życie!" Podzielamy zupełnie zdanie autora, że społeczeństwo powinno zapobiegać istnieniu nędzy a zwłaszcza jej rozszerzaniu się, sądzimy jednak że w tym celu można przedsiębrać wiele reform społecznych, nie mających nic wspólnego z proponowanem ograniczeniem i utrudnianiem małżeństw; środek ten bowiem uważamy nie tylko za bezskuteczny, ale nawet za niesprawiedliwy i szkodliwy. Przez utrudnienie małżeństw zmniejszy się bezwarunkowo ich liczba, ale w danym wypadku nie o to zupełnie chodzi; rozmnażanie się zaś ludności nie poniesie prawie żadnego uszczerbku, gdyż ilość nieprawych dzieci wzrośnie w takim stosunku, w jakim zmniejszy się ilość prawych. Natura ludzka nie zmieni się wskutek przepisu prawa, choćby najmądrzej pomyślanego, nie mogąc zawrzeć małżeństwa człowiek w konkubinacie szukać będzie zadowolenia swych naturalnych popędów. Weźmy dla przykładu Bawaryą; w kraju tym do roku 1868 istniało prawo utrudniające związki małżeńskie ludzi biednych, a mianowicie wymagające pewnego censum majątkowego; jakoż do 1868 roku ilość nieprawych dzieci stanowiła rocznie 22% urodzeń,—po zniesieniu zaś tego prawa stosunek dzieci nieprawych zaczął się szybko zmniejszać i w 1875 r. stanowił już tylko 12%. Jednocześnie ogólna liczba urodzeń w ciągu dziesięciolecia od 1861—1870 r. stanowiła 4,06%, a w peryodzie od

1871—1874 r. tylko 4,01%. Wogóle zwiększenie się ilości nieprawych dzieci, dzieciobójstw, prostytucyi i innych występków, — oto realne a wcale niepożądane skutki wszelkich ograniczeń i utrudnień przy zawieraniu małżeństw.

Zauważyć jeszcze musimy, że proponowany środek niezupełnie zgadza się z ogólnemi poglądami wyrażonemi w szkole polskiéj; autor kładzie ciągle nacisk na to, że prawa przyrodzone prowadzą do powszechnéj wolności i dobrobytu, że złe strony obecnego porządku rzeczy przypisać należy ustawom krępującym naturalne przejawy praw przyrodzonych, że średniowieczne przywileje prawne zostały pogrzebane i nierówności społeczne nazawsze usunięte— tymczasem w danym wypadku przyznaje, że prawo przyrodzone prowadzi do zbytniego rozrostu nędzy i że zapobiedz temu należy przez ustawę, która zabraniając związków małżeńskich osobom biednym, stworzy faktyczny przywiléj dla klas majętnych, a biednych podda ograniczeniu stokroć dla nich uciążliwszemu niż bardzo wiele feudalnych obowiązków obecnie ogólnie potępionych.

Usprawiedliwienie i wyrozumowane uzasadnienie własności ziemiańskiéj autor uważa za jedno z najtrudniejszych a razem najkłopotliwszych zadań społecznych; uznaje jednak konieczność takiego uzasadnienia, zwłaszcza wobec tych szkół ekonomicznych, które żądają zniesienia prywatnéj własności ziemskiéj i zastąpienia jéj przez własność zbiorową. Przytaczane w ekonomii politycznéj objaśnienie, że prywatna własność ziemi jest przywilejem koniecznym, autor uważa za niezupełne i przytém niebezpieczne; według „szkoły polskiéj“ ziemia jest własnością tych, którzy swoją pracą i wiedzą utrzymują ją w stanie urodzajności t. j. nadają jéj właściwość rodzenia zboża i zaspakajania ludzkich potrzeb; w ziemię włożono tyle pracy i wiedzy ludzkiéj, że można ją całkowicie uważać za wytwór tych ostatnich. „Nie to, co w ziemi jest tworem Boga, lecz przelane w nią siły ludzkie, życie ludzkie stanowią własność ziemiańską.“ Podobne uzasadnienie własności zawsze jeszcze będzie niedostateczne, dowodziłoby ono tylko, że społeczeństwo ludzkie ma prawo uważać uprawną ziemię za swoję wyłączną własność dla tego, że włożyło w nią bardzo wiele pracy i wiedzy; wszakże wedle twierdzeń Supińskiego — rezultaty wiedzy i pracy odległych przodków, wszystkie odkrycia, wynalazki, udoskonalenia i t. p. istnieją darmo przynosząc korzyść wszystkim? Fakty historyczne dowodzą zresztą, że między ustanowieniem własności ziemskiéj a wiedzą i pracą właścicieli nie zachodził żaden niemal związek; jako jaskrawe przykłady przytoczyć możemy powstawanie wielkich majątków lordów w Irlandyi i magnackich fortun na Ukrainie.

Niedostateczność swoich wywodów widzi i sam autor przy objaśnianiu własności jezior i lasów odwiecznych i wogóle tych ziem, w które nie została włożoną ani wiedza ani praca ludzka; na usprawiedliwienie takiéj własności przytacza, że obecni właściciele „musieli je nabyć przez kupno lub oddziedziczyć przez spadek.“ „Cofając się wstecz po téj drodze nabycia i spadku“, autor dochodzi do okresu, w którym przestrzenie ziemi zajęte były przez plemiona, osiadające na nich pierwotnie, jako zbiorowa ich własność i pojedynczym członkom przysługiwało tylko prawo użytkowania. „Towarzystwo t. j. państwo uznało stopniowo własność prywatną rodzin, wkładając na nie wiekuiste ciężary danin i służby dla pospolitéj rzeczy, która im prawa swoje odstąpiła równie na wiekuiste czasy. Jeżeli zaś w ciągu dziejów rodu ludzkiego gwałty, podstępy i zabory wyparły nieraz pojedyncze rodziny a nawet plemiona całe z siedzib będących ich własnością, krzywdy te spadły wyłącznie na rodziny wydziedziczone, których wątku nikt już nie odszuka.“

To drugie objaśnienie bardziéj jest zgodne z rzeczywistym stanem rzeczy, wynika jednak z niego, że posiadanie ziemi jest faktycznym przywilejem, którego źródła szukać należy w wypadkach historycznych.

Z własności ziemskiéj wypływa dochód z ziemi; „źródłem dochodu z ziemi może być to tylko, co w niéj jest wyrobem ludzkiéj wiedzy i pracy.“ Taki pogląd nie zgadza się z teoryą renty, uzasadnioną przez Ricardo, autor ją zbija, nie sądzimy jednak żeby słusznie. Twierdzenie Ricardo, że źródłem renty jest różnica w urodzajności rozmaitych ziem, nie może ulegać zaprzeczeniu; kawałek ziemi czy to bardziéj urodzajnéj, czy téż znajdujący się w dogodniejszém położeniu przynosi daleko większy dochód swemu właścicielowi niż inny kawałek znajdujący się w gorszych warunkach, chociażby na uprawę tych kawałków zużyto jednakową ilość pracy i kapitału. Daléj Ricardo dowodzi, że ze wzrostem ludności społeczeństwo przystępować musi do uprawy gruntów coraz gorszych, wskutek tego podnosi się cena płodów rolniczych a współcześnie z nią i renta pobierana przez właścicieli lepszych kawałków gruntu.

Przeciwko téj teoryi renty wystąpili na Zachodzie Carey i Bastiat a u nas Supiński. Nie przesądzając kwestyi samodzielności każdego z tych ekonomistów, zauważyć musimy, że czynione przez nich zarzuty oparte są na téj saméj podstawie. Przedewszystkiem starają się oni dowieść, że renta jest rezultatem zasobu (kapitału) włożonego w ziemię przez poprzednie pokolenia, przytaczane jednak przez nich argumenty nie są przekonywającemi; w jaki bowiem sposób można wykazać, ile w dany kawałek ziemi włożono zasobu?

jak objaśnić dla czego taki zasób ma dawać odsetki, kiedy zasoby utopione we wszystkich odkryciach, wynalazkach i udoskonaleniach przemysłowych nie przynoszą żadnego dochodu? nakoniec jak objaśnić, dlaczego nowo wynaleziony kawałek ziemi żyznéj, daje odrazu daleko większą rentę, niż bardzo wiele innych kawałków, które są uprawne oddawna i pochłonęły znaczną ilość zasobów? Rozumie się, że renta może być także rezultatem włożonego w ziemię zasobu, w niczem to jednak nie zmienia zasadniczego jej charakteru: renta czy jest skutkiem naturalnych właściwości ziemi, czy nadanych jej stucznie przez pracę ludzką zachowuje zawsze swe specyalne cechy odróżniające ją od dochodów z zasobu. Nikt nie może zaprzeczyć, że renta bardzo często wzrasta bez żadnego współudziału ani pracy, ani wiedzy, ani zasobu właściciela gruntu. Przeprowadzenie nowéj kolei, otwarcie nowych rynków, wzrost miast, założenie fabryki i inne tym podobne przyczyny podnoszą znakomicie dochody z ziem przyległych, a wypadki takie nie są ani przypadkowe, ani rzadkie.

Drugi zarzut stawiany teoryi Ricardo, odnosi się do kwestyi wzrostu renty wskutek powiększania się ludności i zajmowania pod uprawę gruntów gorszych. Na uzasadnienie przeciwnego twierdzenia Carey przytacza wiele przykładów, że osadnicy zakładający kolonie w nowych ziemiach Ameryki, rozpoczynali od ziem najgorszych i stopniowo przechodzili do coraz lepszych; jeżelibyśmy jednak przyjęli, że tak się zawsze dzieje przy zajmowaniu ziem nowych (co w każdym razie jest dość wątpliwe), to ztąd jeszcze wcale nie wynika, żeby takie prawidło stosowało się także do tych krajów, które są już oddawna zaludnione i uprawne; trudno nawet przypuścić żeby w Zachodniéj Europie a nawet i u nas najlepsze kawałki gruntów leżały dotychczas odłogiem.

Autor jest zdania, że „renta gruntowa nie różni się niczém od korzyści dodatkowych, jakie przedstawiają i przynoszą w życiu społeczném praca, usługa, talent, nauka, słowem wszelkie przedmioty i czyny materyalne i niemateryalne ulegające przyrodzonéj ograniczoności czasu, miejsca lub rozmiaru,“ a jednak różnica jest dość znaczną, chociażby dla tego, że inne rodzaje renty są albo przywiązane do danéj osoby (np. wybitny talent), albo krótkotrwałe (np. nowy wynalazek przemysłowy jeszcze nie rozpowszechniony) a w każdym razie prędko przemijające, tymczasem renta gruntowa nosi charakter stałéj opłaty opłacanéj właścicielom ziemskim przez wszystkie inne warstwy społeczne.

W zapatrywaniach swoich na rentę autor występuje jako obrońca interesów właścicieli ziemskich; takie samo stanowisko zajmuje on i przy rozpatrywaniu produkcyi rolnéj i podatku gruntowego. Według jego zdania każdy rolnik może postępować trojako: 1) zwiększając nakłady, w wyższym stopniu powiększać zbiory; 2) podnieść ilość zbiorów nie zwiększając nakładów; 3) zmniejszać nakłady, nie zmieniając ilości zbiorów; za najodpowiedniejszy dla naszego kraju jako mało rozwiniętego pod względem przemysłowym uważa on trzeci sposób. Chociaż zatém „obfitość ziemiopłodów jest jednym z warunków pomyślności powszechnéj,“ jednak ulepszenia w rolnictwie, nie wywołane konieczną potrzebą a powodujące znaczne nakłady są stanowczo przeciwne pomyślności stanu rolniczego. Pomyślność powszechna będzie w każdym razie rzeczą daleko ważniejszą niż interes nielicznéj klasy większych i średnich właścicieli ziemskich (do drobnych te uwagi nie mogą się stosować); na szczęście jednak nie ma tu sprzeczności pomiędzy témi dwoma interesami, bo rolnicy w ogólności nie będą się nigdy rzucali do ulepszeń nie mogących się im opłacić.

Supiński uważa, że opłaty nakładane na ziemię mogą sprowadzić dochody rolników poniżéj średnich dochodów krajowych i pozbawić ich części zysku a to dla tego, że „rolnik nie może jak fabrykant lub kupiec podnieść ceny towarów swoich z powodu kosztów, jakie podjął przy nakładzie, lub z powodu opłat, które uiścił, a nie może przez to, że płody jego zaspakajając tylko niezbędne życia potrzeby, układają się same w cenach stosownie do tych potrzeb rzeczywistych.“ Objaśnienie to wydaje się nam niedostateczném; bo właśnie dla tego, że płody ziemskie zaspakajają niezbędne potrzeby, rolnik mógłby podnosić ich cenę z powodu nowych opłat; ludzie kupować by je musieli bez względu na to, jaka na nie nałożona jest cena. Chodzi tu chyba o to że przy obfitym zbiorze rolnik nie może podnieść ceny swego produktu.

W związku ze stanem właścicieli ziemskich znajduje się los dzierżawców i robotników rolnych. Dzierżawca biorąc ziemię płaci jéj właścicielowi jako cenę dzierżawną sumę równą rencie. Dzierżawy nasuwają sposobność korzystnego użycia mniejszych zasobów i sił, któreby na inném polu mogły nie znaleźć zastosowania; żeby one były korzystne, konieczne są następujące warunki: 1) trwałość dzierżawy i dogodne warunki jéj odnowienia; 2) techniczne wykształcenie dzierżawcy; 3) odpowiedni stosunek mienia ruchomego dzierżawcy do przestrzeni ziemi zadzierżawionéj. Dzierżawy nieodpowiadające tym warunkom autor uznaje za szkodliwe.

Co się tyczy robotników wiejskich,—Supiński wymaga przedewszystkiém, żeby robotnik był wolnym; nie rozumiemy jednak dla czego poświęca aż 12 stronic na dowodzenie szkodliwości i niesłuszności przymusowéj robocizny, kiedy takowa nigdzie już nie istnieje; teorye o sposobach usunięcia pańszczyzny były bardzo na miejscu w 1-ém wydaniu, w trzeciém jednak są już zupełnie zbyteczne. Autorowi nie tajne są wszystkie ujemne strony położenia ludu wiejskiego i słusznie bardzo twierdzi, że luźne jego wady, ciemnota i ubóstwo są wynikiem tych przygniatających warunków społecznych w których on dotychczas pozostawał a w znacznéj części pozostaje i dotąd.

Godném uznania jest wyrażone w szkole polskiéj żądanie, żeby robotnicy wiejscy byli przypuszczeni do udziału w zyskach produkcyi rolnéj.

Na zakończenie autor zastanawia się nad dodatniemi i ujemnemi stronami posiadłości ziemskich, rozróżnia trzy ich kategorye: 1) drobne należące do włościan, mieszczan i szlachty zagrodowéj; 2) mierne składające się z jednego lub dwu folwarków; 3) wielkie o kilku lub kilkunastu folwarkach. Drobnym posiadłościom daje on pierwszeństwo przed wielkiemi, szczególnie jednak zaleca średnie posiadłości jako najkorzystniejsze. W ogóle autor jest tego zdania, że rozmaitéj wielkości posiadłości dążą do naturalnéj równowagi, jeżeli ich niekrępują ustawy.

Taką jest treść „organizmu społecznego? ostatni rozdział 3-ego tomu „węzły społeczne“ stanowi jak już wspominaliśmy przejście od organizmu do mechanizmu społecznego, i obejmuje uwagi dotyczące tych ogniw, które łączą ludzi w związki towarzyskie. Jako konieczny warunek rozwoju sił narodu i państwa autor uważa „wciągnienie wszystkich kraju obywateli, całéj ludności krajowéj w życie rzetelnie ludzkie, to jest w życie rozwijające się na wiedzy i pracy;“ ponieważ zaś główną część téj ludności stanowi lud wiejski, który stoi dotychczas na bardzo nizkim stopniu społecznego rozwoju, należy przedewszystkiém zająć się podniesieniem jego umysłowego i moralnego stanu. Jako najskuteczniejszy ku temu środek zaleca wychowywanie młodzieży: wychowanie powinno spoczywać w rękach narodu, gdyż cały naród obowiązany jest czuwać nad należytém przygotowaniem przyszłych pokoleń. Autor przypisuje wogóle oświacie wielki wpływ na umoralnienie ludu i dowodzi, że w miarę wzrostu szkół znika potrzeba więzień; przytém żąda, żeby oświata była jak można najbardziéj rozpowszechnianą, żeby w szkółkach ludowych kształcono nietylko chłopców ale także i dziew-

częta, które następnie jako matki przyszłych pokoleń mogą wywierać znaczny wpływ na wychowywanie, żeby nauczanie było przystępne dla ludu i opierało się na wrażeniach zmysłowych, a nie na niepojętych dla niego rozumowaniach abstrakcyjnych i żeby wykładano ludowi nietylko rzeczy elementarne, jak czytanie, pisanie, rachunki itp. ale także i spopularyzowane wyższe nauki np. nauki przyrodnicze a nawet i społeczne. „Lud należy uczyć odrazu rzeczy wyższych,“ łącząc o ile można teoryą z praktyką; wychowanie szkolne powinno być uzupełnione przez samorząd gminny.

Od ludu wiejskiego autor przechodzi do „stanu średniego;“ w historycznym rozwoju kraju naszego miasta nie odgrywały wielkiéj roli, zatém i stan średni miejski nie rozwinął się i nie posiada takiego znaczenia, jak w innych krajach Zachodniéj Europy; „część ludu wiejskiego narastająca mieniem i oświatą, zbliżająca się stopniowo ku szlachcie średniéj i drobniejszéj, a raz spojona z nią wspólnością uczuć, potrzeb i stanowiska, to nasz rodzimy stan średni, to nasza przyszła potęga narodu.“

Szlachcie autor przeznacza w życiu narodu stanowisko przewodniczące i stawia jéj za wzór arystokracyą angielską, która „stała się czołem narodu“ i „umiała urobić w sobie prawdziwy patryotyzm, takt i rozum polityczny.“ Sąd taki o arystokracyi angielskiéj, jakkolwiek podzielany przez ogromną większość uczonych europejskich, nie zupełnie jest słusznym; przejawia ona w sobie wszystkie wady, związane zwykle ze stanowiskiem uprzywilejowaném i nie waha się swego egoistycznego, klasowego interesu stawiać wyżéj nad interes ogólny. Świeże tego przykłady mieliśmy przy głosowaniach w izbie lordów nad bilami o dzierżawach w Irlandyi, o polowaniach na króliki itp.

Przyznając szlachcie wielkie znaczenie w życiu narodowém, Supiński żąda od niéj należytego przygotowania się do przeznaczonéj roli, i wyrzeczenia się wielu wad, a przedewszystkiém żąda przejęcia się duchem narodowym i zarzucenia cudzoziemskich zwyczajów: wreszcie zaleca, żeby szlachta nie skupiała się po większych miastach, ale przeciwnie zamieszkiwała w swoich dobrach i tam przewodniczyła życiu publicznemu.

Nakoniec od duchowieństwa, wymaga, żeby czuwało nad moralnym i umysłowym rozwojem ludu.

Wyznaczywszy w ten sposób każdemu stanowi należne mu stanowisko, przystępuje do rozpatrywania „wpływów, jakie wywiera na siebie samę społeczność wzięta jako ciało zbiorowe.“ Na czele wspólnych cech właściwych każdemu ludowi „stoi jego skłonność

do złego i dobrego; zkąd wynika, że instytucye, urządzenia, ustawodawstwo, stosunki, a nawet wpływy uboczne, czynią go złym lub dobrym, moralnym lub zepsutym, pracowitym lub leniwym, narodowym lub niechętnym rzeczy narodowéj.“ Zmiana krępującego prawodawstwa usuwa częstokroć takie wady, które, powierzchownie patrzący ludzie, uważają za przyrodzone właściwości danego plemienia np. pozorne lenistwo Irlandczyków znikło bez śladu pod wpływem amerykańskich stosunków. Przewaga mechanizmu społecznego w ciągu wieków przeszłych sprowadziła wiele smutnych następstw, zadaniem naszego wieku jest „skojarzenie mechanizmu z organizmem społecznym przez uznanie przyrodzonéj indywidualności jednostek,“ inaczéj mówiąc „uświęcenie ustawą praw przyrodzonych“ (tj. tych praw, które autor wykładał w organizmie społecznym) i usunięcie „opieki“ krępującéj wolność i przyrodzony rozwój jednostek.

W „Szkole polskiéj“ trzy czynniki utrzymują odrębne życie świata ludzkiego: praca wolna, wiedza i zasób; gdyby one rozdzielały się na równi między wszystkich mieszkańców kraju, społeczność ludzka byłaby skończoną doskonałością; przyrodzona jednak rozmaitość nie dopuści urzeczywistnienia się takiego stanu rzeczy. Z pomiędzy tych trzech czynników żaden „rozwijając się oddzielnie i samopas nie może utrzymać świata ludzkiego;“ do wykończonego istnienia narodu niezbędném jest ciągłe współdziałanie wszystkich trzech; „do przeobrażenia zaś istniejącego stanu rzeczy w narodzie potrzeba ich przemagającéj części tj. potrzeba połączenia dwu przeciw trzeciemu;“ ponieważ zaś naczelną potęgą jest wiedza przeto, aby przebudować mechanizm społeczny w narodzie lub państwie, potrzeba skojarzenia majątków z nauką lub nauki z ludem (pracą).

Pozostałe dzieła Supińskiego, jak już wzmiankowaliśmy, nie mają teoretycznego znaczenia, gdyż wyrażone w nich myśli były już wyłożone w „Szkole Polskiéj;“ ograniczymy się zatém tylko na krótkiéj wzmiance o siedmiu wieczorach niedzielnych dla młodzieży włościańskiéj. Obejmują one popularny wykład zasadniczych pojęć ekonomicznych (o człowieku prawdziwym, pracy, mieniu, wymianie, rządzie i oświacie) przeznaczony dla ludu wiejskiego. Pomijając kwestyą czy obrany systemat wykładu zastosowanym jest do umysłowego rozwoju młodzieży włościańskiéj, zaznaczymy tylko, że najważniejszą dodatnią stronę „siedmiu wieczorów stanowi gorące zalecanie włościanom, żeby się garnęli do oświaty, wykazywanie wszelkich korzyści płynących z oświaty, a także i z pracowitości,

oszczędności itp. Wolelibyśmy jednak żeby wykład nie był prowadzony wyłącznie z punktu widzenia interesów większéj własności ziemskiéj, przytém zdania wyrażone w nim nie zawsze są zgodne z wynikami badań naukowych. Jako przykład możemy przytoczyć następujący ustęp: „Wiecież zkąd pochodzi, że za owych dawnych czasów polskich wieśniacy byli w tak dobrym bycie, że nosili złotem ozdobione pasy, a ich żony czepce i spódnice jedwabne.....? To ztąd pochodzi, że wieśniacy ówcześni wiedli życie bogobojne i pracowite, żyli z dworem w zgodzie jakoby jedna rodzina i nie rośli w prostactwie jak zwierzęta, ale każdy przeszedł był szkółkę." Z historyi wiemy, że dobrobyt włościan istniał przedtém nim się zorganizował odrębny stan szlachecki, i że „dwory" ścieśniały prawa przysługujące włościanom i dawną swobodę zmieniły na poddaństwo; daléj jeżeli oświata kwitła w Polsce w XVI w. to tylko między szlachtą; powszechne zatem uczęszczanie chłopów do szkoły nie mogło mieć miejsca. Wychwalanie dobrobytu włościan polskich w wiekach dawniejszych „u nas chłopi za dawnych czasów byli tak zamożnemi, jakich dziś nie widzimy"—dziwnie odbija przy tych ustępach, w których autor zbija fałszywe twierdzenia, jakoby dawniéj lepiéj się działo na świecie: „Począwszy od czasów najdawniejszych ludzie przechodzili ciągle w coraz lepsze życie;" „w ogólności ludzie przechodzą ciągle z gorszego w lepsze... waszym ojcom jest lepiéj niż było waszym dziadom."

Nędza, wynikająca z próżniactwa i pijaństwa słusznie zasługuje na surową naganę; często jednak bardzo nędza jest skutkiem odmiennych zupełnie przyczyn, niezależnych od woli człowieka i nie poniżających go moralnie; autor nic nie wspomina o tych innych przyczynach; wskutek takiego pominięcia w umyśle bogatszych włościan wzmacniać się może przekonanie, że ich biedniejsi współbracia zasługują tylko na pogardę do czego oni już i tak są bardzo skłonni.

Rozbiór nasz przeprowadzony z punktu widzenia spółczesnéj wiedzy ekonomicznéj dotyczył trzeciego wydania dzieł Supińskiego; nie możemy zatém z niego wnioskować o tém znaczeniu, jakie miało dla społeczeństwa polskiego pojawienie się tych dzieł w końcu 6-ego i na początku 7-ego dziesiątka XIX w.; zawierały one wtedy bardzo wiele myśli nowych, uwzględniających ówczesny rozwój nauk społecznych. Autor występował w obronie przemysłu, nauki, cywilizacyi Zachodnio-Europejskiéj, równości ludzi wobec prawa zachęcał do pracy i oszczędności, dowodził bezpłodności ówczesnego idealizmu, a nadewszystko nawoływał do oświaty, wskazując na

jéj związek z ekonomicznym rozwojem; „ani oświata przyjmie się w nędzy, ani dobrobyt rozwinąć może w ciemnocie;“ przytem w dziełach jego znajdujemy bardzo wiele praktycznych rad i przepisów; zwłaszcza w kwestyi uprawy ziemi i wogóle gospodarstwa rolnego, których zastosowanie mogłoby dziś jeszcze przynieść wielką korzyść.

O tém wszystkiém pamiętać należy przy określaniu naukowego stanowiska Supińskiego w polskiéj literaturze ekonomicznéj.

*K. P.*

---

# TYMON ZABOROWSKI.

(*Dokończenie*).

III.

Korespondencya Zaborowskiego z przyjaciołmi: Floryanem Łaszowskim z Suchodoła (na Podolu) i Julianem Sabińskim w Zbrzyziu (nad Zbruczem) z lat 1820—1826 (1), nie zawiera wiele materyału do charakterystyki poety, który z obawy, aby listy nie były przez matkę przejęte, używał wszelkich środków ostrożności. i w tym celu nie pisał o sobie nigdy otwarcie, ale okrywał wszystko mgłą tajemniczości. Ta tajemniczość posunięta czasem do ostatecznych granic pozbawiła nas najważniejszych i najciekawszych wiadomości, których tu Zaborowski albo zgoła nie tyka albo z taką oględnością, że trudno nieraz zrozumieć, o co rzecz chodzi. Nie pisał też tych „poufnych listów,“ otwarcie, bez ogródki, ale zwyczajem pseudoklasyków obchodził każdy przedmiot z daleka, nie nazywając rzeczy po imieniu. „W liście—pisze poeta do Floryana—masz łatwość nadać jaki chcesz tok przedmiotowi wziętemu pod rozwagę, możesz wszelkie okoliczności wystawić w żywém świetle lub w posępnych kolorach, z wesołéj lub z przeciwnéj strony; namysł, który pisaniu listów towarzyszy, ułatwia ci użycie tych i tym podobnych sposo-

(1) Listy Zaborowskiego do Łaszowskiego pisane przeważnie z Liszkowiec, zaczynają się datą 19 grudnia 1820, a kończą się z dniem 30 czerwca 1825 (nie 1828 Jak podano w liście *przez pomyłkę*, bo wtedy Zaborowski już nie żył). Korespondencya z Sabińskim (własność prywatna p. Dybowskich) obejmuje 28 listów pisanych w latach 1822 i 1823, tylko dwa ostatnie listy są z r. 1825 i 1826i Wiązanka listów do Łaszowskiego była o wiele bogatszą; w przedmowie do nich jest wyraźna wzmianka o „listach poufałych Tymona do Floryana od r. 1814.“ Z tym o kilka lat starszym przyjacielem połączyły Tymona ledwie wyrostka jeszcze sąsiedzkie stosunki istniejące między rodzicami, które rozwinęło wspólne wychowanie we Lwowie, na Podolu, a potém w Krzemieńcu.

bów, tłómaczenia rzeczy najwątpliwszych“ i t. d. Podobnie jak u wszystkich klasyków gubią się i w korespondencyi Zaborowskiego konkretne szczegóły w natłoku refleksyi i sentencyi, które nadają tym listom charakter nie żywéj korespondencyi ale jakiegoś literackiego utworu przeplatanego wierszami.

Ten osobliwszy rodzaj „listowania“ tak właściwy téj epoce klasycznéj sprawia, że można zaliczyć tę korespondencyą tak mało zawisłą od czasu, okoliczności, miejsca i nie mającą nawet bliższéj styczności z zewnętrznemi kolejami jego życia, w poczet *utworów* Zaborowskiego. Listy te nie są téż pisane pod bezpośredniém wrażeniem ale zazwyczaj po długim namyśle. „Za chwilę mamy wyjeżdżać — pisze do Łaszowskiego— więc się kwapię, a pośpiech nie daje mi rozważnie pisać“; „na ławce w wiejskiéj szkółce“ nie ma spokoju do „namysłu“ i rozwagi.

Pod względem treści ma ta korespondencya wogóle charakter pseudo-werterowskiego sentymentalizmu, zwłaszcza że poeta rozpływa się ciągle w refleksyach nad „duszą i uczuciem.“ „Zdziwiłby się pewnie kto obcy i obojętny dla nas — pisze do Łaszowskiego dnia 6 listopada 1821—gdyby przypadkiem przeczytał te listy, zdziwiłby się jak można o jednym przedmiocie tak długo pisać a jeszcze o przedmiocie takim jakim jest dusza i czucie, tak mało zajmującym ludzi. Rzekłby czemu ten nudziarz nie pisze i o pożytecznych lub zabawniejszych rzeczach, o gospodarstwie, o polityce, o sąsiadach, o zapustach, o wiadomościach ciekawych w okolicy, o nowo ułożonych zamęściach, o rozwodach i kłótniach, zatargach i zgodzie — a jeśli koniecznie w poważnéj materyi chce rozprawiać, niech z użytkiem dla kraju pracuje, niech się rozwodzi uczenie nad przemysłem, nad sztukami, nad środkami opędzenia potrzeb w teraźniejszych złych czasach i opłacenia podatków, a czemu bazgrze nie wiedzieć o czém zastanawia się nad wygórowaném czuciem i zacieka się w marzeniach szkodliwych sobie i drugim, bo odwodzą umysł od rzeczywistych wyobrażeń rzeczy, upajają serce trucizną i *sentymentami* jakich w świecie nie ma.—O! przepraszam, przedmiot o którym piszę, jest tak wielki, że się z nim żaden porównać nie może, a nie jest wcale urojony—jest istotny, jest żywy— prawda że niepospolity i dla tego wydawać się może komu zmyślonym. Ale nienależy tak bardzo dbać o to, co ludzie — w powszechném znaczeniu ludzie — mówią i myślą o naszych czynnościach i pismach i mowach.“

Osią, około któréj obraca się korespondencya Tymona, jest jego miłość, o któréj z powodu oględności korespondenta trudno dowiedzieć się coś konkretnego. Przytaczamy więc na tym miejscu

przeważnie własne słowa Zaborowskiego z téj korespondencyi w nadziei, że się przyczynią *do charakterystyki jego miłości.* Ideał kobiety jaką sobie wyobrażał poeta prawdopodobnie jeszcze przed zakochaniem się, mamy w następującym wierszu podanym w liście z dnia 19 grudnia 1820:

Nie lubię kobiet rozpustnych
I tych co mówią bezwstydnie,
Każda z tych nierządnic ustnych
Prędko obrzydnie.

Równie tych kobiet nie cierpię,
Co romansami serce zatruły,—
Każda z nich w książkach uczucia czerpie,
A jam w ich oczach nieczuły.

W późniejszym wieku te słodkie osoby,
(Wiesz że nie lubię złorzeczyć),
Cierpią i spazmy i inne choroby,
Których nieumiałbym leczyć.

Nie lubię także niewiasty,
Co się z mężczyzną chce równać w dowcipie,
Co każdego człeka szczypie,—
Taką kobietę ustroiłbym w chwasty,
A czoło jéj w piekące ubrałbym pokrzywy,
Z któremi jadem równy jéj dowcip złośliwy.

Nie mogę także tych kobiet lubić,
Które mię swoim rozumem nudzą —
I ustawicznie zwykły się chlubić
Skradzioną w książkach mądrością cudzą,
Ale też i z głupiemi trudna także miłość
I przykra nawet zażyłość.

Chociażby były dobre, choćby były piękne,
Ja przed niemi nie uklęknę,
Nie uderzę nigdy czołem,
Tylko przed moim aniołem,
A takim być może niewiasta,
Ni ze wsi parafianka, ni kokietka z miasta,
Lecz ta, coby łączyła przy wdziękach urody
Słodycz, dowcip uprzejmy, umysł zawsze młody,
Serce czyste, niełatwo do kochania skłonne
I nie ze wszystkiém dla mnie samego bezbronne,
Ale wewnątrz czujące miłości potrzebę.
Niech będzie młodą, przytém jak Psyche lub Hebe,
Dla takiéj serce moje pewnieby gorzało,
Przed tobą do słabości przyznałbym się śmiało,
Nie lękałbym się twego sądu Floryanie,
Na moje wyznanie.
Lecz takich kobiet boskich na tym świecie mało.

Z tych rymów, pisanych prawdopodobnie na zimno, trudno przypuszczać żywsze uczucie u Tymona.

List z dnia 1 marca 1821 pisany „z Liszkowiec we czwartek wieczorem“ do przyjaciela, okazuje nam już Tymona zupełnie zmienionego w tym względzie. Z rozrzuconych wzmianek w korespondencyi możemy tylko tyle napewno powiedzieć, że Tymon zakochał się w biednéj dziewczynie, z którą pragnął pójść do ołtarza, ale „duma, arystokracya i źle spełniona miłość rodzicielska“ nie dopuściły do tego mezaliansu. Zrazu ukrywał się Zaborowski ze swojém uczuciem zwierzając się z niego jedynie Floryanowi, u którego szukał rady i pociechy. Więcéj trudno się dowiedziéć. Aby miéć wyobrażenie o tajemniczym stylu „Sylvaniego“, kiedy pisze o miłości, przytaczam tu na próbkę odpowiedź Tymona na przestrogi i rady przyjaciela. „Twoje ostatnie pismo, które teraz odczytywałem—pisze Zaborowski 1 marca 1821—stało się dla mnie prawdziwą receptą; przebacz, że tak śmieszne robię porównanie. Tyle słodkich wyrazów, tyle przenikających uczuć, rozważnych myśli i przestróg nieoszacowanych wyczytałem, które powodowana przyjaźnią rozumna ręka twoja kreśliła.“ „Nie mogę ci się—pisze w tymże liście—za rady wywdzięczyć i twoje położenie insze, i doświadczonym jesteś i *pewnym siebie i drugich. Tobie tylko można lękać się zmiany albo podejrzliwości Armidy, ale powinna być wyrozumiałą na twoje obroty—potrafisz przed nią się uniewinnić. Pamiętaj i mnie zasłonić przed wszystkiemi*, których odstrychnienie się moje na pozór od ciebie razićby mogło. Mogą ztąd tworzyć się domniemywania, z których zapewne wyprowadzą się wnioski fałszywe, — a nawet *prawdziwych powodów nikt znać nie powinien.* Jeśli więc dwom Eleonorom w dzień ich imienin życzenia osobiście wynurzać będziesz, *niezapomnij mojéj nieobecności tamże słusznych znaleść przyczyn.* W przybytkach Armidy, w oczach samego gospodarza domu wystaw mię także niewinnym. Ja nawzajem ciebie muszę tłómaczyć przed magnatem Zadniestrzańskim (może ojcem Tymona) i przed jego żoną, choć ty starałeś się ich pierwéj uprzedzić. Odsyłam ci razem list zawierający uwiadomienie o Kazimierzu, czy raczéj wyrazy, z których domyślać się można tego, czego chciałem być pewnym. Jeszcze w tém widzę wątpliwości, a dzień wyjazdu starego (ojca) t. j. wtorek niewiadomo który, czy poprzedzający imieniny, czy po nich następujący. Ale nudzę cię niepewnością moją—wahać się już nie będę, jutro do dnia śpieszę, gdzie mi śpieszyć wypada. Do losu należy urządzenie skutków usiłowań moich.

Niebaczny na nic i ślepy,
Góry przeskoczę — przelecę stepy.

Ale niedobrze cieszyć się zawczasu przełamaniem trudności, które na nas czekają, często nieprzewidziane wtedy zjawiają się im w posiłku. Dlatego pisać nawet o tém obszernie teraz nie będę, co mię tak zajmuje, bo pisząc widziałbym przed sobą całą długość czasu, który ma upłynąć mi w drodze. W takich niespokojności chwilach lekarstwem dla duszy jest zajmować się jakim obojętnym przedmiotem jeżeli można.“

W następnym liście z dnia 8 maja 1821 r. pisze pełen nadziei i radości że się zobaczy z swoją kochanką: „Już więc mam nadzieję rychlejszego widzenia Alzyry; mój ojciec okazuje chęć jechania za dni kilka w tamte strony. Pełen téj nadziei mogę przynajmniéj po części dziś dzielić radość całego przyrodzenia wśród pięknéj nocy majowéj. Słyszę jak wszystko cieszy się w naturze. Ale wszystkie twory używają rozkoszy, a ja tylko w nadziei. Wszelako wyższy od nich czułością i poznaniem rzeczy jestem szczęśliwszy z nadziei, niż one z istoty.“

„Nie ma lekarstwa na zadawnione choroby — pisze do swego kolegi Floryana z Liszkowiec dnia 7 czerwca na czwartek wieczorem — wzbudził we mnie tę myśl widok Czarneckiego, jadącego do lekarzy wiedeńskich dla uratowania gasnącego życia. Ale że słabość jego ogarnęła wszystkie siły ciała i mocny ma wpływ na władze umysłu, przeto jéj wykorzenienie sztukę ludzką przechodzi. Jakaż dopiero nadzieja uśmierzenia *cierpień duszy i serca w którém zajęty ogień miał czas się rozżarzyć i wszystkie sprężyny życia ogarnąć.* Nigdy nie byłem w podobnym stanie, jak w tych kilku dniach się widzę. Przez jakie tylko zmiany czucia mogę przechodzić: smutek i wesołość, udręczenie i pociecha, zgryzoty i uradowanie, żal i nadzieja, pewność i niespokojność—wszystkich doświadczałem w przeciągu krótkiéj chwili. Podwójne widzenie się z tobą, towarzystwo barda za-zbruczowych Miodoborów, poznanie *romansowe* jego siostry, w dziewicze bogatą powaby, przytém czytanie książek rozerwały mię trochę. Ale nagłe odebranie wiadomości od Alzyry, kiedy byłem u ciebie i niemożność widzenia jéj, choć była tak blisko. Ach! obym mógł przewróciwszy tę ćwiartkę zakryć przed sobą i to bolesne wspomnienie. Nie pojmujesz jak wtedy byłem udręczony, gdy przez ten jéj nagły przyjazd dla pożegnania ojca straciłem nawet nadzieję widzenia jéj podczas Zielonych świąt, na które już może nie będzie mogła przyjechać.“

„Floryanie krócéj i rzadziéj teraz pisywałem do ciebie niżeli przed kilką tygodniami. Z tego nawet listu łatwo ci poznać, iż pisywać mi w tym czasie trudniéj niż kiedy przychodzi. Kiedy serce radeby ze wszystkiém się otworzyć, kiedy jeszcze więcéj pragniemy

słuchać pocieszających wyrazów, a niżeli mówić, wtedy pisanie listów staje się utrudzającém, trudność wyrażenia uczuć na piśmie, tamującą ich wylanie szczere, oczekiwanie odpowiedzi tak ciężkie do przetrwania.“

Poeta skarży się na niedogodność rozmawiania z drogą osobą za pośrednictwem listów otrzymywanych z drugiéj ręki. „Ile się tęsknoty, ile się pomnaża udręczeń, kiedy o najdroższym serca przedmiocie dowiadywać się musimy przez pośrednictwo obcych i częstokroć niedostatecznych sposobów, kiedy przestawać musimy na uwiadomieniach niewyraźnych, wątpliwych, często na domysłach samych. A jakby nie dość zmartwienia pozbawionemu szczęścia i wszelkich uciech, trzeba ci jeszcze tę nadzieję, co sama przez to tylko że jest nadzieją, jest nikła i zmianom podległa, choćby była z najpewniejszych źródeł powzięta, trzeba ci jeszcze tę nadzieję czynić wątpliwszą przez sprzężenie świadomości i wydarzeń przeciwnych sobie zdolnych przywieść do rozpaczy tego co serce zbolałe ratuje czarującemi wspomnieniami, które z osłabieniem nadziei tracą swoję moc i urok w równym stopniu.“

„Ach! gdybym był zbyt śmiały i wymagający w życzeniach— pisze znów 22 czerwca t. r. — zawód w oczekiwaniu zniósłbym cierpliwie jako karę zuchwalstwa. Ale ja pragnąłem tylko widziéć Alzyrę, tylko widziéć — i widziéć mi jéj niewolno!... Aleź jéj ręką kreślone wyrazy bezwątpienia z jéj serca wylane, są natchnieniem jakiego anioła pociechy lub namową bóstwa dobroczynnego, co nie ma władzy zmieniania wyroków i losów, a usiłuje ich srogość łagodzić. O! Floryanie, niezasłużone cierpienia nie są jeszcze męką, kiedy tkliwe serce jest, które je z nami podzielać gotowe. Niech zdzierca, samolub, obłudnik, co sam w sobie chciał szczęścia szukać, albo od drugich wymagał hołdowniczego przykładania się do jego rozkoszy, niech ten nędznik nieznający w niczém wzajemności co słodsza w umartwieniach nawet niż samolubstwo w pomyślnościach bywa, niech taki człowiek gryzie się i cierpi, jeśli jego oziębłość nie uchroni go od ich uczucia, ale ja udręczeń bolesnych, zgryzoty nigdy znać nie będę i takowe uczucie byłoby dla mnie śmiertelne. Teraz cierpliwie znoszę dolegliwości, jakiemi mię los łaskawy nakarmia! Kiedyś albo jego (ojca) złość się umęczy, albo moje życie się skończy.... Przewidziéć niepodobna przyszłości, ale być przygotowanym należy na wielkie jéj dziwaczne wypadki.“

„Dziś — pisze do Floryana dnia 13 lipca 1821 z Liszkowiec — dziś mają się przesilić niepomyślności (niestety trwały niezmiennie jeszcze parę lat). Los może dopełnić miary udręczeń, albo zmienić się w przyjazny. Według twojego sądu, powinienbym spokojniéj

oczekiwać skutku przedsięwziętych kroków i środka, bo tobie ta nieufność jaką okazywałem chwilami, teraz będąc przy tobie wydawała się dziwaczną. Poznaj więc jéj źródło i pojmuj powody, których dociec powinieneś był sam wprzódy, należąc do nich po części. O gdybym ci się mógł w téj mierze jasno i zrozumiale wytłómaczyć. O gdyby wyrażenia łaskawe nawinęły mi się do wydania dokładnego moich myśli!“ Na niemożność wysłowienia tych ciemnych uczuć skarży się nieraz Zaborowski, tutaj dodaje jeszcze wymówki przyjacielowi za to, że go łudzi starając go się utrzymać w pewności, że jest od Alzyry wzajemnie kochany.

„Ty przez postępowanie twoje z Armidą wtedy, gdy już i ja włączony zostałem w toż towarzystwo, przez wydarzenia w ciągu kilkunastu miesięcy przytrafiające się i przez spóźnione wytłómaczenie rzeczy, co mię mogły wprzód dotykać, dałeś mi poznać twój umysł czynny, działający skrycie, tający nawet przedemną swoje rachuby; a nie zważałeś, iż takowy rodzaj tajemnicy mógł być dla mnie niebezpiecznym i sprawić mi późniéj cierpienia, których los szczęśliwie pozwolił mi uniknąć. Nie użalałem się na to przed tobą, bom wiedział, iż to postępowanie twoje pochodziło jedynie z téj myśli, w któréj zostawałeś zawsze; iż można komu urojone sprawić szczęście i że obowiązkiem jest wtedy w złudzeniu go utrzymać, a błąd jego powiększać przez utajenie wszelkich okoliczności prawdziwych, coby mogły zniszczyć jego omamienia. Takie jest mniemanie twoje, z którém nawet mi słyszéć się dawałeś czasem. Zaklinam cię na wszystko, co masz najdroższego i świętego na ziemi! odstąp tego sposobu myślenia w tém co się mnie tycze. Nie wyszukuj mi złudzeń i obłędów, nie wystawiaj rzeczy z najlepszéj strony, kryjąc mi gorsze, pokaż mi zawsze prawdę choćby była najnieznośniejsza. Przyjmę cierpliwie z ręki twojéj wszystkie lekarstwa, ale nie uwodź mię niczém, bo ci wierzyć nigdy nie będę i najnieszczęśliwszym stanę się na świecie człowiekiem, zatruty nieufnością i podejrzeń jadem żywot, musiałbym wlec z ciężkością....“

W tym reflektowaniu nad uczuciem, w tém rozwlekłem omawianiu miłości z rozmaitych stron, zamiast skrystalizowania myśli i uczucia i uderzenia w samą rdzeń przedmiotu, ciągnie Zaborowski *tę samę rzecz* daléj tylko w innych słowach. „Żądam więc od ciebie — dowiadujemy się wreszcie z tego długiego listu— tłómaczenia jasnego okoliczności tyczących się mojego szczęścia. Nie miéj względu na nic i mów mi śmiało wszystko, nie tając nawet najprzykrzejszéj prawdy.“

Wysławszy list do swojéj Alzyry, pisze w obawie i niespokojności następujące słowa do przyjaciela (13 lipca 1821 po południu): „Fryderyk wielki w nocy przededniem mającym stanowczą dla jego państwa potyczkę rozstrzygnąć — zachował spokojność. Znać, że niebezpieczeństwo, na które on się narażał, było mniejsze, że strata któréj się mógł obawiać, nie jest do porównania z tą jakiéj się ja boję; bo on w ustroniu bez berła, bez korony mógł być jeszcze szczęśliwym, a nawet szczęśliwszym aniżeli był na tronie, — a dla mnie nie byłoby pociechy, gdybym utracił serce Alzyry, albo gdybym ją na nieszczęśliwe wypadki naraził. Posłaniec co chwila zbliża się do niéj — ja to niosę listy, ja towarzyszę myślą pieszemu, ja z nim wchodzę do miasta, do wsi każdéj, pod każdy pagórek się wspinam, wszystkie wody przebywam. Ale niestety! On to, nie ja odda listy Alzyrze, ja jéj widzieć nie będę!... Na tę myśl pierzchają złudzenia...“ Wieczorem tego samego dnia— ciągnie daléj — „zdaje się dotychczas pogoda sprzyjać w podróży temu, co niesie może los mój w ręku — już może w téj chwili wstępuje w doły, kędy *Tyras* płynie, może już na tamtym brzegu dosięga celu jego pielgrzymki a moich westchnień i nadziei, może wezbrane nurty rzeki wstrzymają go długo. Tyle to wątpliwości zawsze otacza ludzkie szczęście i szczęścia nadzieję. Czemuż my sami mamy jeszcze sobie tworzyć nowe wątpliwości, tracąc ufność w sobie i w osobach godnych zupełnego zaufania. O! nikt nie jest tak w téj mierze otwarty jak ja. Dlatego łatwo mię było zawsze uwieść, bo w mowach i czynnościach drugich osób nigdy nie szukałem ukrytego celu, biorąc ten za istotny, co mi się z razu okazywał; ale poznanie pomyłki gorzkie mi zawsze potém sprawiało męczarnie.“

Z następujących słów poznać całą romansową sentymentalność Tymona. „Do tych uwag — powiada w dalszym ciągu tego długiego listu — najbardziéj mię pobudza roztrząsanie wszystkich zdarzeń od czasu poznania Armidy (nie Alzyry) przytrafionych, w których byłem uczestnikiem i świadkiem, a w których tyle okoliczności taiłeś mi, choć one nie mogły obojętnego mieć dla mnie skutku. Wytłómacz-że mi jasno dla czego chciałeś mię wtedy utrzymywać w błędzie. A gdyby moje serce było się wówczas zajęło pożerającym ogniem miłości, co mogło stać się podobném do prawdy. Utajenie przedemną tych wszystkich poprzedzających wydarzeń, które ledwie w tych czasach odkryć mi się ośmieliłeś, byłoby dla mnie bardzo nieszczęśliwe. Gdyż albo zbyt ostrożnym zawsze przed przyjacielem być musiałbyś był, co niezmiernie trudno, albo przypadkowe odkrycie prawdy mogłoby było duszę moję okropnie udręczyć. Prawda, że przyjaciół jedno uczucie miłości

i czci dla tegoż samego przedmiotu niepowinno różnić, ale też nie powinna być wtedy między nimi żadna tajemnica.“ Zdaje się że matka wyprawiła Tymona do brata Wincentego Szeptyckiego pułkownika wojsk polskich, mieszkającego w Jakubowicach w nadziei, że czas i oddalenie poskromią trochę fantastyczne zapały młodzieńca.

Z tego „wygnania.“ W parę dni po otrzymaniu decydującéj odpowiedzi od ojca i Floryana pisze (9 sierpnia) długi list do przyjaciela wyłuszczając w nim cały stosunek do Alzyry, i do rodziców; przytaczam go w całości o ile dotycze miłości Tymona.

„Przejeżdżając przez Lublin do Nałęczowa wstąpiłem na pocztę i odebrałem list od ciebie, kochany Floryanie! czytałem go na ulicy pośród zgiełku przejeżdżających i przechodzących ludzi (bowiem czytać go w powozie, gdzie z moją matką razem jechałem byłbym nie mógł, byłaby poznała pismo ojca mojego i pytała się zaraz o treść jego listu). Czytałem więc na ulicy, podczas gdy moja matka w szklepie strojów kobiecych się zatrzymała. Czytając wyrazy ojca mojego i twoje, nie mogłem wstrzymać się do łez, które na twardy bruk padały—dla przechodniów obojętne, od nikogo niepostrzeżone! Ty jesteś moim przyjacielem—mój ojciec jest moim ojcem—ale.... w téj, co mię opuścić w cierpieniach gotowa, serca matczynego nie poznaję—wzdryga się ręka moja na to, co napisała, zimny dreszcz przejmuje mnie całego i dojmuje aż do serca, które czułością prawdziwą bićby rade. Przedmiotem listu mojego nie są już widoki względem wiadoméj osoby (Alzyry)—bo ani tak jestem zapamiętały, abym dla *wątpliwych uczuć* poświęcał spokojność mojego ojca i przyjaciela rady lekceważył. Ani między mną a wiadomą tą osobą także zaszłe porozumienie, abym był już pewnym że mimo wszelkie przeciwności i nieszczęścia z jéj strony żadna nie nastąpi odmiana. Znasz mię i wiesz pewnie że nie odstąpiłbym nigdy od postanowień moich przez obawę zupełnéj utraty majątku (widocznie groziła *matka* wydziedziczeniem syna z majętności Liszkowiec z. p.) i wszelkiego sposobu utrzymania się nadal a czem jak mi piszesz zagrożony jestem. Ale ja jeszcze postanowień żadnych nieuczyniłem, jak ci być musi wiadomo. Chciałem poznawać lepiéj osobę, o któréj mowa i zręcznie tymczasem uwalniać się z uciemiężliwéj podległości w jakiéj moja matka wciąż mię trzymać usiłuje. Teraz mimo jéj pogróżki nie odmienię się w zdaniu. Uczucia moje zmienić się także nie mogą tylko przez uczucia, bo serce me nie rządzi się żadnym interesem. Nie o zmianie więc postanowień moich chcę pisać, bo postanowień pewnych nie uczyniłem jeszcze względem zawarcia ślubów ani z osobą wiadomą, ani z żadną inną. Ale chcę

ci wylać ten żal gorzki, którego powód przenikasz. Ja wiedziałem dawniéj, że Liszkowce są całe mojej matki własnością, wiedziałem także, iż od niéj żadnego wsparcia w nieszczęściu oczekiwać nie mogę kiedy mię widziała cierpiącym i żałowała mi pociechy i słodkich wyrazów, które nic nie kosztują czułemu sercu, mógłżem się kiedy od niéj spodziewać pomocy i jakiéj z majątku ofiary. Daj czytać list ojcu mojemu, niechaj się przekona, że ja jego cierpienia nigdy nie byłem powodem. Ale poświęcenia się moje stosownie do woli mej matki będą bez skutku. Ulegnę jéj żądaniom a ufności jéj przecie nie pozyskam. Nie ten, to inny powód znajdzie wyzucia mię z majątku i z łaski swojéj—wymagania rodzić się będą z wymagań, zmęczą mię i naostatek zawsze zmuszą do nieposłuszeństwa—a wtenczas wszystkie dawne zasługi za nic policzone będą. Uczynię ofiarę z mojego szczęścia i na całe życie poddam się w niewolę a przecie matka moja upartym mię nazwie, lub zawiesi swe zdanie do dalszych dowodów uległości z mojéj strony. Mój wuj szlachetnie myśli i czuje, lecz niepotrafi zbić fałszywych o szczęściu mniemań matki mojéj. Gdybym pojął żonę majętną wsparcie pieniężne wtedy mi zapewnione ze strony mojéj matki, staje się niepotrzebném, zwłaszcza gdy tyle mi w ziemi na ówczas dać przyrzeka ileby wzięła odemnie w pieniądzach; a tak Liszkowce nie byłyby mi dane, ale kupione za posag żony którą bym pojął. Pomoc wówczas świadczona, kiedy jest niepotrzebną, żadną nie jest pomocą, a jéj oświadczenie teraz czynione jest żartem urągającym z mojéj niedoli. Kiedybym zaś najbardziéj potrzebował wsparcia, z ubogą ożeniwszy się osobą wtedy moja matka gotowa mię w nędzy ostatniéj zostawić i teraz już zawczasu wydziedzicza grożąc karą za winy do których zdolnym nie ma powodu mię sądzić. Kiedyż bowiem jéj woli byłem przeciwnym? I kiedy raz miałem zamiar zawarcia ślubów, którym była przeciwną, czyż nie uległem? Czyż nawet nie tłumiłem żalu z téj przyczyny. Nagrodą uległości były ciągle przez trzy lata czynione wymówki i urągania się z mojéj niewoli, podejrzenia i groźby. Nie wiem w dzisiejszém położeniu mojem czyby nielepiéj było wyrzec się wszelkiéj należytości samemu do jakiejkolwiek bądź części z majątku mojéj matki.

Niech mi wszystkiego odmówi, ale niech mię nie dręczy wyrzutami na którém niezasłużył. Będę ubogim i wolnym — jestem młody i zdrów.—Los pewniejszy zabezpiecza na ziemi umysł zdrowy i siły ciała żadną nienadwerężonego chorobą, aniżeli zadłużony majątek. Ubogi przynajmniéj nie zawiodę się na towarzyszce, która zechce ze mną się połączyć mimo niedostatku w jakim widzieć mię będzie—ojca mojego nigdy nie opuszczę—ale przyjmować nie mogę

darów mojéj matki, które są dla mnie ciężarem. Spodziewam się że przynajmniéj nie zechce mię wypędzić z domu, póki niewynajdę sobie gdzie pewnego do życia sposobu—przecież i służącym nikt nie odmawia przytułku, gdy nie mogą znaleść miejsca stałego i służby. Innéj litości od mojéj matki nie mogę się spodziewać. Przedstaw to mojemu ojcu i z nim się rozmówiwszy napisz co mam uczynić. Dajto do poznania ojcu mojemu, że kiedy moja matka mogła pogrozić mi wydziedziczeniem, nie mając do tego powodu, dała poznać że żadnego dla mnie czucia nie ma, i ja się od niéj niczego spodziewać nie mogę. Uspokój mego dobrego ojca względem mnie.—Nigdy bowiem bez jego rady nie myślałem zawierać żadnych ślubów ale nie sądziłem rzeczą potrzebną z nim o tém mówić, co było jeszcze dla mnie samego zagadką. Niech więc mi ufa w téj mierze.“

Wskutek takiego postępowania matki stawało się położenie Tymona coraz gorsze. Obie strony niedowierzając sobie używały wszelkich możliwych środków ostrożności o których można mieć wyobrażenie z listów Tymona do Sabińskiego. Ponieważ mu matka nie pozwalała się z nim widywać, wystawia mu zatém w liście smutne okoliczności w których się znajduje: „Tu między moją matką a rodziną Ł(aszowskich) wielkie jest nieporozumienie z powodu wiośnianych wydarzeń. Żądają z tamtéj strony, aby jam mojéj matce wystawiał prawdę i przekonał ją o niesprawiedliwości jéj żalu. Jakżeż ja to uczynić zdołam jeżeli słuchany i wyrozumiany nie będę? Trzeba mi więc pracować na to, aby moja matka chciała mię słuchać i bez uprzedzenia pojmować rzeczywistość moich tłómaczeń. Jeden więc z mojéj strony krok nieostrożny i lekkomyślny może ją znowu nazawsze uczynić głuchą na wszelkie z mojéj strony przedstawienia. Jeżeli tylko nie do tego samego podejrzenia wróci w jakim trwała to wda się w posądzenia inne a nieufność i wieczny niepokój w domu powstanie.

Miéj baczność na te wszystkie względy i sądź jak teraz postępować wypada. Jestem w najściślejszéj niewoli umysłu. Każda niewola ma postać dla patrzących z boku spokojną, bo nie jest sama gwałtem ale skutkiem gwałtu powoli i nieznacznie uskutecznionego. Podobnym sposobem powoli tylko z takiego więzienia wydobywać można. Wyrywania się gwałtowne miewają często koniec niepomyślny.“

List ten jak wiele innych odkrywa nam smutne stosunki rodzinne ówczesnéj arystokracyi, która dla rodowéj dumy poświęcała nawet własne dzieci. Widzimy tu że matka Zaborowskiego starała się różnemi sposobami odwieść syna od miłości do biednéj dziewczyny, a kiedy tego nie zdołała, odcięła mu nawet stosunki z przyja-

ciołmi więżąc i gnębiąc. Ale Tymon miał stały charakter. „To ci tylko powiem—donosi przyjacielowi z 3 grudnia 1822 że nie tyle ja myślę ulegać okolicznościom, jak ci się wydawało, ale chcę tylko w przyjaźniejszéj porze działać.“ I znów dodaje o niemożności widzenia się z nim z powodu szpiegowania go. „Nad brzegiem (Zbrucza) być nie mogę, bo rozmawiać trudno z powodu bacznych z obu stron dostrzegaczy.“ „Co się tyczy bywania u ciebie, muszę się z tobą widziéć wprzód gdzieindziéj i rozmówić się w téj mierze.“ „Jak możesz wymagać odpisuje przyjacielowi 6 grudnia 1822,—ażebym wprost się udał do mieszkania twojego bez żadnych względów na moje uwagi w liście poprzedzającym uczynione.“ „Ja chciałem się z tobą widziéć i mówić wiele a wtedy zrozumielibyśmy się wzajemnie i żądali od siebie wzajem tego tylko, co który może uczynić *nie narażając się na skutki* zawsze zgubne lekkomyślnych kroków. Co masz mi ważnego powiedziéć, mógłbyś mi to napisać w liście który przez H.... dostać mi się może do rąk moich *bez nadwerężenia.*“

Z tych i tym podobnych środków ostrożności poznać przezorność i baczność syna ale zarazem niegodziwe środki, któremi się posługiwała wobec niego matka. Jednym z takich doraźnych środków było przejmowanie listów pisanych choćby przez przyjaciół do syna. „Dnia 22 grudnia 1822 z Liszkowiec w niedzielę rano. Czwartkową pocztą odebrałem list od Ł. liczbą 5 naznaczony. A zatem list jego czwarty *w którym rozwodzić się miał nad położeniem mojem i dawać rady względem bywania mojego w miejscu dla mnie też niebezpieczném i nieszczęśliwém* albo zaginął albo jeszcze nie przyszedł albo *przejęty został.* Lubo *ostatnie zdarzenie najpodobniejsze do wiary* wszelako *tutaj* po niczem sądzić nie mogę, ażeby istotnie wypadło. Muszę więc czekać. Jedna albo dwie poczty następne utwierdzą mię w moich domysłach albo je zniszczą list wspomniany przynosząc (co naturalnie nie nastąpiło). Ty byłeś na poczcie i musiałeś widziéć, czyli tenże list jest wyrażony w spisie czyli nie, mógłbyś więc zatém uwiadomić, bo mnie samemu dla przeświadczenia jechać na pocztę nie wypada dlatego, że jeżeli list nie był przejęty, okazywałbym przez to nieufność względem moich rodziców, do której nie daliby mi powodu teraz.“ Widząc że listy bywają przejmowane użył Sabińki posłańca. Raz nie udał się ten sposób za to surowo go zganił schwytany na uczynku poeta. „Nie wiem z jakiego względu, pisze do niego w samą wilię Bożego narodzenia 1822, uznałeś w twojéj głowie, że odpowiedzi ustne przez posłańca są bezpieczniejsze od listów.

Tak w niedzielę (22 grudnia 1822) Wasyl (posłaniec) téj odpowiedzi twojéj nauczywszy się na pamięć przez drogę, wróciwszy wieczorem, lezie do pokoju moich rodziców, gdzie ja byłem podówczas i głośno a powoli wypowiada wszystko, czegoś go nauczył: a że może będziesz w H. we wtorek, a że tu być nie możesz, a że trzeba, abym ja przyjechał, nie mówiąc gdzie... Nie lepiejże było znaleść w domu pocztowym cząstkę papieru i kawałek pióra napisać to coś kazał posłańcowi mówić? Nie należy nigdy używać cudzych ust do tłómaczenia swoich myśli i powtarzania swoich wyrazów. Takowe polecenia jednemu tylko przyjacielowi dać można albo osobie co nas potrafiłaby zastąpić."

W celu ułatwienia korespondencyi chwyta się Tymon skutecznego środka: „Co się tyczy *korca pszenicy dla ujęcia osoby nasze przyjmującéj listy* mówiłem ojcu mojemu, ale mój ojciec zamiast zboża obiecał drzewa mu dać, ile będzie potrzebował, bo taki dar jest od nas i łatwiejszy (wówczas nie były jeszcze tak zniszczone lasy miodoborskie jak dzisiaj) i stosowniejszy i tamtéj stronie (mieszkającéj na Podolu ogołoconém z lasów) dogodniejszy."

Z powodu listu od Floryana, który donosi o rychłym przybyciu wyraża znowu Tymon nadzieję polepszenia swego położenia: „Oby prędzéj Ł. się zbliżył do naszych okolic i polepszył nasze położenie." „Pierwszy to raz w życiu jestem tak odosobniony od wszystkiego, co mi jest najmilsze. Oby tylko w tym razie dziwaczny los nie chciał sprawdzić we mnie tego mniemania ludzi przesądnych, że zaczęcie roku ma wpływ jakiś na ciąg jego cały..."

Zbyt częste listowanie Tymona dały powód przyjacielowi do różnych domysłów, które zbija poeta wpadając w ton filozofa moralisty:

Pod wpływem przeczytanéj Nowéj Heloizy otwiera przyjacielowi swoje uczucia w następujących słowach: Doczytałem dzisiaj— pisze wieczorem dnia 3 września 1821—Heloizę J. I. Russa. Wypadałoby moje zdanie przed tobą otworzyć o tém dziele a raczéj o osobach użytych do działania, ale wiesz iż ja nie tyle te listy miłosne czytałem dla ich piękności ile dla tego że niedawno w ręku były Alzyry. Byłbym śmieszny gdybym chciał uczucia malowane przez Russa naśladować, ale porównywać je z mojemi mogę dla nauki własnéj: W czytaniu téj książki nie szukam podniety mojemu sercu do uczuć, któreby raczéj miarkować mi należało, ale czerpię nauki jakich mi jeszcze doświadczenie moje dać nie mogło, albo o prawdach, które sam już wprzódy poznałem mocniéj się przeświadczam. Wiele tam znalazłem zdań, wiele sposobów postępowania według mnie nagannych. Poznałem i niebezpieczeństwo położenia mego

gdy czytając o okropnych, dla czułego serca, wypadkach jużem boleśnie sam cierpiał. O! gdyby kiedy rozdział okrutny..... nie mogę znieść nawet téj myśli... Wszelako do wszelkich ofiar czuję się być zdolnym, jakichby sama wymagała po mnie (Alzyra). Wszystko z siebie zrobić potrafię w jednéj chwili uczynię postanowienie jakiegoby szczęście najdroższéj mi osoby wymagało, wypełnić jéj wolę gotów także byłbym natychmiast, ale po zadosyć czynieniu coby się zemną stało, nie wiem... To mię tylko pociesza, że Alzyra nie może, nie zechce i nie potrafi naśladować téj mniemanéj cnoty w romansach fałszywie wystawionéj co każe często poświęcać wszystko i przytłumiać najsłodsze uczucia duszy w ofierze obowiązków, których wypełnienie ściśle istotnego szczęścia nikomu nie zrządzi. Z obowiązkiem ludzie na świat nie przychodzą a podobno z duszą i sercem rodzą się wszyscy; któż gwałci prawa natury, czy ten, co skłonności i uczucia serca szlachetne i czyste utrzymuje w sobie, a przeciwne im obowiązki swoje usiłuje ile można ułatwić, czy ten co powinnościom swoim ofiarę z najświętszego duszy płomienia pragnąłby uczynić?

Tym co czują jak ja, dowodzić prawdy téj nie potrzeba, a kto jéj nie czuje życzę mu, aby doświadczył podobnego losu, jeżeli zdolny doświadczyć. Ale pocóż ja wpadam w myśli tak smutne, do których nic mi nie daje powodu? Tak to zawsze w oddaleniu od jedynéj serca pociechy lękamy się nad istotnym stanem duszy naszéj zastanowić i o smutném położeniu swojém myślić, dla tego wymyślamy sobie okropniejsze nieszczęścia i męki przez to jednak znośniejsze, że zmyślone.“

Ostatnią wzmiankę o miłosnym stosunku Zaborowskiego czytamy w liście z Jakóbowic, dnia 17 sierpnia 1822 r.

„Teraz najbardziéj twoich listów i twojéj potrzebuję rady, a ty milczysz. Z ostatniego mojego pisma jeżeliś je odebrał mogłeś poznać, że od nikogo rady i pomocy już wyglądać nie mogę. Ty mi jeden szczerze i dobrze mógłbyś jeszcze doradzać. Ale kiedy tę ostatnią pomoc i pociechę jakaś mi niewiadoma odejmuje przeszkoda, sam więc sobie zastawiony jestem. Jeden sam... dobrze...

Złączcie się moje wrogi!.. ja do walki stanę—
Niech przesądy podniosą swoje miecze szklane
Niech Samolubstwo w ludzkim rozszczepione rodzie
Lodowatą mię zewsząd piędzią bodzie!
Niech mię nadęta czułość dawnych imion *Pycha*
Tchnieniem pogardy z progów rodzinnych wypycha!
Sam wyzywam was—Piekła! losy nieprzyjazne!
I Was—was ludzie! serca mające żelazne!

W zbroje wasze cynowe, w gliniane puklerze
Wziętym z rąk boskich mieczem ognistym uderzę—
Nie są straszne dla męża, stające do walki,
Te nędzne, te skaczące na sprężynach lalki!..

Na czczych mniemaniach szczęście ludzkie się zasadza—
Wielkość na poniżeniu, na uciskach władza—
Gnębiony od wyższego, każdy niższych gnębi,
Jak para powstająca z wód spokojnych głębi,
Nie śmie się wznieść i z chłodną na brzeg pada rosą—
Tak i ludzie padają gdy się trochę wzniosą—
Rzadko się człowiek słaby pod niebiosy wzbije
Gdzie anioł cnotom wieniec z róż wieczystych wije—
Człowiek pełza niszczejąc ślimaczym żywotem,
Zamiast coby pod nieba orlim dążył lotem...

Ale mnie żadna z wami nie nagli konieczność
Dla chwilowych nicości całą tracić wieczność,
Bożyszcza chuci waszych razem z wami czcić
I w sidła wasze wplątać życia mego nić (1)
Cedr, którego ogromny Liban jest ojczyzną
Gardzi nikczemną krajów poziomych płaszczyzną.

Głęboko się ukrywa kruszec w ziemskiém łonie
Ziemia rzucona w wodę, pada wgłąb i tonie
Woda pada z powietrza: choć się zbierze w chmury
Ale ogień, co życiem całéj jest natury,
Do góry zawsze, śmiałym wzlatuje płomieniem,
Téż i ja nieśmiertelném żywiony natchnieniem
Chcę się wznieść nad te nędzne śmiertelnych siedliska,
Gdzie wszystko uciśnione i wszystko uciska.

Na tém się urywa w korespondencyi wiadomość o miłości poety do Alzyry. Matka nie dopuściła do mezaliansu ale poeta żywił swoję miłość tajemnie w cierpieniach i zgryzotach, aż doprowadzony do ostateczności arystokratyczną dumą i uprzedzeniem matki znalazł ulgę w cierpieniach trochę rozmarzonéj fantazyi—w nurtach Zbruczu (20 marca 1828)... Na kilka tygodni przed skonem, spowodowany rozpaczą do opuszczenia zagrody rodzicielskiéj, wśród ostréj zimy, na załamanie się lodu nad Zbruczem i na opór żandarmów podążył na Wołyń do swego wuja Szeptyckiego, szukając u niego pomocy i opieki przeciwko „przemocy rodziców zaślepionych w złości i dumie.“ Snać nic nie pomogła prośba zrozpaczonego młodzieńca, który

(1) Jestto jeden z rzadkich przykładów męskiego rymu którego używa Zaborowski w Dumach.

odziany futrem obmarzłem, w „skórzniach „przesiąkłych wilgocią śnieżną i uzbrojony „sążnistą lagą“ gdy się okazał w podwojach gmachu podczaszyca koronnego posłużył tylko córce Czackiego za model.

Ten sam chorobliwy sentymentalizm, tylko udrapowany czasem w pseudoklasyczną togę poezyi, przebija się także w uczuciu Zaborowskiego dla piękna przyrody. Apercepcya przyrody w téj epoce twórczości poetyckiéj Zaborowskiego (od 1821—28) jest już subjektywną i romantyczną—poeta maluje przyrodę tak jak się ona w jego duszy odbija, w harmonii albo w kontraście z jego uczuciami. Ale w wykonaniu i opisach jest jeszcze wiele aparatu współklasycznego. Wieszcza „Miodoboru,“ cechuje jak każdego prawdziwego poetę, miłość dla przyrody rodzinnéj, swojskiéj. To téż oddalony od niéj „żałośnie wzdycha do lubych brzegów Zbrucza“ i skarży się na „brak powabów przyrody“ Wołynia:

Bo tu kraj płaski
Smutne równiny
Jałowe piaski
I nędzne gliny—
O żyzne pola
Mego Podola!... (z listu Zaborowskiego dnia 6 sierpnia 1822).

Jadąc do „najprzyjemniejszego ogrodu najświatlejszych w Polsce książąt“ Czartoryskich w Puławach, przenosi się poeta fantazyą do swoich ukochanych Miodoborów, i do tych „czarownych miejsc gdzie tyle był szczęśliwy i tyle wycierpiał.“

„Rozłożyste lipy Głęboczka—woła z uniesieniem—skaliste brzegi Dniestru, błogie brzegi Zbrucza, uroków pełne gaje! gdzie i słońce mojemu przyświecało szczęściu, gdzie i blady księżyc pogrążonemu w cierpieniach łagodził boleści itd.“ Poeta odtwarza sobie w wyobraźni, wszystkie te miejsca swego Podola od których tak daleki jest, „których obrazami napełnione są jego oczy a wspomnień o nich pełna dusza“... Jak oddalenie od lubego przedmiotu marzeń podnosi go w naszych oczach, tak porównanie go z innym wprost przeciwnym przedmiotem daje go czasem poznać we właściwém świetle. Oto jak porównuje Zaborowski swoje położenie ze stanem przyjaciela, Łaszowskiego, bawiącego wówczas, przy końcu 1822 r., w stolicy Austryi.

„Poznanie Wiednia, pisze doń, jego mieszkańców i osobliwości musi cię zajmować, widowiska publiczne rozrywać bawić a czasem zachwycać. Ja tu żadnego przedmiotu do poznawania nie mam, tea-

trów dla mnie nie oświecają, światła kosztem tysięcy ludzi podżegane. *Najwspanialszym dla mnie widowiskiem* jest ranek piękny, dzień jasny i ciepły i wieczór pogodny.“ „Bo kiedy najżywsze uciechy jakich natura doznać pozwala ludziom są dla mnie wzbronione, kiedy miłość każda dla mnie jest zakazaną, czemże się mam zajmować jak żyć na téj ziemi póki się w martwą bryłę nie zmienię.“

Miłość dla przyrody nie jest możliwą bez obserwacyi, Zaborowski zastanawia się więc często nad zjawiskami natury, zwiedza parę razy pieczary w Bilczu (na Podolu), przypatruje się szczególniejszemu zjawisku, pewnego rodzaju tęczy; „między jedenastą a dwunastą w nocy, kiedy księżyc nad Miodobory już był się podniósł, a na przeciwko we mgle, która stała około Samołozkowiec (pod Liszkowcami) pokazał się łuk wielki, kształtu tęczy słonecznéj we dwóch kolorach bladych“ itp. Z nadejściem wiosny słucha:

„Jak nad ziemię skowronki posłanniki wiosny
Rozkaz życia roznoszą nucąc śpiew radośny“

i cieszy się że się już „pod oknem na krzaku dzikich porzeczek listki młode pokazują“ i pierwsze tchnienie wiosny wyrywa mu z piersi znane wiersze Adama „dni nasze jak dni motylka“ itd. Najczęściéj widzi poeta tylko siebie w tém czarującém źwierciadle natury ale nie jest dlań obojętny ani „upał letni co rolnikowi gradem zagraża w chwili gdy już do zbioru się gotują“ ani „ranek majowy“ lub „noc księżycowa“—wszystko go zajmuje, to też przy każdéj sposobności wspomina w listach przynajmniéj w kilku słowach o stanie przyrody.

Ale ta prawdziwa nieraz głęboka miłość jego dla rozmaitych, srasznych i przyjemnych, objawów przyrody wyradza się często w ckliwy sentymentalizm albo w t. z. „enthousiasme obligé.“ Oto parę przykładów.

„Świeży i miły poranek,—pisze do przyjaciela 9 maja 1821 rano,—zajaśniał nad Liszkowcami. Kto swoje uczucia wyżéj ceni nad wszelkie zyskowne trudy lub rozrywki, lubi o téj porze rozmyślać i pisać. Szczęśliwy kto rozpamiętywać i spodziewać się może! Wesołość natury i nasze nadzieje pewniejszemi czyni. Jak rozpaczać, gdy wszystko się cieszy! Twórca świata co słońcu kazał wiosnę wskrzesić na uradowanie wszech istot, czyż i mnie wśród wiosny życia mojego niedozwoli kilku chwil szczęśliwych użyć? Niech w jesieni wieku, kiedy przyjdzie, niech wtedy każe mi zbierać i przechowywać późne owoce i wstępującemu do grobu, zostawiać zasiewy i nadzieje potomnym, ale teraz, czemże się do życia przywiążę, jeśli tylko umartwienia trawić i pożywać mam gorzkie przykrości?...

Smutek tylko starości jest znany, dla młodego serca zaraz się w rozpacz zamienia—tak jak na odwrót każda pociecha jest rozkoszą. Śmieje się Maj piękny, Miodobory żyją. Na drzewach miejsce kwiatów opadłych rosnące zastępują owoce, w zacienionych gajach brzmią słowicze chóry i wody spokojne, nie znają ciszy, na ich powierzchowni najsłabszego ruchu postrzedz nie można, a z głębi życie się odzywa—miliony ukrytych w niéj mieszkańców odzywają się wprawdzie nie harmonijnym lecz radosnym głosem—powietrze ćmi się chmurami owadów. Niewidać już tego zbytku kwiatów, któremi wzgórza pierwéj jaśniały, ale te, co wśród ciemnéj zieloności widzieć się dają są przez rzadkość żywsze, są nawet najpiękniejsze. Bzy, berbery, głogi, akacye rzucają kolorowe plamy na zieloność liści swoich i królowa kwiatów, róża, pyszny kwiat swój rozwija. Ziemia kryje szarą płeć swoję pod sypiącém się żytem i uścieloną pszenicą. Niebo mgły i chmury rozpuszczone w powietrzu wznosi i rozciąga, a przez nie cedzi światło dobroczynne słońca, aby mocniejszy wpływ miało na szczęśliwość ziemi. Ty! powyżéj wszystkiego, twórco wszystkiego istniejesz. Ciebie to w téj chwili wielbią śpiewaniem ucieszone gaje, radośne powietrze szmerem, a milczeniem skały zdumione!... Lecz ja, gdy w moich piersiach zapaliłeś żywszy ogień czucia, ja cię za większe łaski dopiero wielbić powinienem... *Serce moje nie dla tych drzew rozkosznych nie dla tych wesołych okolic bije...* Dla szczęśliwości przyrodzenia dość pogody niebieskiéj. Wiele czynisz dla ziemi Boże, gdy słońcu każesz się pokazać. Ale mnie i słońce byłoby niemiłe, gdybym nie mógł widzieć przedmiotu moich uczuć i myśli"...

W następnym liście z dnia 7 czerwca 1821 wynurza swoje refleksye i uczucia na widok spokojnéj nocy letniéj, którą przedstawia; jak w powyższym opisie poranku wiosennego, w kontraście do swoich uczuć.

„Piękna Nocy! woła, czy na przekorę moim niepokojom w około rozkoszną cichość rozlewasz? śpiewy słowików i wonie róż przez okna przenikają do izby i aż do łoża mojego—o! niech ten się napawa ich przyjemnością co w tak uroczystéj porze wesela natury, innéj rozkoszy nie pragnie albo używa tego co pragnie.

O szczęśliwe młodzieńcze serce! dusza młoda!
Dla któréj wiecznie wiosna i zawsze pogoda—
Dzień jasny do południa, tak jak był od świtu—
Wieczorem burze nie ćmią czystego błękitu--
I chmura czarna w obłok natychmiast się mieni.
Dla złagodzenia blasku słonecznych promieni,
Płyną jej cicho nocy i poranki błogie—

Ale ja dla którego niebo zawsze srogie,
Albo skwar miotające albo zbrojne w gromy,
Ja co nie jestem błahych rozkoszy łakomy,
Ani wygód zacisza, ani blasków tronu,
Co mam samą nadzieją żyć może do skonu
W umartwieniach, ja ciężko ach i ciężkobym zgrzeszył
Gdybym teraz pokojem natury się cieszył—
Żegnasz nas, miła wiosno! już świeżość tracąca
Róże, trawy i kwiaty skoszone na łące—
Ostatnie te niknącéj wiosny lube dary,
Na plenne zboża, lato gotuje pożary.
Już owoce rwą dłonie, czekające żniwa—
O poro kwiatów! poro nadziei szczęśliwa!
Wiosno istot miłością żyjących królowo...
Ty wrócisz, lasy łąki zakwitną na nowo.
Ja nie za tobą wzdycham, lecz żałuję straty
Lat moich kiedym tyle twoje lubiły kwiaty—
*Nieprawda—nie żałuję, nie mogę żałować tego czasu!*

Charakter Zaborowskiego przechodził różne fazy rozwoju od pesimizmu i zwątpienia aż do rezygnacyi i zupełnego poddania się woli Bożéj. Usposobienie poety wcześniejszéj doby charakteryzuje czarne na świat zapatrywanie, które wyjawił przyjacielowi w liście z dnia 22 czerwca 1821, pod wrażeniem słoty, przytaczam je w całości: „Zamiast pogody zwyczajnéj w téj porze roku deszcz! zamiast szczęścia i rozkoszy—tęsknoty i umartwienia!... Takie to są dziwaczne koleje losów naszych na ziemi, taki to niestateczny bieg wydarzeń od których pomyślność lub niedola nasza zawisły!... bez mocy umysłu wspartéj na przekonaniu wewnętrznèm o czystości sumienia i serca, co z prawych czynności i myśli szlachetnych wynika, upadlibyśmy często na śliskiéj drodze życia niespokojnością miotani, obarczeni mnóstwem przeciwieństw i niezasłużonych niegodziwości. O wieku szczęśliwy! wieku złoty malowany w poezyi! jakże teraz i marzyć o tobie niepodobna i w uśpieniu nawet rzadko możesz się przyśnić. Spojrzysz w około siebie i wzrokiem obejmij całą przestrzeń świata nas otaczającego—wszędzie uciski, klęski, okrucieństwa, mordy i rzezie, albo spokojność uciemiężającéj niewoli albo jarzmo tyraństwa, albo bezrząd i wyuzdaną złość. Tu chytra władców polityka, pozbawione swobód ludy pozbawione nawet spokojnego używania owocu dziennych prac i znojów utrzymuje w więzieniu, co się zwie pokojem. Tak północ i środek Europy widzisz przygnieciony żelazną ręką egoizmu, trzymającą berło samowładztwa, co ukrywa szkaradne swoje oblicze pod maską obłudnéj sprawiedliwości przed upiorem prawa i rządu niby mądrego, niby mającego za cel dobro i spokojność ziemi; południe Europy zabu-

rzone i we krwi pływa. Grecy, potomkowie zaszczycających starożytność Ateńczyków i Spartanów, nasi sąsiedzi, następcy Traków z długiego letargu obudzone Wołochy dla dostąpienia cząstki tych swobód, które się w całości ludom należą, muszą bezpieczeństwo i życie narażać w najokropniejszéj wojnie domowéj na niechybną prawie stratę. Iluż tam ludzi wykrzykuje wolność, bierze się do oręża i natychmiast ginie! Iluż jest nieszczęśliwych, co może nie przeżyje niepomyślny skutek (sic) usiłowań, ujrzą omylone nadzieje a zrzuciwszy na chwilę jarzmo, potém znowu przytłoczeni domęczą się w kajdanach. Europa w tym czasie jest jak ów śmiertelnie chory człowiek, co się męczy ustawicznie i tylko we śnie lub letargu znajduje jakąkolwiek ulgę cierpieniom i bólom; ale ta ulga jest tylko pozorną i zwodzi patrzących, często na snem znużonéj twarzy dają się postrzegać konwulsyjne oznaki mąk utajonych.

„Domowe życie jest tylko zmniejszonym obrazem tego co się dzieje w świecie. Téż same niesprawiedliwości w szczuplejszym obrębie, jeszcze mocniéj działające bo nas bliżéj dotykają—nędza ucisk i oczekiwania, zawiedzione i nadzieje bezskuteczne i żądania nasłuszniejsze bez owocu—prace bez celu lub nagrody, zniweczone skutki zabiegów i starań, odjęta czułemu człowiekowi sposobność działania wedle skłonności, te wszystkie i tym podobne wprawiające w rozpacz przeciwności i kluby co dręczą powszechnie świat cały i nas ustępujących z wielkiéj sceny działań ludzkich na ustroniu dosięgają i trapią, a tém okrutniéj, że na jednéj lub kilku osobach całą swoję wywierają wściekłość. Ta myśl niepotrzebuje objaśnień dla ciebie Floryanie! srogie okoliczności w jakich mię widzisz udręczonego usprawiedliwiają cierpkość moich narzekań“...

Powoli ustępuje ten pesimistyczny pogląd i nieszczęśliwy poeta miewa chwile weselsze pełne ufności w „Najwyższą istność“ i w własne szlachetne zamiary. Oto kilka myśli jego w tym duchu spowodowanych chorobą matki Sabińskiego: „Troskliwość lekarza i *życzenia dzieci*, powiada w liście do Juliana z 14 marca 1823 r.—powinnaby ją zupełnie do zdrowia przywieść. Bo czyż nie mają mieć wpływu na nasze zdrowie powodzenie i szczęśliwość—uczucia modły i nawet życzenia przychylnych nam osób, kiedy te uczucia są natchnione przez najwyższą istność, która wszystkim rządzi? Często i bardzo często wypadnie nam odwołać się do tego źródła o pomoc w razach w których pospolite środki odjęte nam są przez ludzi doczeście szczęśliwych. Sposoby, narzędzia i możność działania na ziemi, jest zazwyczaj w ręku tych, co dzielności nie mają. Nam przeciwnie sam tylko duch dostał się w udziale. Ten jednak udział nie jest krzywdzący, chociaż pogardzony przez podłych. Ja kiedy

czego pragnę i potrzebuję, nie tyle ufam sile mojéj i łatwości osiągnienia przedmiotu ile szlachetności uczucia i prawości zamysłu, który mię do życzeń pobudza, dla mnie nadzieja jest boginią pełną wdzięków nadludzkich i słodyczy anielskiéj, a wielu innych znają tylko w postaci nadziei starą niecierpliwość, co prędko grzybieje i zaraz brzydszą i nieznośniejszą się staje.“

Zaborowski miał „serce szlachetne, duszę wyniosłą“, a przytém „ujmującą łagodność i dobroć“, ale „umysł jego rozmiłowany w marzeń krainie“, nie miał tyle hartu i rozwagi aby się zastosować do „zwyczajnych życia kolei“, z których się ciągle „wyłamywał“. Przesadna uczuciowość i chorobliwa miłość „posuni*ona* za obręb rzeczywistego podobieństwa w osiągnieniu celu“, przytém „zbyteczna drażliwość“, stały się przyczyną niejednego smutku, niejednéj łzy dla niego. I z tego względu zasługuje nieszczęśliwy poeta na pobłażliwość.

Chorobliwy sentymentalizm poety, tę istotną cechę jego charakteru podsycały wrażenia i uczucia, których doznawał w towarzystwie, oraz lektura. W liście do Łaszowskiego po powrocie do Liszkowiec pisze 19 grudnia 1820: „Nie umiałbym wyrazić, jakie wrażenie na moim umyśle zrobiły rozrywki, żarty i czarobójcze gadaniny, jakich się napatrzyłem i nasłuchałem w tych dniach ostatnich. Quos vidi et quorum pars magna fui. Z jakiém dziwném uczuciem politowania i niesmaku, z jakiém obrzydzeniem przychodzi wspominać te gry, gdzie z ust do ust nawet pięknych latają słowa: nerek, polędwic, kiszek i inne, których w poufałym nawet liście nie chcę kreślić.“ Sentymentalnego poetę rażą te grube nieprzystojne wyrazy w ustach niebianek. „O czemuż—woła daléj—kształtne twarze mają się szpecić wymawianiem brzydkich i nieprzystojnych wyrazów, w obliczu osób, do którychby przymilać się powinne, których powinneby nęcić do siebie samą słodyczą i wdziękiem, wzmacniając ich przyrodzone powaby jeszcze powabem skromności albo dowcipu.“

Oto jak się zapatruje na tych ludzi „bez czucia“ z najbliższego otoczenia, z jakiém oburzeniem ich maluje w liście do przyjaciela z 12 kwietnia 1821: „Gdym się w chwilach bezsennych zastanowił nad sobą, nad tém co mię otacza i nad resztą znajomego mi świata, wniosłem, iż człowiek bez *czułości* szlachetnéj jest prostém zwierzęciem, a ten co nie zna prawdziwéj miłości i przyjaźni jest wołem, psem, krukiem, sępem lub świnią, według zdolności i przymiotów swoich, ale dosyć iż nie jest lepszym od bydlęcia, ptaka lub ryby, — nie mówię nawet o tych co podobni do złośliwych owadów i gadzin. Widzę człowieka, co zmysłami tylko żyje,

rozdrażniając je ustawicznie i zawsze im dogadzając pod ich władzę poddał swoję szczęśliwość i zdrowie, już zapomniał o duszy i sercu, niezdolny nawet pojąć rozkoszy umysłowych. On się najłatwiéj zgodzi z ludźmi, bo go wszystko mało dotyka, drugich ludzi wad, przywar, złości, niegodziwości—nie postrzega, albo je lekceważy, ile że mu nie szkodzą, ale niechże kto się targnie na ujęcie mu jego przyjemności, jego majątku lub tylko odrobiny czasu poświęconego jakiéj zabawie, czy rozpuście, czy zatrudnieniom mającym je przygotować,—ach! jakże wtedy zły, niegrzeczny, przykry ten człowiek, w inném miejscu tak układny i miły! Tak gdybym przyszedł naprzykład do pana H., co ma znaczny majątek w dobrach, dochody jego trwoni na używanie wszelkich zmysłowych rozkoszy, a chce przytém uchodzić za człowieka światowego i dla wszystkich stara się być grzecznym pośród zgromadzeń, gdy wtedy niczem nie jest zajęty. Przypuśćmy, że znajdował się wieczorem w pewnym domu ze mną, gdzie ja wiersze moje czytałem on lubi także wiersze, ale przyjemność ich słuchania kładzie niżéj przyjemności grania w karty. Okazuje mi grzeczność, chwali mój talent, oświadcza mi chęć słyszenia więcéj moich pism, prosi abym go nazajutrz odwiedził o pewnéj godzinie, przyniósłszy jakie wiersze z sobą. Ja toż czynię. Ale pan H. wplątany w różne wypadki— dajmy bowiem, że to zdarzenie działo się w mieście wielkiém — ma właśnie w téj chwili gdy ja przychodzę interes, o którym nie myślał wtedy gdy mię prosił do siebie. Przypuśćmy nawet, iż choć pół godziny zatrzyma się dla mnie nie straci przez to nic na sprawie, wszelako ledwie mię słucha, wypchnąłby mię gdyby mógł, tak jest niecierpliwy, tak mocno go zajmuje los interesu, gdzie idzie o cząstkę jego mienia, która nie przepadnie, choćby się zatrzymał w domu dłużéj nad godzinę. Ale go niecierpliwość dręczy i obawa, bo interes własny przemaga w nim wszelkie uczucia. Nie jestże podobny do brysia, co przed chwilą łasił się, lizał mi ręce, dawał się głaskać, a teraz gdy kości gryzie, leżąc na dziedzińcu, ledwie da przystąpić do siebie, albo widząc że się zbliżam do niego — wstaje, ucieka pod płot, z pod płotu za bramę i chowa się przed ludźmi, bo mu ta kość milsza nad wszystkie moje pieszczoty. Nie takimże jest człowiek bez czułości! A tenże, co ustawnie męczy rolę i ludzi nie dla wyżywienia siebie i drugich, ale dla nadzwyczajnych zysków i rachuby, co mądrością mianuje sztukę zbierania pieniędzy, a uczciwością wszelkie niegodziwości, oprócz kradzieży jawnéj i zabójstwa, — ten człowiek jestże słodki i powolny dla obcych ludzi, ciemięzca tych, co mu podlegają! On się z tobą sprzeczać w niczem nie będzie, zawsze ulega, nie zaczepi, nie urazi

nikogo w towarzystwie, nie lubi nawet słuchać gdy źle o ludziach mówią, gdy szydzą z drugich wad i śmieszności, na postępowanie rządu jakkolwiek jest okrutne, nie sarka, rzekłbyś że to człowiek najlepszy w świecie. Ale schowaj się w drugim pokoju, żeby cię nie widział w jego domu, gdy przyjdzie wieśniak ubogi, żebrząc o zboże na chleb lub na siejbę, gdyż nie miał czasu zarobić go sobie, cały rok pracując dla pana. Ów łagodny człowiek zmienia się w jędzę, burczy, łaje, wrzeszczy: „wybiegaj! hamuj go! bo zabije człowieka...“ za co? że mu kilka złotych zysku chce ująć, a raczéj za to, że mu przypomina widokiem swojéj nędzy jak niegodziwym sposobem nabyte są jego zyski. A gdzież jest zwierzę, z którym tego człowieka mógłby porównać?“

Z powodu wizyty u państwa Cz. w Haliczu na nowy rok rusiński, przesyła przyjacielowi w liście z 16 stycznia 1823 następujący wierszyk, malujący tamtejsze towarzystwo w tych kilku słowach:

Była to różnojęzycznia
W dniu pierwszym ruskiego stycznia,
I młodzieńcy i sensaty,
Ludzi różnych stopni, rang,
I Rosenberg i Bujatti
I Bachmatiew i pan Lang,
Różne twarze, różne szaty,
Gwary, skoki i wiwaty.

Podczas swego pobytu u wujowstwa w lubelskiem, opisuje już trochę trzeźwiéj towarzystwo, w którém nawet przyjemnie czas spędzał, bo „chociaż osoby między któremi przebywam są téż same i takie same jakiemi je pierwéj znałem, ja nie jestem taki sam jak byłem i owe inszemi wydają mi się teraz anieżeli się dawniéj wydawały. Poznawszy więcéj ludzi przez cierpienie własne, smutnego nabyłem przymiotu baczności, łatwiéj mi więc dzisiaj w obcowaniu z różnemi osoby zgłębiać ich serca i sposób myślenia poznawać. Takowe poznanie w towarzystwie tutejszym jest łatwe, bo u światowych ludzi serce jest podległe przesądom i głosu niema, tak jak lud pod rządem monarchicznym zostający. Sposób zaś myślenia ludzi żyjących na wielkim świecie jest wszystkich jeden, a zatém nie trudny do pojęcia.“ — Wujostwo zaś tak opisuje: „Mój wuj — miéj baczność Germaniku (tak nazywa przyjaciela zapewne przez ostrożność) aby to pismo nie wpadło w czyje ręce — mój wuj wiele bardzo mówi i bardzo szybko gada, a i sam Wolter gdyby chciał wciąż mówić, wieleby wyrazów niedorzecznych czasem mógł powiedzieć. Postrzegłem że tyle się zna na wierszach, co na gospodarstwie i wojskowości, to jest ma ogólne o wszystkiem wyobraże-

nie. Tenże sam wiersz może pochwalić lub zganić według znaczenia jakie zechcesz sam dać myśli twojéj czytając mu swoje wiersze. Moja wujenka lepszym smakiem sądzi o wierszach i zdrowsze ma poznanie rzeczy we wszystkiem. Towarzystwo jéj dosyć jest przyjemne. Sama jéj matka najprzyjemniejszą jest z całéj téj rodziny osobą oprócz *nieprzytomnych*...“ (Tymon ma tu na myśli kochankę i przyjaciela).

W następnym liście z dnia 9 sierpnia 1827 donosi swemu przyjacielowi o odwiedzinach swoich kuzynek w Nałęczowie i o poznaniu ks. Adama Czartyrowskiego w Puławach:

„Byłem w Nałęczowie i w Puławach i wróciłem do Jakubowic. Siostry mojéj wujenki zawsze grzeczne i przyjemne, dwa dni spędziłem w ich towarzystwie wesoło, dawne przypomniałem sobie czasy i byłem żywszy a *przez doświadczenie rozsądniejszy niż dawniéj*. W przyszły wtorek matka z pannami ma tu być w Jakubowicach, wstępując w powrocie swoim do domu. W przeciągu tych kilku dni będę widział jak długo i my tu jeszcze zabawimy i doniosę ci o tém abyś wiedział, dopókąd masz do mnie pisywać. Poznałem zbliska księcia wojewodę w Puławach, mówił ze mną wiele o moim poemacie, o który się dopytywał mojego wuja kilkoma dniami przed mojém w te okolice przybyciem. Poznałem w nim znawcę i miłośnika poezyi i łaskawego opiekuna nauk i talentów. Widziałem Dobrowolskiego, ale nikogo więcéj nie zastałem z moich znajomych warszawianów i krzemieńczan w Puławach. Przybyliśmy rano z moim wujem do pomieszkań potomka Jagiełłów, a po objedzie wyjechaliśmy napowrót do Nałęczowa.“

Późniéj spędzał nawet bardzo przyjemnie czas „na wygnaniu.“ Oto jak pisze o swojém towarzystwie i zatrudnieniu w ostatnim liście z Jakubowic dnia 18 sierpnia 1822 roku: „W przeciągu tego tygodnia była pani Czacka (1) z córką swoją i z krewną wracając do Sielca, bawiła ze trzy dni i ten czas przyjemnie był spędzonym. Po ich wyjeździe zostajemy sami, do południa każdy u siebie pozostaje i zatrudniony jest czemkolwiekbądź byle nie próżnował,— ja więc fajkę palę i jestem przeto bardzo czynny. Około południa zgromadzamy się, rozmawiamy, jemy, czytamy, potém znowu jemy i znowu czytamy.“

Lektura Zaborowskiego była wówczas trochę ożywiona nowościami ze stołu księgarskiego i dziennikarskiego. Ale w Liszkowcach gdzie stale przebywał od roku 1820, trudno było o nowe

---

(1) Szeptycka, właścicielka Jakubowic, z domu hrabianka Czacka, była synowicą Tadeusza Czackiego (Sobieszczański w Encyklopedyi Orgelbranda pod „Jakubowice“).

książki w które go zaopatrzał zazwyczaj jego przyjaciel szkolny Sabiński, sąsiadujący z nim nad Zbruczem. Stąd sobie tłómaczę tak spóźniony postęp w duchu nowych wyobrażeń wychowanka Osińskiego. Oto jak wspomina o tém w liście z 18 listopada 1824: „*Le Nouveliste*, które mój ojciec przywiózł z sobą ze Lwowa, przerzucam teraz niekiedy, lubo to pismo peryodyczne jest już kilkuletnie, jednak w nim wiele jest nowych dla mnie rzeczy, bo *w naszym ustroniu każda nowość o kilka lat późniejsza aniżeli na wielkim świecie.* To spóźnienie czyni sąd o wartości każdéj nowéj rzeczy późniejszym.“

Z politycznych dzienników czytywał Zaborowski „Gazetę warszawską“, stąd podaje swemu przyjacielowi wiadomości o mrozie przy końcu maja 1821 r. we Francyi, przez który wiele ucierpiały winnice i melony, zawiadamia go o Ali Baszy Janiny, który „rozgłosiwszy wieść fałszywą o swoim skonie napadł niespodzianie“ na Turków i „okropnie ich poraził“ i t. p.

Do r. 1822 karmił się Zaborowski przeważnie książkami francuskiemi wcale nieszczególnemi. Oprócz Parny'ego, który był ubóstwiany w jego kółku (przez St. Starzyńskiego, I. Sabińskiego i in.) czyta „moralne i interesujące dzieła Le Doyena“ *Novice de St. Dominique*, które go „trochę rozerwało,“ *Les Vojageurs en Suisse* i t. p. Dopiero w r. 1822 podczas pobytu u wujowstwa Szeptyckich w lubelskiém, czyta wiele „nowych *polskich* książek.“ „Dwie bowiem obfite księgarnie znajdowały się w Lublinie i wszelkich nowo wychodzących pism dostarczały.“ Tutaj czytał Dumania poety La Martina w przekładzie Lisieckiego, „pisma pogrobowe“ Godebskiego, przekłady Kowalskiego, „dowcipny wiersz o siedmio-chwilowém życiu Sieciecha przez bezimiennego pisarza“ i wielu innych poetów dawnego kierunku. Ale tutaj poznał też poraz pierwszy poezye Adama, pisma Brodzińskiego, które niebawem spowodowały stanowczą zmianę w twórczości poetyckiéj i w wyobrażeniach literackich Zaborowskiego. O Adamie wyraża się wtedy krótko (dnia 18 sierpnia 1822): „Mam tu nowe wiersze *pewnego pana Mickiewicza*—szczególną zalecają się oryginalnością i trafném każdéj rzeczy malowaniem.“ Listem z dnia 1 października 1823 prosi Sabińskiego o drugi tom Mickiewicza. Wspomina o nim jeszcze lakonicznie w liście do Sabińskiego z 11 kwietnia 1826 r. odesławszy mu poezye Odyńca, prosi aby go zasilał jak może kiedy niekiedy wierszami, bo *ten żywioł duszy* ze składu naszéj okolicy zupełnie prawie wyłączonym został.“

Ta lektura z dzieł pseudoklasycznéj i romantycznéj literatury odbiła się żywo w poezyach „wieszcza Miodoboru“, stojącego na pograniczu dwóch epok i łączącego wspólną nienaturalność tych dwóch wieków: zimną retoryczność i sentymentalną przesadę.

## IV.

Odsyłając czytelników do niżéj wskazanych prac (1) po drobne szczegóły do jego życia i pism, ograniczam się tutaj do krótkiéj wiadomości o poezyach Tymona z téj późniejszéj doby. Poezye te zalegają w rękopismach w prywatnym zbiorze.

Przedewszystkiem przypatrzmy się wierszom Zaborowskiego, umieszczonym w korespondencyi jego z Floryanem Łaszowskim. Są to *przeważnie* wiersze okolicznościowe, należące jeszcze zewnętrzną formą do pseudoklasycznéj epoki (jakkolwiek są pisane po r. 1820), ale odróżniające się od niéj sentymentalizmem i melancholią

---

(1) Pierwszą obszerniejszą wiadomość o życiu i pismach poety podały „Rozmaitości Lwowskie" 1828, N. 20, Dodatek do Gazety lwowskiéj z dnia 16 maja 1828 r. Jest-to nekrolog napisany przez *przyjaciół* zmarłego t. j. przez Juliana Sabińskiego i Floryana Łaszowskiego „Z nad brzegów Zbrucza."

Taki nekrolog pomieściła także „Gazeta Polska" z r. 1828, N. 133. Odpisali go (z małemi zmianami) Wójcicki w swojém „Kompendyum literatury" i w „Encyklopedyi Orgelbranda" i L. Sowiński w czasopiśmie illustrowaném p. t. „Wieniec" z roku 1872,— podając pierwszą wiadomość o istniejącym u prof. H. Dynowskiego rękopiśmie Zaborowskiego, z którego podał parę krótkich wyjątków. Krótką niepochlebną wzmiankę o Tymonie uczynił J. S. Dmochowski w swoich wspomnieniach p. t. „Znakomici literaci (1800—1830), w „Kłosach" (1871, XII, 395), Wł. Zawadzki w „Literaturze w Galicyi" (str. 32), zbyt go wysoko podnosi, i tak np. jest u niego Bolesław Chrobry „epopeją bohaterską, pełną podniosłéj myśli, owianą duchem nowożytnego romantyzmu"... Podobnie przesadną jest ocena jego działalności przez Wójcickiego w książce „Warszawa i jéj społeczność" (str. 190 i nast.), gdzie wspomina o talencie deklamatorskim Tymona i w odbitce z Biblioteki Warsz. 1879 p. t. „Warszawa, jéj życie umysłowe" 1880, str. 97 i 126. Wójcicki porównywa tu Zaborowskiego do „młodego orła zamkniętego w żelaznéj klatce (pseudoklasycyzmu), który w każdym porywie na górne szlaki rozbija się o kraty swego więzienia i łamie pióra skrzydeł własnych..." Obraz wcale piękny, szkoda tylko że tak źle zastosowany. O jego błędném objaśnieniu „Parnasu we śnie" wspomniałem pierwéj. Pod tyt. „Przeceniony poeta" umieścił K. Kantecki w „Gazecie Lwowskiéj" 1875 r. piękny felieton o Zaborowskim, w którym redukuje przesadne pochwały współczesnych do słusznéj miary.

Nekrolog niemiecki w czasopiśmie literackiem „Mnemosyne" redag. p. A. Zawadzkiego, chronologicznie pierwszy bo z 22 kwietnia 1828 r. (N. 47) napisany przez St. Jaszowskiego, podaje jeden charakterystyczny szczegół z genezy jego poematów „er dichte te am liebsten gehend mit einem papiere in der Hand und zeichnete bald in einem Wäldchen, bald auf den wiezenreichen fluren seines heimatlichen Podoliens oder unter den felsen Wolyniens auf dem selben mit einem Bleistifte die geistlichen Schöpfungen seiner Eingebung" („Mnemosyne" 1828, p. 188).

Poezye Zaborowskiego były umieszczone w „Ćwiczeniach naukowych" (1818 r.) bezimiennie. Związek luźnych epizodów Bolesława Chrobrego można tu poznać zewnętrznie z ciągów dalszych, które przy końcu każdego epizodu pomieszczono. Jeden

charakteryzujące wogóle osobę i poezye „wieszcza Miodoboru.“ Twórczość poetycką Zaborowskiego podsycała w owym czasie głównie jego nieszczęśliwa miłość, która tłumiona w sercu ledwie mogła się objawić w poetycznéj sukience.

Dnia 3 lipca 1821 donosi Floryanowi, że „w tych dniach różne rozpoczynał pisma, aby się czemkolwiek mocniéj zająć i przynajmniéj kilka godzin w dniu mieć spokojniejszych i trochę wolnych od udręczającéj tęsknoty. Zacząłem—pisze tu daléj—opisywać wypadki pewnego Cesława Skalińskiego na Podolu, gdy tenże kraj był w mocy Turków, miałem wystawić jego usiłowania w celu oswobodzenia kochanéj swojéj Aliny w tureckim pogrążonéj więzieniu. Już półtora arkusza byłem napisał, ale mię ten przedmiot w końcu

---

z nich wyszedł osobno p. t. „Aniela, ustęp z poematu rycerskiego którego przedmiotem zdobycie Kijowa przez Bolesława Chrobrego 1018 r.“, Warszawa, w drukarni przy Nowoliplu 644, 1818, in 8⁰ str. 45, — toż w Mińkowcach z pierwszego wydania przedruk. 1819, in 4⁰, str. 55. Te fragmenta z pewnemi zmianami wyszły w „Polihymnii“ Szczepańskiego (1827, t. I, 94—149; t. II, 113—162). Nie mogłem dostać we Lwowie ani w Krakowie „Pamiętnika umiejętności nauk i sztuk 1826 roku“, gdzie—według Jochera (Obraz bibliograf. tom I, 420) — mają się znajdować wiersze Zaborowskiego *Tymona*. W. Chłędowski umieścił w „Haliczaninie“ (1830, I, 109—114) kilka krótszych wierszyków i jeden epizod z Bolesława Chr. w II tomie (47—78): „Dumy podolskie,“ wydanie *o jedną dumę zupełniejsze* od wydania K. Sienkiewicza: „Dumy podolskie“ w Puławach 1830.

Wyjątki z tragedyi p. t. „Umwit“ drukowało „Czasopismo Ossolińskich“ 1832, IV, 90—96 i 1833, I, 64—69. Jeden z epizodów Bolesława Chrobr. „Śpiew Tymoteja“ przechrzczony niewłaściwie w „Polihimnii“, przedrukowały „Rozmaitości lwowskie“ p. t. „Oblężenie Trembowli“ (Rozmaitości 1828, N. 4). „Parnas we śnie“ okazał się w Tygodniku polskim i zagranicznym (redag. Kiciński 1818, III, 73—89).

Krótką wzmiankę, ostrą ale słuszną o lichem naśladowaniu przez Zaborowskiego „Kennst du das Land“ Goethego, zawiera korespondencya Mickiewicza, która niedawno wyszła w „Kronice rodzinnéj“ (cf. „Kłosy“ 1882, N. 904). O ćwiczeniach i współczesnych czasopismach jest bibliograficzna notatka w „Gazecie codziennéj“ (1819, N. 118, z 19 maja). O Tankredzie nie wiem czy przekładu Zaborowskiego (tamże, 1818, N. 27).

Zbiory rękopismów, których używałem, są następujące:

*A*. Rękopis znajdujący się w bibliotece Ossolińskich pod l. inw. 489 in folio, 105 k., współczesny i dobrze zachowany. Są to *przeważnie kopie* poezyi Zaborowskiego, spisane dla wuja poety Wincentego Szeptyckiego, który darował je bibliotece Ossolińskich przez ks. H. Lubomirskiego kuratora tego zakładu. Zbiór ten obejmuje:

1) Umwit, poema dramatyczne w 3 aktach, k. 1—29. - Wyjątki z *téj kopii* wyszły w „Czasopiśmie Ossolińskich“ 1832 i 1833 (o czém wyżéj).

2) Bohdan Chmielnicki, tragedya w 5 aktach, k. 29 51.—Współczesna kopia.

3) Tajemnica czyli Borys i Mitwiana, tragedya w 5 aktach, k. 51—64.—*Autograf*, pierwszy rzut mocno kreślony i mazany.

4) Fragmenta z epopei „Bolesław Chrobry“ (niespełna 3 pieśni). Kopia współczesna tego samego pióra co dramaty powyższe, nie bez odmianek w stosunku do tekstu

unudził i od prozy chciałem wrócić do wierszów. Tak tłómaczyłem piękne myśli człowieka, co zaczyna się poznawać na złudzeniach świata.

Znikły sny lube, pełne uroku,
Ocknąłem się jeszcze do dnia,
Pośród szarego omamień zmroku
Błysnęła prawdy pochodnia.
Umknęły nagle z przed mego łoża,
Co wprzód igrały do koła
Śmiechy i żarty i młodość hoża,
Swoboda i myśl wesoła.
W jasności, co od prawdy wszędzie się rozpływa,
Gubi widoki swoje wyobraźnia żywa,
Wszystkie ćmią się w jéj blasku zmieszane kolory

---

drukowanego w „Ćwiczeniach naukowych" przeważnie rzeczy niedrukowane, k. 64—78 i 97—99.

5) Dumy podolskie za czasów panowania tureckiego w téj ziemi, tekst zupełniejszy od drukowanych w Puławach 1830, w niektórych dumach są drobne odmiany stylistyczne, kopia współczesna innéj ręki niż wspomniane, k. 78—91.

6) Wiersze wyjęte z listów Tymona Zaborowskiego do wuja W. Szeptyckiego, pułkownika wojsk polskich pisanych, współczesna ale znowu odmienna kopia obejmująca oprócz krótszych wierszy: „Odpowiedź na dumę (Molskiego) z okoliczności wojny 1812 r. do współbraci napisaną", „Odę do Polski", „Sielankę do strumyka z *francuskiego*", „Żal nad zgonem Felińskiego", „Wyobrażenie miłości", „Krakowiaki", „Nadzieja", „Do Emmy naśladowanie z Goethego Mignon", „Szczęśliwy", „Wieszcz Miodoboru", a w końcu ręką pułkownika Szeptyckiego przepisane wiersze: „Do bieżącego 1825 roku" i „Do ojczyzny", k. 91—105.

*B.* Rękopis znajdujący się w bibliotece Ossolińskich pod l. in. 981, kart 52 in 4°, kopia (około r. 1830) obejmujący:

1) Biografią Tymona Zaborowskiego spisaną treściwie przez jednego z jego przyjaciół, zawierającą kilka nowych szczegółów niewspomnianych w nekrologach, np. o „rzetelnym powodzie" samobójstwa Tymona. Przy końcu biografii dołączono dwie „Elegie na śmierć wieszcza Miodoboru", jedna Jaśka z Beskidu (Jana Podoleckiego), druga Stanisława hr. Starzyńskiego (Paryż 18 sierpnia 1828), k. 1—5.

2) Korespondencya Tymona przeważnie z Floryanem Łaszowskim. Jest-to spora wiązanka listów pisanych przez Tymona z Liszkowiec od 19 grudnia 1820 aż do r. 1828, zestawiona niechronologicznie, tak że utrudnia korzystanie, są tu liczne wyjątki z poezyj Tymona wypisanych osobno z listów albo przytoczonych w korespondencyi. Z dłuższych wierszy znajdujemy tu fragmenty z „Bolesława Chrobrego" z drugiéj poprawnéj redakcyi i „Wieszcz z Miodoboru" k. 5—52.

*C.* Rękopis będący własnością pp. K. Dynowskich w Berdyczowie p. t. „Niektóre pisma T. Zaborowskiego po jego śmierci zebrane z własnoręcznych rękopismów, Zbrzyż 2 (14) kwietnia 1837 r.", zawierające oprócz nekrologu parę razy przedrukowanego i licznych drobnych poezyj Tymona, nieobjętych rękopiśmiennym zbiorem znajdującym się w bibliotece Ossolińskich, także tragedyą: „Bohdan Chmielnicki", napisaną w sierpniu 1823 i ułamki z poematu: „Bolesław Wielki czyli zdobycie Kijowa", wreszcie korespondencya Tymona z Julianem Sabińskim przeważnie z lat 1822 i 1823.

I wdzięk czarowny ziemskie utracają twory.
Niegdyś ja w lubéj złudzeń krainie,
Śmiałem się błąkać bez drogi;
Raj znajdowałem w każdéj dolinie,
Różami kwitły mi głogi.
Widziałem kościół chwały na szczycie,
A w dole szczęścia ustronie;
Gdzie padły miłe rozkoszy wonie,
Gdzie zielenialo się życie.
Wtém nagle wśród spadzistéj stanąwszy uboczy,
Kiedy na wszystkie śmiałe otworzyłem oczy;
Wnet mi się pokazała cnoty ścieżka śliska,
Tu przepaść — tu wiszące skał groźnych urwiska."

Listy, jakeśmy widzieli, lubi Zaborowski przeplatać wierszykami. Przytaczam tu jeszcze kilka okolicznościowych.

Dnia 13 lipca 1821 ułożył wieczorem następujący „napis do pomnika na grobie siostry Alzyry" jeszcze w manierze pseudoklasycznéj:

„Ty, co odwiedzasz ojców albo dziadów groby,
Przychodzisz tu—stój! depczesz grób młodéj osoby,
Któréj cnoty w pierwiastkach, któréj wdzięki w kwiecie
Śmierć zniweczyła sroga i głaz zimny gniecie.
Wiekuje w tym pomniku ufna w jego trwałość
Siostry, braci, rodziców i przyjaciół żałość;
Chciała aby jéj westchnień, tu wylanych z płaczem,
Napis ten pogrzebowy smutnym był tłómaczem."

W podobnym rodzaju są wiersze o przyjaźni, pisane w lutym i marcu 1821, w których dowodzi poeta, że prawdziwéj przyjaźni nie szukać na tronie ani u magnatów.

„...Tyś jest obca dla tego natury wyrodka,
Co żyje sam dla siebie, szuka tylko zysków,
Którego serce twarde milczy wśród ucisków,
Który, aby zaufał, chce od ludzi święcie
Wyryte mieć przysięgi, podpisy, pieczęcie,
Co dla poznania uczuć prawych i niezmiennych
Nie chce utracić czasem chwil kilka bezsennych;
Jemu spokojność droga i czas źle użyty,
Uwieść go jednak zdolne złoto i zaszczyty—
Takiemu czułość głupstwem zapewne się wyda,
U niego tém jest przyjaźń, czém szczerość u żyda,
Lecz ty człowieku lepszy, a przynajmniéj czuły!
Co oglądasz ze wzgardą Moszyńskich szkatuły,
Co przejeżdżając Mniszchów i Potockich włości,
Nie wydasz i cichego westchnienia zazdrości,
Którego nie uwodzi znaczenia dostojność,
Ani łechcze nieczynna i nudna spokojność" i t. d.

Czasem wywołuje jakiś drobny wypadek współczesny uwagi ogólnéj natury, które podaje Zaborowski zazwyczaj w formie wierszowanéj, jak np. widzenie się z Marchockim, znanym dziwakiem o szlachetnych popędach, co spowodowało poetę do napisania wierszyka o głupocie świata.

„Może się będziesz widział w Kamieńcu z Marchockim — pisze do Floryana 6 lutego 1821 — wystawiam sobie twoję postać naprzeciwko tego patryarchy i czarnoksiężnika Otrokowskiego. Ty we fraku, a on w todze, a jednak zgodni! Można śpiewać patrząc na was: „Moskal z brodą i bez brody.“ Ale ty nie dla tego z tym dziwacznym mędrcem poufale obcujesz, ażebyś miał być jemu podobny, albo że jesteś jego wielbicielem, ale dla tego, że chcesz się okazać wyższym nad przesądy i różnić się od ludzi gminnych.

Głupi kto nadto dba o ludzkie zdanie,
Głupi ten także które je ma za nic:
Trudno w téj mierze, trudno Floryanie,
Nieprzestąpić granic.
Ale niechaj się ziemia wkoło osi kręci
Z ludźmi, z których nie wszyscy są dobrzy i święci,
Że po niéj głupstwa łażą i włóczą się zbrodnie,
My przez to po niéj chodzić możemy swobodnie;
Ziemia jest wielką kulą w powietrzu wiszącą,
Głupców z niéj niestrącimy — głupcy nas nie strącą.“

Czasem i dalsze polityczne motywa pobudzały twórczą fantazyą Zaborowskiego. „Odezwij się Floryanie — pisze dnia 3 września 1821—do Sabińskiego (Juliana) temi wierszami, które natchnęło mi chwilowe zastanowienie się nad teraźniejszym stanem Europy. Tak się więc *Menstrel do Barda* odzywa:

„Wisi trwogą dręczącą już nad nami plaga!
Ludzkość zgnębiona darmo pomsty ludów błaga
Zguby gońce na ziemię lecą klęski chyże.
Przebóg! święte upadły przed księżycem krzyże.
Sroży się barbarzyniec, jego wściekłość sępia
Szlachetny naród Greków gnębi i wytępia.
Stróże świętości ludzkich wiar i obyczajów,
Królowie prawowierni chrześciańskich krajów,
Opiekuny kościoła jakiegobądź kształtu,
Znoszą ten widok rzezi i dzikiego gwałtu.
Czyż im cel ich wysokiéj władzy niewiadomy?
Boże! w czyjeż-to ręce twoje zdałeś gromy!
Czy większe okrucieństwa, czy sroższe morderstwa
Wzbudziły gniew szlachetny dzielnego rycerstwa;
Co tylekroć świętemi wieńcząc się wawrzyny,
Biegło ślepe dalekiéj szukać Palestyny.

Sabiński! zapal serca wznosząc święte,
A jeśli ród ludzki tak teraz jest zimny,
Że mu nawet haniebny spoczynek jest miły;
Udaj się z lutnią w ręku na pola, mogiły,
Gdzie obrońców swobody wiary i ludzkości,
Naszych naddziadów święte spoczywają kości,
By ożywić z krwią dzielność potomkom przelaną
Na odgłos twoich pieśni z grobów jeszcze wstaną,
Lub do czynów niezdolne widząc własne plemię,
Przeniosą groby swoje i opuszczą ziemię;
Na któréj ród ich w hańbie gnuśniejąc nieprawy,
Już nie umie utrzymać przodków swoich sławy."

Smutek poety znajduje pocieszenie w następujących wierszach. „Wśród pięknéj nocy sobotniéj marząc — pisze 13 sierpnia 1821 r.— sam w sobie poszukać musiałem pociechy i w cichości uczucia moje wylewałem w tych wierszach:

Zajaśniał nowy sierpień na wrzących niebiosach—
Rolnicy! spoczywajcie na strudzonych kosach,
Spoczywajcie wśród nocy ukończywszy żniwa,
Nim was wezwie do siebie rola niecierpliwa;
Nim pierwéj z kosą w ręku hreczka was powoła,
Na któréj dziś miód liże pracowita pszczoła.
Teraz chowajcie wasze owoce i ziarna,
Nie dla was ma powaby noc jasna i parna.—
Ten księżyc, co się między obłoki przesuwa,
Nie budzi was uśpionych i nie dla was czuwa.
W chwili, gdy zmysły wasze rozkosz snu pochłania,
Ta cichość nocy moje ożywia dumania;
Nocy tylko powierzać mogę czucia moje
I w dzień taić dla świata duszy niepokoje"...

To żywe uczucie dla przyrody mrożone pseudoklasyczną formą widać też w wierszu pisanym trochę późniéj d. 24 kwietnia 1822 r.

Pieniem słowików brzmiące ukryjcie mię gaje!
W cieniu waszym i smutek mój słodszym się staje,
Ale czemu śród miléj pracy pośród wiosny,
Powszechną radość głos mój ma mięszać żałosny.
Rozkoszne Miodobory, piękniejsze niż Eden!
Czyż mogę się tu cieszyć, gdy tu jestem jeden!
Ale nawet i wiosna, chociaż tak wesoła,
Owocowych drzew pyszne wieńczy kwiatem czoła,
I na wszystko swój urok wzrokiem wdzięcznym rzuca,
Cieszy, omamia; jednak i ona zasmuca!
I gdy śmieją się chlubne z chwilowéj okrasy
Kwitnące sady, łąki i zielone lasy;
Rolnik spieczone swoje opatrując niwy,
Darmo na zboża deszczu wola niecierpliwy!

Już go zdaleka w ciemnéj upatrywał chmurze,
Ta znikła; a z upału z dróg wzniosły się kurze.
Szczęsna niwa, na którą kilka kropel rosy
Spuści jutrzenka, złote swe otrząsłszy włosy!
Złorzecząc słońcu, które pośród gór dopieka,
W łożu skalistém szemrze na posuchę rzeka.
Nie ważmy się na nieba narzekać, ażeby
Nie karał nas Bóg nasze znający potrzeby.
On wiecznie czuwa. Słabe on żywi ptaszęta,
Nie myśląc, w jednéj chwili o wszystkiem pamięta.
Do pewnych wiedzie celów, strzegąc od zatraty
Wszelkie istoty, ludzi, i ziemię i światy,
Nie gubmy się w obłędach i w badaniach ciemnych,
Pracując wedle naszych przeznaczeń tajemnych,
Czy dla wieńca szczęśliwych, czy dla cierpień palmy,
Ufajmy tylko niebu, Boga tylko chwalmy.

Poeta użala się potém na swoich przyjaciół J. Sabińskiego i Floryana Łaszowskiego. „Utworzyliście—pisze 26 kwietnia rano—widzę, związek między wami oddzielny niejako na mnie, bo każde moje użalanie się wspólnie obaj potępiacie i każde wam przeciwne zbijacie zdanie.

Jeżeli mi dwie drogi dane do wyboru—
Wiem, wiem, jakiego zawsze mam trzymać się toru;
Nie waham się, do szczęścia nie chcę dążyć zdradnie,
Stać będę niewzruszony — iść będę bez trwogi
*Z wytkniętéj przez naturę nie zbaczając drogi.*

W następnym liście z 29 maja posyła Zaborowski „oddawna żądane wiersze“, do których go natchnęło nieszczęśliwe położenie Greków. „Drzyjcie—woła tu poeta — lube Miodoborów *rozkosznych* zacisze i *skały czulsze* od ludzi“ bo „*wiek rzezi* nastaje“, uciekajcie „trwożliwe Zbruczu nimfy“ za góry, „nie wam tu śpiewać rozruch i walki *mordercze.* Ale wy, Muzy, coście Greków kolebkę pieściły, poetycznym natchnijcie mnie duchem.“

Niech pienia płaczącego nieszczęsnych poety
Obiją się o Hemus przez Karpatów grzbiety,
Niech odgłos ich pobudzi narody i trony
I cały świat poruszy dla Greków obrony.

Poeta maluje potém w przesadnych wyrazach „ohydę naszego wieku“, patrzącego obojętnie na położenie Greków, przeciwstawiając mu obraz rycerskiego zapału podczas wojen krzyżowych.

Przebóg! Święte upadły przed księżycem krzyże!
Sroży się barbarzyniec, jego wściekłość sępia,

Szlachetny naród Greków gnębi i wytępia.
Czyż was nie przejmie zapał dla ludzkości szczery,
O wy! co władz najwyższych zajmujecie stery,
Stróże swobód, kościołów, możne opiekuny;
Boże! w czyjeż to ręcę twe zdałeś pioruny!
Czyż okropniejsze gwałty, uciski, morderswa,
Wzbudziły gniew szlachetny świętego rycerstwa,
Co biegło w sprawie wiary pod sztandar Gotfryda,
A dziś... jaka dla wieku naszego ohyda!

Teraz zwraca się poeta do Sabińskiego wzywając go, aby się „przeniósł z lutnią w ręku na pola, mogiły“,

Kędy obrońcy swobód, wiary i ludzkości,
Naszych naddziadów święte spoczywają kości;

bo „ród ich w hańbie gnuśniejąc, już nie umie utrzymać swoich przodków sławy“...

Majowy ranek pobudza poetę obdarzonego czułym zmysłem i uczuciem dla przyrody do jéj opisania, naturalnie w duchu i manierą pseudoklasyków malując bez ujęcia całości i zasadniczego nastroju oderwane zjawiska przyrody, dodając trochę perfumowéj woni „róż i jaśminu“.

Co tam robisz takiego mieszkańcze nabrzeża?
Jak ci tam dzień majowy Fabijanie spływa?
Czy cię widok natury rozkosznéj porywa?
Czy cię poi lubością wiosna jeszcze świeża?
Czy dumasz jak ja, który siedzę pod jabłonią?
Słowik mi przyśpiewuje z bliskich drzew gęstwiny,
Miłą jak tchnienie bogiń olimpijskich wonią,
Akacye mię poją, róże i jaśminy.
Nie tylko mię zachwyca pysznych kwiatów zbytek,
Umiem cenić i skromne co niosą pożytek.
Patrzę, jak się różnego zboża kształcą kłosy,
Jak bujnych traw na łące padają pokosy,
Jak fala po pszenicy płynie i jak z żyta
Lekki kwiat ulatuje i wietrzyk go chwyta.
Tak chodząc, gdy poranek przepędzę przyjemny
I unikając skwaru, kryję się w las ciemny;
Lubię wtedy—usiadlszy pod wynioslą skalą
Strudzony—schwycić w trawie poziomkę dojrzalą.
Szczęśliwy! który zawsze swéj lubéj przytomny,
Może jéj zaraz oddać ten dar wiosny skromny!

„Smutna myśl—dodaje w tymże liście z 30 maja— nie pozwala mi dłużéj pisać wierszami, i ty może jéj za to wdzięcznym będziesz. Wprawdzie wyjdziesz jak ten co z deszczu pod rynnę się ukrył, gdyż mniéj wierszów moich odbierając, prozy więcéj za to otrzy-

masz; a jeżeli wiersze moje są ciężkie i twarde jak żelazo—to proza cięższa, bo jak ołów."

Dnia 22 września zwraca się znowu wierszem do praktycznego Juliana, który „gotów przychylne Muzy opuścić dla Dafny", a nad pyszne greckich wieszczów pienia przenosi „wesoły wiersz do fajki, wielkość tego świata równając z jéj dymem." Temu to przyjacielowi „wolnemu od przesądów, uprzedzeń i zaślepień — pisze Tymon swoje uwagi — o ziemi na której stoję i o ludziach na której widzę głupców tylu." Kreśli potém obraz państwa rosyjskiego, które sięga odwiecznych Kamczatki lodów „aż po pod mur Chiński", docinając w następującym dwuwierszu rządowi austryackiemu w Galicyi:

Skądże mi na myśl przyszły sprawy naszych rządów,
Gdy chciałem kreślić obraz głupstwa i przesądów?

Nakoniec przystępuje do obrazu głupstwa:

Wolimy zatém głupich ludzi liczyć,
Co mają prawo tę godność dziedziczyć
*Przez urodzenie* albo *przez zasługi*,
Zaczynam tedy: *ja pierwszy*, *ty drugi*.
„Dość!— rzekniesz — mądrych raczéj bierzmy ludzi,
Ta nas rachuba nie tyle utrudzi,
A pomińmy tych głupców niezliczoną zgraję."
„Dobrze, przystaję."
Pierwszy któremu za zrzędność i skrzętność
I za gorącą do wina namiętność,
Godność należy się taka:
Oto comes Mathias Bibaculus Baca!

Z poematu przytoczonego w liście z 3 grudnia 1822 i następnych p. t. „Bojan", zakrojonego na skalę bohaterskiéj epopei podaję tu charakterystyczne miejsca, wskazujące że Zaborowski przerabiając swoję „Boleslaidę" w owym czasie kiedy już poznał Brodzińskiego i Mickiewicza, zostawał zawsze jeszcze pod wpływem przestarzałego kierunku w poezyi.

Oto „Wstęp do pieśni Bojana" czyli inwokacya:

„Ja! com na świat przyszedłszy już Polski nie zastał,
Ja! com na ojców ziemi cudzoziemcem został,
Com nic nie oddziedziczył z przodków prócz imienia,
Na cześć ich wielkiéj chwały smutne wzniósłbym pienia;
Lecz wolę nie chcąc żalu wzbudzić własnym płaczem,
Wieszcza starożytnego być tylko tłómaczem.
Duchu zapałów prawych! serc czystych żywiole,
Niewygasły pomimo klęski i niedole,
Ożywiaj mię — Słowiańskie dla mnie natchnij muzy!"

Następuje dalsza część inwokacyi do gór Miodoborskich, „olbrzymich zwalisk po potopie składów“, do „nieodrodnych wnuków i następców Nałęczów, Jaksów, Skubów, Toporów, Jastrzębców,“ do „cieniów naszych ojców, braci, stryjów“ i t. d. Poeta porusza niebo i ziemię aby mu pomogły i powiodły pod Kijów, któremu „grozi Bolesław Chrobry, uzbrojony na mszczenie się krzywd zięcia i łez jego żony.“

Po inwokacyi następuje „Śpiew Bojana“ trochę swobodniejszy:

Słuchajcie śpiewów młodzieńcy odważni,
Słuchajcie starcy sędziwi;
Nie śpiewam tworu własnej wyobraźni
Co bawi, trwoży i dziwi.
Opowiem boje i dzieła pamiętne,
Jakim podobnych jeszcze nie widziały
I niewzruszone te od wieków skały,
I te pod niemi doliny ponętne,
Które od wieków Zbrucza wody płuczą mętne.

Bojan mówi dalej o najazdach Pieczyngów na Ruś, od których „zadrzały na cerkwiach dzwony“, a „żony pobladły jak wróżąc tuczę w nocy mdleją gwiazdy.“ Świętosław który chciał wstrzymać zapędy Ertyna, naczelnego wodza Pieczyngów, „jak piorun silnego i jak wiosna młodego“—poległ śmiercią bohaterską jak Oleg i inni stawiający mu mężnie opór.

Dopiero Cedybur zadał mu cios śmiertelny.

„Na tę pamiątkę krzyż kamienny stoi,
Dziewice codzień grób ten stroją w kwiaty,
Płacząc wielkiego bohatyra straty;
Rycerze nie chcą jego tknąć się zbroi
I niejeden do grobu przystąpić się boi.“

Tak „Pieśń Bojana“ kończy poeta refrenem.

Dnia 28 listopada 1822 przysyła Zaborowski Łaszowskiemu do Wiednia już na czysto przepisany dalszy ciąg „śpiewu Bojana“ w sentymentalno-sielankowym rodzaju.

Tam „kędy Podolskich wyżyn Dniestr podstawy myje“ i „gór czerwonogrodzkich ciasną płucze szyję:“

„Sobie ludziom Bogu mili,
Irena piękna i młody Jermili
Życie w ustroni szczęśliwej pędzili.
Na podźwignienie ich słomianej strzechy
Wyrosły z łona ziemi alabastry,
Na pożywienie sypał las orzechy
I pełne miodu dla nich plastry,

Utrzymywały w ulach zawsze pszczoły,
Dla nich winograd dźwigał grona pełne,
Na odzież owce dawały im wełnę
I przędzę konopną dały itd.

Ale szatan poglądał na ich szczęście oczyma zawiści „zawrzał więc wściekły“ i wśród zdradliwéj pogody wezbrały gwałtownie wody Dniestru:

Jermili pilnował trzody
Siedział na górze pod drzewem,
Widzi okropnym wylewem
Zatopione po dołach zagrody wieśniacze,
Ze skały na skały skacze
Pada w głębi wzdętéj rzeki
„Ireno—woła—Ireno!“
Wszystko milczy, skały jeno
Jeno skały wołają: „Ireno! Ireno!“
„Ireno“ odgłos w górach powtarza stłumiony
Lecz sama się nie odzywa
Już ją ani głos męża znajomy rozczula
Ani jéj dziecię drżące, które choć nieżywa
Do zimnych piersi przytula.
A odgłosem rozpaczy Jermila i żalów
Po dziś dzień jęczą pienia płaczliwe górałów.“

W nocy kiedy „księżyca się promienie w głębiach Dniestru kąpią“ i oświecają „gór wyniosłych kity“ kiedy słychać „szum głuchy“ rzeki i kwilenie słowika:“

„W téj uroczystéj snów chwili
Widać jak wstaje z głębi wód Jermili
I wstępuje na skały jego cierpień świadki,
Po widnokręgu bladego poziomu
Wodzi wzrok pełen jeszcze ludzkiego uczucia,
Ale natychmiast tuman z groźnych gór Pokucia
Podnosi się i hukiem przeraźliwym gromu
Cień jego nieszczęsny płoszy...
Takto szatan wróg miłości
Nawet umarłym zazdrości
Smutnéj płakania ruzkoszy.“

„Początek drugiéj pieśni wysłany do przyjaciela dnia 3 grudnia 1822 zawiera opis czarodziejskiéj wyspy Błuda:

„Kiedy złota jutrznia brzeg rozjaśnia lewy i dzień już witających budzi ptaków śpiewy“ jakiś „cypel skalisty“ urwany od lądu siłą piekieł pływa zbłąkany pośród wodnéj płaszczyzny „jak w cudzoziemskim kraju tułacz bez ojczyzny“ wyspa ta spoczywa mocą

czarów na wzburzoném morzu w około roztacza się czarujący krajobraz... Pomysł świetny ale wykonanie jeszcze ciągle w téj pseudoklasycznéj manierze, która niczego nie nazwie po imieniu i tak bardzo się oddala od prostoty i naturalności.

Widocznie zarzucił poeta i tym razem ten poemat i zabierał się po raz trzeci do zupełnego przerobienia go. Młodemu pół-romantykowi nie przypadały już do smaku te elukubracye, nie chce ich nawet dać do przeczytania. Przykro mi bardzo pisze dnia 18 listopada 1824 że nie mogę zadosyć uczynić żądaniom Dziadunia. Żadnego wyjątku z poematu „zdobycie Kijowa“ do czytania udzielić nie mogę. Nie ma w nim i dziesięciu wierszy ciągłych, któreby mogły już pójść pod sąd czytelników, znających się na poezyi.

Całe to poema zupełnie myślę przerabiać, od początku do końca. Albo ten utwór nie będzie znajomym światu, albo musi być takim, żeby był godnym czytania i uwagi prawdziwych miłośników poezyi i znawców sztuki rymotwórczéj. Trzeba własne wprzód prace samemu osądzić, własném przez nie zadowolnieniem nim je pod sąd drugich oddać mamy. Trzeba się stosować do powszechnego smaku, który w tym wieku tak się stał wytwornym, że mu tak trudno się podobać.

Wymagają wszyscy od pisarzy w klasycznych ich dziełach poprawy a chcą razem i czarów romantycznych. *Należy w pismach ile można jedno z drugim pogodzić.* Ile mi zdolności moje posłużą, tyle będę usiłował toż w moich pismach uczynić. Jeżeli zbliżą się do stopnia jakiéjkolwiek już w tym rodzaju wartości, ośmielę się wtedy okazać owoce moich usiłowań. Cierpię na tém wiele, że niektóre z moich dawniejszych pisemek znajdują się w ręku cudzym i są przed oczyma osób, które umieją cenić rzetelne poezyi zalety jakich w moim wierszu nie znajdują pewnie. Ale muszę już to znosić za pośpiech w pisaniu, za pośpiech w udzielaniu niedorobionéj pracy. Czemużbym nie miał z téj nauki korzystać i na nowo prędkością grzesząc znowu prędkości niepowściągnionéj żałować. Przerobiłem „Umwita“ i poprawiam go jeszcze—poprawiam także i „*Borysa.*“ Jeżeli będziesz miał czas wolny z Julianem (Sabińskim) to albo tu przyjedźcie, albo mię wezwij do siebie. A wam przeczytać mogę te *dwie sztuki dramatyczne* mimo ich niepoprawności, bo z waszych uwag mogę korzystać w dalszém ich poprawieniu.

Połowiczne stanowisko Zaborowskiego usiłującego połączyć dwa wprost przeciwne kierunki widać z następującego wiersza pisanego w sierpniu 1824. Na wstępie zastanawia się tu poeta nad znikomością świata:

„Płacze cierpień jeszcze niedoznanych
Dziecię u łona niespokojnej matki—
Jęczy, że żyje starzec sił starganych
Wlokąc ostatki.

A chwila, która wesołość zawdzięcza
Dzień sławy krótki, szczęście śmiertelnika
Jak na obłokach czarodziejska tęcza
Błyśnie i znika."

Poeta zwraca się do cieniów Napoleona: ty, który „zwycięstwu przodkującą stopą lotnéj fortuny hamowałaś koło nad poniżoną dumną Europę wznosiłeś czoło"! powiedz gminowi „ile to stopni od szczytu wielkości do szczęścia szczytu." Wiek twój był cały pasmem ciągłych trudów imię twoje było postrachem, „a wielka chwała tylko nędzą ludów! i więcéj niczem"... Poeta zwraca się potém do „Homera północy" tj. do Byrona:

Patrzcie narody! wielki mąż umiera,
Wolności wsparcie przeciwko przemocy
Niosąc—upada na grobie Homera
Homer północy.

Tamten w kolebce wolność śpiewał Greków
A ten ich wolność miał wydobyć z grobu
Taż sama ziemia i trzydzieści wieków
Połączą obu.

Wieszcz i bohater on sławy nie ścigał
Która zwodniczym blaskiem drugich mami
Światłem z ciemnoty rodzaj ludzki dźwigał
Z nieszczęść skarbami.

Gdzie wiecznym płynie zdrojem Hippokrena
Tam przy płaczących niechaj spocznie Muzach
Lub tam gdzie błądzi cień Filipomena
Po sparty gruzach...

W ten sposób przedstawia naszych bohaterów: Żółkiewskiego, Czarnieckiego, ks. Józefa, Jasińskiego, Dąbrowskiego i Kościuszkę w tym celu aby wykazać, że gdzie postąpisz krokiem „bohater jaśniał—bohater leży."

Pesymistyczno-melancholiczny ton wieje też z ostatniego wiersza pisanego dnia 30 czerwca 1825. Poeta roztacza tu swoim rzeczywiście „niezgrabnym pędzlem" wszystkie powaby Maja (NB. nie, dnia ani krajobrazu majowego) aby pokazać jak w tych kwiatach „na łonie uciech" „poczynają się klęski i nieszczęść zarody."

„W chwilach miłych, gdy ziemia ustrojona w kwiaty,“ rodzi się chwila—„srogiéj uciech straty“ a gdy maj „wyniosłem zbożem płodne poustrajał niwy“ i wiśniom zarumienionym pozwalał dościgać gromadzą się „czarne chmury“ i burza z gradem niszczą plony „nadzieje rolnika.“

„Tak w czarnym smutku, który codzień się podwaja
Zgasły dla mnie dni piękne, przy skonaniu maja,
Żal przy stracie ich cisnął--to serce powoli
Co wtedy drżało tylko, dziś dopiero boli—
Szczęśliwy ten, co w oczach zawsze swéj kochanki
Świtające roskosznych dni widzi poranki—
Jéj uśmiech jemu rajem niebem jej spojrzenia
Głos jéj brzmi w jego uszach jak anielskie pienia...

Nie wieleśmy stracili że wiersz ten nie jest skończony.

Żywszym zapałem odznaczają się wiersze patryotyczne Tymona wyjęte przeważnie z listów jego pisanych do wuja Wincentego Szeptyckiego pułkownika wojsk polskich.

W pierwszym dłuższym wierszu téj kategoryi żali się poeta, że nie mógł się widziéć z bohaterem który „przez lat ośm w obcych krajach zbierając wawrzyny“ kruszył kajdany a wróciwszy wyjeżdża znów zostawiając rodzinę w smutku.

Poeta żegna więc wuja, który „jedzie nowemi laury dawny zdobić wienicc“ i cieszy się nadzieją połączenia z nim w walce „gdy na obronę Polski obróci swe siły“ co ma „nastąpić przed rokiem.“

Następujący krótki wierszyk jest ważny z tego względu że podaje dokładnie udział Szeptyckiego w ówczesnych wojnach jego czyny „na polach Hiszpanii“, „pod murami Wiednia“, „na brzegach Berezyny“, „przy Elbie, Renie i Marnie“. Inne króciutkie wierszyki owiewa elegiczny ton jak np.

A jeśli los okrutny pasmo życia przetnie
Jeśli zginę śród boju ale zginę świetnie,
Zginę za mą ojczyznę a każdy mi przyzna
Że hasłem moim było honor i ojczyzna,

W „Odpowiedzi“ na „Dumę z okoliczności wojny 1812 r. do współbraci napisaną,“ (przez M. Molskiego) uderza z całą siłą na Molskiego, którego odsądza od czci i miłości ojczyzny i kreśli w czarnych barwach stosunek Polaków do Rosyi. W drugiéj zaś części podnosi pod niebiosa Napoleona.

Dzielność Napoleona byt Polski uznała
Zostawił nas łaskawie wkrzeszonych tym czasem

Pod ręką ulubioną pod królem pod Sasem,
Senat i stan rycerski w stolicy zgromadził
I sejm wskrzesił by naród sam o sobie radził...
Wraca nam imię własne, znaczenie Polaka...

On po nas nie wyciąga więcéj jak jedności,
A za to przyrzekł wywleść nas z naszéj nicości
Na jego więc wspaniałym polegamy słowie
On czy rychléj czy późniéj, dotrzyma co powie...

Potém zwraca się znów przeciw Molskiemu który słusznie podnosił, że Polska czeka już *nadaremnie* „lat ośmnaście“ na spełnienie nadziei Napoleona, że francuz zjada tylko chleb polski itp. Zaborowski obrzuca go błotem za te itp. zdania, wytyka mu jego „podłość,“ „przedajność“ i „fałszerstwo“, nazywa go „bękartem“, „wyrodkiem“ i nie ma słów do oddania swego oburzenia z powodu rad Molskiego. Zapatrywania i uczucia Zaborowskiego podzielała wówczas większość narodu dla tego nie można nazwać tej odpowiedzi Molskiemu paszkwilem.

„Oda do Polski“ jest pełna emfazy i sentymentalizmu. Poeta porównywa na początku swoje „gwałtowne uczucie“ dla niéj z rozhukanem morzem a w apostrofie gotów dla niéj „czarną ogarnion ciemnotą“ „wyzionąć“ wszystkie uczucia. Rozpamiętuje tu poeta świetną przeszłość

Narodu co po wszystkie lata
Słynął męstwem, słynął wiarą
I był obrońcą praw świata
I jego zemsty ofiarą

i „jęczy“ potém i „łzy kropi“ „nad jéj grobem“ w ckliwych wyrazach. Daleko lepszy jest wierszyk, któryby można zatytułować „Tęsknota za Warszawą“ zaczynający się od słów:

Kiedyż wiosna smutne niwy
Wesołą pokryje trawą,
Ach kiedy i ja szczęśliwy
Zobaczę Ciebie Warszawo!

„Żal nad zgonem Felińskiego“ jest zwyczajną w owym czasie wierszowaną „pochwałą“, Zaborowski nazywa go tu „poetą wybornym, szlachetnym i miłym“ a nawet „boskim“ sława twórcy „Barbary“ rozchodzi się tu od „szczytu Tatrów“ aż do „brzegów opoczystych Dniestru i Zbrucza“ tam „gdzie niedawnemi czasy władał turczyn srogi, grzebiąc naukę berłem ciemnoty i trwogi“ i gdzie „dziś Niemiec zasadza rząd swój barbarzyński.“

Zbiorek wierszyków wyjętych z listów Zaborowskiego do wuja Szeptyckiego zamyka wiersz Mickiewicza: „Dni nasze jak dni motylka“ itd. i krakowiak: „Żegnam was doliny żyzne“ itd.

W następujących wierszach które tu przytaczam widać już ślad nowych wyobrażeń poetyckich, wnoszę stąd że są o wiele późniejsze. W wierszu „Gdym był szczęśliwy“ maluje poeta stan duszy w harmonii z otaczającą go przyrodą:

Gdym był szczęśliwy
Świat mi był miły
Wciąż mi się śniły
Zielone niwy itd.
Dziś nieszczęśliwy...
Wszystko zmienione
Łąki zielone
Drzewa bez liści
Niebo bez słońca itd.

Wiersz „Do Emy“ jest naśladowaniem niezrównanéj pieśni Mignon Goethego, wyśmiewał go Mickiewicz z powodu nieszczęśliwego refrenu:

A czy znasz ty te miejsca? *tam bez ciebie tam*
Czemu ja piękność wiosny widzieć muszę *sam*.

Cały ten wierszyk jest podobny więcéj do parodyi, robi przynajmniéj dzisiaj takie wrażenie: Oto początek:

„Czy znasz te miejsca, kędy miodem kwitną bory
Swe grona mdła winorośl zwiesza nad podpory
Rosną figi, brzoskwinie przed słońcem się płonią
Powietrze w gajach pachnie fijałkową wonią
Wiosną tchnące radują dusze ptasząt śpiewy
I nieba błękitnego łagodne powiewy.
A czy znasz ty te miejsca? tam bez ciebie tam“ itd.

Pomijam drobniejsze i nie warte wspomnienia wiersze a nadmienię jeszcze o ostatnim w tym zbiorze wierszu Tymona p. t. „Do bieżącego 1825 r.“ napisanym „w jesieni tego roku“ z tym pięknym refrenem:

„Bieżący roku idziesz w lat ubiegłych ślady
Nikniesz i ziemia czarną kryje się żałobą—
Po ciemnéj życia drodze twój nas płomień blady
Wiedzie, gdzie?.., nie wiem... za tobą!—

Z tego w ogóle retoryczno-sentymentalnego wiersza przytaczam tu jeszcze wstęp w którym Tymon rozpamiętywa swoję smutną miłość, zwracając się do owego „roku wiosny.“

O „jak byłeś wesoły, jak byłeś bogaty
Jak na ciebie człowiek poglądał zazdrośny,
Gdy się w postaci młodéj objawiłeś wiosny
Wonią majową tchnęły twoje kwiaty—
I jam złudzony w trwałość uwierzył ich wdzięku
Zrywałem je aż wszystkie zwiędły w moim ręku,
O jakim światłem, kiedy byłeś młody
Krasiłeś niebios błękity
I w mojéj duszy odbity
Ja obraz wiecznéj marzyłem pogody!

„Ocknąłem się wśród burzy w czarnym jéj mroku“... Poeta kończy apostrofą do Ojczyzny.

Te kilka ostatnich wierszyków na których jest widoczny wpływ nowéj ery, pisanych po wystąpieniu Brodzińskiego a może i Mickiewicza, stanowią niejako przejście do jego erotycznych i lirycznych wierszy pisanych przeważnie pod wpływem nieszczęśliwéj miłości poety już w duchu wyobrażeń i idei romantycznych. Wiersze te mieści zbiorek poezyi zebrany przez Sabińskiego (dziś w posiadaniu prof. Dybowskiego).

Z tego zbiorku wyjmuję tu naprzód *wiersze erotyczne* albo pisane pod wrażeniem miłości Zaborowskiego. Pierwszy (pod względem chronologicznym) wierszyk zatytułowany „Miłość‘, jest jeszcze z czasów pseudoklasycznych z r. 1819; młody poeta pisze tu *na temat* miłości utrzymując że poeci niesłusznie nazywają ją „nie stałą, zdradną i płochą“ owszem „płochość, lekkość i niestałość są to ludzkie wady“ „ale czułość (miłość) prawdziwa rodzi się z człowiekiem.“ Poeta porównywa tu miłość z biegiem rzeki. Porównanie to, nawiasem mówiąc wielce zużyte i nadużywane przez pseudoklasycznych poetów, jest rozprowadzone w tym krótkim wierszyku lirycznym do rozmiarów epicznych homerowskich porównań. Jeszcze najlepszy jest wstęp malujący różne rodzaje miłości:

... Jak bieg téj wody rozmaity bywa
Tak miłość raz spokojna, drugi raz burzliwa,
Jedna lubi odludne lasy i pustynie
W których cicho i zwolna i głęboko płynie,
Druga jak kryształ czysta wesoła i szczera
Kwieciste sobie miejsce na łoże obiera
Inna wiry ukrywa ponura i mętna...
Ale „każda miłość jest szczera“
„Szczęsna, czyli nieszczęsna powolna czy żywa
Do otwartych serc tylko boskim tchnieniem wpływa.“

Więcéj uczucia widać z krótkiego wierszyka napisanego w następnym roku (1820). „W imioniku“ nieznajoméj. Zdaje się, że go

poeta napisał już „pod niebem rodzinném“ w swojém rodzinném miejscu a zatem po wyjeździe z Warszawy. Z tego czasu posiadamy tylko parę wierszy Zaborowskiego dla tego przytaczam go w całości:

„Szczęśliwy! o, i szczęściem niech pogardza innėm
Kto na ziemi ojczystéj pod niebem rodzinném,
Gdzie jaśniały niewinnych jego lat poranki
Uczuł istnienie żywsze w spojrzeniu kochanki,
Zludziż go blask pozorny światowych marności
Władzy, znaczenia, skarbów możnym nie zazdrości,
Każdy na niego pocisk losu będzie tępy,
I wszystkie złości ludzkiéj daremne postępy
Ktoby mógł rozciąć płomień i wodę przekroić
Czy może zjednoczone dwie dusze rodwoić.“

W całym tym wierszu jest, jak widzimy, wiele pseudoklasycznéj refleksyi i maniery.

Prawdziwy smutek i cierpienie okazuje wiersz pisany 6 sierpnia 1823, w którym poeta maluje swoje wzburzone uczucia w kontraście z obrazem ciszy letniego skwaru. Pomysł, dość szczęśliwy, tylko brak mu jednolitości—poeta maluje na początku swój nieszczęśliwy stan duszy na widok starca spoczywającego w cieniu drzew „przy szemrzącym, skwarami wycieńczonym zdroju“:

„Może kiedyś i ja może
Gdy czas we mnie ostatnie z lubych wrażeń zatrze
Znajdę jak ty spokojne w tém ustroniu łoże
kiedyś—może!
Nie teraz“...

Ze zmrokiem zapomina poeta o tém i zajmuje się już „wolnością myślenia“ i „żelazną władzą przemocy“ a w końcu powiada z rezygnacyą że stracił wiarę i nadzieję...

Wiersz „Do***“ z 1824 r. jest bardzo słaby. Zbolałemu sercu poety staje obraz tych szczęśliwych i niewinnych dusz dla których „zawsze wiosna i wieczna pogoda, dzień jasny, i w południe tak jak był od świtu, burze im nie ćmią niebios czystego błękitu i chmura czarna w obłok pogodny się mieni.“

„Ale ja dla którego niebo zawsze srogie
Albo skwarem płynące albo zbrojne w gromy
Żegnam cię wiosno!..“

Poeta porzuca świat i idzie w dzikie okolice:

„Wy przyjmijcie mnie góry! skały niedostępne“ itp.

W téj rozpaczy zjawia mu się anioł nadziei i pocieszenia którego „usta pociechą i pokojem się śmieją,“ a „wzrok nadzieją jaśnieje.“ Poeta zwraca się więc do niego:

O! ty co mi się zjawiasz w tak okropnéj dobie
Jaż mogę zaufać tobie?
Czyli mnie chcesz w zapędach rozpaczy powściągnąć
Czyli na chwilę pocieszyć,
Potém z niedogojonych cierpień się urągać,
I zatrutym pociskiem żartu serce przeszyć?
Cóżkolwiek bądź! zaczekaj, wstrzymaj się i ratuj
Z przepaści, gdzie mnie rozpacz potrąca obrzydła
Ale przebóg te złote twoje opuść skrzydła
I kiedyś mi się zjawił już mi nie ulatuj,“

Jak widzimy pomysł szczęśliwy ale wykonanie słabe.

Wiersze „z Imienników“ przeważnie w „ułamkach“ pisane prawdopodobnie do rozmaitych osób nie budzą żywszego zajęcia dla tego je pomijam. „W imionniku 1824“ skarzy się poeta ze „w nieczułe piersi“ téj w któréj oczach „wszystkie raju czary“ „wciśnięto kawał głazu.“ Jeden z tych krótkich wierszyków jest zatytułowany „Do Imionnika *T. Kor.*“ i zaczyna się od słów „Piękność szczęśliwa zaleta,“ trudno dziś dojść nazwiska osoby. Mamy téż parę krótkich wierszyków tłómaczonych z francuskiego o miłośném gruchaniu wśród róż i śpiewu słowików.

Wiersz p. t. „Wszystko dla niéj“ zaczynający się od słów „Ty, co śpiewasz nieuczenie swoję miłość i cierpienie“ zdradza rzeczywiście nieuczone śpiewanie nie słowika ale samego poety. I tu znowu uderza niejednolitość kompozycyi. W pierwszéj zwrotce zwraca się poeta do słowika, który „sam jeden w cichym borze kwiląc budzi zorze,“ jak on „dla niéj swoje pieśni nuci“ tak i poeta „śpiewa tylko dla niéj.“ Ale w drugiéj zwrotce opisuje już wiosnę „piękny maj“ (nie *krajobraz* wiosenny) a dodatek poety że zrywa róże „tylko dla niéj“ jest przyczepiony, w trzeciéj zwrotce opisuje dary „Flory Cerery i Pomony“ to już wszystko „dla niéj:“

„Dla niej, dla niéj ten świat cały
I ja żyję tylko dla niéj.“

W „ułamku“ skarży się poeta że „tęcza złudzeń“ zwiastująca dla innych szczęście i pogodę dla niego „zawsze na czarnéj błyszczy chmurze.“

W wierszu p. t. „Stałość“ opisana w pierwszéj części „świątynia stałości“, którą „wzniósł Bóg światła i pokoju“ w szczęśliwéj krainie:

Wszechmocnym jego ramieniem
Ze wszech stron otwarta
Niebo czyste jéj sklepieniem
A na ziemi wsparta
Ołtarze jéj bez ozdoby
Są to naszych ojców groby.“

„Przy nich zamiast pochodni płoną wieczne światy w miejscu kadzideł wonią nieśmiertelne kwiaty“ a harmonijném pieniem wznoszą „niebieskie istoty“ ludzi do uczuć miłości i cnoty. Istny raj... Następna pieśń może tych niebiańskich istot jest tak luźnie złączoną z poprzednią że ją można uważać za osobną. Jestto sentymentalnockliwe nawoływanie zbolałych serc w tym guście.

„Przyjdź tu uroń łzy na skale
Z nich ci kwiaty wzrosną—
Dzikie góry, ciemne puszcze
Dla was będą rajem“ itp.

Lichy przeklad wiersza Schillera „o zarte sehnsucht“ (o słodkie omamienie (!) ) i naśladowanie z Goethego: Mignon (z r. 1821) świadczą tylko że już w owym czasie topniały w Galicyi pod ożywczemi promieniami niemieckich poetów klasyczne lody naszéj poezyi. Naturalnie że przeistoczenie to było powolne i połowiczne. Sam Zaborowski pisze w tym samym roku (1821) „Do K. Rozwadowskiego *na śmierć* jego córki „*naśladowanie* z *Malerba*“...!

Najwięcéj mamy w tym zbiorku wierszy okolicznościowych z r. 1825.

Żartobliwy wierszyk „z listu poufałego na nowy rok 1828 do J. G.“ zdradza brak talentu humorystycznego u Zaborowskiego. Oto próbka tego poetyckiego winszowania:

„Bądź niezmienny w przywiązaniu
Szczęście miéj na polowaniu
Ścigaj żarłocznego wilka
Który biedne trzody straszy
Ochraniaj trwożne zające
Tak mało komu szkodzące itp.

Wierszyk p. t. „Pierwszego dnia wiosny 1825“ okazuje głębokie uczucie Tymona dla przyrody ale kompozycya i technika poetycka nie mogą zadowolić najskromniejszych wymagań. Między innemi czytamy tu taki zwrot:

„Szczęśliwy, ten szczęśliwy na kogo
Przy aniele żywiącym jego życia płomień

Pierwsze tchnienie pogody z łąk powionie błogo
I pierwszego dnia wiosny złoty padnie promień.

W całym wierszu jest więcéj refleksyi niż bezpośrednich wrażeń choć nie ulega żadnéj wątpliwości że Zaborowski „czuł wdzięk przyrodzenia.“ Poeta umie malować nie tylko szczegóły i zjawiska przyrody ale potrafi *czasem* uchwycić w wielkich rysach całość i nastrój przyrody. Przytaczam tu dla przykładu kilka wierszy wyjętych „z listu poufałego:“

... „Noc była ciemna, jasne tylko błyskawice,
Rozjaśniały uśpionéj ziemi wdzięczne lice
Jakiś boży zesłaniec, anioł niewidomy
Przelatywał po niebie itd.

Ale zaraz następny opis poranku jest drobiazgowy i zimny.

Wiersz „Do St. Starzyńskiego będącego w Marsyli spółziomka z Podola“ z 1825 (głośnego w swoim czasie poety znanego pod pseudonimem „Stacha z Zamiechowa“) jest ciężki i zawiły. W podniosłym tonie nastrojonym do przedmiotu nie może się poeta utrzymać w całym, zbyt długim i rozwlekłym wierszu, którego i forma jest zbyt skomplikowana a szyk i składnia nienaturalna. Napuszystość i retoryczność odejmują temu wierszowi do reszty wartości; mimo to są tu *niektóre* wiersze jakby z marmuru wykute, a z całości bez jednolitéj artystycznéj budowy wieje duch patryotyzmu i swobody.

... „Oto już płomień wszechmocnego ducha
Z rozwalin Sparty wybucha
I zwłoki naszéj porusza Ojczyzny
Już nam zwiastuje dzień wieczystéj sławy.
Długoż jeszcze trwać będzie ten świt jego krwawy?
Jeden maja powiew żyzny
Rozwija wdzięki znikomego kwiatu,
Ale przez jakież burze i losów koleje
Przechodzić musi wielki naród nim dojrzeje...

Żałuje że właśnie jaśniejsze miejsca nie dają się swobodnie traktować... Natchniony poeta kończy nadzieją że:

„Piorun uderzy w złoty posąg dumy,
Skona jéj władzy potwora obrzydła,
Z gruzów świątyń wzniesione runą Carogrody,
Mnogie powstaną wolnych ludów tłumy
A na ich czele piękny Anioł zgody
Pod miłości braterskiéj promieniste skrzydła
Zbawione przyjmie narody
W cieniu ojczyzny przytuli
I zagrzmi po okręgu całym ziemskiéj kuli
Głośny chór wieszczów sławy, szczęścia i swobody.“

Bezpośrednio potém następujący wiersz p. t. „*Zorza oświąty*“ pisany prawdopodobnie pod wpływem „Ody do młodości“ Mickiewicza ma wiele wspólnych wad z wierszem „Do St. Starzyńskiego“ ale charakteryzuje lepiéj wyobrażenia społeczne i filozoficzne Zaborowskiego, dlatego przytaczam go w całości dołączając jedyną powiastkę Zaborowskiego p. t. „Abecadło“ osnutą prawdopodobnie na tle ówczesnych stosunków.

## ZORZA OŚWIATY.

Zbliża się koniec okropnéj nocy,
W któréj powstały światłości wrogi,
Ciemne potwory błędu i trwogi
Z ludzkiéj wylęgłe niemocy.
Ta noc, któréj ciemności rozumowi kryły,
Postać i przyrodzenie téj ruchoméj bryły,
Téj kolebki niekształtnéj ludzkiego rodzaju,
Na któréj długo marzył, przywidzenie raju
Trwa jeszcze noc ponura. Na jéj zimném łonie,
Zgroza nicości kołysze ziemie,
Nie sytéj śmierci lodowe dłonie
Ujmują całe Adama plemię
Czas czucie krótkiéj trwałości ciała—
Złudzeniem zmysłów nad rozum działa
I w nim pojęcie wieczności morzy.
Ale duch którym ród ludzki pała,
Mrozem śmiertelnym stygnąć niezdolny,
Przeczuwa bliskie zjawienie zorzy.
Dnia co istotę ludzką przetworzy,
Kiedy świat z więzów czasowych wolny
Gorejąc życiem wiecznym na nowo,
Wszechmocne Bogu wyrazi słowo.
Witajcie jutrznią dnia powszechnéj zgody,
Wy odrodzone narody!
Omdlewa widmo przesądów,
Które was przeciw sobie zbroiły
Niezdolne ciężkich utrzymać rządów,
Blahem imieniem bez siły.
Gdzież te zniknęły orły, z których lotu
Świat swoje zgadywał losy?
Gdzież te, groźnego burzy ludów grzmotu
Okropne padły odgłosy?
Spełzła płonnych zamysłów powstająca mara
Nie osiągnawszy swojego celu.
Nowegośmy widzieli upadek Ikara
Na gruzach nowéj wieży Babelu.
Już dzień prawdy rozwidnił ciemności przyjazne,
Dla panowania obłudy,
Ze wstydem poznają ludy,

Że i łaskawy Cezar, przed którego tronem
Ze czcią paliły kadzidła,
Był już, lubo ukrytym, jeszcze był Neronem.
Który na świat rozciągał niewidome sidła
Pod nimi berło kryjąc żelazne.
Błyski złudzeń chwilowych zgasły. Mąż dojrzały
Pojmuje światło rzetelnéj chwały,
Więdnieje z kwiatów dziennych upleciony wieniec,
Którym się łudził płochy młodzieniec.
Przed obliczem wiernego samych prawd zwierciadła,
Nikną marzenia długie umysłów ciemnoty,
Obłąkanego wzroku dziwaczne widziadła,
Sny, źle pojętéj bóstwa istoty,
I owe czci narodów niegodne przedmioty,
Marności ziemskich marne ozdoby,
Królów posągi, trony i groby;
Pomniki kruche znikoméj sławy,
Dzieciństwa ludów zabawy,
Co tylko z pyłu pył wzięło,
W pył się rozkruszy;
Nie może nigdy śmiertelne dzieło
Być nieśmiertelnéj żywiołem duszy.

Człowiek jeden potęgą żywotniego ruchu,
Wszystkich istot własności w swoim bycie łączy;
On kruszec zimny w swojém roztopiony łonie,
Wrzącym krwi płynem po żyłach sączy.
Oh! twoim tchnieniem twórczy świata duchu,
Sam tylko płonie.

Blaskiem wiecznego prawdy oświecony słońca,
Sięgając do niej, człowiek tylko zdoła
Łuk wężowego swoich zmysłów koła
Rozwinąć w promień bez końca.
Kiedy dla skarbów ziemskich nabycia
Zaprzeda szczęście wiecznego życia,
Człowiek na ów czas poddany ziemi,
Złotem potężny, silny żelazem,
Do nich należy i razem z niemi
Staje się martwym na wieki głazem.
A gdy zaraza zwierzęcéj chuci
Iskrę w nim złości skrzepłą ocuci,
W dzikości przejdzie sępa i żmije;
Ogrom całego pożera świata
I krwią zbroczony swojego brata
Łzy sierot pije.

Ale kiedy wrażenie wszechmocnego słowa
Żywe w umyśle młodym zachowa,
Kiedy miłością Boga i ludzi
W sercu anielską czułość rozbudzi,

A doskonali się, codzień więcéj
Samym prawości i cnót nałogiem,
Człowiek ochrzczony z kaźni zwierzęcéj
Stanie się Bogiem.

---

## ABECADŁO.

*(powieść).*

Jednego razu (trzymam to podanie z powieści szkolnéj)
Śniadecki w długim ciągu rachuby mozolnéj,
Nie wiem jakiego stopnia rozwinął zrównanie,
Całego do pomocy wezwał abecadła
Całą głosek rodzinę na milczenie skazał.
Odwieczne między niemi porozrywał stadla,
A zapisawszy wielki list papieru,
Gdy w końcu wszystko przemazał.
Namalował straszliwe zero—równe zeru (0 = 0).
Wtedy się wszczęły rozruchy
W pospolitych głosek rzeszy,
Z razu gwar tylko dał się słyszeć głuchy,
Aż w tych słowach złączone zawołały głoski.
„Te między nami związki święte któż niweczy,
„Przez nie i dowcip wyrażał się boski
„I brzmiały wieszczów czarujące rymy;
„My które słowo boże i ten jego brzmienia
„W duszy człowieka odgłos tłómaczymy.
„Wpajamy ojców cnoty w młode pokolenia,
„Sławę ich głosząc w najpóźniejsze czasy,
„Mamyż twojemu pióru za igraszkę służyć?
„Śmiałeś nas jako znaków tylko niemych użyć,
„Zapisywać w szeregi? zamykać w nawiasy,
„I w obcego nam składu twarde wprzęgać kluby."
Na to z górnego krzesła mędrzec im odpowie:
„Możecie mieć znaczenie pewne w ludzkiéj mowie,
„Ale do mojéj wezwane rachuby,
„Postradanego nie pomne zaszczytu,
„Zastosujcie się teraz do nowego bytu—
„Pod piórkiem, które wami będzie kierowało."
Lecz wsystkie znowu razem odpowiedzą śmiało:
„Masz na to liczb stworzonych szereg dosyć długi,
„One do twojéj gotowe usługi,
„Możesz ich nieme rozwijać szyki;
„Jeden mieścić przy drugim, lub jeden pod drugim,
„Inne znakiem potęgi wznosić jeszcze nad nie;
„Różnego kształtu rysując krzyżyki,
„Niemi szpetnego pisma dziwne łączyć składnie,
„Ale naszém dowolnie nie rozrządzaj losem,
„My do takiego niezdatne użycia,
„My przez które w człowieku pierwsze hasło życia,
„Bóg nieśmiertelnym objawił głosem.

Pozostaje nam jeszcze przypatrzyć się czynności dramatycznéj Zaborowskiego. Dramata jego noszące na sobie cechę retoryczności *pseudoklasycznéj* oraz przesady i sentymentalności *romantycznéj*, nie zasługują na szersze omówienie, ograniczamy się zatém do kilku ogólnych uwag.

Dramat pod tyt. „Umwit“ rozgrywa się na ziemi słowiańskiéj w czasach „ciemnoty pogańskiéj“, kiedy to naukę Zbawiciela zaczęto szerzyć orężem. Bohaterem jest Umwit, arcykapłan pogański, który opanował zupełnie Mistywoja, naczelnika ludu słowiańskiego. Kiedy chciwy władzy Umwit dokłada wszelkich starań aby zgrzybiałego „ojca pokolenia“ zrzucić z tronu, staje mu na przeszkodzie rodzony syn Jermili, dzieckiem zabrany przez chrześciańskich rycerzy (podczas napadu na Halicz) i wychowany w wierze chrześciańskiéj. Umwit nie uznaje go zrazu za syna, chociaż jest o tém przekonany w głębi duszy i grozi mu przekleństwem, ale rozbrojony szlachetnością i miłością jego do Leliny, córki Mistywoja, porzuca swoje niecne zamiary, błogosławi synowi i zezwala na jego związek z Leliną.

Kardynalną wadą utworu jest brak konsekwentnéj charakterystyki i umotywowania wypadków. Zdawałoby się że Umwit powinien dbać o najdłuższe panowanie Mistywoja, uległego starca, pod którego egidą rządzi przebiegły kapłan samowładnie; powierzenie władzy młodemu rycerzowi Styborowi nie daje przecież podobnéj rękojmi, cóż go więc mogło do tego nakłonić? Umwit zmusza Lelinę do zaślubienia Stybora którego, chce tym sposobem legalnie na tronie osadzić. Już prowadzą ich do świątyni, kiedy Lelina zdobywa się na krok stanowczy. Zawiesiwszy na piersiach krzyż otrzymany od Jermilego oświadcza publicznie, że nie uznaje pogańskich bogów. Wobec téj zniewagi świątyni rzuca się na nią lud — wtém zjawiają się wojska chrześciańskie pod dowództwem Cydebora, brata króla Mieczysława i ocalają Lelinę z rąk pogan. To wprowadzenie Cydebora z wojskiem jest niczem niewytłómaczone, prawdziwy *deus ex machina.*

Charakterystyka osób to najsłabszy punkt Zaborowskiego. Z wyjątkiem czarnego ale niepozbawionego dodatnich rysów charakteru Umwita i stanowczéj, energicznéj Leliny, są wszystkie osoby podobne do automatów. Charakterystyce osób brak psychologicznych podstaw. Wolę, uczucia, namiętności, zastępuje ckliwość i sentymentalny liryzm. Rola Jermilego nadaje się wielce do wyzyskania dramatycznych efektów, do odmalowania wewnętrznych walk kochanka, cóż z tego kiedy ten nieszczęśliwy młodzieniec nic nie działa. Kiedy ojciec kochanki Jermilego podnosi miecz

aby sobie życie odebrać, czuły i pobożny kochanek zamiast mu wyrwać z rąk oręż, rozwodzi się w 40 wierszach o litości i miłosierdziu Bożem.... Albo i sam Mistywoj odbierający sobie życie z rozpaczy, ten niby „waleczny rycerz“ to chyba człowiek bez krwi kiedy nie ruszy palcem aby wystąpić przeciw wrogom swéj ukochanéj córki. Stybor jest najlichszą kreacyą: jest-to obojętny, ckliwy i uległy rywal, zgadzający się na wszystko, nawet na związek z Leliną, dla któréj nie żywi ani miłości, ani nienawiści, chociaż chce zabić jéj kochanka.

Drugą wadą dramatu, wspólną zresztą całéj ówczesnéj literaturze dramatycznéj, jest brak akcyi scenicznéj. Na scenie mało co się dzieje, tyle co nic, o wszystkiém dowiadujemy się z długich opowiadań i tyrad. Charakterystyka osób nie rozwija się w akcyi ale odbija się tylko w mowach i monologach. Dość przeczytać jednę scenę, aby się o tém przekonać.

Całéj budowie dramatu brak artystycznéj kompozycyi. Pomijam tu liczne błędy konstrukcyi świadczące o zupełnym braku rutyny scenicznéj, podniosę tu tylko jednę wadliwość w przeprowadzeniu i rozwiązaniu intrygi. Intryga doszedłszy kulminacyjnego punktu, gwałtownie opada, poczém następuje nagłe rozwiązanie, widoczne już w téj zewnętrznéj okoliczności, że trzeci akt drugiego dramatu ma 7 kartek.

Autor miewa atoli czasem chwile szczęśliwe,—mamy parę scen efektownych i prawdziwie dramatycznych, oddanych z artyzmem. Jeden z takich epizodów jest przeklęcie ojca.

Umwit (*do syna*).

Abyś mnie ojcem nie zwał, wiecznie cię zaklinam,
Na święte całéj ziemi wszystkich bóstw imiona,
I na pamięć téj, która z niewdzięcznego łona
Mogła wydać własnemu ojcu w tobie wroga,
I na samo twojego nawet imię Boga! i t. d.

Równie piękną i wzruszającą jest scena w któréj Jermili zawiesza Lelinie krzyż mówiąc:

„Ty ją wspieraj! Lelino przyjm to z mojéj ręki
Znamię wielkiéj nowego Zbawiciela męki,
Godło nadziei wiecznéj nawet i na grobie,
Niech będzie naszém, zawsze chowaj go przy sobie“ i t. d.

Powyższe wady i zalety dają niejakie wyobrażenie o dramatycznym talencie Zaborowskiego, ponieważ są wspólne wszystkim dramatom jego.

Tragedya p. t. „Bohdan Chmielnicki“ wyszczególnia się nadto przedstawieniem Polaków z ujemnéj strony. Bohater mści się tu

tylko za krzywdy wyrządzone mu przez nich, poświęcając temu uczuciu zemsty nawet własnego syna. W charakterystyce osób rażą tu przedewszystkiém niekonsekwencye logiczne i psychologiczne.

Stosunkowo najlepszym jest ostatni dramat p. t. „Tajemnica czyli Borys i Mitwiana“, napisany w 18 dniach (października 1824) chociaż nie jest zupełnie wykończony.

Ta pięcioaktowa tragedya osnuta jest na tle półhistorycznym. Osią jéj jest niezgoda między braćmi: Świętopełkiem, Jarosławem i Borysem, synami Włodzimierza; a główną intrygę stanowi miłość Borysa do Mitwiany, córki Bolesława Chrobrego. Zaborowski lubował się w tematach z historyi ruskiéj, na któréj osnute są jego dramata i epopeja, ale przedstawiał ją zazwyczaj w zbyt jaskrawém albo idealném oświetleniu.

„Ostatnią jego pieśnią“ (1) miały być „Dumy podolskie za czasów panowania Tureckiego“, wydane poraz pierwszy w „Haliczaninie“ Chłędowskiego, a potém osobno przez jego przyjaciela K. Sienkiewicza w Puławach 1830 r. (z opuszczeniem jednéj dumy i nieznanych odmian tekstu). Na tych „Dumach“ widać już wpływ romantycznéj poezyi, zwłaszcza „Pieśni irlandzkich“ T. Moora. Liryka Zaborowskiego bywa tu nieraz wyrazem rzeczywistego uczucia i natchnienia, a duch wolności i gorącéj miłości ojczyzny udziela się z niektórych dum bezpośrednio czytelnikowi. Uczucie Zaborowskiego dla przyrody jest nieraz głębokie i przytém delikatne i znajduje swój poetyczny wyraz w jednéj z najpiękniejszych dum p. t. „Miłość.“ Oto jak tu np. opisuje „raj samotności“ w lesie:

W miejscu tém wiecznie drży krynica żywa,
Jak w sercu miłości drżenie;
I od spokojnéj skały nie odpływa,
Jak od pamiątek wspomnienie.

Porównania te ze sfery umysłowéj nie dają wprawdzie plastycznych obrazów ale tylko niewyraźne, „drżące“ kontury przedmiotu działającego i w rzeczywistości więcéj bezpośrednio na uczucie niż na fantazyą. Jest-to romantyczny sposób zaciemniania i rozjaśniania przedmiotu.

Tam jak ty świeżą, jak ty czystą wodą
Ziemia się przy niéj napawa;
Tam jak ty, piękną, jak ty, zawsze młodą,
Oddycha wiosna murawą i t. d.

---

(1) W liście do Sabińskiego z 23 kwietnia 1823 donosi Zaborowski o „pierwszych rymach, które w 25 (sic) roku życia napisał“, t. j. o dumie N. 4: „Powstańcie bracia synowie Podola.“ „Bohdan Chmielnicki“ trochę wcześniéj napisany, był wykończony dopiero 30 sierpnia 1823.

Uczucie to nie zawsze jest takie „czyste“ i „świeże“, czasem bywa ckliwe albo wychuchane, a wtedy odzywa się „słowik tkliwe rozwodzący pienie, budzący dusz tęsknych“ *kłamliwe* „cierpienia“...

Wogóle uczucie Zaborowskiego wyradza się zbyt często w sentymentalizm, który tak dobrze ilustrują winiety wydania puławskiego, a wtedy prostota i naturalność przechodzą w przesadę i napuszystość.

Kompozycyi tych luźnych, niezaokrąglonych pieśni, brak artystycznéj budowy. Nieraz się zdarza, że poeta coś innego zacznie i na czémś inném skończy niż właściwie opiewa. Dlatego to wyglądają te przecenione dumy na zbiór różnorodnych rozstrzelonych myśli i uczuć, bez organicznéj, harmonijnéj całości. Forma rytmiczna wprawdzie bogata i różnolita, ale najczęściéj sztuczna i dobierana: rzadko tu płynie bezpośredni wylew uczucia prostym, naturalnym tokiem. Styl i język wykwintny, wyszukany i przeładowany ozdobami, mnóstwo dobieranych retorycznych figur, a przecież nieskończenie mało plastyczności i zmysłowego obrazowania. Pomimo że z całości wieje duch romantyczny, *wykonanie* szczegółów jest jeszcze zawsze pseudoklasyczne. Epitety są ciężkie, nienaturalne i zbyt nagromadzone (np. miodopłynne pola, miodorodne góry, gromobitne działa).

Porównania są zbyt oddalone i chociaż przeważnie z przyrody czerpane, nie robią żadnego wrażenia, nie wypływają też z wezbranego lub podniesionego uczucia, chociaż są umieszczone na właściwych miejscach, np. w żywych opisach bitwy. Mnóstwo tu jeszcze reminiscencyj klasycznych: „śpiewów do Boga wojny“, „niedostatecznych wiatrów“ i t. p. kramu,— nieprzyjaciołom dostają się pseudoklasyczne epiteta „pohańców, barbarzyńskiéj dziczy“ i t. p. Przesada w wyrażeniu nie ma czasem granic. Turcy np. są „stróżami piekieł i ciemnemi światła i ludzkości wrogami, prawa ich ostrzem zbójczéj stali, przemoc ich strażą, krew ludu ważą, w któréj się *mażą* (!) na krzywéj szali“ „tchem ich zatrute powietrze, a gdzie się to bezbożne plemię rozrasta, w step się mienią żyzne ziemie i w gruzy walą się miasta“; „straszny ten wąż pożera narody“ i „pije niewinne łzy i krew“ i t. d. i t. d. Język nienaturalny, retoryczny, lubujący się w ostatecznościach: jeżeli smutek to „ziemia się rozpada“, a poeta „niemy z żalu“, upojony „łkaniem rozpaczy“, ginie w „ciemnościach otchłani“; jeżeli zaś w radości, to ziemia zamienia się w „raj rozkoszy, odnawiając codziennie wonie i kwiaty,“ wtedy „rolnik rycerzem, ramię puklerzem, piersi pancerzem, a orężem siła.“ — Tak to czasem *„warczą* struny na lutni“ Zaborowskiego....

*Henryk Biegeleisen.*

# ELEKTROTECHNIKA

## NA WYSTAWIE WIEDEŃSKIÉJ.

---

Niejednokrotnie zwracano już uwagę na, to że oderwanie się elektrotechniki od wystaw powszechnych, oraz szybkość z jaką w ostatnich latach specyalne wystawy elektryczne następują po sobie, jest najlepszą wskazówką postępów w téj dziedzinie pracy ludzkiéj. Trzymając się téj wskazówki niektórzy wnoszą, iż nietylko elektrotechnika szalonym krokiem naprzód się posuwa, ale panuje w niéj jakieś nadzwyczajne wrzenie, rozsadzające granice zwykłéj działalności ludzkiéj. I nic dziwnego, iż niektórzy dochodzą do pojęć tak przesadnych, jeśli już od lat kilku, po parę wystaw na rok się odbywa. Zanim się jedna skończy, zapowiadają drugą, a na wiedeńskiéj, zanim jeszcze doszła do punktu kulminacyjnego, uwijali się komisarze amerykańscy, którzy zapraszali osobiście wystawców na rok przyszły do Filadelfii, jakby chcąc ubiedz Włochów, którzy gotują dla Europy turniéj elektryczny w stolicy Piemontu.

Czyż jednak postępy te są tak szybkie i wielkie, iż rzeczywiście wymagają wystaw corocznych, a nawet kilku na rok?

Na kwestyę tę można się zapatrywać z dwóch punktów widzenia. Jeżeli za miarę weźmiemy wystawę paryską, która przedstawiła zdumionemu światu mnóstwo wynalazków znanych tylko ze słyszenia, która zainaugurowała nowy okres w elektrotechnice, która niejako przyłożyła urzędową pieczęć do postępów nauki słabe dopiero echo na kontynencie wywołujących,—to każda z następnych wystaw przedstawia nam się w daleko skromniejszéj szacie i jeśli położymy za zasadę, iż tylko takie doniosłe, jakie nam Paryska ukazała, fakta, powinny być przedmiotem wystaw, to dojdziemy do wniosku że wszystkie, które po niéj nastąpiły nie miały prawa bytu.

Lecz w poglądzie takim byłaby pewna przesada, taka sama jak w półroczném czy może kwartalném następstwie wystaw. Bo czyż wystawy mają tylko streszczać w sobie prace epokowe? W takim razie nie miałyby prawa bytu wystawy machin np. parowych dopóty, aż np. nie wynalazłby kto przyrządów zużytkowujących całą, czy prawie całą energię spalonego pod kotłem węgla. Widzimy jednak, że drobne i powolne postępy w budowie machin, ani porównać się mogące z samym jéj wynalazkiem lub ideałem w przyszłości, mają niezmiernie wielkie znaczenie i ze wszech miar zasługują za rozpowszechnienie przy pomocy wystaw.

Zapewne z takiego to stanowiska zapatrują się rządy i przemysłowcy na znaczenie wystaw elektrotechnicznych, które pomimo szybkiego następstwa po sobie, wcale dotąd nie zawodziły nadziei jakie w nich pokładano.

Należy tu jeszcze zwrócić uwagę na dwie okoliczności.

Elektryczność jest zjawiskiem wielce nieuchwytném, nieznaném w szerszych kołach nawet ze słyszenia; rzadko kto z ludzi ogólnie wykształconych, nawet zawodom technicznym poświęcających się, zna jéj własności, i nauka o elektryczności w najnowszéj swojéj formie jest własnością nie wielkiéj liczby jednostek. A jednak na każdym kroku napotykamy już jéj zdumiewające zastosowania, walczące o pierwszeństwo z dawnemi, utartemi wynalazkami i wdzierające się we wszelkie niemal dziedziny działalności ludzkiéj. Czyż wystawa nie jest wybornym środkiem zaznajomienia szerokich kół z temi cudami, oraz zachęty do ich bliższego poznania?

Z drugiéj strony dla elektrotechników wystawa jest nietylko giełdą i środkiem reklamy ale i pewnego rodzaju akademią. Tu widzą nowe zastosowania w działach podobnych do swojego lub odmiennych, które się w zakresie ich pracy zastosować dadzą; tu ścierają się ich zdania, tu mają sposobność zasięgnięcia rady znakomitych uczonych, tu odkrywa się przed niemi ten świat szeroki, który niepozwala im zamknąć się w skorupie ślimaczéj. Wystawa więc jest dla nich surogatem licznych podróży, jest zakładem kształcącym oraz dającym środki i pobudkę do dalszéj pracy.

Z takiego stanowiska, i częstość wystaw i wędrówka ich po rozmaitych punktach Europy ma doniosłe znaczenie, z takiego punktu widzenia mają one zupełne usprawiedliwienie, tém bardziéj że każda z nich przynosi, jak dotąd, ważne udoskonalenia, nadające coraz większą doniosłość wynalazkom lat ostatnich, i czyniące je coraz dostępniejszemi i łatwiejszemi w zastosowaniu do życia praktycznego.

Postępy te uwydatnią się nam, gdy choć przelotnie rzucimy okiem na historyą wystaw, w których częściowo lub wyłącznie brała udział elektrotechnika.

Na powszechnéj wystawie londyńskiéj w 1851 przedstawiono tylko małą garstkę przyrządów elektrycznych i magnetycznych, lecz już na wystawie w tém samém mieście odbytéj w r. 1862 liczba tych okazów wzrosła do tego stopnia, że katalog ich obejmował 98 stronnic ścisłego druku. Były to po największéj części tylko przewodniki i aparaty telegraficzne, a charakterystyczną jest rzeczą że w specyalném sprawozdaniu prof. Fleeminga Jenkina cały ten materyał został podzielony na rzeczy odnoszące się do telegrafii, i na nieodnoszące się do telegrafii.

Wkrótce wynaleziono machinę dynamoelektryczną, która nowy okres w elektrotechnice otwiera, i dział elektryczny na Paryskiéj (1867) i Wiedeńskiéj (1873) wystawie mógł się nowemi ważnemi zdobyczami pochwalić. Na téj ostatniéj francuz H. Fontaine puszczał prąd z jednéj dynamomachiny do drugiéj i poraz pierwszy pokazał szerokim kołom, sposób zamiany elektryczności na siłę mechaniczną, zasadę elektrycznéj transmisyi ruchu, jak się teraz wyrażamy.

Jubileuszowa wystawa filadelfijska przyniosła znowu rzecz niezmiernie doniosłą. Nie mówiąc już o wielokrotnym telegrafie wynalezionym przez Elishę Gray'a, pojawił się tutaj po raz pierwszy telefon, ten wynalazek tak nieoczekiwany, tak zdumiewający, że wieści o nim z niewiarą tylko przyjmowano.

Telefon spopularyzował elektryczność. Wiadomość o tym „cudzie" doszła do najdalszych zakątków. Zainteresowanie się elektrycznością stało się powszechném.

Niemal jednocześnie z wystawą filadelfijską odbyła się wystawa przyrządów naukowych w Kensington Muzeum w Londynie. Przeważały na niéj okazy z działu elektryczności.

W r. 1878 zwrócił znów na siebie powszechną uwagę Paryż, gdzie pojawiła się świeca Jabłoczkowa i gdzie machina dynamoelektryczna Gramme'a stała się przedmiotem studyów i nadała popęd nowéj gałęzi przemysłu. W rok późniéj na wystawie przemysłowéj w Berlinie zjawiła się pierwsza kolej elektryczna zbudowana przez Siemensa; a zaraz w następnym roku wystawiła podobną kolej w Wiedniu, firma Egger'a.

Jednocześnie mnożyły się wynalazki na polu elektrotechniki z prawdziwie zdumiewającą szybkością. Po telefonie nastąpił mikrofon i fotofon, który jednak dotąd spoczywa tylko w kolebce. Lampa diferencyalna Siemensa oraz lampy jarzące (inkandescencyj-

ne) Edisona, Swana i innych rozwiązały w wyborny sposób zagadnienie podzialu światła elektrycznego. W tymże samym czasie wtórne bateryę Plante'go wskutek ulepszeń które do nich Faure wprowadził, zajęły wydatne stanowisko w elektrotechnice jako akumulatory.

Bardzo wymowną jest okoliczność iż w Anglii wydano w r. 1880 aż 270 patentów na wynalazki elektryczne, a na początku r. 1881 w Londynie, téj prawdziwéj stolicy elektrotechniki, założono kilka towarzystw eksploatacyi światła elektrycznego.

Wystawa Paryska w 1881 r. była areną na któréj się miały zaprodukować przed światem wszystkie wielkie wynalazki z okresu największéj obfitości. Ona to wystawiła świadectwo praktyczności telefonii i światłu elektrycznemu, na niéj ukazało się wiele tak znakomitych przyrządów jak telegraf wielokrotny Baudot'a (przesyłający jednocześnie kilka depesz po jednym drucie) i „Syphon Recorder „Thomsona. Pojawiły się téż pewne modyfikacye w machinach dynamoelektrycznych, które były zarodkiem ważnéj zasady najnowszych machin „Compound."

Na wystawie téj pracowało 39 machin parowych o sile 1,267 koni, oraz 20 gazomotorów o sile 200 koni. Z liczby téj 1350 koni parowych zasilało 1383 źródeł światła, zarówno łukowych jak inkandescencyjnych, dających natężenie 50,000 carcelów (po 8 świec). Zgromadzono więc tam tyle światła ile go caly Paryż z lamp gazowych otrzymuje (49,000 carcelów).

Wielkiéj téż doniosłości dla nauki i techniki była zasiadająca podczas trwania wystawy komisya naukowa z pierwszorzędnych uczonych świata złożona. Poruszyła ona najważniejsze kwestye i podjęła się w części ich opracowania.

Po wystawie paryskiéj pewna spółka angielska urządziła wystawę w pałacu kryształowym w Sydenham. Wystawa ta miała tylko spekulacyjny charakter.

Ważne naukowe znaczenie miała wystawa Monachijska która się odbyła latem 1882. Zasiadająca podczas jéj trwania komisya naukowa dokonała wielu pomiarów, które się dopiero co w osobnem dziele ukazały (1). Zupełnie nowych wynalazków prawie wcale tam nie było, ale pojawiły się znaczne ulepszenia na wielu punktach.

Po wystawie monachijskiéj odbyły się dwie wystawy Londyńskie w r. 1882 i 1883. Pierwsza z nich była powtórzeniem zeszłorocz-

---

(1) Offizieller Bericht ueber die Internationale Elektricitäts Ausstellung, verbunden mit Elektrotechnischen Versuchen Beurteilet von den Prüfungs-Commision. München

néj wystawy, z tą tylko odmianą że dopuszczono i gaz do konkurencyi ze światłem elektrycznėm. Druga któréj siedliskiem było Akwaryum westminsterskie, odznaczała się tém, że ogłosiła konkursa na wynalazki elektryczne.

Po tém nastąpiły wystawy elektryczne w Lodi w Lombardyi, w Królewcu, a wreszcie ostatnia międzynarodowa wystawa w Wiedniu.

Pierwsze dwie nie odznaczały się żadnemi wybitniejszemi nowościami i miały jedynie miejscowe znaczenie. O wiedeńskiéj jako mającéj być przedmiotem niniejszego sprawozdania, nie pomieścimy tu wzmianki ogólnikowéj. Zaznaczymy tylko, iż choć wystawa wiedeńska nie może wytrzymać porównania z Paryską z r. 1881, jednakże pod względem znaczenia tuż za nią na skali ważności następuje, a wpływ jéj sięga bezwątpienia daleko po za granice państwa austryacko-węgierskiego.

Dla nas zaś specyalnie wystawa wiedeńska, wskutek swych geograficznych warunków, jest daleko ważniejszą od wszystkich poprzednich i prawdopodobnie wywrze największy wpływ na nasz przemysł. Widać to nietylko z zainteresowania prasy tą wystawą ale i z liczby polaków zwiedzających ją, już to dla ogólnego obznajmienia się z postępami elektrotechniki, już też dla celów specyalnych przemysłowych, np. dla obznajmienia się z systemami oświetlenia fabryk itd. Bez przesady powiedzieć można, iż wystawa wiedeńska jest dla nas punktem zwrotnym, od którego rozpoczyna się bliższe zainteresowanie się ogółu sprawami elektrycznemi.

Dla tych powodów w sprawozdaniu naszém nie możemy się ograniczyć tylko na tych szczegółach, w których ostatnia wystawa różniła się od poprzednich. Nie tylko ten wzgląd, ale i brak znajomości podstaw nauki o elektryczności wśród naszego ogółu, skłania nas do traktowania jéj jako całości zupełnie dla nas nowéj, i dla tego też nie mogącéj się obejść bez ogólnego tła przygotowawczego oraz krótkiego przeglądu historycznego. Przygotowanie podobne tém jest konieczniejszém, że poglądy naukowe na sprawy elektryczne znacznie się w ostatnich czasach zmieniły, że powstały nowe pojęcia i nazwy bez których nie podobna zrozumieć języka teraźniejszych elektrotechników, tembardziéj, że dotąd w żadnéj książce polskiéj niezostały one uwzględnione, i dla tego trzymają zdala od książek elektrotechnicznych nawet tych, którzy przed kilkunastu laty zasady elektryczności z dawniejszych książek poznali.

---

W kwestyi natury elektryczności, nauka stoi na takim samym stopniu jak dawniéj: wywody ogólne o związku i analogii zjawisk w przyrodzie każą przypuszczać iż istota elektryczności polega tak samo na ruchach cząsteczek jak ciepło i światło, lecz obecnie tak jak wówczas posiadamy na to tylko ten dowód, że możemy elektryczność zamieniać na światło ciepło i ruch mechaniczny, oraz że możemy ją otrzymać z ruchu mas lub cząsteczek. Rachunek nawet do tego stopnia wtargnął już w tę ciemną sferę, że obliczamy, ile uzyskać możemy elektryczności z takiéj a takiéj siły mechanicznéj, z danéj ilości ciepła lub naodwrót. Jednakże nieznamy jeszcze ani pojedynczych stadyów tego przeobrażenia, ani istoty elektryczności saméj w sobie. Z drugiéj znów strony, pomimo tak ogólnych tak dobitnych, tak silnie popartych rachunkiem względów, przemawiających za tém, iż elektryczność jest tylko pewnym rodzajem ruchu, nie można na téj zasadzie tłómaczyć bardzo wielu zjawisk i wszystkie podręczniki traktują ją tak samo jak dawniéj jako płyny dodatni i ujemny, a praktycy, często nawet wierzą, iż elektryczność jest czemś podobném do wody lub powietrza. Nawet obecnie jeszcze więcéj może niż dawniéj autorowie uciekają się w swych objaśnieniach do analogii z wodą i obliczenia polegające na zasadzie nieznikomości energii muszą znosić sąsiedztwo „płynu“ dodatniego i ujemnego. Panuje więc jeszcze taki sam chaos jak dawniéj i istnieją tylko pojedyncze usiłowania wybrnięcia z niego. Mimo to ciągły postęp na polu badania zjawisk i ich stosunków, nawet ilościowych, daje niepłonną nadzieję iż w niedalekiéj przyszłości, czy wspólna praca, czy jakiś błysk geniuszu zaprowadzi jedność i ład w téj dziedzinie mglistości i sprzeczności. Zapuszczając się w nią musimy się zrzec wszelkiéj nadziei należytego rozjaśnienia całego obszaru, a idąc utorowanym gościńcem będziemy się trzymali głównie światła faktów, uwzględniając naturalnie poglądy spółczesne.

Wyobraźmy sobie kulkę metalową, którąśmy naelektryzowali dodatnio za pomocą machiny o obracającym się krążku szklanym. Jeżeli przybliżymy do niéj drugą kulkę naelektryzowaną dodatnio, to wiemy, że ona dozna odpychania takiego np. że w dwucentymetrowéj odległości dla pokonania go trzeba użyć pracy wyrażonéj liczbą $x$. Przypuśćmy teraz że elektryczność na pierwszéj kuli została podwojoną, że podwoiła się jéj ilość, w każdym punkcie, a więc i jéj siła odpychania wzrośnie w dwójnasób i dla pokonania jéj potrzeba będzie użyć pracy $2\ x$. Jeśli stopień elektryczności mierzony tą pracą nazwiemy *potencyałem*, to powiemy że w drugim razie potencyał jest dwa razy większy niż w pierwszym.

Połączmy ze sobą dwie kule o jednakowym potencyale. Nie zajdzie wtedy żadna wymiana, tak samo jak gdybyśmy zetknęli z sobą dwa ciała o jednakowéj temperaturze. Lecz jeśli potencyały obu kul będą nierówne, to elektryczność z ciała o wyższym potencyale spłynie na ciało o niższym, i na obu kulach zapanuje równy potencyał, podobnie jak się to dzieje z dwoma zetkniętemi sobą ciałami o nierównéj temperaturze.

Różnica więc potencyałów jest przyczyną ruchu elektryczności, daje początek t. z. sile elektromotorycznéj.

Potencyał jest to pojęcie względne. Dane ciało może mieć potencyał bardzo wysoki względem jakiegoś ciała trzeciego i t. d. Rzecz się ma tu tak samo jak z pojęciem poziomu dla spadającéj wody. Czy ten poziom jest wyniesiony na 100 czy tysiąc stóp *nad powierzchnią morza*, to wcale nie wpływa na siłę wodospadu o któréj mamy dopiero wtedy pojęcie, gdy się dowiemy, jaka jest różnica między wysokością poziomu z którego spada a poziomu na który spada. Moglibyśmy poziomy wody nazwać tu potencyałami, a różnicę ich, która jest przyczyną siły strumienia wody, różnicą potencyałów lub siłą przypuśćmy aquaemotoryczną. Naodwrót, elektrycy mówią często o poziomach i o spadku elektryczności.

Jednakże potencyał ma także pewne znaczenie bezwzględne, tak samo jak wysokości poziomów wodospadu mogłyby mieć znaczenie bezwzględne, gdyby się mówiło o wodospadach nadoceanowych, w których woda wprost ze swych poziomów do morza spada. Rozumiałoby się wtedy, że ponieważ morze ma poziom *0*, więc wysokość poziomu z którego woda spada, wskazuje jednocześnie różnicę poziomów. Dla elektryczności takiém zerem jest ziemia, względem któréj wszelkie stany elektryczne, jakie wywołać i oznaczyć możemy, okazują jakąś daną różnicę potencyału. Pamiętać jednak należy, że i zero to jest względne, gdyż ziemia w każdym punkcie ma inny stan elektryczny. Przyjęcie więc potencyału ziemi w danym punkcie za zero jest dowolném, tak jak przyjęcie jakiejś wysokości przy niwelacyi lub temperatury topniejącego lodu za zero.

Możemy tedy powiedzieć ogólnie, że ile razy połączymy przewodnikiem dwa ciała o rozmaitych potencyałach, to nastąpi przepłynięcie elektryczności z ciała o wyższym potencyale do ciała o niższym, a następnie wyrównanie stanów elektrycznych obu ciał. Na odwrót ile razy widzimy przepływ elektryczności z jednego ciała na drugie, zawsze wnieść możemy, iż potencyały tych ciał były nierówne.

Pojęcie potencyału stosuje się zarówno do elektryczności szklanéj (dodatniéj), jak i żywicznéj (ujemnéj). Ciała naelektryzowane

dodatnio mają wyższy potencyał od ziemi, i dla tego elektryczność spływa z nich do ziemi, ciała naelektryzowane ujemnie mają niższy od ziemi potencyał i dla tego też płynie do nich elektryczność z ziemi.

Sprobujmy objaśnić pojęcie potencyału na przykładzie wziętym ze sfery zjawisk dostępniejszych. Przypuśćmy, że mamy dwa łuki z cięciwami napiętemi, stojące naprzeciwko siebie. Jeżeli oprzemy laskę na obu cięciwach i puścimy je, to możliwe będą trzy przypadki:

Albo napięcia cięciw będą równe, a wtedy ich działania w strony przeciwne sobie, zrównoważą się i laska w żadną stronę się nie posunie.

Albo jedno z napięć będzie słabsze i laska posunie się właśnie w stronę tego napięcia.

Albo nareszcie cięciwa drugiego łuku będzie napięta w stronę odwrotną, to jest nie jak pierwsza ku drzewu ale od drzewa, a w takim razie laska jeszcze z większym impetem posunie się w stronę drugiego łuku.

Podobnie rzecz się ma z napięciami elektrycznemi.

Jeśli na obu przewodnikach które łączymy z sobą (potencyały) są równe, to nie będzie żadnego ruchu ani w jedną ani w drugą stronę.

Jeśli potencyały są nierówne, to elektryczność z ciała o wyższym potencyale spłynie na niższy.

Jeśli napięcia wyrażają się względem ziemi przeciwnemi znakami (elektryczność dodatnia i ujemna), to nastąpi to samo co w ostatnim przypadku, gdyż ten stan rzeczy będzie tylko szczegółowym wynikiem poprzedniego prawidła.

Elektryczność z machiny o krążku szklannym i wogóle elektryczność wywołana przez tarcie, odznacza się bardzo wysokim potencyałem. Natomiast bywa dostarczana z tych źródeł w małéj ilości. Przypomina nam ona płomień o wysokiéj temperaturze, np. z dmuchawki tlenowodornéj, który nam stopi drut platynowy, ale nie ogrzeje kotła wody.

Inaczéj rzecz się ma z innemi źródłami elektryczności.

Jeżeli położymy na sobie dwie różnorodne płytki metalowe, np. cynkową na miedzianéj, albo jeszcze lepiéj jeśli dwie płytki takie umieścimy w cieczy działającéj chemicznie w nierównym stopniu na te metale, to otrzymamy elektryczność wprawdzie niewielkiego napięcia ale w znacznéj ilości.

Szczególniéj ostatni system metalów i cieczy służy pod nazwą stosów do otrzymywania znaczniejszych ilości elektryczności.

Elektryczność o wysokim potencyale a małéj ilości nazywa się statyczną, a o wielkiéj ilości i niewielkim potencyale galwaniczną.

Na różnicę potencyałów w stosie składa się: zetknięcie metali z cieczą, działanie chemiczne cieczy na metale, oraz zetknięcie metali pomiędzy sobą (połączenie w obwodzie zewnętrznym).

Podtrzymywanie zaś różnicy potencyałów, a więc prądu, przypisać należy zapewne wyłącznie działaniu chemicznemu, gdyż ono tylko jest tu dla nas widocznėm źródłem energii.

Jeśli powiększymy powierzchnie metali stykających się z cieczą, to siła elektro-motoryczna bynajmniéj nie wzrośnie; powiększy się tylko ilość produkowanéj elektryczności. Różnica potencyałów zależy tylko od natury metali i cieczy oraz od temperatury.

Jeśli tedy połączymy z sobą kilka elementów stosu, tak że cynk będzie się łączył z cynkiem, a miedź z miedzią, to wskutek tego powiększymy tylko powierzchnię zetknięcia metali z cieczą stosu i różnica potencyałów na biegunach podobnéj bateryi będzie taką samą jak poprzednio a powiększy się tylko ilość elektryczności. Takie połączenie elementów nazywa się połączeniem *„równoległem“*, *„obok siebie“* lub *„na ilość.“*

Jeśli jednak postawimy elementy jeden za drugim w ten sposób, aby blaszki cynkowe łączyły się z miedzianemi, to różnice potencyałów dodadzą się i siła elektromotoryczna takiego systemu będzie wynikiem sumy wszystkich różnic potencyałów. Podobne połączenie nazywa się *„za sobą“* lub *„na napięcie, natężenie.“*

Dla obrazowego przedstawienia sobie téj różnicy porównajmy element stosu, wywołujący różnicę potencyałów („poziomów“) do pompy, która przenosząc wodę z cysterny na poziom wyższy daje początek różnicy poziomów. Jeśli postawimy w cysternie dziesięć pomp przenoszących na minutę po metrze sześciennym wody na wysokość jednego metra, to wprawdzie na téj wysokości ilość wody powiększy się, ale różnica poziomów bynajmniéj się nie zmieni. Połączyliśmy tu z sobą wszystkie otwory wsysające z jednéj strony a wylotowe z drugiéj. Jest-to więc połączenie obok siebie czyli na ilość.

Inaczéj dziać się będzie jeśli ustawimy pompy tak, że tam gdzie będzie przypadał wylot pierwszéj, znajdzie się otwór wsysający drugiéj, t. j. że każda będzie pompowała na jeszcze wyższy poziom wodę, podniesioną przez pompę poprzednią. Wylot najwyższéj pompy będzie leżał na wysokości dziesięć razy większéj od wylotu pierwszéj, ale ilość wypływającéj z niego na minutę wody będzie taka sama jak na poziomie pierwszym. Dziesięć pomp wzniesie

różnicę poziomów, ale nie powiększy ilości wody. Jest-to połączenie „za sobą“ czyli „na napięcie.“

Wyobraźmy sobie teraz, iż wznieśliśmy metr sześcienny wody nie na wysokość 10 metrów ale na wysokość 5 kilometrów. Przypuściwszy, że strumień wody spadając z takiéj wysokości, nie rozproszy się i dostanie się w całości jako słupek wody na ziemię, zrozumiemy że inne będzie działanie prądu wody w jednym i drugim razie. Pierwszy wyobrażać nam może elektryczność galwaniczną, drugi statyczną. Co do istoty zaś nie ma żadnéj różnicy pomiędzy obu temi rodzajami elektryczności, i galwaniczna może być łatwo w statyczną wprowadzona.

Bardzo pouczające pod tym względem jest doświadczenie Plante'go, wynalazcy akumulatorów, pokazywane na wystawie. Dwa elementa stosu Bunsena, z których tylko nadzwyczaj słabą przy rozrywaniu drutów można otrzymać iskierkę, ładują przeszło 400 małych jak palec akumulatorów (o których niżéj będzie mowa) połączonych na ilość. Następnie łączy się te akkumulatory na napięcie i puszcza się elektryczność o tak spotęgowanéj różnicy potencyału do kondensatorów, które ją jeszcze bardziéj powiększają, a wskutek tego z przewodników połączonych z niemi można otrzymać iskry kilkucentymetrowéj długości.

Ciała, po których płynie strumień elektryczny nabierają pewnych szczególnych własności, o których w skróceniu mówi się jako o atrybutach strumienia elektrycznego. Dają się one szczególnie dobrze zauważyć i zbadać na drutach, po których strumień rozchodzi się prawie zupełnie linijnie. Mówiąc więc o „strumieniu elektrycznym“, miejmy zawsze na myśli druty po których on płynie.

Gdy w bliskości jednego strumienia płynie równolegle drugi w tym samym kierunku—to one przyciągają się, gdy w odwrotnym—to się odpychają. Gdy kierunki dwóch strumieni tworzą pomiędzy sobą kąt, to płynące ku wierzchołkowi kąta lub odpływające od niego strumienie przyciągają się, dwa zaś strumienie z których jeden płynie ku wierzchołkowi a drugi oddala się od niego, odpychają się nawzajem.

Gdy zawiesimy jeden w drugim dwa obwody strumienia na osiach swobodnych, to wskutek tego wzajemnego działania przyjmą one względem siebie takie położenie, aby w obu strumień krążył równolegle i to w jednym i tym samym kierunku. Nazywa się to kierowniczém działaniem strumienia.

To działanie można spotęgować, wziąwszy zamiast pojedyńczego drutu całe kółko lub wężownicę. Ogólne działanie takich zwojów jest równe sumie działań każdego ze skrętów. Gdy stru-

mień o jednym zwoju pomieścimy w strumieniu o stu zwojach, działanie będzie sto razy silniejsze; gdy i strumień wewnętrzny będzie miał sto zwojów, skutek wypadnie 10000 razy silniejszym.

Widoczną jest rzeczą, że możemy używać tego rodzaju systemów zwojów do wykazywania strumienia elektrycznego. Na tej zasadzie polega przyrząd zwany Elektrodynamometrem.

Wężownica z drutu, po którym płynie strumień, nazywa się solenoidem. Dwa solenoidy zwrócone do siebie końcami, po których płyną strumienie w jednym kierunku przyciągają się, zwrócone przeciwnemi—odpychają się.

Na magnesy działają strumienie w podobny sposób jak na solenoidy. Gdy zbliżymy strumień do magnesu swobodnie zawieszonego, to, jak to odkrył Oersted, magnes zboczy w ten sposób, że stanie w poprzek do strumienia. Kierunek zboczenia jest zależny od kierunku prądu.

Podobnie jak solenoid, magnes odchyla się pod wpływem jednego strumienia prostolinijnego ale odchylenie to potęguje się w miarę ilości zwojów kierującej wężownicy (cewki). Na tej zasadzie są zbudowane przyrządy do odkrywania, wyznaczenia kierunku i mierzenia prądów, zwane Galwanoskopami i Galwanometrami. Zwoje w tych instrumentach ustawiają się w kierunku północno-południowym, tj. takim jaki przyjmuje igła magnesowa wolno zawieszona. Gdy strumień zacznie płynąć, igła, stosownie do jego kierunku zbacza na wschód lub na zachód, aż dotąd, że działanie strumienia nie zrównoważy się z kierującém działaniem ziemi.

Strumienie działają nie tylko na strumienie ale i na obwody po których elektryczność nie płynie. Jeśli do obwodu drutu połączonego z galwanometrem przybliżymy strumień, to odchylenie igły pokaże nam, iż w tym obwodzie pojawił się chwilowy strumień w kierunku przeciwnym. Naodwrót oddalając strumień, wzbudzamy w obwodzie prąd w tymże samym kierunku co płynący w obwodzie zbliżanym.

Toż samo ma miejsce gdy w solenoidzie umieszczonym obok solenoidu zamkniętego wzmacniamy lub osłabiamy strumień po nim płynący. Wzmacnianie wywołuje ten sam wpływ co zbliżanie, osłabianie co oddalanie.

Podobny będzie skutek, jeśli do obwodu zamkniętego przybliżymy, albo téż gdy wepchniemy w ten obwód magnes albo wreszcie jeśli powiększać i zmniejszać będziemy siłę magnesu znajdującego się wewnątrz solenoidu. Każda taka zmiana da początek prądowi elektrycznemu.

Jeżeli wewnątrz solenoidu znajduje się miękkie żelazo, to zbliżając do niego magnes, magnetyzujemy je, oddalając, odbieramy mu magnetyzm; skutek będzie ten sam jak gdybyśmy wsuwali lub wysuwali magnes z solenoidu, tj. w solenoidzie będzie powstawał strumień, wskutek zbliżania lub oddalania magnesu od znajdującego się w nim jądra żelaznego.

Strumień krążący w około żelaza nadaje mu własności magnesu. Jeżeli żelazo jest miękkiem, to magnetyzm znika zaraz po przerwaniu prądu i wraca znowu po powtórnem puszczeniu; jeśli zaś jest hartowaném (stalą) to magnetyzm pozostaje w nim przez czas bardzo długi. Pierwszy rodzaj magnesu nazywa się magnesem czasowym czyli elektromagnesem, drugi magnesem stałym.

Na powyższych „elektrodynamicznych“ i „elektromagnetycznych „własnościach prądu, polegają najważniejsze przyrządy miernicze oraz takie wynalazki elektryczne, jak telefon i machina dynamo-elektryczna. Dają więc nam one podstawę do pojęcia zasady tych przyrządów. Nitki przewodniéj do zrozumienia innych działów elektrotechniki musimy szukać w innych własnościach strumienia.

Strumień płynąc po drucie rozgrzewa go. Można się o tém przekonać za pomocą odpowiednio zastosowanego termometru. Ilość ciepła wywołanego w przewodniku przez strumień jest proporcyonalną do kwadratu z siły strumienia i do oporu przewodnika.

Lecz co to jest opór?

Wprowadzając do obwodu stosu druty rozmaitéj długości i grubości i z rozmaitych ciał zrobione, przekonamy się, iż obecność każdego z nich inaczéj wpływa na siłę prądu elektrycznego. Prąd elektryczny z jednego i tego samego źródła płynący, jest słabszym lub silniejszym stosownie do długości, grubości i natury przewodnika po którym płynie.

Przy jednym i tym samym materyale oraz grubości druta prąd tém jest słabszym im długość przewodnika większą. Przy jednéj i téj saméj długości tém słabszym im grubość druta mniejszą. Wreszcie przy wszystkich pozostałych warunkach równych, prąd jest słabszym w miedzi niż w srebrze, w żelazie niż miedzi, w najzylbrze niż w żelazie, w węglu niż najzylbrze, a żywica, parafina, wosk, kauczuk, jedwab, porcelana prawie wcale go nie przepuszczają.

Ciała więc po których krąży elektryczność przeciwstawiają prądowi pewien opór, który najmniejszym jest w srebrze i miedzi a największym w kauczuku, parafinie itd. Ciała które stawiają prądowi mały opór nazywają się dobremi przewodnikami a do takich należą głównie metale; ciała stawiające średni opór nazywają się półprzewodnikami i do nich należą węgiel, sole, ciecze; wreszcie sta-

wiające wielki opór, nazywają się izol atorami, a przedstawicielami ich są głównie bardzo złożone ciała organiczne, jak jedwab, kauczuk itd.

Jakim ulega prawom opór zależnie od natury ciał jest jeszcze rzeczą niezbadaną. Jednakże doskonale zostały zbadane prawa opuru zależne od wymiarów przewodnika.

Mianowicie znakomity uczony niemiecki Ohm odkrył, że opór przewodnika jest odwrotnie proporcyonalny do średnicy jego przecięcia i wprost proporcyonalny do długości. Ponieważ „przewodnictwo“ jest pojęciem wprost przeciwném oporowi, a więc powiedzieć możemy iż przewodnictwo jednego i tego samego metalu jest wprost proporcyonalném do średnicy przecięcia i odwrotnie proporcyonalném do długości przewodnika.

Ponieważ znów siła strumienia jest odwrotnie proporcyonalną do oporu, więc też będzie wprost proporcyonalną do grubości drutu a odwrotnie do jego długości.

Za jednostkę do mierzenia wielkości oporów wzięto opór jaki przedstawia przepływowi elektryczności kolumna rtęci mająca około metra (1m,06) długości, a milimetr średnicy. Oporowi temu równa się opór około 50 metrów drutu miedzianego mającego milimetr średnicy.

Jednostka taka nazywa się *Ohm*, na część fizyka który wykrył prawo wymienione.

Mówiliśmy dotąd o zależności prądu od samego tylko przewodnika, ale naturalnie w niemniejszéj jest on zawisłości od siły źródła, od siły elektromotorycznéj czyli od różnicy potencyałów na biegunach stosu. Przy jednym i tym samym oporze przewodnika element Bunsena da prąd silniejszy od elementu Daniell'a lub z dziesięciu elementów otrzymany prąd silniejszy niż z jednego.

Tenże sam Ohm wykrył że siła prądu jest wprost proporcyonalną od siły elektromotorycznéj. Prawo więc Ohma brzmi w całości: siła prądu jest wprost proporcyonalną do siły elektromotorycznéj a odwrotnie proporcyonalną do oporu, i wyraża się wzorem:

$$\text{I (siła prądu)} = \frac{E\ \text{(sile elektromotorycznéj)}}{R\ \text{(Opór)}}$$

Siła elektromotoryczna mierzy się w praktyce jednostką równą prawie sile elektromotorycznéj elementu Daniell'a. Nazwano ją *volt* na cześć Volty wynalazcy stosu elektrycznego. Element Bunsena daje około 1,8 voltów.

Jednostkę, którą się mierzy siłę prądu nazwano od słynnego fizyka Ampèra *Amperem*. 1 Amper jest to siła prądu którą w 1 ohmie wzbudza strumień, gdy różnica potencyałów wynosi 1 volt a więc:

$$1 \text{ Amper} = \frac{1 \text{ Volt}}{1 \text{ Ohm}}$$

Z wzoru tego, mając siłę elektromotoryczną i opór możemy zmierzyć siłę prądu, i w ogóle mając dwie wielkości możemy obliczyć trzecią.

Wzór ten jest najogólniejszą i najważniejszą podstawą nauki o elektryczności i elektrotechniki.

Powracając do ilości ciepła, wytwarzanego przez prąd powiemy, iż równa się ona podniesionéj do kwadratu ilości amperów pomnożonéj przez ilość ohmów przewodnika. Z prawem tém spotkamy się bliżéj mówiąc o świetle elektryczném.

Wreszcie ostatnią z głównych własności prądu zastosowanych na szeroką skalę w elektrotechnice, jest rozkład chemiczny ciał.

*Bronisław Rejchman.*

# ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
## I WRAŻENIA LITERACKIE.

Dziela poetyczne i dramatyczne Fryderyka Schillera. Lwów 1882. Zeszytów 2.

Nakładem księgarni Rychtera (Altenberga) we Lwowie zaczęły wychodzić zeszytami „*Dzieła poetyczne i dramatyczne Fryderyka Schillera*, ilustrowane przez znakomitych artystów“, oczywiście niemieckich. Jest-to pierwsza próbka zbiorowego wydania utworów jednego z największych i najsympatyczniejszych wieszczów nowożytnych, którego nasza publiczność zna wprawdzie oddawna, ale tylko dorywczo, gdyż przekłady należą po większéj części do publikacyj dawniejszych i już wyczerpanych. Nawet tłómaczenia M. B(udzyńskiego), choć były dwukrotnie publikowane (w Lipsku i Brukseli), należą do rzadkości. Tymczasem wysokie stanowisko humanitarne Schillera, oraz wielki wpływ, jakim cieszył się autor Don Karlosa i Wilhelma Tella nie tylko u nas, ale i w całéj Europie, tłómaczy dostatecznie użyteczność zamierzonéj publikacyi. Nakładca — według brzmienia prospektu — obiecuje ukończyć podjęte wydawnictwo ze schyłkiem roku przyszłego, w dwóch tomach, z których pierwszy obejmować będzie: Wstęp, poezye, oraz dramaty: Zbójców, Intrygę i Miłość, Fieska i Don Karlosa; drugi—trylogią Wallenstein, Maryą Stuart, Dziewicę Orleańską, Oblubienicę z Messyny i Wilhelma Tella. — Będzie to więc całość kompletna o tyle, o ile utwory Schillera już przełożone zostały. Nikt bowiem u nas nie zajął się przetłómaczeniem wszystkich utworów wieszcza niemieckiego, jakkolwiek w swoim czasie przekładał niektóre i Mickiewicz i Zaleski i Odyniec i inni. Stąd poszło, że jedne utwory istnieją aż w kilku przekładach, a tymczasem inne zostały pominięte. Stosuje się to głównie do poezyj drobniejszych, bo co się tyczy dramatów, to z wyjątkiem niedokończonego Dymitra, posiadamy wszystkie w tłómaczeniu, a niektóre nawet, jako to trylogią Wal-

lenstein, Wilhelma Tella i Oblubienicę z Messyny aż w dwóch. W niektórych więc razach redakcya obecnego wydawnictwa może nawet czynić wybór pomiędzy przekładami, czy jednak bez zużytkowania jakich sił nowych będzie mogła dać naszéj publiczności przekłady godne oryginałów—to kwestya. Dość pomyśléć nad tém, że tłómaczenia Don Karlosa, Maryi Stuart i Oblubienicy z Messeny bardzo wiele pozostawiają do życzenia. Byłoby rzeczą wielce pożądaną, ażeby przynajmniéj te tragedye przełożyło zdolniejsze pióro. Zyskałoby na tém wydawnictwo tém bardziéj, że na drugie wydanie zdobędziemy się bodaj nieprędko.

Redakcya, którą prowadzi dr. Zipper, rozpoczęła wydawnictwo od drobnych poezyj Schillera (1), jak się to praktykuje i w wydaniach niemieckich. Nie wiadomo jednak, dlaczego nie uwzględniła innéj jeszcze zasady, a mianowicie nie zachowała zgoła porządku chronologicznego tak samo, jak w utworach dramatycznych, a przecież tutaj — o ile widać z prospektu — porządek ten zachowany będzie. Utwory młodzieńcze Schillera mają swoję wartość i powinny się znajdować na czele; gdzie-indziéj byłoby dla nich miejsce niewłaściwe, pominąć zaś ich nie należy przez wzgląd na ich znaczenie w rozwoju ducha i talentu poety. Zresztą i bez tego nie będzie to zbiór kompletny, gdyż ani wątpić, że wielu utworów dotychczas nie przełożono, chyba że redakcya postara się o przekład brakujących.

Zeszyt I zawiera dziesięć poezyj, odnoszących się przeważnie do tak zwanego trzeciego okresu. P. Zipper miał tu dość znaczny wybór w przekładach i stosownie do swojego uznania wybierał najlepsze, sprawdzał z oryginałem, a nawet czasami poprawiał. Nie wszędzie jednak miał w czém zapewne wybierać, skoro zakwalifikował do druku niektóre tłómaczenia A. Gorczyńskiego, których nikt chyba do udatnych nie zaliczy: pod względem dykcyi, wersyfikacyi, a nawet gramatycznéj poprawności języka pozostawiają one bardzo wiele do życzenia. Jego to pióra znajduje się tutaj *Uroczystość eleuzyńska*; pomimo poprawek przekład pozostał lichym, a nawet w wielu miejscach niejasno oddaje myśl poety:

Smutne widzę tu znamiona,
Niosącego obraz nasz;
Wszak w Olimpie rozkwitniona
Świeci piękna jego twarz.

Któż się z tych wierszy domyśli, że tu Cerera mówi o człowieku? Sam Schiller wyraził się zupełnie inaczéj:

---

(1) Równocześnie wszakże, bo już w II-gim zeszycie wychodzi tom drugi; rozpoczyna go Wallenstein.

Find'ich so den Menschen wieder,
Dem wir unser Bild geliehn,
Dessen schöngestalte Glieder
Droben im Olympus blühn.

Nawet większe poprawki niewiele tu pomogły:

Granitowy słup z skalistéj
Góry wyłamawszy tam
Dzielnego trydentu siłą,
Pośpiesza Posejdon sam.

Cały ten czterowiersz brzmi w oryginale prosto i naturalnie:

Auch den Meergott sieht man eilen:
Rasch mit des Tridentes Stoss
Bricht er die granitnen Säulen
Aus dem Erdgerippe los...

Te słupy wznosi Posejdon do góry przy budowaniu miasta:

Schwingt sie in gewalt'gen Händen
Hoch, wie einen leichten Ball...

Tymczasem u Gorczyńskiego myśl oryginału, zapewne dla rymu, zmieniła się zupełnie:

Pchnięty dłonią jakby z procy
Potoczył się kamień z gór...

Na szczęście więcéj tłómaczeń pióra Gorczyńskiego w tym zeszycie niema. Inne są daleko udatniejsze, lubo nie w zupełności zadowolnić mogą wymagania. Brodziński zbyt mało dba o kunsztowność wiersza (*Kasandra*) i nie posiada téj siły i jędrności, jaka cechuje muzę Schillera; Zaleski znowu niewiele się troszczy o wierne oddanie myśli i poświęca ją nieraz dla formy z wielką szkodą dla całości (*Gody zwycięzców*). Tłómaczenia Chłędowskiego najbardziéj może zbliżają się do oryginału, ale tylko *Żale Cerery* zostały przez redakcyą uwzględnione. Dlaczego *Pierścień Polikratesa* podano w tłómaczeniu innego pióra, o wiele gorszém niż Chłędowskiego— trudno zrozumiéć. Wprawdzie i Chłędowski odbiegł nieco od oryginału miarą wierszową, ale za to wierniéj oddał myśli poety i dorównał mu klasyczną powagą dykcyi, a nadto uniknął skocznego trocheja, który niełatwo łączy się z uroczystym nastrojem myśli. Pomimo kilku zdań, nie znajdujących się w oryginale, przekład Chłędowskiego można uważać za mistrzowski, a w każdym razie o wiele lepszy od tego, który zakwalifikowała redakcya. Dość porównać parę zwrotek, żeby się o tém przekonać. Oto np. zwrotka oryginału:

Und wenn's die Götter nicht gewähren,
So acht' auf eines Freundes Lehren
Und rufe selbst das Unglück her;
Und was von allen deinen Schätzen
Dein Herz am höchsten mag ergötzen,
Das nimm und wirf's in dieses Meer.

W przekładzie, wybranym przez redakcyą, zwrotka ta brzmi:

Gdy bóg prośby nie wysłucha,
Słuchaj rady twego druha,
Sam to pasmo szczęścia skróć;
Wybierz z skarbów twoich wiela,
Czém się serce rozwesela,
Weź to i do morza wrzuć.

W przekładzie zaś Chłędowskiego:

A gdy ci tego nie użyczą bogi,
Chciéj przyjaciela posłuchać przestrogi:
Sam sprowadź smutek na siebie;
Przejdź szczerą myślą skarby twoje mnogie,
Co z nich najwięcéj sercu twemu drogie,
Niechaj to morze zagrzebie.

Inna zwrotka:

Und als der Koch den Fisch zertheilt,
Kommt er bestürzt herbeigeeilt
Und ruft mit hocherstauntem Blick:
„Sieh, Herr, den Ring, den du getragen,
Ihn fand ich in des Fisches Magen,
O, ohne Gränzen ist dein Glück!"

---

Kuchmistrz rybę gdy rozpłata,
Przestraszony znów wylata,
I zawoła: „Panie, patrz!
Drogi pierścień z twojéj ręki
Wydobyłem z rybiéj szczęki,
Pierścień twój odebrać racz."

---

I gdy kuchenny rzadką rybę sprawia,
Zmieszany dziwem, jakie mu się zjawia,
Wpada na pańskie pokoje:
„Patrz, panie, pierścień, któryś w morze rzucił,
W wnętrznościach ryby do ciebie powrócił!
Bez granic jest szczęście twoje."

Obydwaj tłómacze grzeszą potrosze dowolnością; ale poza tem wszystkiém jakaż różnica!

Wogóle zeszyt I-y wiele pozostawia do życzenia i nie bardzo usprawiedliwia opinią redakcyi, że polskie przekłady Schillera „na-

leżą do najlepszych.“ Może w dalszych zeszytach wypadnie przychylić się do jéj zdania. Tém lepiéj, publikacya zyska na harmonii pomiędzy ozdobną formą i zawartością, a wielbiciele Schillera, płacąc za zeszyt o 24 stronicach po złp. 2 groszy 20, nabędą nietylko ładny glansowany papier, czysty druk Brockhausowski i niezgorsze ilustracye, ale i istotnego Schillera, w całéj wielkości jego gieniuszu.

*E. Grabowski.*

---

= **Wypisy polskie Antoniego Bądzkiewicza.** Dzieło to, o którém już dwukrotnie w „Ateneum“ pisaliśmy, ukończone zostało. Do dwu dawniejszych przybyły dwa nowe tomy. Jeden z nich, *część niższą* obejmujący (354 strony prozy, 51 str. poezyi i VIII spisu), ułożony wyłącznie nie według rodzajów formy, lecz według rodzajów treści, zawiera dużo nauczającego, ale niewiele silniéj interesującego t. j. żywiéj wyobraźnią zajmującego materyału. Pod tym względem pozostał p. B. wiernym planowi, który poddaliśmy krytyce z powodu *części średniéj.* W zakresie tego planu p. B. zrobił prawie wszystko, co zrobić było można, ażeby wzbogacić ilościowo i jakościowo zwykłe zasoby „Wypisów“, ażeby je starannie i umiejętnie ułożyć. Wobec widniejącéj wszędzie staranności, trudno sobie wytłómaczyć parę przykładów zaniedbania, które w innéj książce, przez kogoś mniéj sumiennego układanéj, nie rzucałyby się w oczy. Do szeregu tych przykładów zaliczamy początek artykułu o „kocie domowym.“ Czytamy tu: „Całą swoją postacią i sposobem życia kot przypomina na małą skalę tygrysa“ (str. 32). Według zasady dydaktycznéj porównywać należy rzeczy mniéj znane do więcéj znanych. Czyżby postać i sposób życia tygrysa miały być bardziéj znane młodziutkim czytelnikom niż postać i sposób życia kota?... Bezpośrednio po tém następujące zdanie jeszcze jaskrawiéj uwydatnia niestosowność porównania w tém właśnie miejscu: „Cały boży dzionek leży on *za ciepłym piecem, przyciśnięty do gorących kafli*“ i t. d. Gdyby przynajmniéj porównanie było przeprowadzone *w przeciwstawieniu* np. jak tygrys na słońcu i t. d.; toby nie raziło. W każdym razie frazes naczelny wypadało wykreślić. Podobne przykłady zaniedbania znajdujemy w wyborze wierszy, często całkiem niepoetycznych, kulawych, niesmacznych i niewłaściwych. Takie wiersze jak Puzyniny: *Módlmy się*, jak Kwiatkowskiego: *Łzy mateczki*, jak Szumanowéj: *Gwiazdki* i inne, mogłyby być usunięte bez najmniejszéj szkody dla książki. — Druga połowa *części wyższéj* (str. 482 tekstu i VI spisu) przedstawia wzory prozy rozumowéj i oratorskiéj, oraz wybór poezyj. Nie wchodząc tu w rozbiór pytania, czy nazwa

prozy „rozumowéj“ jest dobrze dobrana, zaznaczymy tylko, że mieści w sobie u p. B-a trzy działy: 1) ustępy z systematów lub z monografij umiejętnych, 2) rozprawy, 3) poglądy krytyczne, recenzye i krytyki właściwe, — i że każdy z tych działów starannie został wypełniony. Wszystkie ważniejsze dziedziny wiedzy są tu uwzględnione. Nie tyle zadawalnia proza oratorska. Mamy tu dwa kazania, jednę mowę poetycką i jednę mowę akademicką; sejmowéj, politycznéj niema wcale. Mowa ks. Trynkowskiego, w swoim czasie zbyt przechwalona, zadużo ma frazeologii, zamało treści; można ją było skrócić jeszcze bardziéj, a nic-by nie stracili czytelnicy. Oddział poezyi wogóle co do wyboru utworów jest udatny; wypadałoby chyba takich pseudo-poetów jak A. W. Rzewuski lub J. Hołowiński zupełnie pominąć. W poezyi dramatycznéj dobrze przedstawiono w streszczeniu i znacznych wyjątkach *List Żelazny* Małeckiego; *Zrzędność i przekorę* Fredry podano w całości; ustęp z *Nieboskiéj Komedyi* zatytułowany *Orcio* nie może posłużyć do wykazania cech dramatu czy poematu dramatycznego. Jakim sposobem dwuwiersz z *fragmentu bitwy z Amuratem u Warny* przez Jana Kochanowskiego znalazł się w dziale poezyi *lapidarnéj* (?), kiedy dwuwiersza tego ani autor sam nie stworzył jako napisu, ani go téż nikt jeszcze na żadnym pomniku nie umieścił, trudno zrozumiéć. Stało się to chyba skutkiem nieuwagi, takiéj saméj, jakiéj wynikiem było zupełne skrzywienie pierwszego wiersza. Wydrukowano go bowiem nie tak jak Kochanowski napisał, lecz tak, jak Bartoszewicz w swojéj Historyi literatury przekręcił, pozbawiając sensu i trzech zgłosek:

Grób jego — słup i śnieżne Bałkany.

Powinno zaś być:

Grób jego jest Europa, słup—śnieżne Bałchany.

= Od dwu miesięcy wychodzi przemienione z dawniejszego Echa Muzycznego **Echo muzyczne i teatralne.** Zdawałoby się, że obficie w czasopismach codziennych i tygodniowych zamieszczane sprawozdania z zakresu muzyki i teatru usuwają potrzebę specyalnego organu, tym działom sztuk pięknych poświęconego, a to tém bardziéj, że ostatecznie w działach tych nie widać zbyt bujnych objawów i rozwoju życia. Pogląd taki, którego redakcya nowo-zreformowanego pisma bynajmniéj nie ignorowała, najzupełniéj usprawiedliwiony ze względu na stosunek opracowywania innych sfer literatury w czasopiśmiennictwie naszym, nie został zatwierdzony przez praktykę, z któréj się pokazało (jak-to zaznacza Echo muz. i teatralne w N. 8), że nowe pismo specyalnie teatrowi i muzyce poświęcone „zgromadziło tak znaczną liczbę abonentów, iż byt jego

materyalny jest zapewnionym“. Życząc szczerze *Echu*, ażeby tę liczbę abonentów nie tylko zachowało, ale w dalszym ciągu znacznie pomnożyło, dodać ze swéj strony winniśmy, że starannością w doborze i układzie artykułów na powodzenie takie zasłużyło. *Echo* pojmuje zadanie swoje poważnie i stara się specyalną swą dziedzinę reprezentować wszechstronnie i gruntownie. Świadczy o tém kilka artykułów, jakie w 8 wyszłych do téj pory numerach pomieściło. *Nasze współczesne dramatopisarstwo* przez p. Kazimierza Kaszewskiego daje ogólny pogląd na rozwój dramaturgii naszéj w ostatniém 25-leciu i stanowi wstęp do szeregu sylwetek, mających zobrazować twórczość naszych dramatyków żyjących. Równocześnie zapowiedziane są obrazy z rozwoju dramatu naszego w przeszłości. Artykuł p. Władysława Bogusławskiego: *Teatr Meiningeński i reforma sceny* przedstawia bardzo interesujące i bardzo ważne szczegóły dotyczące realizmu i idealizmu w saméj sztuk wystawie. Rzecz *O genezie muzyki* według Herberta Spencera, może zająć głębiéj myślących. *Par-si-fal* przez p. J. Kleczyńskiego zapoznaje w sposób dokładny ze sztuką Wagnera, która tak wielkie wśród wykształconego ogółu obudziła zajęcie. Przeglądy dramatyczne i muzyczne, skrzętnie prowadzona kronika, sylwetki gwiazd teatralnych są to działy pisma mające na oku bieżącą teraźniejszość. Z przeszłości pomieściło Echo wspomnienie o *Bogusławskim w Wilnie r. 1816* pióra Piotra Chmielowskiego. Nie wspomnieliśmy dotychczas o *Historyi Heleny Modrzejowskiéj* według broszury, angielskiéj, gdyż Historyą tę jako zbiór anegdot wielce podejrzanéj autentyczności uważamy za ujemną stronę *Echa*, za rzecz kwalifikującą się do codziennych, brukowych dzienników. *Echo* powinnoby w takich razach okazywać więcéj krytycyzmu. Odcinek *Echa* był dość urozmaicony; na wyszczególnienie zasługują obrazki Aurelego Urbańskiego „Z za kulis.“

= Nakładem S. Lewentała, wydawcy *Kłosów*, *Biblioteki Najcelniejszych utworów* itd., ma z początkiem roku przyszłego wychodzić **Tanie zbiorowe wydanie powieści Elizy Orzeszkowéj**. Czytelnikom pisma naszego nie potrzebujemy przypominać, jak ważne w rozwoju nie tylko belletryski naszéj, ale duchowego naszego życia wogóle, przyznajemy autorce *Marty*, *Eli Makowera*, *Widm*, *Sylwka Cmentarnika*, *Z różnych sfer* i wielu—wielu innych tworów, w których życie spółczesne głęboko pojęte, roztacza się w szeregu świetnie wykonanych obrazów; a z poza nich widnieją szlachetne, na postępowych zasadach oparte, pełne uczuć humanitarnych tendencye. Zbiorowe wydanie tych utworów stanowić będzie wielkie dla szerszego ogółu ułatwienie w nabyciu .książek, które po więk-

széj części są wyczerpane, a przedstawiają nader pożądaną lekturę. Rozpowszechnienie dzieł p. Orzeszkowéj poczytujemy za bardzo ważny czynnik rozszerzenia zdrowych myśli i poglądów śród masy społeczeństwa naszego.

— Nakładem redakcyi *Przeglądu Tygodniowego* podjętém zostanie w roku przyszłym **wydanie kompletne wszystkich dzieł Karola Darwina w języku polskim.** Jakkolwiek posiadamy dotychczas przekłady kilku utworów wiekopomnego mędrca (*O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt*, *O pochodzeniu człowieka*, początek głównego, zasadniczego dzieła *O pochodzeniu gatunków*), to jednakże dla gruntownego poznania teoryi, która tak wielkich dokonała i dokonywa zmian w wytwarzaniu pojęć naukowych, niewątpliwie potrzebném i wysoce pożądaném jest zebranie w całość tego, co twórca téj teoryi napisał. Ogłoszenie kompletnych dzieł Darwina w języku naszym uważamy za rzecz wielkiéj doniosłości naukowéj; może się ono przyczynić do rzeczywistego, nie zaś frazeologicznego tylko zaznajomienia się z poglądami, które istotnie w rozwoju pojęć nowy okres stanowią. Powierzenie przekładu p. Szymonowi Dicksteinowi, znającemu przedmiot i władającemu dobrze językiem polskim, daje nadzieję, że tłómaczenie sumiennie, z pożytkiem dla naukowego piśmiennictwa naszego dokonaném zostanie. — Nakładem tejże redakcyi zaczęła wychodzić **Historya literatury czeskiéj od czasów odrodzenia**, opracowana przez p. Wiktora Czajewskiego, który od lat kilku dał się poznać ze swych studyów w dziedzinie literatury polskiéj i czeskiéj. Nie przesądzając tu o wartości wydawanéj zeszytami „Historyi literatury czeskiéj,“ którą po ukończeniu ocenić będziemy się starali, zapiszemy tylko życzenie, ażeby korekta staranniéj była prowadzona; gdzie się wprowadzają nazwiska mało albo wcale ogółowi nieznane, to ze względu na informowanie tego ogółu dbać trzeba mocno o jak największą poprawność. Tu zaś czytamy *Bozdech*, *Nemcova* (str. II), *Niejedly* (str. 15), *Kliepcra* (str. 27) i wiele innych źle skorygowanych nazwisk.

— Od 15 października zaczęło w Pradze czeskiéj wychodzić czasopismo krytyczne p. n. **Athenaeum**, *listy pro literaturu a kritiku viedeckou*. Wydawcą jest znany księgarz J. Otto, redaktorem zaś *T. G. Masaryk*, profesor filozofii w uniwersytecie praskim. Program zakreśliło sobie bardzo obszerny. Nie tylko czeskie ale i obce, zarówno słowiańskie jak i innojęzyczne uwzględnia wydawnictwa; nietylko dzieła osobno wydane, ale i artykuły, w czasopismach naukowych pomieszczone, zapisuje. Zdania formułuje krótko, podawszy najprzód treść. Życzymy powodzenia naszemu drużbie literackiemu lepszego, niż je miał u nas „Przegląd krytyczny.“

---

# SPROSTOWANIE.

W artykule o sprawozdaniach z prac matematycznych i przyrodniczych na str. 398 (wiersz 26) zamiast „N. 127“ powinno być „N. 197.“

W artykule o Rodzinie Łaskich w zeszycie listopadowym, na str. 220, w wierszu 3 od dołu zamiast 1571 powinno być *1572*; na str. 221 w wierszu 1 zamiast *utracyuszów* powinno być *stracyuszów* (taki bowiem był wtedy termin techniczny).




Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

# Od redakcyi „Kraju.“

---

„Kraj“ w roku przyszłym 1884 wychodzić będzie na dotychczasowych warunkach, bez zmian zarówno co do kierunku, jak i co do programu pisma, pod redakcyą p. **Erazma Piltza**, przy głównym współudziale pp. **Włodzimierza Spasowicza** i **Józefa Szyszło**.

Następujący autorzy i korespondenci pomieszczali w „Kraju“ lub zapowiedzieli prace swe i korespondencye: Asnyk Adam, Bartoszewicz Stanisław, Bogdanowicz Edmund, Budkiewicz Włodzimierz, Długosz Józef, Doboszyński Mieczysł., Elzenberg Henryk, Forward, Gliński Fran., Głowacki Aleksander (Bolesław Prus), Gomulicki Wiktor, Dr. Hertz Kar., Iłgowski Jan, Dr. Jelinek Edw., Jarochowski Kaz., Jelski Al., Jurewicz Józ., Dr. Antoni J., Kaftal Stan., Karłowicz Jan, hr. Dunin-Karwicki Józ., Kościałkowska W. Z. K., Kotarbiński Józ., Kotarbiński Mił., Lam Jan, Laskarys Jerzy, Librowicz Zyg., Lubowski Edw., Łętowski Jul., Mackiewicz M., Miłkowski Zyg. (T. T. Jeż), Miriam, Natanson Edward, Nowakowski Wład., Olszewski Fran., Oskierka Al., Ostoja, Orzeszkowa Eliza, Poznański Józ., Ptaszycki Stan., Rawicz, Rogosz Józef, Sienkiewicz Henr. (Litwos), Smarzewski Tad., Smolski G., Straszewicz Lud., Sulimierski Fil., Szpar, Tokarzewicz Józef (T. Hodi), Trepka Edm., Wernic Henr., Wierzchlejski Rom., Wojewódzki L., Wołowski Mich., Zakrzewska Ter., Zamajski Rysz., Zdziechowski Mar., Ekliński Daniel i inni.

Do téj listy współpracowników możemy dziś dodać czcigodne nazwisko *J. I. Kraszewskiego*, który listem, datowanym z Drezna 28 b. m., obiecał nam łaskawie swe współpracownictwo.

Pismo nasze jak dotąd, tak i nadal, starać się będziemy rozwijać w miarę sił i środków naszych.

PRZEDPŁATA:

*W Petersburgu* wynosi rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

*Z przesyłką pocztową* w Cesarstwie, Królestwie i zagranicą: rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50.

Ogłoszenia po kop. 15 od wiersza.—Doniesienia (w teks.) 30 k. N-ra pojedyńcze 20 kop. — Za zmianę adresu kop. 28.

*Adres Redakcyi i kantoru*: „Редакція Польской газеты „Kraj“ въ Петербургѣ, Площадь Б. Театра 10.“ Kantor otwarty w dni powszednie od godz. 11 r. do 4 po poł.

*Warszawska agencya „Kraju“* (Rajchman i Frendler, Senatorska, 18) przyjmuje ogłoszenia z Królestwa i zagranicy, przedpłatę zaś wyłącznie z Warszawy.

# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „Ateneum“

*w ciągu m. Listopada 1883 r.*

---

1. **Teorya jestestw idiodynamicznych**. Napisał *Ludwik Natanson*, doktór medycyny. Warszawa, 1883. 8 o. str. 112 i IV.
2. **Dawne monety polskie** dynastyi Piastów i Jagiellonów Część I. Monety pierwszych czterech wieków, rozbiorem wykopalisk objaśnionie (przez *Kazimierza Stronczyńskiego*). Piotrków. 1883 4-o str. 248 z dziesięcioma tablicami i rysunkami w tekście.
3. **Zbiór gemmo-glyptyczny** pana Szmidta-Ciążyńskiego przez *Maryana Sokołowskiego*. Kraków 1883, 8-o. str. 22.
4. **Athenaeum**, listy pro literaturu a kritiku vědeckou. Ročnik 15 Rzijen 1884. čislo 1. w Pradze, redektor Prof. Dr. *T. G. Masazyk.*
5. **Złota przędza poetów i prozaików polskich**. Zeszyt 8. str. 561—640.
6. **Wydawnictwo Akademii umiejętności w Krakowie**:

*a*) Rocznik zarządu akademii umiejętności w Krakowie rok 1882.

*b*) Słownik wyrazów technicznych tyczących się budownictwa p. Dr. *Teofila Żebrowskiego*. 1883. 8-o str. 433.

*c*) Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału matematyczno-przyrodniczego. Tom X. 1883. 8-o str. 305 i LVII.

*d*) Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego. Tom. XVI. 1883. 8-o str. 508 i XII.

*e*) Zbiór wiadomości do antropologii krajowéj. Tom VII. 1883 8-o str. 264.

*f*) Pamiętnik Akademii umiejętności w Krakowie. Wydział matematyczno-przyrodniczy. Tom VIII. 1883 4-o str. 183.

*g*) Pomniki dziejowe wieków średnich. Tom VIII. Kodeksu dyplomatycznego katedry Krakowskiéj ś. Wacława. Część druga (1367—1423). 1883 4-a str. XXXVIII i 598.

*h*) Starodawne prawa polskiego pomniki. Tom VII zeszyt II. Puncta in judicis terrestribus et castrensibus observanda anno 1544, conscripta—Abreviatio processus juridici anno 1641 confecta nunc primum edita opera *Michaelis Bobrzyński* 1832. 4-o str. 195—272.

7. **Rezultaty spisu jednodniowego ludności miasta Warszawy** 1882 roku. Część I. Ludność (po polsku i po rusku.)
8. **Ziemia Kujawska** opisana p. *Maksymiliana Boruckiego* Zeszyt 6 str. 183 do 214.
9. Książeczki dziesięciogroszowe. 1. **Nauka rachunków** cztery działania z liczbami całkowitemi. Wydanie drugie. Warszawa Lesman i Świszczowski 1883 str. 82.
10. **Uwagi w kwestyi włościan a mianowicie jak było u nas i gdzieindziej** podał *Aleksander Jelski*. Warszawa 1883. 8-o str. 72 Cena kop. 50.
11. **Pierwotni** powieść p. *Elizę Orzeszkową*. Warszawa u Lewentala. 1884 8-o str. 253.
12. **N. Liubowicz**. Istoria reformacii w Polsze. Kalwinisty i Anitrinitarii (po neizdannym istocznikam) w Warszawie 1883.

# ATENEUM

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

**wychodzić będzie w roku 1884 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.**

---

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

## Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

**Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie 3.** (tylko w Warszawie)

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

**DO REDAKCYI ATENEUM Włodzimierska, 14.**

---

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Ноября 1883 г.